Bibljoteka i zbiory
LEOPOLDA MÉYETA.

II 2.015.810

25861

25861

JULIUSZ SŁOWACKI

JEGO ŻYCIE I DZIEŁA

W STOSUNKU DO WSPÓŁCZESNÉJ EPOKI.

PRZEZ

ANTONIEGO MAŁECKIEGO.

TOM PIERWSZY.

25861

LWÓW.
NAKŁADEM AUTORA.
1866.

w płótno czarne

JULIUSZ SŁOWACKI

JEGO ŻYCIE I DZIEŁA

W STÓSUNKU DO WSPÓŁCZESNÉJ EPOKI.

TOM PIERWSZY.

25861

BIBLIJOTEKA LEOPOLDA MÉYET W WARSZAWIE

JULIUSZ SŁOWACKI

JEGO ŻYCIE I DZIEŁA

W STÓSUNKU DO WSPÓŁCZESNÉJ EPOKI.

PRZEZ

ANTONIEGO MAŁECKIEGO.

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA W WARSZAWIE

TOM PIERWSZY.

LWÓW.
NAKŁADEM AUTORA.
Z DRUKARNI ZAKŁADU NAROD. IM. OSSOLIŃSKICH.
Pod bezpośr. zarządem uprzyw. dzierzawcy Alex. Vogla.
1866.

DAR LEOPOLDA MÉYETA

BIBLIOTEKA NARODOWA
II 2.015.810
A

SPIS RZECZY

W TOMIE PIERWSZYM ZAWARTYCH.

strona

Przedmowa IX

ROZDZIAŁ I.

Urodzenie poety — słów kilka o jego rodzicach — szkolne czasy — pierwsze objawy poetyckiego usposobienia. Pierwsza przyjaźń i pierwsza miłość. Bajronizm. Pierwszy krok w świat rzeczywisty — urzędowanie w Warszawie. Książę Lubecki, Dominik Lisiecki, Niemcewicz. Powstanie Listopadowe — pierwsze wystąpienie Juliusza jako poety. Wyjazd z kraju 1

ROZDZIAŁ II.

Rok 1831 i pierwsza połowa 1832go.—Przybycie do Wrocławia, a stąd do Drezna. Odyniec — okolice drezdeńskie. Wyjazd do Londynu. Teatr londyński — Westminster — Niemcewicz. Przeniesienie się do Paryża — niekorzystny sąd o Francuzach — cmentarz Père-la-Chaise — teatra — Lelewel i inni Polacy przybywający na emigracyą. Poeta zamierza ogłosić zbiór swoich poezyi — wiadomość o próbach jego najpierwszych — trudności znalezienia nakładcy — romans w języku francuskim. Druk rozpoczęty — wiele obiecująca znajomość — panna Kora — owacye i nadzieje wielkiego powodzenia. Lafayette — X. Praniewicz — Skibicki. Dzieła wychodzą z pod prasy. Mickiewicz w Paryżu — pierwszy powód niesnasek pomiędzy nim a Słowackim — wspomnienie pewnego zdarzenia w Wilnie. . 27

strona

ROZDZIAŁ III.

Poezya polska przed rokiem 1830 — jéj stósunek do literatur zachodnich — jéj główne wewnętrzne znamię. Odrębność wyobrażeń Juliusza Słowackiego — niepopularność jego pierwszych publikacyi. Czas pracy nad każdym z utworów ogłoszonych w r. 1832. Uwagi o poemacie Hugo i o dramacie Mindowe, — rozbiór Maryi Stuart. 62

ROZDZIAŁ IV.

Dalszy ciąg rzeczy zaczętéj w poprzedzającym rozdziale. Nieco o powieści poetyckiéj jako nowéj formie poezyi. Bielecki — Mnich — Arab — Żmija. Ogólny wniosek. Bajronizm i jego ślady w poezyi polskiéj 102

ROZDZIAŁ V.

Druga połowa roku 1832. Ukończenie poematu Lambro. Smutne doniesienia z domu. Nowe niesnaski z Mickiewiczem. Dziady. Nagły wyjazd z Paryża. P. Lenormand i podróż do Genewy 131

ROZDZIAŁ VI.

Rok 1833. — Pensyonat na przedmieściu genewskiém i jego gospodynie. Tryb życia Słowackiego w Genewie. Nowe stósunki i znajomości. Wrażenie francuskiéj recenzyi jego Poezyi. Teatr genewski. — Wiadomość o zgonie Zienkowicza. — Lambro oddany do druku, przedmowa do niego. — Życie towarzyskie roku owego dość zajmujące. Boston — Eglantyna — Eliza. — Wiosna — różne figury z dalekich krajów sąsiadujące teraz z Słowackim — rodzina Uwarow — Potopow — hrabina Seidwitz — misyonarz Wolf itd. — Wycieczki w góry okoliczne. — Uroczystość szkolna — imieniny Juliusza. — W jesieni praca nad Kordyanem 154

ROZDZIAŁ VII.

Zdanie o poemacie Lambro. Czy narodowość poezyi na tém polega, ażeby obrabiać materye brane jedynie ze sfery własnéj? — Rozbiór Kordyana — kilka uwag o Dziadach Mickiewicza i o Garczyńskiego Wacławie . . 177

strona

ROZDZIAŁ VIII.

Rok 1834 i 1835. — Wiara w przeczucia. Śmierć babki. — Eglantyna. Przykrości wygnania dają się czuć pod każdym względem. Smutne usposobienie. Skromne życzenia, bez nadziei ich osiągnięcia. — Wieczorki genewskie. Prace i studya: Filozofia — Biblia — Georges Sand. Wallas — Mazepa — Balladyna — Horsztyński. — Lepsze chwile — Nowa znajomość — Marya W. — Podróż w miłém towarzystwie i dalsze z tego następstwa. — Rozczarowanie — trzy miesiące samotnego pobytu w górach. Przesilenie i nowe ideały. „W Szwajcaryi“ — Anhelli 204

ROZDZIAŁ IX.

Rok 1836 do połowy 1837. — Przygotowania do podróży włoskiéj — trudności pasportowe. Wyjazd do Rzymu — wrażenia — nowe znajomości, Krasiński. Neapol — Sorrento — poemat „Wacław“. Podróż na Wschód. Grecya — Egipt — Kairo — piramidy — spotkanie z przyjaciołmi koło Dendery. Teby — jazda na wielbłądach ku Palestynie. Kwarantanna w El-Arish. Jerozolima — noc u grobu Chrystusa. Ruiny Balbeku — Klasztor ormiański na Libanie — spowiedź — „Ojciec Zadżumionych“. Bajrut — powrót okrętem do Liwurny . . 243

PRZEDMOWA.

Oddając do rąk publiczności tę książkę o Juliuszu Słowackim, uważam za potrzebne wytłómaczyć się, skąd mi przyszło na myśl pisać tak obszernie o człowieku, który w społeczeństwie zajmował tylko skromne stanowisko pisarza, a którego dziełom przy całéj ich genialności sam nieraz niedostatki wytykam. Że mnie z téj strony będzie zaczepiała krytyka, o tém wcale nie wątpię. Niechże przynajmniéj — jeżeli nie rozbroi, to bodaj złagodzi surowość jéj zarzutów szczere i otwarte opowiedzenie, jak ta praca moja powstała i w jakim celu była podjęta. Dała mi do niéj główny powód oddana do rąk moich w odpisie korespondencya Słowackiego, prowadzona z różnemi osobami, z Zygmuntem Krasińskim, z Teofilem Januszewskim, wujem poety, z Kornelim Stattlerem, znakomitym niegdyś profesorem malarstwa w Krakowie, a przedewszystkiém z matką. Do matki swojéj pisywał poeta nasz w stałych i częstych terminach i zwykł jéj był przez cały czas życia swego na emigracyi szczegółowo zdawać sprawę ze wszystkiego, z czego się tylko to życie jego splatało. Rozczytując

ten nader znaczny zbiór listów (jest ich tyle, że zapełniłyby dwa spore tomy), nie mogłem się oprzéć w pierwszéj chwili urokowi, jaki wywiera to rzeczywiście bezprzykładne bogactwo wyobraźni, strumieniami rozlanéj w owych potocznych i poufnych rozmowach nieznanego zupełnie dotychczas z téj strony wieszcza; i porwany myślą, że to prawdziwy pamiętnik wewnętrznego życia poety, że to istna fotografia najskrytszych poruszeń serca — zamierzyłem nakłonić koniecznie krewnych jego do bezzwłocznego ogłoszenia téj całéj korespondencyi. Dalsze czytanie jednakże dało mi uczuć niebawem niestósowność tego żądania. Nie tylko bowiem czas obecny zdaje się być cokolwiek jeszcze za rychłym, żeby wszystko, co się w niéj mieści, bezwarunkowo można było drukować; ale i tego nie mogę zataić, że kiedy się odczytuje zbiór listów cały w jednym ciągu jeden po drugim, doznawać się zaczyna z czasem przy tak wielkiéj ich obfitości — znużenia. Ostatecznie bowiem każdy list jest tylko listem, choćby go pisał i genialny poeta! Doniesienia o bieżących potocznościach życia, o zdrowiu, kłopotach, powodzeniu itp. zajmują tu zawsze miejsce sobie właściwe; a nawet i najpoetyczniejsze ustępy nie mogą się nie powtarzać w podobnym ciągle sposobie. W skutek czego czytający te wynurzenia poufne traci coraz bardziéj zmysł dla rzeczy prawdziwie niepospolitych, ginących w tym nawale powszednich konwencyjności.

Nie uważając zatém jak na teraz za pożądane, żeby korespondencya ta była drukowana w całości, a nie mogąc z drugiéj strony i tego z przekonaniem

swojém pogodzić, żeby pojedyncze z listów urywki, wyjęte na chybi trafi ze związku, było właściwém dawać do rąk publiczności w sposób, jak to uczyniono na przykład z listami Krasińskiego lat temu kilka: wziąłem sobie za zadanie zużytkować ten materyał inaczéj. Postanowiłem z osnowy listów rozwinąć wątek autentyczny życia Słowackiego tak mało komu znanego dotąd dokładniéj; a zapomocą lepiéj rozwidnionego poglądu na tegoż życia koleje, rzucić też nieco światła i na jego dzieła. I oto w taki to sposób powstała książka niniejsza, poświęcona zarazem i biografii poety i krytycznemu rozbiorowi pism jego, w odniesieniu do całego ogółu ówczesnych usiłowań w literaturze naszéj, stanowiących jakby tło dla wyłącznego uwag moich przedmiotu. Przyznaję otwarcie, że kiedym się zabierał do téj roboty, nie wystawiałem sobie, że się ona do téj objętości rozciągnie. Nie ręczę nawet za to, czybym się był zabrał do niéj, gdybym to naprzód był wiedział. Ale zabrnąwszy raz w rzecz i spostrzegłszy się, w co ja wszedłem, trochę zapóźno: nie chciałem się już cofać po czasie. Prowadziłem tedy coraz daléj naprzód pracę zaczętą, pocieszając się nadzieją, że cokolwiek się stąd wywiąże, nie będzie bez pewnego interesu a może i pożytku. Mianowicie zaś towarzyszyło mi w tém zajęciu to przekonanie, że warto jest przypatrzeć się choćby też raz jeden z bliska ... ż y c i u P o e t y! Warto poznać w tym autentycznym, z własnych świadectw utworzonym obrazie, z czego to u natur wyjątkowych, noszących to chlubne miano, zazwyczaj splata się ów wątek uczuć, szałów, rzadkich pociech, częstszych

boleści, niebiańskich natchnień i cierpień nieraz najdotkliwszych, który tłum ludzi, stojący u ich piedestala, nazywa późniéj sławném życiem genialnego człowieka... Tyle o tém już pisano w romansach! Każdy wystawia sobie stan duszy tych ludzi nadzwyczajnych — po swojemu. Prawdy bezwzględnéj nie może być nigdy w takich wymarzonych i tylko z własnéj głowy branych opisach. Otóż zdarzyła się sposobność, sposobność w literaturze naszéj do téj przynajmniéj pory jedyna, że przy pomocy takiego zapasu własnoręcznych zwierzeń, wyrzeczonych w chwilach zawsze stanowczych, pod wpływem uczuć zbyt świeżych, żeby przypuszczać, że ten, co to pisał, fałdy swéj togi drapował sztucznie i stawał w postaci człowieka który pozuje... możemy krok w krok, jak cień za ciałem towarzyszyć jednemu z podobnych ludzi przez całe pasmo dni jego i mieć jak na dłoni przed sobą całą genezę i dziejów jego jako człowieka i natchnień jego jako artysty. Dlaczegoż nie mielibyśmy korzystać z téj sposobności? Nie miałżeby wizerunek taki mieć przynajmniéj tyle wartości, co obrazy charakterów i opisy przygód wymarzonych w fantazyi?

Ale odeprze niejeden na to: przecież Słowacki nie był największym naszym poetą! jeżeli więc o to chodziło: to należało sobie wybrać kogoś takiego, któryby sprawiedliwiéj mógł tu służyć za pomnikowy posąg wieszczego usposobienia. — Prawda! Autor Lilli Wenedy niewątpliwie miał coś w duchu swoim chorobliwego. Między dziełami, których ostatecznie dokonał, a tą potęgą jego poetyckiéj zdolności, która w pojedynczych tylko miejscach bije u niego całym blaskiem

świetności, gdzieindziéj zaś już tylko „dymi przez słowa“, nie ma należytego stósunku. Stémwszystkiém i ta anormalność, która nas w osobie jego uderza, nie byłto symptom oderwany i czysto osobisty. To było znamię typowe czasu, to było cierpienie właściwe mniéj więcéj całéj téj generacyi, do któréj Juliusz należał. Już przeto dla téj jednéj przyczyny uważam życie jego za przedmiot pod każdym względem godny głębszego rozpatrzenia.

A zresztą — należy zawsze korzystać ze sposobności, jaka się właśnie nadarza. Mickiewicz nie zostawił po sobie takiego materyału do odtworzenia wizerunku całego swego żywota; dlatego też niejedno z źródeł jego natchnienia na zawsze dla potomnych pozostanie zagadką.

— Obok Słowackiego, stawionego na pierwszym planie, umieściłem w obrazie moim cały chór osób różnych współczesnych, z którymi łączyły go bliższe lub dalsze stósunki i o których często mówi w swojéj korespondencyi. Zdawało mi się, że nie mogą być obojętne szczegóły dotyczące ich doli, wpływów na nich działających i okoliczności, śród których żyli. Ściąga się to głównie do tych pisarzów naszych, co życie spędzili na wygnaniu. Jeżeli wreszcie szczegóły podobne wydają się może dzisiaj jeszcze pomniejszéj wagi, nie będąc tak dalece nieznanemi rzeczami dla pokolenia dzisiejszego: to rozumiem, że nie będą bez interesu dla późniejszych, do których tradycye żyjące pomiędzy nami, dójdą tylko w drobnych okruchach. Cóżbyśmy dziś za to dali, gdybyśmy tyle wie-

BIBLIOTEKA NARODOWA

dzieć mogli na przykład o znakomitościach naszych z zygmuntowskiéj epoki! Byłaby to nielogiczność, rozbijać się za najdrobniejszemi wiadomostkami, jeżeli takowe dotyczą od dawna zgasłych, a za nic ważyć sobie wspomnienia dotyczące osób, których mogiły jeszcze w ziemi nie zaklęsły i zaledwie darnią porosły. Przyjdzie czas, że i te grobowce znikną z przed oczu żyjących, a wtedy będzie tém droższą wiadomość o wszystkich, którzy w głębi ich spoczęli...

— Ze stroną opisową i historyczną dzieła mojego połączyłem i część krytyczną. I wytłómaczyć się muszę, dlaczego rozwodzę się tak obszernie nawet nieraz nad takimi utworami Słowackiego, którym sam wielkiego znaczenia artystycznego odmawiam. Dzieła tego poety, niesłusznie przez ogół mało poszukiwane, zaczęły od lat kilku tu i owdzie prawie znowu nad zasługę i miarę entuzyazmować pewną liczbę czytelników, zwłaszcza pomiędzy młodzieżą. Według wszelkiego podobieństwa do prawdy, będzie się to z czasem jeszcze powiększać. Przy takiéj sprzeczności sądów i punktów widzenia — bardzo wiele zależy na tém, ażeby sobie zdać raz sprawę na usilniejszych studyach opartą, tak ze zalet jako i przywar właściwych Słowackiemu. Krótkie wyroki na nic się tu nie przydadzą. Doraźnie wypowiadane mniemania nikogo jeszcze o niczém nie przekonały. Zresztą wszelkie krytyczne rozbiory zdaniem mojém wtedy tylko mogą być prawdziwie pożyteczne, kiedy nie ograniczając się do tego, żeby czy to naganą czy pochwałą wpłynąć na dalsze roboty krytykowanego pisarza, po-

ruszają pytania sięgające donośnością swoją nieco po za zakres poruszonego właśnie przedmiotu. Niech mi się tu wolno będzie odwołać do wielkiéj w takich rzeczach powagi. Krytyki Lessynga w jego „Hamburskiéj Dramaturgii“ objęte, są ciągle jeszcze pouczające, chociaż mało która ze sztuk przez niego tam rozbieranych bywa jeszcze grywaną, a choćby tylko czytywaną przez kogo... Daleki jestem od chęci przypisywania moim krytycznym wywodom znaczenia, któreby je zbliżać mogło do mistrzowskich rozbiorów Lessynga; ale godzi się każdemu iść w ślady za człowiekiem, którego sposób się uznaje za godny naśladowania.

— Na zakończenie powiedzmy słówko, czy się godziło robić użytek, przeznaczony dla wiadomości całéj publiki, z listów prywatnych. Poruszył to pytanie co do Mickiewicza niedawnymi czasy znakomity nasz krytyk Julian Klaczko i bardzo się stanowczo wyraził za tém, że „ogłaszanie poufnych pism i listów znakomitych w narodzie ludzi nie jest rzeczą ani tak niechybnie godziwą, ani tak nad wszelką wątpliwość pożyteczną, jak się to niejednemu wydaje.“ Rozróżniając pomiędzy ludźmi czynu, do których policzył polityków, wojowników i dyplomatów, a mistrzami słowa i sztuki: uważa szanowny autor, że tylko pierwszych uważany być może i prywatny nawet żywot za godziwy przedmiot badań powszechnych; podczas gdy osobistość drugich radby on usunąć ile tylko być może z przed oczu ciekawych natrętów, a to dlatego że biografia artystów i poetów bywa prawie zawsze mikrografią ducha.

Przyznaję chętnie, że mogą niewątpliwie zdarzać się wielkie przesady w nieoględném traktowaniu prywatnych stósunków czyichkolwiek, czy tam kto walczył na świecie bronią, czy wreszcie piórem. Stémwszystkiém zdaje mi się, że jednak podnosić do reguły powszechnéj zaleconéj tu dyskrecyi nie można. Koniec końcem, trudnoby było zaprzeczyć temu, że pospolicie dzieła poetów wtedy dopiero zaczynają być należycie zrozumiałe i pożyteczne dla wszystkich, kiedy się wie dokładnie, wśród jakich okoliczności one powstały, to jest kiedy się dobrze zna przebieg życia ich autora. A już to samo upoważnia do tego, aby się starać zbogacić biografią jego szczegółami jaknajdokładniejszymi skądkolwiek bądź. Zresztą i najszczytniejsza poezya, ażeby nie była próżnym blichtrem i tumanem dla niedoświadczonych, powinna być popartą życiem poety. Mam to przekonanie, że narodowi służy wszelkie prawo do dochodzenia tego, co mu poeta daje: czy to szych, czy złoto szczere? czy przedewszystkiém wierzył on też w to wszystko, co słowami swemi wygłaszał, i czy sam żył podług tego? Gdzie bowiem rozdział nieprzeskoczny między pismem a czynami, tam zwykle i czyny liche i pisma wielce podejrzanéj wartości!... A nakoniec nie zapominajmy i o owém odwiecznem zdaniu, że *natura horret vacuum* Jak w świecie fizycznym, tak też i w biografiach znakomitych ludzi aż nadto często się zdarza, że się niezapełnione niczém próżnie lubią zapełniać czémkolwiek bądź: w rzeczach fizycznych zapełniają się wiatrem, a w ludzkich — ploteczkami; a te nie zawsze wypadają na korzyść osób, do których się ściągają.

ROZDZIAŁ PIERWSZY.

Urodzenie poety — słów kilka o jego rodzicach — szkolne czasy — pierwsze objawy poetyckiego usposobienia. Pierwsza przyjaźń i pierwsza miłość. Byronizm. Pierwszy krok w świat rzeczywisty — urzędowanie w Warszawie. Książę Lubecki, Dominik Lisiecki, Niemcewicz. Powstanie Listopadowe — pierwsze wystąpienie Juliusza jako poety. Wyjazd z kraju.

„Wśród litewskiego grodu, w ciemnéj szkolnéj sali
Siedziało dwoje dzieci — niezmięszani w tłumie.
Oba we współzawodnéj wykarmieni dumie,
Oba wątłéj postaci, marmurowo biali.
Młodszy wiekiem nadzieje mniejsze zapowiadał,
Pierś mu się podnosiła ciężkiém odetchnieniem —
Włos na czole dzielony na ramiona spadał
I po nich czarnym, gęstym sypał się pierścieniem.
Widać, że włos ten co dnia ręką dziewic gładką
Utrefiony, brał blaski dziewiczych warkoczy.—
Ludzie nieraz, „on umrze“ mówili przed matką:
Wtenczas matka patrzała długo w dziecka oczy
I przeczyła z uśmiechem. Lecz w smutku godzinie,
Kiedy na serce matki przeczuć spadła trwoga,
Lękała się nieszczęścia, i myśląc o synie
Nie śmiała wyrzéc: niech się dzieje wola Boga!
Bo w czarnych oczach dziecka płomień gorączkowy,
Przedwcześnie zapalony, trawił młode życie...“

„Młodszy wiekiem“, o którym mowa w tym wierszu, to właśnie nasz poeta. Powyższemi słowy sam on siebie opisał w wierszu zatytułowanym „Godzina Myśli“, zamieszczonym na końcu III tomu Poezyi paryskiego wydania. Godzina Myśli poświęcona jest wspomnieniom lat szkolnych, wspomnieniom pierwszych marzeń, pierwszych rozczarowań, pierwszéj przyjaźni i pierwszéj miłości. Wiersz ten stanowi między materyałami, które mam przed sobą, najważniejsze źródło do skreślenia wewnętrznego wizerunku Juliuszu w téj życia jego epoce. Opowiadania osób, które pamiętają te czasy i patrzały na młodość jego, jakkolwiek ciekawe i zajmujące, nie potrafiłyby zastąpić tych zwierzeń z pierwszéj ręki podanych; dostarczają bowiem tylko szczegółów do zestawienia saméj zewnętrznéj strony tego obrazu.

Odbywał więc Juliusz szkoły „wśród litewskiego grodu“, w Wilnie. Tutaj także spędził najrychlejszy poranek życia, nim jeszcze został do szkół oddany. Jednakże właściwym jego krajem rodzinnym, krajem, który tyle razy w pismach swoich z wyłącznem przywiązaniem wspomina jako swoję krainę,

„Gdzie po dolinach moja Ikwa płynie,
Gdzie góry moje błękitnieją mrokiem“—

nie byłato Litwa, lecz Wołyń. Urodził się w Krzemieńcu, dnia 23 sierpnia 1809 roku — z ojca Euzebiusza Słowackiego i matki Salomei z domu Januszewskiéj.

Ojciec jego zajmował wtedy jeszcze posadę profesora języka polskiego w liceum krzemienieckiém, którą z rąk założyciela tegoż zakładu, Tadeusza Czackiego, otrzymał był już w chwili téjże szkoły otwarcia. Nie długo potém zamienił ją na profesurę uniwersytecką. Właśnie bowiem w tymże roku 1809 ogłoszono w akademii wileńskiéj konkurs na katedrę historyi literatury, czyli, jak to naówczas tam nazywano, na katedrę wymowy i poezyi. W dowód stósownego uzdolnienia do objęcia téj profesury zażądano rozprawy „O sztuce dobrego w języku polskim pisania“. W skutek tego — po upływie dziesięciomiesięcznego przeciągu czasu, tyle go bowiem dozwolono do wykończenia żądanéj pracy — zostało do Wilna nadesłanych kilka rozpraw téj treści. Była pomiędzy niemi i praca profesora z Krzemieńca. Po

rozpoznaniu wad i zalet wszystkich pism nadesłanych, komisya rozpoznawcza, z profesorów akademii złożona, do któréj przedewszystkiém należeli sławny Godfried Grodek, profesor filologii, i rektor uniwersytetu Jan Śniadecki, przyznała stanowcze pierwszeństwo Euzebiuszowi Słowackiemu. W skutek tego nastąpiło w roku 1811 ostateczne powołanie jego na tę katedrę i przeniesienie się rodziców poety naszego do Wilna.

Zawód Słowackiego jako profesora wszechnicy był tém użyteczniejszy, że przypadł na czasy, gdzie konieczna potrzeba téj profesury coraz dotkliwiéj czuć się dawała. Przez cały ośmioletni ciąg trwania odrodzonego pod kuratoryą X. Adama Czartoryskiego uniwersytetu wileńskiego aż do owéj chwili, przez cały czas od r. 1803 do 1811, katedra poezyi i wymowy ciągle tam wakowała. Nauk tych nie wykładał tam aż potąd żaden nawet zastępca profesora. Wzywano wprawdzie ze strony uniwersytetu od czasu do czasu różne co sławniejsze w epoce owéj znakomitości literackie i naukowe do objęcia rzeczonéj posady: powoływano na nią najprzód Kopczyńskiego, późniéj Karpińskiego, a daléj Niemcewicza, nakoniec Fr. Xaw. Dmóchowskiego i Woronicza. Lecz wszystkie te kandydatury rozbijały się o jakieś już to polityczne, już osobiste i uboczne trudności, tak iż dopiero więc w r. 1811 zasiadł na téj katedrze po raz pierwszy Słowacki. Był to mąż wielce oczytany i światły. Wprawdzie więcéj on wykształcenie swoje zawdzięczał własnym swoim usiłowaniom, aniżeli mistrzom jakim i zakładom naukowym głośniejszéj sławy. Za granicą bowiem za młodu na żadnych akademiach nie bywał. Krajowe zaś szkoły, w których się kształcił, w tamtych jeszcze czasach zbyt wysoko nie stały. Pomimo tego wszelako, przy gorliwém pełnieniu obowiązków, przy rzetelném zamiłowaniu tak powierzonego sobie przedmiotu, jako i młodzieży, działał Słowacki w zakresie swoim z wielkim dla niéj pożytkiem. Co większa, starał się i posunąć daléj samę naukę, którą miał sobie poruczoną, jak o tém najlepiéj świadczą pozostałe jego pisma*). Jak wiadomo, próbował

*) Pisma Euzebiusza Słowackiego wyszły w 4 tomach, w kilkanaście lat po zgonie autora, w Wilnie r. 1824—26.

on sił swoich nawet i na polu poezyi. Mianowicie wiele tłómaczył, np. Henryadę Woltera i różne ustępy z dzieł kilku poetów łacińskich. Ułożył wreszcie dwie tragedye oryginalne niezgorszym wierszem, t. j. Mendoga i Wandę. Sztuki te pisane są wprawdzie zupełnie jeszcze na sposób dawny francuski, czyli jak to zwykle nazywamy, klasyczny; stémwszystkiém pamiętać tu należy, że takie to już wtedy były u nas w téj mierze powszechne wyobrażenia. Nikt w tym rodzaju literatury nie pisał inaczéj za Księstwa Warszawskiego. W każdym razie tedy działanie takiego profesora wśród grona dzielnéj litewskiéj młodzieży obiecywało Wilnu jeżeli nie takie plony, jakie się — dzięki innym okolicznościom — okazały w późniejszych latach, kiedy to liczył się do uczniów uniwersytetu Zan i Mickiewicz: — to zawsze jednak zapowiadało ono rzetelne i ważne, chociaż skromniejsze korzyści. Do ziszczenia ich zupełnego atoli nie przyszło; we trzy już bowiem lata po przeniesieniu się swojém do Wilna t. j. w r. 1814 zakończył profesor życie. Umarł przedwcześnie w czterdziestym drugim roku wieku, na piersiową słabość, która o wiele rychléj wycieńczała już siły jego.

Tyleśmy mieli do powiedzenia o ojcu.

Co się tyczy matki, to opowiadania wszystkich, którzy ją znali, w tém się zgadzają, że jeżeli które z rodziców mogło usposobieniem swojém wpłynąć na ów wyższy i excentryczny nastrój ducha Juliusza, to rozumieć to należy właśnie o matce, która też w nim całe swoje szczęście widziała, dla któréj był on jedynym celem życia, jéj dumą, jéj nadzieją, jéj wszystkiém na ziemi. Ze strony syna także niemniejsze było przywiązanie do matki. Od pierwszego dziecięctwa swego aż do zgonu — przez wszystkie życia koleje, czy to pod jéj okiem wzrastając, czy trawiąc na wygnaniu długie lata samotne, zawsze on ją z głębi serca, rzewnie, wyłącznie i niemal bym rzekł religijnie czcił i miłował. Już same listy jego do niéj pisywane przekonywają, że nie miał on przed nią nigdy nic skrytego, nic coby zakrawało na tajemnicę. Z szczerą ufnością dziecięcia i ze swobodą przyjaciela zwierzał on jéj się zawsze z każdéj pociechy i nadziei, z każdéj boleści i troski, ze wszystkich uczuć, rojeń, a nawet czasem i szaleństw

drażliwego swego usposobienia. Ale bo była też to osoba rzadkiéj giętkości ducha. Łączyła w sobie własności, których harmonijne, miłe dla wszystkich otaczających połączenie w jednéj osobie tylko się rzadko kiedy i chyba wyjątkowo spotyka. Łatwa, potoczna, nadzwyczaj żywa, a jednak i czująca głęboko i z natury jakiegoś już tęskniejszego nastroju—pociągała ona ku sobie każdą szlachetniejszą naturę. Zawsze potrzebując czegoś takiego koniecznie, coby jéj myśl żywszém napełniało zajęciem, brała udział we wszystkiém, co tylko ją otaczało, i znajdywała w sobie nawet dla rzeczy małych dość téj skrzętnéj drobnostkowości, która naturze niewieściéj dodaje tyle powabu, jeżeli się z nią kojarzy zmysł i głębsze wyrozumienie także i dla spraw wyższych, dla spraw wynikających z obowiązków matki, obywatelki, chrześcijanki... Matka Juliusza wszystko to w sobie godziła. Sercem i wykształceniem stawiona zupełnie na równi z duchowém stanowiskiem syna, odgadywała mimowiednie, a często i pojmowała świadomie tajne nieraz intencye jego poetyckich utworów. I nie tylko nie ukrywała przed nim swojego zdania o wszystkiém, cokolwiek jéj przełożył; ale niekiedy nie szczędziła mu i wyraźnéj nagany, jeżeli coś nie zupełnie smakowi jéj zadość czyniło. Nagany takie przyjmował Juliusz od niéj — może od niéj jednéj — z bezwarunkowém poddaniem... Słowem, była pomiędzy temi dwiema naturami jakaś tajemnicza a szczególnie ścisła sympatya. Wielu zaś dostrzegało nawet pewnego wręcz podobieństwa pomiędzy matką a synem, które im też tłómaczyło niejednę stronę skądinąd dziwnie uderzającą w charakterze poety. A jeśli w dalszych ustępach życia Juliusza rysy tego podobieństwa znacznie się zatarły, a wyszły natomiast na wierzch pod niejednym względem różnice:— to byłoto skutkiem dyametralnie odmiennych życia kolei, jakie każde z nich przechodziło. A daléj było to następstwem i téj jeszcze okoliczności, że poetyczne usposobienie matki było oczywiście więcéj bierném, a kierowało niém przedewszystkiém serce, swobodnie i miłościwie na świat zewnętrzny zwrócone; podczas gdy fantazya poetyczna syna, w sobie zamknięta, twórcza, lecz dumna, brała raczéj z siebie saméj pęd ku temu wszystkiemu,

w czém się miała objawić, nie wiele dbając o świat i ludzi i o całe otoczenie zewnętrzne.

Po zgonie Euz. Słowackiego osierociała wdowa opuściła Wilno i przeniosła się z jedyném dziecięciem swojém, pięcioletniém naówczas, napowrót w strony swoje rodzinne. Osiadła na nowo w Krzemieńcu, w domu rodziców swoich Januszewskich, którzy stale w témże mieście zamieszkiwali. Po upływie trzech lat jednakże poszła powtórnie za mąż. Oddała rękę doktorowi Becu, znowuż profesorowi uniwersytetu wileńskiego w wydziale lekarskim. Dr. Becu był także wdowcem i miał dwie córki niedorosłe, potrzebujące macierzyńskiéj opieki. Przybył tedy do Krzemieńca (r. 1817), umyślnie dla odnowienia znajomości, i połączył się związkiem małżeńskim z wdową po zmarłym swoim koledze. Tak nastąpiło tedy powtórne przeniesienie się onéj rodziny na Litwę. Juliusz znalazł teraz w pasierbicach swéj matki, Hersylii i Alexandrze, dwie przywiązane siostry, obsypujące go pieszczotami, jak rodzonego brata. Do nich to więc odnosi się owa wzmianka w przytoczonym wyżéj ustępie z Godziny Myśli, o dziewicach „gładkiemi dłońmi trefiących co dnia czarne włosów jego pierścienie.“ —

O szkolnych czasach i pierwszéj młodości Juliusza niewiele mam do powiedzenia. Tyle mi tylko wiadomo, że miało to być miłe dziecię, o pięknéj ale bladéj twarzyczce — nikłe ciałem i zawsze słabowite. W czwartym roku życia odbył ciężką, kilkomiesięczną, nader niebezpieczną słabość, z któréj go ledwie przywrócono do zdrowia. Tém rychléj się za to obudzać w nim zaczęły duchowe siły i niepospolite jak na wiek jego zdolności. Za życia jeszcze ojca zaczęto go uczyć czytać. Elementarzem jego, t. j. książką w dosłownem znaczeniu pierwszą, w któréj poznawał litery, była Iliada Homera przekładania Dmóchowskiego. Dziwili się wszyscy, że to czytanie sprawiało temu dziecku przyjemność i że wyobraźnia jego zdążała za tymi obrazami wieszcza starożytnego. W następnych latach, poduczony w początkowych przedmiotach prywatnie w domu, został — za powtórném przybyciem do Wilna — oddany do szkół publicznych. Tu znowu się objawiała we wszystkiém pewna przedwczesność całéj jego organizacyi

duchowéj. Objawiała się zaś nie tyle w postępach naukowych, chociaż i pod tym względem liczył się zawsze młody Słowacki do celujących uczniów. Ale daleko więcéj uderzała każdego jakaś dziwna skłonność do samotnych marzeń, jakaś tęskna fantastyczność chłopczyny...

Jak wiadomo, lata 1818—1824 w obrębie akademii wileńskiéj — stanowić będą na zawsze w dziejach umysłowości naszéj czasy opromienione urokiem najpiękniejszych wspomnień i nigdy niezapomnianych zdarzeń. Zdarzenia te sięgały daleko po za zakres urzędowéj że tak powiem instrukcyi naukowéj. Byłto brzask nowéj ery w myślach i pieśniach — świtanie nowego życia, życia rdzennie narodowego. Co tylko z młodzieży żyło duchowo, podzielało ten prąd powszechny. Promienie jego dosięgały i niższych szkół, z wysokości katedr akademickich. Poezya była jakby symbolem tych wszystkich uczuć, które młodzież łączyły. Świeża sława Mickiewicza i jego rówieńników silnie działała i na najmłodszych wychowańców szkolnych zakładów litewskich. A jeżeli na kim wywierało to wszystko potężne, wstrząsające wrażenie, to na Juliuszu. Oddźwiękła w sercu jego ta struna poetyczna, która i bez tego już w duszy jego była napięta. Żądza wielkiéj autorskiéj sławy zaczęła go już nawiedzać w dzieciństwie. Niejednokrotnie on sam o tém wspomina w listach swoich do matki, pisanych już w późniejszym wieku na emigracyi.—„Droga moja — mówi do niéj np. w liście z d. 25 stycznia 1845 — ja ośm lat mając przysiągłem Bogu w kościele katedralnym, że nie będę przed grobem moim niczego żądał — a za to za grobem o wszystko się upomnę.“ Albo w innym liście: — „W dzieciństwie, kiedy byłem exaltowanie nabożny, modliłem się do Boga często i gorąco, żeby mi dał życie poetyczne, choćby zresztą najnędzniejsze,— żebym był pogardzony przez cały wiek mój — i tylko żeby mi za to dał nieśmiertelną sławę po śmierci“... A w owym poemacie, z którego ustęp daliśmy na czele obecnego rozdziału, wręcz wyznaje mówiąc o sobie, że

„Dziecko z czarnemi oczyma,
Młodsze wiekiem, natchnieniom dało myśl skrzydlatą
I wypadkami myśli żyło w siódmém niebie.

. . . . . .

Więc przeczuł, że marzeniom da kiedyś wyrazy,
Że się zapozna myślą z myślnym ludzi tłumem,
Ma przed sobą krainę duchów do zdobycia"...

W ogóle tedy cały tryb spędzonego jego dzieciństwa, wszystkie jego zabawy, zajęcia, stósunki i zapędy okazują nam się w obrazie, który jak upoważniał do najpiękniejszych nadziei o tém dziecku, tak też mógł wzbudzać i pewne obawy o jego dalsze koleje... Jeżeli bowiem dumnie i poetycznie to brzmi, powiedzieć o kim, że cały jego życia poranek nie był taki, jak zwyczajnych ludzi: to z drugiéj strony wiele prawdy i w tém być mogło, co późniéj sam on wyrzekł o sobie z goryczą w jednym z listów do matki (Paryż r. 1832):—„Darujcie mi, bo ja w dzieciństwie kształciłem się tak, abym nie był podobnym do ludzi — a teraz dopiero pracuję nad sobą, aby być podobnym do człowieka"...

Teraz trzeba nam tu wspomnieć o dwóch okolicznościach nader ważnych w jego wieku młodzieńczym i bynajmniéj też nieprzepomnianych przez poetę w Godzinie Myśli. Jedną okolicznością taką była przyjaźń najściślejsza, idealna, dozgonna, jaką był zawarł od pierwszych ławek szkolnych z pewnym starszym od siebie kolegą. Pamięć jego często mu była przytomna w późniejszym nawet wieku, na emigracyi. Nieraz w listach o nim wspomina. Jego to też i wtedy właśnie miał na myśli, kiedy mówił o owém dwojgu dzieci, niezmięszanych w tłumie, w szkolnéj sali obok siebie siedzących. Jedném z tych dzieci był to, jak już wiemy, sam Juliusz. Drugiém zaś był ów jego przyjaciel. Imię mu było Ludwik.

„Włosy miał jasne, kolor oczu lazurowy.
Ludzie na nim nadzieje budowali szczytne.
Pożerał księgi, mówił jak różne narody,
Do licznych nauk dziwnie palące czuł głody —
Trawił się. — Jego oczy ciemne i błękitne,
Jak polne dzwonki, łzawym kryształem pokryte
I godzinami myśli w nieruchomość wbite,

Tonąc w otchłań marzenia, szły prostymi loty
Za okresy widzenia, za wzroku przedmioty"...

A zatém i usposobienie Ludwika nie było takie, jak reszty uczniów, których oni obydwaj nazywali też — tłumem. Miało ono wiele podobieństwa do natury Juliusza, tylko że tu sentymentalizm już wyraźnie był chorobliwy. Kiedy bowiem młodszy przyjaciel, Juliusz, jako poeta snuł sobie rojenia jakieś napowietrzne i tylko w sferze idealnéj: tymczasem „jego towarzysz większy nauką i laty," odnosił się w swoich nieokreślonych cierpieniach duszy bezpośrednio do otaczającego go świata rzeczywistego, czyli jak się wyraża nasz autor, „nigdy od krain myśli nie odłamał życia, sprzągł razem i powiązał dwa niezgodne światy." Z czego atoli takie tylko wynikały następstwa, że

„Jako posągom nieraz braknie w rysach duszy,
Posągom jego myśli brakowało ciała;
Więc nieraz go śmiech ludzi, śmiech, co czucia głuszy,
Budził — i rzeczywistość zimna roztrącała."

Byłto zatem najzupełniejszy Werteryzm, czyli owato sentymentalna schorzałość i wycieńczenie ducha, które szczególniéj Niemców za młodu nawiedza i które oni technicznym terminem zwykli nazywać Weltschmerz.—Młodzieńcem tym był Ludwik Spitznagel, podobno syn jednego z profesorów wileńskich. Rychły koniec jego życia był bardzo smutny, a nastąpił z przyczyn równie niedocieczonych, a przynajmniéj nieokreślonych, jak i posępność całego życia nie miała właściwie żadnego określonego powodu. Po ukończeniu szkół wileńskich Ludwik zapragnął słuchać „wieków tajemnicy, wymówionéj niepewną twarzą hieroglifów," to jest odbyć podróż na Wschód, zwłaszcza do Egiptu. To mu poddało myśl poświęcenia się służbie publicznéj w zakresie dyplomacyi. Udał się przeto do Petersburga dla dokończenia nauk i przykładał się tam przez trzy lata szczególnie do oryentalnych języków. Przygotowany wreszcie najzupełniéj do rozpoczęcia karyery, jaką sobie sam obrał, przydzielony już do poselstwa jadącego „w piramid krainy" w charakterze dragomana tegoż poselstwa — zajechał jeszcze na Litwę, ażeby się

pożegnać z rodziną i przyjaciołmi. Załatwiwszy już wszystkie sprawy, bawiąc na wsi, w pewnym domu zdawna sobie znajomym i całéj rodzinie jego życzliwym, kiedy po kilku dniach miłéj zabawy już był na samém wsiadaniu, kiedy powóz, który go miał uwieść daleko, właśnie co tylko się zatoczył przede dwór... oddalił się Ludwik niepostrzeżenie do jednego z oddaleńszych pokojów i — zastrzelił się. O rzetelnych powodach samobójstwa, jak już wspomniałem, ani najbliżsi nawet przyjaciele nigdy się nie dowiedzieli.

Ale bo też wnosząc z wszystkiego, zdaje się, że nie było do tego żadnéj rzeczywistéj pobudki. Ogólny niesmak życia, excentryczny rozstrój w umyśle, zwątpienie — a bezpośrednio może i brak odwagi do rozstania się na czas nieokreślony z tą miłą ziemią rodzinną, która go właśnie z takim urokiem w domu przyjacielskim żegnała — oto prawdopodobnie najwłaściwszy powód rozpaczliwego postanowienia, jakie Ludwik przywiódł do skutku, skoro tylko mu przyszło stawić pierwszy krok w zakresie rzeczywistego świata i praktycznego zawodu. Taki brak odwagi korzystnie wprawdzie świadczy o rzewności serca, o głębi uczuć, o idealności całéj natury tego nieszczęśliwego młodzieńca. Dowodzi zarazem jednak i tego, że mimo tych wszystkich zalet, właściwych wprawdzie głębszym tylko umysłom, odłogiem tam zalegała i zeru się musiała równać ta męska praktyczna zdolność, ta energia woli, ta chęć dokonania czegoś pożytecznego w świecie, coby go zbliżyć mogło do wymarzonego ideału, słowem ta cała druga siła umysłu, bez rozwinięcia któréj sentymentalizm najpoetyczniejszy, najczystszy — ani ludziom ani sobie na nic się przydać nie może.

Że ścisłe, codzienne, nierozdzielne pożycie z rówiennikiem tak excentrycznego usposobienia, i to jeszcze w latach, gdzie wszelkie wpływy najsilniéj się w umysł wrażają, nie mogło być bez następstw dla towarzysza młodszego laty i mniejsze, jak sam o sobie rozumiał, zapowiadającego nadzieje: to pojmie każdy. —

Trwalsze jeszcze ślady w nastrojeniu duchowém naszego poety mogło zostawić po sobie inne uczucie, uczucie donioślejszego

jeszcze znaczenia, aniżeli przyjaźń, a które zaznał także już w latach szkolnych — miłość.

Przez owe trzy lata, gdzie się Ludwik poświęcał w Petersburgu nauce języków wschodnich, „dziecko z czarnemi oczyma

„Poznało miłość. — Pierwszą i ostatnią była —
I najsilniejsza z uczuć....“

Ale nim przywiodę dalsze wyrazy poświęcone temu wspomnieniu, nie od rzeczy będzie udzielić tu kilka szczegółów, bez wiadomości których dalsze opowiadanie nie byłoby zupełnie jasném. Owoż rzetelne fakta co do tego epizodu pierwszéj miłości były następujące.

Rodzina profesora Becu zostawała w najściślejszéj zażyłości z domem Jędrzeja Śniadeckiego także profesora akademii. Przyjaźń mianowicie między córkami jednéj rodziny a drugiéj była tego rodzaju, że czy to w mieście, czy na wsi (podczas wakacyi), było to jakby jedno grono prawie nigdy nierozdzielne. Juliusz, młodszy wiekiem od panien, do grona tego oczywiście należał i tém swobodniéj się w niém poruszał, że był niejako Beniaminkiem pomiędzy niemi wszystkiemi. Wiedzieć zaś trzeba, że jak w tylu innych względach okazywała się w chłopcu pewna przedwczesność, tak też i to jeszcze w nim uderzało, że piękne rysy twarzy kobiecéj sprawiały na nim już w owych latach czar jakiś niewysłowiony. Był on zdolny godzinami całemi siedzieć u stóp jakiej choćby też niekoniecznie młodéj osoby i wpatrywać jéj się w oczy, jeżeli te oczy miały dla niego urok. Widać wrodzony mu już był pewien idealny, artystyczny, platoniczny pociąg do niewieścich piękności, bez względu na wiek i tym podobne okoliczności uboczne. Otóż jedna z córek owego domu zaprzyjaźnionego z rodziną Juliusza, Ludwika, zaczęła sama może o tém nie wiedząc, obudzać w nim coraz żywsze zajęcie. Zajęcie to było oczywiście bez wzajemności; panna była bowiem podobno od niego starsza, więc uważała go w porównaniu ze sobą za dziecko, a jego zapały za dzieciństwo, za dziwactwo, za szał poetycznéj fantazyi, którym się w najlepszym razie czas jakiś pobawić można, ażeby go potém zimną przyjacielską perswazyą przywołać

do równowagi. Nie przeszkadzało to wszelako bynajmniéj zarodowi uczuć, raz w sercu chłopca zbudzonych, rozwijać się coraz więcéj, tak iż w 17 roku życia rozgorzał całą namiętnością rozkochanego po raz pierwszy młodzieńca.

Jeżeli się godzi polegać na opowiadaniach, podług których przedstawiam te stósunki: powierzchowność osoby, o któréj mowa, nie miała w sobie nic tak nadzwyczajnego. Była to twarz pełna wyrazu i życia — miła, świeża, o czarnych oczach przy płci białéj i delikatnéj — lecz z resztą, jak wiele innych. Ale duchowo łączyła w sobie panna Ludwika wiele własności, znamionujących głębszą naturę i zdolnych właśnie przeto sprawić na drugim żywsze wrażenie. Tkliwa, czuła, ruchliwéj wyobraźni, wykształcona starannie, trochę nawet sawantka, nie bez skłonności do poetycznych zachwytów i posuniętych czasami aż do excentryczności uniesień — nic dziwnego, że wywierała ona jakiś urok niepokonany na umyśle młodego poety naszego, którego pociągało ku niéj nie samo tylko to pokrewieństwo ich duchowego nastroju, ale jeszcze i ta okoliczność w dodatku, że był on wtedy dopiero właśnie dążącym ku temu ideałowi, na wysokości którego tamta, jako doskonałość skończona, już mu się być zdawała. I dalsze życie panny Ludwiki Ś. zawsze w niéj okazywało osobę mniéj zwyczajnego usposobienia. Lecz mówić o tém nie byłoby tu na miejscu.—Owoż właśnie to wszystko działało silnie na wyobraźnię Juliusza: pokochał, ubóstwił, i zdawało mu się, że kiedy on podniósł się sercem na wysokość uczuć Abelarda albo Romea, to też powinien być, równie jak tamci, i wzajemnie kochanym. Ale po drugiéj stronie nie podzielano bynajmniéj tego przekonania. Tam nie zapominano ani na chwilę, że odgrywać rolę Heloizy albo też Julii w obec chłopca, który ledwie dzieckiem być przestał, narażałoby tylko na śmieszność. Przy całéj tedy przyjaźni i życzliwéj wyrozumiałości dla romantycznych uniesień młodego entuzyasty, nie chciała go panna ani łudzić ani też w nadziejach, jakie powziął, utwierdzać; choć z drugiéj znowu strony nie zdawało jéj się stósownem doraźnie i wręcz niweczyć te nadzieje. Trwał tedy przez czas jakiś pomiędzy nimi ten szczególny stósunek, to

sprawiając w młodym marzycielu zachwyty szczęścia, to go przejmując boleścią; to mu z ust wyrywając wyrazy uwielbienia, to znowu gorzkie skargi i złorzeczenie. I w téj też chwiejności pomiędzy jedną ostatecznością a drugą widzimy go i w późniejszych jeszcze latach, czy to kiedy w listach do matki wspomina mimochodem o owych czasach i miejscach i stósunkach, czy kiedy je poetycznie maluje w Godzinie Myśli. W nader częstych wzmiankach listownych mówi zwykle o Ludwice tonem obrażonego, tonem niby obojętnym i chłodnym; ale widać ze wszystkiego, że tam zupełnie co innego kryło się na spodzie serca, jak sama tylko pamięć — minionéj przeszłości. W Godzinie Myśli zaś, pisanéj w sześć albo pięć lat po czasie, gdzie się to działo, wspomina o tém w następujących wyrazach:

„Dziecko z czarnemi oczyma
Poznało miłość. — Pierwszą i ostatnią była,
I najsilniejsza z uczuć, uczucia przeżyła.
Widziałem go przy stopach dziewicy-anioła: —
Czarnemi weń oczyma patrzała i bladła,
Myśląc o życiu dziecka, bo z wielkiego czoła
Przyszłość mu nieszczęśliwą jak wróżka odgadła.
Więc odwracała oczy, a wtenczas łzy lała.
Przed nią dusza dziecięcia jako karta biała
Czerniła się na wieki miłością daremną.
Ona go chciała wysłać na tę ziemię ciemną
Ze wspomnieniami szczęścia — chciała zbroić niemi
Przeciwko własnéj duszy i czczym chwilom ziemi.
Więc kładła w niego marzeń i myśli tysiące,
A słowa jéj tak były łagodne, tak drżące,
Że we wspomnieniach dziecka zlane, dały dźwięki
Podobne do miłości zeznanéj wyrazu“...

Ale rzeczywiście — zeznanéj miłości pomiędzy nimi nie było. Skończyły się tedy te sny urocze młodości rozejściem się obojga, każdego w inną stronę. Juliusz poszedł w swoję z uczuciem zranionéj dumy, cały zgorzkniały, z bajroniczném rozczarowaniem i zwątpieniem o wszystkiém. Rozczarowanie to nie mając żadnego rzetelnego powodu i przypadając na wiek bardzo rychły,

BIBLIOTEKA NARODOWA

możeby jako prosty tylko objaw niedojrzałości moralnéj, nie zasługiwało wcale na wzmiankę w biografii autora Balladyny, gdybyśmy go i w kilka jeszcze lat późniéj, już na emigracyi, nie widzieli patrzącego na te rzeczy ciągle pod wpływem tychże samych ujemnych usposobień. Tak np. powiada, że po owéj rozmowie stanowczéj, która koniec położyła wszystkiemu pomiędzy nimi, „upadł bladą twarzą do ziemi, jak zabity słowami, dumnym wstydem drżący, gdyż miał już wtedy dumę wielkiego człowieka“...

.... „Wtenczas lat tysiące,
Wtenczas mu w oczach przyszłość stanęła daleka,
Świetna okrzykiem ludzi: — a z tymi obrazy
Obecna chwila czarnym łamała się cieniem,
Odrzuconą miłością, dumą, oburzeniem...
Serce jak kryształ w setne poryło się skazy,
I tak wiecznie zostało —
I nie było w nim wiary w szczęście ani Boga;
Ludzie w nim mieli druha, w myślach świat miał wroga!
On, w głębi duszy słysząc krzyk szczęścia daremny,
Mścił się, i gmach budował niedowiarstwem ciemny;
Ta budowa ciężkiemi myślami sklepiona,
Stała otworem ludziom; lecz by się w nią dostać,
Musieli wprzód, jak wielcy szatani Miltona,
Zmniejszać się i myślami przybrać karłów postać...

— Gdyby teraz, obok téj tak posępnéj barwy wewnętrznych dziejów młodości Słowackiego, postawić obraz rzeczywistych stósunków, w jakich wzrastał i wśród których przebiegał szkoły wileńskie: okazał by się zaprawdę kontrast niemały pomiędzy wymarzonemi cierpieniami tego złamanego serca a istotną dolą, jakiéj zażywał!

Rzeczywiście bowiem zewnętrzne powodzenie młodego bajronisty było jedno z najszczęśliwszych. Nie zbywało mu na niczém. Wszystkie jego potrzeby opatrywała matka, odgadując najskrytsze życzenia jedynaka. Nie zaznał, co to sieroctwo, co to życie pośród obcych, co to samotność i tęsknota za domem rodzicielskim, co to wreszcie niedostatek... Miał rodzeństwo przybrane,

które go kochało jak rodzonego brata, i żył sobie najszczęśliwiéj w otoczeniu swojém codziennem. Na łonie miłującéj, dobréj matki dano mu było przepędzić cały życia poranek. Co się tyczy wychowania — i tutaj czuwano opatrznie i troskliwie nad wszystkiém. Czego go nie uczono w szkołach publicznych, to mu było udzielane za pomocą lekcyi prywatnych. Środków na to wszystko było w tym domu dostatkiem. Uczył się muzyki; dawano mu lekcye języka angielskiego, rysunku, tańca; malował, — miał książek, ile tylko chciał i jakich tylko żądał. W szkołach otaczało go grono miłych towarzyszy, pomiędzy którymi był liczony do celujących. Wakacye spędzał rok rocznie na wsi, w rozkosznych Mickunach, położonych nad Wilejką niezbyt daleko od Wilna. Była to majętność krewnych jego ojczyma, czy też nawet własność samego doktora Becu. Z jakąż lubością, jakże tęsknie rozpamiętywał nieraz Słowacki w listach do matki pisanych w późniejszém życiu, o tych cudnych okolicach, o téj upajającéj woni lasów sosnowych, o kwiatach polnych i łąkach zielonych owéj ukochanéj wioski litewskiéj, w któréj mu lotem błyskawicy w takiéj swobodzie duszy ubiegały wakacye!... Gdyby, powtarzam, porównać więc młodość jego z dziejami młodości innych — gdyby ją porównać z losem na przykład Brodzińskiego... Kiedy Brodziński był jeszcze drobném dzieckiem, srodze poniewierała go macocha. Ojciec o niego nie dbał wcale, tak iż tylko chyba w czeladnicy pomiędzy służbą, albo na wsi pomiędzy dzieciakami wiejskiemi był dla niego jakiś przytułek. Kiedy się już chłopcem podniósł nieco od ziemi, bito go w szkółce parafialnéj rózgami, za to że sobie z owym nieszczęśliwym katechizmem niemieckim nie umiał nigdy dać rady. Kiedy chodził do gimnazyum, morzono go głodem, bo go niedbały i niezaradny ojciec na stancyi zawsze najniefortunniéj umieszczał. A w wyższych klasach morzono go znowu innym głodem — głodem duchowym! Boć zabraniano mu pod najsurowszą karą wszelkich książek nieobjętych w ciasnym ówczesnym regulaminie szkolnym; a to, czego dozwalano, takie było jałowe, tak dalekie od wszystkiego, czego serce pragnęło, że na przykład dzieła Kochanowskiego już były kontrabandą, za którą trzeba było odsiadywać kozę... Żył więc ciągle w niedostatku, biedzie, ponie-

wierce — w upokorzeniu i sieroctwie... Nie znał co to uścisk rodzicielski, co to kierunek życzliwéj ręki, co to pragnienie — najskromniejsze, najsłuszniejsze a zaspokojone! Wzrastał jak ta płonka polna, wystawiona bez opieki na wszelkie słoty i wiatry. Do wysokości tego wszystkiego, w co Słowacki codzień opływał, Brodziński się nie wznosił ani marzeniem! A przecież — miał i autor Wiesława dosyć téj tkliwości serca i téj żywéj wyobraźni, ażeby czuć boleśnie, w jakich żyje stosunkach!...

W r. 1824 nawiedziło dom rodziców Juliusza nieszczęście: ojczym jego, profesor Becu, wśród dziwnego zbiegu okoliczności uderzony piorunem zakończył życie. Smutny ten wypadek nie wywarł jednak zbyt niekorzystnych następstw na dalszą dolę 15letniego już natenczas jego pasierba, ani też na los żony i córek zmarłego. Pozostały bowiem majątek wystarczał dostatecznie na przyzwoite utrzymanie całéj rodziny; a opieka takiéj matki sprawiała, że brak głowy domu czuć się dotkliwie nie dawał. Szło więc i potém wszystko swoim trybem, prawie równie pomyślnie, jak przedtém. Po skończeniu gimnazyum przeszedł Juliusz do uniwersytetu. Jego siostry powychodziły za mąż. A pani Becu, chociaż jéj od czasu śmierci męża z wielu przyczyn bardzo posmutniało na Litwie, a wielce ją ciągnął ku sobie rodzicielski domek w Krzemieńcu, mieszkała jednak i nadal w Wilnie przez cały czas studyów syna uniwersyteckich, ażeby go tam nie pozostawiać samego. Jego ciągła słabowitość i ta niewprawa w radzeniu o samym sobie, która mu już była wrodzoną, wiązały ją do miejsca.

Zresztą w r. 1826 przerwał Słowacki na czas jakiś kursa uniwersyteckie i odbył kilkomiesięczną podróż nad morze Czarne, do Odessy. Odbył ją już to dla rozrywki i roztargnienia, już ażeby użyć kąpieli morskich, poleconych mu przez lekarzy z powodu jakichś dolegliwości piersiowych. Pokrzepiony na siłach, powrócił potém jeszcze do Wilna, ażeby dokończyć nauk, chociaż nie zdaje się, żeby był wtedy zamierzał poświęcić się jakiemu zawodowi, któryby wymagał studyów akademickich uwieńczonych examinami albo patentem doktorskim. Jeszcze i następnego roku pisał list do stryja Erazma Słowackiego, adwo-

kata w Żytomierzu i właściciela dóbr w okolicy, (ogłoszono list ten w Gazecie Codziennéj warszawskiéj 1860), w którym o dalszych planach swoich w niepewności przemawia, to skłaniając się myślą ku projektom kilkoletniéj podróży do Włoch, w którymto kraju możeby i na stałe zamieszkał, to znowu marząc o nabyciu jakiéj wsi na Wołyniu w okolicy Krzemieńca, z którego biblioteki liceálnéj spodziewał się korzystać, jeżeliby miał jaki stały pobyt w pobliżu.

Dopiero wreszcie rok następny (1828) rozstrzygnął onę niepewność, jakby się pokierować daléj na świecie; rozstrzygnął ją zaś w taki sposób, jaki, ile się zdaje, nie wchodził wcale w dawniejsze plany. Stanęło bowiem na tém, że się Słowacki zdecydował oddać służbie rządowéj i to w zakresie administracyjnym. Z tego powodu i syn i matka pożegnali się teraz z Wilnem; pierwszy, ażeby się przenieść do Warszawy; matka zaś, ażeby odetchnąć tém ożywczém powietrzem, które dla niéj wiało już tylko od stron rodzinnego Wołynia. Żyli tam jeszcze — w Krzemieńcu samym — jéj sędziwi rodzice i tęsknie jedynaczkę swoję przyzywali do siebie. I bracia jéj obydwaj, Jan i Teofil Januszewscy, byli także w tamtych stronach osiedli. Co większa — żoną jednego z nich, Teofila, była od niejakiego czasu właśnie jedna z pasierbic matki Juliusza, Hersylia Becu. A zatem i część wileńskiéj niegdyś rodziny oczekiwała już teraz na nią w Krzemieńcu. To wszystko skłoniło tedy panią Becu do powzięcia postanowienia, że się ze synem po raz pierwszy w życiu na czas nieco dłuższy rozstanie, puści go do Warszawy samego, a sama obierze dom rodzicielski za miejsce tymczasowego pobytu, pókiby się Juliusz jako nie rozporządził i ostatecznie nie ustalił losu swojego na świecie.

Nastąpiło tedy w rzeczonym r. 1828 rozstanie się z stolicą Litwy. Podróż do Krzemieńca odbyli jeszcze oboje razem. Pragnęli bowiem dziadostwo osobiście pobłogosławić wnukowi przy tym pierwszym jego kroku w zakres praktycznego zawodu. Przy téjto więc sposobności odwiedził Juliusz raz jeszcze owo miasto, w którém się zrodził i przepędził pierwsze lata dziecięctwa. Kiedy po kilku tygodniach wesołego i pełnego rozrywek życia wśród

grona całéj rodziny, które mu jak sen słodki spłynęły, przyszło mu nareszcie w świat daleki z murów Krzemieńca wyjeżdżać, to się rozstawał z temi wzgórzami, które go znały chłopięciem, i z krewnymi i z ukochaną matką niewątpliwie ze łzą w oku i ciężkiém sercem; ale tego w téj rychłéj wiośnie życia swojego nie mógł on biedny przypuszczać, że to była ostatnia jego bytność w tych stronach... że z tych wszystkich drogich osób nie zobaczy jednych już nigdy, drugich zaś miał wprawdzie raz jedyny jeszcze w życiu swojém oglądać, ale w okolicznościach tak smutnych i na ziemiach tak odległych i przez ciąg chwili tak krótkiéj, że i z niemi to jego żegnanie się ówczesne było rzeczywiście jakby ostatniém pożegnaniem...

Za przybyciem do Warszawy, przedstawił się księciu Lubeckiemu, naówczas ministrowi skarbu, i wszedł w poczet bezpłatnych pracowników w będącym pod jego sterem wydziale rządu ówczesnego królestwa polskiego. Książę przyjął go dobrze i był już korzystnie uprzedzony o osobie młodego aplikanta. Przyobiecał mu swoję protekcyą, i w rzeczy saméj okazywał się zawsze dla Słowackiego dosyć życzliwym. Bezpośrednim naczelnikiem biura, do którego przydzielono Juliusza, był Dominik Lisiecki, pisarz znany w literaturze z nieźle dokonanych tłómaczeń niektórych autorów francuskich. Byłto zwolennik klasycyzmu, mianowicie wielbiciel Kornela i Woltera, którychto właśnie w latach młodszych przekładał. Ale miał on zmysł i dla nowszych pojawów literatury; zaczém poszło, że spolszczył i Lamartina utwory niektóre, a wreszcie i inne rzeczy, np. Nieszpory Sycylijskie Delavignego. Ta żyłka poetyczna dyrektora wydziału ułatwiła Juliuszowi serdeczniejsze zbliżenie się do niego. Zawiązały się tedy między nimi przyjacielskie stósunki, tyle pożądane dla niedoświadczonego młodzieńca, rzuconego w sam wir nieznanego mu świata i obcych zgoła żywiołów. Za jedną znajomością poszły i drugie. Odszukał Odyńca, z którym, lubo młodszy, miał zapewne jakąś znajomość już z Wilna. Odyniec bawił wtedy od lat już kilku w Warszawie; jako poeta zażywał już pewnéj wziętości, dawszy się poznać publiczności z rozmaitych wierszy i ballad, których zbiór we dwóch tomach był wydał jeszcze roku 1825.

W owym czasie, kiedy Słowacki do Warszawy przybył, był on zajęty właśnie drukiem swojéj Izory (1828). O ile wnosić można z listów, późniéj z emigracyi pisanych, musiało i ze Stefanem Witwickim zajść poznajomienie już w owych czasach warszawskich. Ale nie przypadli sobie jakoś do serca, przynajmniéj Słowacki zawsze o nim wspominał z lekceważeniem i w sposób, który przekonywa, że go nie lubił. Czy znalazł sposobność zbliżenia się do Brodzińskiego, tego powiedzieć nie umiem. Również niepewną jest rzeczą, czy się widywali z Lelewelem, choć go dobrze znać musiał z wileńskich jeszcze czasów. Najwięcéj wrażenia sprawił na nim Niemcewicz, sędziwy patryarcha pomiędzy całą ówczesną intelligencyą warszawską, prezes Towarzystwa Przyjaciół Nauk, jeden z najzasłużeńszych i najpopularniejszych ludzi nie tylko w stolicy, ale i w całym narodzie. Złożył mu Słowacki pierwszą swoję wizytę w jego wiejskiém mieszkaniu w Ursynowie, małéj pod samą Warszawą wioseczce, która jak wiadomo, była aż do r. 1831 Niemcewicza własnością i jemu też zawdzięczała tę nową swoję nazwę. Zawiózł tam Juliusza do niego hr. Tomasz Potocki. Było to w miesiącu wrześniu 1830 r. Ponieważ to pierwsze zbliżenie swoje do czcigodnego starca sam on szczegółowo matce w dni kilka potém listownie opisał, i list ten — jedyny z przedemigracyjnych czasów — odszukany został pomiędzy ich papierami: miło więc pewnie będzie czytelnikom moim odczytać tu dosłownie z niego cały ustęp dotyczący rzeczonéj okoliczności.

...„W tych dniach wiele bardzo miałem chwil nadzwyczaj przyjemnych. Pamiętasz kochana Mamo, że dzień 23 sierpnia jest dniem moich urodzin. Wymówiłem się z tém kiedyś dawniéj przed jednym z moich znajomych, i zdziwiłem się bardzo, kiedy mnie w ten dzień zaprosił na wieczór kawalerski. Nie spodziewałem się, żeby kto w Warszawie myślał o moich urodzinach; przyjemnie mi więc było, gdy młodzież zebrana przypijała do mnie szampanem. Staruszek jeden po polsku ubrany siedział w końcu stoła; zdawało mi się, że kochany Dziadunio był na jego miejscu. Winogrona — kawony — melony Wołyń mi przypominały i jeszcze bardziéj dopomagały illuzyi.—W kilka dni potém, jednego poranka przyjechał do mnie Potocki, prosząc żebym z nim jechał do Ursynowa, maleńkiéj wioseczki Niemcewicza. Muszę więc Mamie opisać obszernie tę wizytę. Ur-

synów leży o maleńką milę od Warszawy za Mokotowem. Śliczny był ranek — trochę zimny — i mgła lekka jesienna pokrywała rozległe i piaszczyste równiny Mazowsza. Myśl, że jadę do starego poety, który wiek Stanisława Augusta z naszym wiekiem łączy, zajmowała mnie bardzo; nadto niepewny byłem, jakie mnie tam spotka przyjęcie, bo Niemcewicz przez kobiety popsuty, bardzo się zrobił kapryśny.— Nareszcie stanęliśmy u celu podróży — pojazd nasz zatrzymał się w alei, w któréj z daleka widać już było dom poety — nie kazaliśmy jechać daléj, bo Niemcewicz stał przed gankiem — podobnio więc jak L. do Częstochowy, zbliżaliśmy się pieszo z sercem skruszoném. Przywitał nas dosyć obojętnie — zaczął rozmowę o Wilnie rąbiącym tonem Jana Śniadeckiego. O źle! pomyślałem sobie, na toż przyjechałem tutaj, żebym mu potakiwał? Szczęściem że rozmowa ta prędko się skończyła. — „Panie Hrabio, rzekł do Potockiego, wszak znasz mój Ursynów, oprowadź pana Słowackiego po piękniejszych miejscach — ja się muszę tymczasem przebrać.“ To mówiąc, ukłonił się nam i wszedł do domu, a my poszliśmy chodzić po ogrodzie. — Śliczny starego Ursynów, zarosły wielkiemi drzewami, bardziéj do dzikiego lasu niż do ogrodu podobny — w wielu miejscach małe widać łąki, na których wybiera paszę jedyna krowa Niemcewicza. Z téj krowy, jak mi sam mówił — ma dwa złote na tydzień przychodu. Przyszliśmy wkrótce do małéj altanki z kory, na któréj wszyscy podróżni piszą wierszyki na pochwałę Niemcewicza; żadnego jednak napisu nie widać, bo je staruszek zdzierać każe przez skromność. Usiadłem w altanie — Potocki stał nademną, a widząc że jestem nadzwyczaj smutny i blady, zapytał mnie o przyczynę. Myślą odpowiedziałem mu, iż szczęśliwy, kto może tak pisać, jak Niemcewicz — słodko i przyjemnie, bez trawienia się własnym ogniem! Szczęśliwy... odpocznie na starość w tak cichym domku, wtenczas gdy na grobach młodszych od niego ludzi trawa porastać będzie! — Wtém lokaj przysłany od Starego zaprosił nas na śniadanie. Właśnie trzeba było śniadania, żeby przerwać bieg marzeń!... Usiedliśmy po obu bokach Niemcewicza, i podano herbatę z pasztetem na zimno. Wymówiliśmy się od jedzenia i przestaliśmy na saméj tylko rozmowie. Przy nogach Niemcewicza siedziały dwie maleńkie dziewczynki; są to córki jego kamerdynera, którym często pozwala swawolić z sobą. Jedna z nich przy gościach kilka razy mu mówiła: „Pan jesteś tak głupi jak ja“ — a stary z uśmiechem przyjmował ten grzeczny komplement. — Przy śniadaniu Potocki zaczął mnie prosić, że-

bym co przeczytał Niemcewiczowi. Staruszek oświadczył mi także chęć słyszenia moich robót, chociaż wprawdzie dosyć obojętnie. Kazał zdjąć herbatę — kazał się jednéj dziewczynce w twarz pocałować, a zapytana od niego: kto jesteś? — odpowiedziała: żona Panowa. Potém kazał im odejść i cicho się sprawować. Opatrzyłem się na przypadek w trzeci akt tragedyi Mindowe. Na wezwanie powtórne staruszka czytać zacząłem. Niemcewicz słuchał z początku siedząc bokiem odwrócony; gdy przyszło do drugiéj sceny, w któréj Mindowe zrywa z Krzyżakiem: obrócił się nagle— czoło jego pomarszczyło się — widać było znacznie natężoną uwagę — patrzał mi w oczy, jakby chciał mnie całego przeniknąć, a oczy ma szare, przenikliwe i wielkiemi najeżone brwiami, jak oczy Jana Śniadeckiego. Przy końcu drugiéj sceny wykrzyknął głośno: ach! czemuż téj tragedyi grać nie można! Ten wykrzyknik bardziéj mi pochlebił, niż wszystkie potém dawane pochwały. — Czytałem daléj — słuchał cierpliwie; kiedy skończyłem, powiedział: „Cieszę się, iż przed śmiercią widzę, że jeszcze zostanie w Polsce poeta, co ma tak wielki talent i duch obywatelski utrzyma.“ Potem dodał: „przepisz Pan tę tragedyą na kilka rąk — warto, niech czeka szczęśliwszych czasów!... Chciałbym ją całą czytać“.... Odtąd stary przypatrywał mi się z uwagą — a przy pożegnaniu powiedział mi jeszcze:—„Cieszę się, iż poznałem tak zacnego młodzieńca.“—Prawda, jak to po staropolsku?“

Z powyższego listu wynika, że miał tedy Juliusz i w Warszawie przyjaciół, którzy mu dawali serdeczne dowody przywiązania, i że zdarzały mu się chwile, które go przenikały uczuciem szczęścia. Jednak w ogóle stolica nie podobała się naszemu poecie. Zrażała go do Warszawy szczególniéj ta okoliczność, iż przywykły do pięknych okolic Wilna i Krzemieńca, tutaj już nie znajdywał nic podobnego. Często o tém w późniejszych nawet listach wspominał. Dla zwyczajnego człowieka obojętną to jest rzeczą, jakie tam jest położenie miejsca, w którém się życie spędza; ale w oczach poety ma to ważność niemałą. Prócz tego nie mógł też Słowacki zasmakować w téj robocie suchéj biurowéj, która z obowiązku miała stanowić pierwszorzędne jego zajęcie; ile że go zaprzątano samemi prawie pracami mechanicznemi, to jest kazano po prostu przepisywać... Drażliwy umysł Juliusza przyjmował to jako umyślne upośledzanie, które miało być następstwem jego

nie dość dostojnego położenia towarzyskiego. Uważał zaś to sobie za tém dotkliwszą krzywdę, że wszakże pracował w biórze równie bezpłatnie, jak ci wszyscy, którzy byli protegowani... „Mój wielki niegdyś protektor — mówi uszczypliwie o księciu Lubeckim w jednym z późniejszych listów — zaraz mi chciał dać pensyą: nie przyjąłem jéj. Cóż to pomogło? byli tam hrabiowie — ja przepisywałem!... Nie zostawiono mi nawet przekonania, że byłem użyteczny, lub że nim kiedyś być mogłem“...

Tymczasem nadeszła jesień 1830, a z nią i koniec Listopada, i wypadki listopadowe. Wywarły one zaraz w najpiérwszéj chwili na Słowackim wstrząsające wrażenie. Dał się porwać tym entuzyazmem, który całą ówczesną ludność stolicy, a mianowicie młodzież ogarnął. Wyrazem tego usposobienia było kilka lirycznych jego utworów, na przykład Oda do Wolności, Hymn do Bogarodzicy, Kulik, wreszcie Pieśń Legionu litewskiego, które tak ściśle rymowały z powszechnym zapałem w chwilach owych pamiętnych. Obiegając w licznych odpisach, podawane z rąk do rąk — one to dopiero rozsławiły w najdalszych kołach imię nowego poety, którego talent znali przedtém najbliżsi tylko znajomi. Ogłaszane w pismach peryodycznych, a niektóre drukowane i w osobnych broszurach*) — pieśni te stawiały Słowackiego w obec całego kraju w szeregu idących przodem, powołujących cały naród do czynu...

Po upływie atoli pierwszych tygodni listopadowego powstania, zaczęły owe pełne ognia popędy u niego stygnąć i ustępować miejsca innym uczuciom. Nadzieje z razu tak jasne, zaczęły się ćmić i osłaniać chmurami—trudno wyrzéc stanowczo, czy chmurami

*) Tak na przykład wyszła osobna broszura pod tytułem „Oda do Wolności i Hymn przez Słowackiego. W Warszawie w drukarni stereotypowéj przy ulicy królewskiéj w pałacu Dembowskich Nro. 1065. r. 1830.“ Format ćwiartkowy, stron 8 i 2 nieliczbowane. Tę Odę do Wolności zamieściłem w III tomie Pism pośmiertnych. Hymn (do Bogarodzicy) jest w edycyi lipskiéj. — Również znany mi jest jako osobne pisemko: „Kulik Polaków przez Juliusza Słowackiego. Warszawa, 1831.“ 8o, stron 8 nieliczbowanych.— To więc były najpierwsze poety naszego publikacye.

trwogi o przyszłość kraju, czy tylko osobistego wstrętu do wszystkiego, co się tam działo. Zwątpienie, niesmak, niemożność jakaś dłuższego wytrwania wśród stósunków, w jakich się widział, brały odtąd coraz więcéj górę nad excentryczném usposobieniem poety. Przyszło nareszcie do tego, że powziął już na początku marca zamiar porzucenia Warszawy — i zaopatrzywszy się w formalny pasport ze strony ówczesnego rządu polskiego, rzeczywiście wyjechał za granicę już dnia 8 marca 1831 roku.

Byłto krok, który jak się okazało późniéj, miał być w życiu jego stanowczym. Owato chwila, ów wyjazd tak rychły z kraju, rozstrzygnął nie tylko o całém dalszém życiu jego jako człowieka, ale i o powodzeniu jego w zawodzie, któremu całe szczęście osobiste poświęcił, w wzniosłym zawodzie poety... Gdyby Słowacki był pozostał w kraju, lutnia jego byłaby niezawodnie strojniejsza; niebo jego poezyi byłoby niewątpliwie mniéj chmurne. I cóż go to wyprowadziło z ojczyzny? Co go rzuciło na niepewne fale wygnania? Dlaczegoto przyszło jemu rozpoczynać już wtedy to bolesne życie bez celu, wśród żywiołów obcych, w okolicznościach które tak rychło zdarły z oczu jego wszelkie one illuzye, które lubo ułudne, przecież niezbędne są człowiekowi poniekąd, ażeby sobie nie obrzydzał tych znikomych kształtów istnienia? Czyż mu przewodniczyła, kiedy się na tułactwo sam wskazał, owa myśl podnosząca i wielka, która w kilka miesięcy późniéj tylu innych miała prowadzić na zachód? czy szła powtarzam przed nim ta gwiazda wiary, że to jeszcze jedyny, że to ze wszystkich, jakie były, ostatni sposób spełnienia w obec świata i Boga obowiązku, który jest najwznioślejszym na ziemi? — Nie! W téj myśli Słowacki z krajem się swoim nie żegnał. Byłaż to zatém tylko chimera poetycka, która go pchnęła w nieznane obszary świata, zaludnione ideałami nieokreślonych pragnień? Czy wreszcie kazało mu tak sobie postąpić życzenie matki, trwożnéj może o swego jedynaka wśród niebezpieczeństw otaczającéj go wojny?..

Na te pytania trudno jest odpowiedzieć stanowczo.

Pierwszy list Słowackiego, z zagranicy pisany, od takich się słów zaczyna:

„Kochana Mamo! zadziwisz się zapewne odbierając ode mnie list datowany z Wrocławia. Dopełniając woli kochanéj Mamy, która aż nazbyt z moją chęcią zgadzała się, wyjechałem za granicę“...

Z tych słów zdawałoby się wynikać, że zatém matka to kazała mu oddalić się z Warszawy. Ale dodatek, że się to życzenie matki i z jego chęcią zgadzało, nasuwa przekonanie, że mieć musiał Juliusz jednak i inne jeszcze, swoje własne powody do wyjazdu za granicę. Nakoniec i życzenie matki musiało być chyba kiedyś tam dawniéj i bez żadnéj nalegliwości, więc nawiasowo tylko wypowiedziane, kiedy tak daléj ciągnie Juliusz zdanie to na początku listu owego stawione:

„I teraz z wielkim strachem oczekuję listu od Mamy, czy Ci się mój wyjazd podoba, czy nie. (Z listu z d. 17 marca 1831, pisanego z Wrocławia).“

Daléj w tymże liście spotykamy znowu takie wyrazy:

„Wyjechałem w podróż 8 tego miesiąca — wyjechałem w nocy — smutno mi było — zdawało mi się, że uciekam: i teraz jeszcze często się kłócę z mojém sumieniem“....

W liście następnym (z dnia 12 kwietnia) powraca znowu do dziwnego wyjazdu swego z Warszawy i tak się tłómaczy:

„W biurze nie było żadnych widoków — nawet to biuro, gdzie byłem, zaczęło być źle uważane, z powodu.... Trzeba było iść do wojska, miałem aż nadto do tego chęci — Los jakiś rządzi moją karyerą i widzę, że zawsze będzie mi na przeszkodzie stawał“...

W innych miejscach korespondencyi jego z owych miesięcy spotykają się wyrażenia, które dowodzą, że mu żal, że go nawet wstyd było, że wśród takich okoliczności, jak ówczesne, wydalił się z Warszawy. Były chwile, gdzie się wahał, czyby nie wrócić... Zdaje się, że i rodzina w Krzemieńcu z frasunkiem i nieukontentowaniem przyjęła wiadomość o tém. Do matki pisał Juliusz (d. 6 lipca 1831):

„Dzięki Ci Matko, za wszystko, co robisz dla syna, który czuje, że nie jest godzien teraz, aby kto o nim pamiętał i jeszcze go kochał. O Mamo moja, nie gadaj teraz przed nikim o mnie, aby mnie teraz zapomniano. Może potém znajdę sposób zyskania szacunku w moim kraju...

Imię moje nie może być teraz na żadnym grobie wyryte — ale przyjdzie chwila"...

Wujowi zaś swemu, który snać tę ucieczkę Juliusza czy żartem, czy seryo kładł na karb nieodwagi albo wstrętu do służby w wojsku, odpowiedział, jak następuje:

„Teofilu kochany, jeśli mi chcesz wiele zgryzot oszczędzić, niech w twoich listach nie przebija taka ironia, jak w ostatnim przypisku. Chciałem — nie mogłem być użytecznym Ojczyźnie"...

Wszystkie te ustępy z listów Juliusza sprawiają w pierwszéj chwili wrażenie, jakby mu ciężyła na sumieniu jakaś wina upokarzająca. Wyjazd jego z Warszawy wygląda jak tajemnica, na dnie któréj ukrywa się coś, czego niemiło wyrazić po właściwém imieniu. Pozory wszystkie mówią przeciwko niemu. Jakakolwiek była to sprawa, która go spowodowała do porzucenia kraju w takiéj chwili, w jakiéj go rzucał, w każdym razie było to coś, z czém nie do twarzy autorowi Bogarodzicy i Kuliku...

Taką się ta rzecz wydaje, jeżelibyśmy sądzić o niéj mieli wedle pozorów. A jednak —

Ja nie mam bezpośredniego faktu, na mocy którego mógłbym tu stanąć w obronie Słowackiego. Rzetelny powód jego wyjazdu pozostał tajemnicą na zawsze. Zdaje mi się jednak, że przenikam tę tajemnicę. Byłato okoliczność, która przynosi raczéj zaszczyt sercu, aniżeli ujmę sile charakteru młodego poety. Pomimo tego, tak się wtedy rzeczy złożyły, że nie mogła ona żadną miarą być powiedziana ani matce, ani krewnym. Powody dostateczne nie dozwalają mi zagadki téj wytłómaczyć już na tém miejscu. Znajdzie ją czytelnik dopiero wyłuszczoną między zdarzeniami z r. 1832. Gdybym to, co tu mam w myśli, wypowiedział już teraz, wyglądałoby to tylko na luźną hipotezę i na nic więcéj. W tamtym rozdziale domysł mój się okaże podparty tylu przemawiającemi za trafnością jego okolicznościami, że zdaje mi się, iż nikt o istocie prawdy wątpić wtedy już nie potrafi.

Bądź jak bądź, tymto więc krokiem, tym wyjazdem wczesnym z Warszawy Słowacki w 22 roku życia zamknął nierozmyślnie pierwszą połowę zawodu swego na ziemi. Pierwsza ta ży-

cia jego epoka, spędzona na ojczystéj ziemi — upłynęła mu między swymi, pośród stósunków normalnych i godzi się dodać: pod wielu względami nader pomyślnych. Od owéj chwili poczęła się epoka druga: życie na wygnaniu, poniewierka między obcymi, wieczna tęsknota do ojczyzny, nieustająca świadomość czczości życia bez celu, gorzkie zawody przy każdym kroku, ciągła walka z przeciwnościami, niekiedy z niedostatkiem—i ten cały długi szereg tysiącznych cierpień, z jakich się splata smutna dola tułacza. Takieto życia koleje otwarły się teraz dla naszego poety — na zawsze, aż do samego zgonu! Czy exystencya wśród takich okoliczności wpłynęła na podniesienie czy na spaczenie téj potężnéj poetyckiéj zdolności, jaką go obdarzyła natura, to się okaże w dalszych rozdziałach.

ROZDZIAŁ DRUGI.

Rok 1831 i pierwsza połowa 1832go. Przybycie do Wrocławia, a stąd do Drezna. Odyniec — okolice drezdeńskie. Wyjazd do Londynu. Teatr londyński — Westminster — Niemcewicz. Przeniesienie się do Paryża — niekorzystny sąd o Francuzach — cmentarz Père-la-Chaise — teatra — Lelewel i inni Polacy przybywający na emigracyą. Poeta zamierza ogłosić zbiór swoich poezyi — wiadomość o próbach jego najpierwszych — trudności znalezienia nakładcy — romans w języku francuskim. Druk rozpoczęty — wiele obiecująca znajomość — panna Kora — owacye i nadzieje wielkiego powodzenia. Lafayette — X. Praniewicz — Skibicki. Dzieła wychodzą z pod prasy. Mickiewicz w Paryżu — pierwszy powód niesnasek pomiędzy nim a Słowackim — wspomnienie pewnego zdarzenia w Wilnie.

Od pierwszéj chwili wydalenia się Słowackiego z kraju rozpoczyna się jego korespondencya z matką. Korespondencya ta regularna, szczegółowa, prowadzona bez przerwy aż do ostatnich dni życia, leży w całéj zupełności przedemną. Od téj pory możemy tedy iść za poetą naszym krok w krok i nawet własnemi jego słowy opowiadać o niejedném zdarzeniu.

Wyjechał z Warszawy dnia 8 marca 1831 r. Wyjechał smutny i bez złudzeń co do sprawy publicznéj.

„Nudną miałem drogę — pisał w pierwszym liście, z d. 17 marca datowanym z Wrocławia — czas dosyć brzydki; wyjechałem w nocy — smutno mi było — zdawało mi się, że uciekam; teraz jeszcze często się kłócę z mojém sumieniem. Mamo moja, śliczny kraj opuściłem, i może już do niego nigdy nie będę mógł powrócić“...

Jechał właściwie ku Dreznu, ale trzeba było przejeżdżać przez terytoryum pruskie. Kiedy się przez granicę przeprawił, odebrano mu pasport, który miał wystawiony od rządu warszaw-

skiego, i kazano zatrzymać się w Wrocławiu, obiecując dać nowy pasport, pruski. Czekając na ten dokument, przepędził Słowacki w Wrocławiu dwa tygodnie i dni kilka pod ścisłym policyjnym nadzorem. Stał w hotelu *Goldene Gans* i nudził się w tém mieście niemiłosiernie; do czego się w części i ta przyczyniała okoliczność, że prawie nie znał wcale języka niemieckiego.

„Nie lękajcie się jednak o mnie (pisał żartobliwie w jednym z listów ówczesnych); mówię już i ja trochę tym językiem i nie jestem przymuszony, chcąc jeść zaglądać do rozmówek, jak nasz poczciwy Kł. A propos rozmówek, książeczka, którąś mi kochana Mamo przy moim odjeździe z Krzemieńca do tłómoka włożyła, nieraz mi tu usługuje; ale uczę się pierwéj frazesu, a potém go recytuję w książeczkę nie patrząc. To jest bardziéj honorowo“....

Wreszcie dano mu pasport pruski, wystawiony do Francyi. Słowacki wyjechał jednak do Drezna, w zamiarze dłuższego tam atrzymania się. Przybył do Drezna w sam wielki Piątek. Stanął w hotelu pod złotą Koroną. Pierwszém miejscem, do którego się za przybyciem do miasta udał, był kościół.

„Zaraz wyszedłem na miasto — pisze w liście z dnia 12 kwietnia — albowiem mówiono mi, że w katolickim kościele ma być ładna muzyka. I słyszałem śpiewy. Trafiłem właśnie na psalm śpiewany przez Tarquiniego na jakąś bardzo smutną nutę. Pierwszy raz słyszany głos tego rodzaju — wreszcie cichość kościelna (bo była to właśnie chwila, kiedy księża gaszą po jednéj trójkąt obstawiony palącemi się świecami), wszystko to niewypowiedziane na mnie sprawiło wrażenie... Po obiedzie znowu wyszedłem na miasto, w nadziei iż chodząc po ulicach, napotkam gdzie Odyńca*).

---

*) Odyniec przedtém mieszkał w Warszawie i tamto się z nim, jak już wyżéj nadmieniłem, bliżéj zapoznał Słowacki. W r. 1829 puścił się atoli autor Izory razem z Mickiewiczem w podróż do Włoch; a właściwie podążył do niego nasamprzód do Petersburga, gdzie (w miesiącu maju) wsiedli obydwaj na okręt i puścili się morzem bałtyckiém do Lubeki, stamtąd do Berlina (tu pierwsza znajomość z Garczyńskim), a z Berlina na Pragę, na Wejmar i przez Szwajcaryą — do Włoch. Zimę z 1829 na 1830 przepędzili razem w Rzymie. W maju (1830) zrobili wycieczkę do Neapolu, a stąd zwiedzili i Sycylią. W ciągu lata zwrócili się do Włoch północnych, a wreszcie nawiedzili powtórnie Szwajcaryą, tak iż w sierpniu już

Błądząc różnemi drogami, zachodzę na wielki rynek. Spostrzegam jakąś najpiękniejszą cukiernię — Baldiniego; nad drzwiami napisano: Café de l' Europe. Ha! myślę sobie, Odyniec musi być w Europie... Wchodzę na pewno, i za pierwszym rzutem oka postrzegam naszego poetę, który mi zaraz na moje zapytanie To Czatyrdach? odpowiedział Aa!...*) I nie przez jedno tylko Aa!.. wyraził niepospolite zadziwienie. Krótko mówiąc, ucieszyliśmy się oba ze spotkania, i zaraz wziąwszy się za ręce poszliśmy do Odyńca kwatery. Tam wyrządził mi wielką przysługę, bo zaraz przez swojego gospodarza, który jest wielkim przyjacielem Polaków, wynalazł dla mnie prywatną stancyą, która tak jest niedroga, iż po warszawskich mieszkaniach zdaje mi się, że mi tu za darmo przychodzi. Za 6 talarów na miesiąc mam ładny salonik o pięciu oknach (a przez każde okno, jak powiada Odyniec, inną widzę panienkę). Salonik cały umeblowany bardzo ładnie, nawet z lampą alabastrową, tylko trochę zapyloną; słowem że mogę wieczorami lampę zapalać i bajronizować. Żeby zaś o wszystkich przyjemnościach mieszkania dać wam wyobrażenie, donieść muszę, że oprócz ładnego widoku na plac wielki, na kościół, znajduję przyjemność patrząc na ładną córkę mojéj gospodyni. Panienka mówi po francusku, i ładnie gra na fortepianie. Waryacye Czernego zawsze mi Wilno i was wszystkich przypominają"...

Cały ton tego listu przekonywa, że pierwszy czas pobytu w stolicy saskiéj nie był dla Juliusza zbyt przykry.

„Bardzo mi się to miasto podoba, bo przez długi pobyt w Warszawie stęskniony byłem po pięknych okolicach; tutaj zaś są prześliczne."—

Oprócz Odyńca znalazł w Dreźnie kilku innych jeszcze rodaków: Platera, Chwaliboga, Mikulicza; pannę Czacką, dobrą matki swojéj znajomą; Komara, jenerałową Dąbrowską, panią

---

stanęli w Genewie. (Tu pierwsza znajomość Mickiewicza ze Zygmuntem Krasińskim). W wrześniu dopiero czy październiku (1830) rozstali się ze sobą obydwaj towarzysze podróży. Mickiewicz powrócił znowu do Rzymu, któreto miasto dopiero w r. 1831 na wiosnę opuścił; a Odyniec prosto z Genewy udał się do Paryża. Po upływie kilku miesięcy spędzonych w Francyi przeniósł się do Niemiec i już od początku 1831 r. stale przemieszkiwał w Dreźnie.

*) Zakończenie jednego z najpiękniejszych Sonetów Krymskich Mickiewicza.

Szymanowską z domu Poniatowską i t. d. Niektórzy bawili w Dreźnie z całemi rodzinami i byli już znani Słowackiemu z Warszawy. Szczególniéj uprzejmie był przyjmowany w domu pani Dobrzyckiéj.

Poczciwa ta staruszka Polka, są własne słowa Juliusza, ma córkę, która jest pierwszą damą dworu. Ta oddawna zachwycona hymnem Bogarodzica, przyjęła mnie z otwartemi rękoma; a nad moim Kulikiem, którego jeszcze nie znacie — płakała.“

W towarzystwie poufalszych znajomych robił wycieczki do saskiéj Szwajcaryi i przeglądał celniejsze ciekawości drezdeńskie. *Grünes Gewölbe* nie sprawiło na nim takiego wrażenia, jak mu to obiecywano.

Wszystko ładne, bogate, ale bez gustu; tak że mi nic nie zostaje w pamięci. Ostatnia tylko sala mocno mnie zajęła. Widok tylu brylantów razem zgromadzonych nosi na sobie cechę jakiéjś wielkości, jako szczególny w swoim rodzaju.... Ciekawszym jest daleko zbiór zbroi starożytnych *(Rüstkammer)*; znajduje się w nim dwóch rycerzy na koniach, doskonałe dających wyobrażenie o ówczesnych walkach. Widzieć to dla poety i dla malarza bardzo potrzebne.... Śliczne są okolice Drezna! Wczoraj panna Dobrzycka i pani Asthon Angielka zaprowadziły mnie do Brysnitz nad Elbą. Nie widziałem jeszcze w życiu piękniejszego miejsca. Siedzieliśmy z pół godziny na płaskim szczycie świątyni podobnéj do chłodnika Tetydy w Zofijówce. Byliśmy zawieszeni nad Elbą. Z drugiéj strony rzeki śliczne równiny, z prawéj strony w odległości ładne Drezno, a okna domów przy zachodzącém słońcu paliły się jak tysiączne lampy. Kilka statków z rozpiętemi żaglami płynęło po wodzie, i kilka czółen rybackich. Oto jest obraz, który tak wprawia w smutne zamyślenie, że przez cały czas pomimo etykiety słowa do dam nie przemówiłem.... Najczęściéj chodzimy z Odyńcem do Wielkiego Ogrodu na spacer; dziwimy się tam często, jak Niemcy mogą cały dzień przepędzać nad szklanką piwa, z cygarem w gębie. Gdzie się tylko zbliżyć do tłumu, wszędzie o nas gadają, i lubią nas. Gospodyni, u któréj mieszkam, i córka gospodyni także bardzo mnie kochają. Pierwsza mówiła, iż chciałaby mnie mieć przez całe życie w swoim domie — druga, iż jeżeli by chciała mieć brata, to takiego, jakim ja jestem. Pierwszy raz w życiu jestem ideą doskonałości“....

Wśród takich tedy rozrywek i zajęć płynął mu czas w Dreźnie—na pozór niby dość przyjemnie. Wieczory przepędzał w towarzystwie, albo też na operze włoskiéj, w któréj bardzo smakował. Dni zapełniał pracą, jeżeli go nie odrywało od niéj zwiedzanie jakiéj pięknéj okolicy lub różnych miasta tego osobliwości. Praca jego ograniczała się w owych tygodniach do samego czytania, gdyż to było lato. Trzeba zaś wiedzieć, że była to już taka jego właściwość, iż dopiero z jesienią poczynała się dla niego pora zapału do pracy twórczéj. Przez wiosnę zaś i lato (podobnie jak niegdyś Kniaźnin) nie czuł w sobie zazwyczaj żadnéj chęci do pisania, i nie przymuszał się też do tego. Było mu to właściwe przez całe jego życie i często też o tém i sam późniéj wspominał. I wtedy także pisał te słowa do matki: „Przeczytałem wiele ważnych dzieł. Nic teraz nie piszę — to mój zwyczaj w lecie“...

W gruncie rzeczy wszelako było już i w owéj porze niejedno, co mu zamącało ten tryb życia pozornie tyle uprzyjemniony. Żal, że wyjechał z kraju, trapił go ciągle, i to z biegiem czasu w coraz wzrastającéj progresyi. W pierwszych dniach bytności swojéj w Dreźnie wyrażał się tylko:—„Źle jest trochę, żem wyjechał za granicę... Przez czas jakiś miałem zamiar do Was powrócić.“ Ale już w półtora miesiąca późniéj (dnia 6 lipca) znajdujemy natomiast owe wyżéj już przytoczone utyskiwania:

„O mamo moja, nie gadaj teraz przed nikim o mnie, aby mnie teraz zapomniano.... Imię moje nie może być teraz na żadnym grobie wyryte — ale przyjdzie chwila!“

Drugie, co mu dokuczało, była to niespokojność o to, co się tam dzieje z matką i z resztą rodziny.

„Gdyby nie ta niespokojność, która mnie dręczy o Was, kochani moi, byłoby mi bardzo dobrze w Dreźnie.“

Wyrozumiemy ten zabijający niepokój, jeżeli wystawimy sobie stósunki, w jakich oni tam wtedy żyli. Słowacki wyprawiał do nich list za listem, a nie odbierał od nich przez długie czasy ani litery. Przez całe cztery pierwsze miesiące, od chwili wyjazdu swego z Warszawy, nie otrzymał ani jednego słowa od matki! Tymczasem wiedział aż nadto dobrze o niebezpieczeństwach,

jakie im groziły i ze strony grasującéj właśnie na Wołyniu cholery i z powodu wojny, która z wszystkiemi swemi okropnościami zdawała się wisieć już po nad prowincyami owemi.

A trzecia troska była o siebie — o swoję własną przyszłość, o któréj nasz dobrowolny tułacz nie umiał sobie utworzyć ani nawet wyobrażenia... Natura jego, skądinąd tylu uposażona darami, ale nad wszelki wyraz niepraktyczna — cała przeszłość jego, przebyta pod kierunkiem życzliwéj bo macierzyńskiéj ręki, lecz zawsze ręki obcéj, więc biernie: wszystko to stawiało teraz biednego tego młodzieńca na rozdrożu, na którem radzić sobie nie umiał. Z otuchą podjąć walkę życia, ażeby przezwyciężyć trudności: — to było nad jego siły.—„Napiszcie mi, co ja mam robić? gdzie się obrócić? jaki jest stan naszych interesów?“ — oto takiemi słowami przemawiał do rodziny, w zupełnym braku wiadomości, co z sobą począć. Stan interesów, o który się dopytywał, byłby bardzo pomyślny, gdyby byli oboje z matką mogli żyć razem i tworzyć tylko dom jeden; a w razie rozłączenia, gdyby były choć widoki, że Juliusz zajmie z czasem pozycyą, której korzyści przyjdą w pomoc dochodom z prywatnego majątku. Ale widoków takich teraz nie było... Sława literacka—wprawdzie uśmiechała się do niego, choć w pewnéj jeszcze oddali; ale na materyalne korzyści z tego tytułu, w okolicznościach jak ówczesne, bynajmniéj liczyć nie było można. Otóż, co mu szczególniéj odbierało otuchę. Wprawdzie miał żyć z czego chwilowo, gdyż mu matka dostarczała, czego potrzebował na utrzymanie. Ale, myślał sobie, co będzie daléj?

Były tedy przyjemne, ale też były i gorzkie, a nawet bardzo gorzkie chwile w owém drezdeńskiém życiu młodego emigranta i pozostały też tego ślady w korespondencyi. Tak na przykład po pierwszym liście nareszcie odebranym od matki, pisał jéj między innemi, co następuje:

> „W przytomności Odyńca czytałem list Twój, kochana Mamo. Nie mogłem się wstrzymać od płaczu, czytając list o Twoim nagrobku. Ponieważ łzy te miały świadka, nie chcę ich zataić, tak jak wiele innych łez, wylewanych samotnie“...

Koniec końców, w lipcu (1831) układał sobie dalszy plan taki, iż chciał czas jakiś zabawić jeszcze w Dreźnie, a potém z dziwnymi projektami pojechać daléj.

„Wyjadę przez Szwajcaryą do Neapolu, tam znajdę w jakim klasztorze, jak mi mówił H. za małą cenę mieszkanie i jak najmniejszém obchodzić się będę starał. Przyjemność zaciszy wszystkie mi przyjemności zastąpi — czuję że mi jéj potrzeba.“

Rozpaczliwe postanowienie! pomyśli sobie czytelnik. I poeta nasz czuć musiał tosamo, skoro przerwał list na tych wyrazach, a nazajutrz, wśród dnia jasnego, tak pisał daléj:

„Niech Was to bardzo nie obchodzi, co tutaj napisałem; albowiem pisałem to wieczorem, a w wieczór zawsze jestem w stanie gorączkowym. Żeby nie te myśli, bardzo by mi było dobrze w Dreźnie“...

Kiedy się zatém tak bił z myślami i układał sobie wyjazd na południe, nastąpić mający za kilka dopiero miesięcy: zaszła nagle okoliczność, która go rzuciła nie na południe, lecz na zachód i północ; i nie za kilka miesięcy, ale natychmiast. Całego więc pobytu Słowackiego w Dreźnie było tylko 4 miesiące niespełna.

„Dnia 25 lipca spokojnie sobie siedziałem w Dreźnie, i zrana zapijałem niemiecką kawę. Wtém drzwi się otwierają, wchodzi nieznajomy Jegomość i powiada mi, że przywiózł listy z kraju, z którymi jak najprędzéj do Paryża i do Londynu mam jechać“. (Były to zatém listy dyplomatyczne, pisane w sprawie publicznéj do rządów francuskiego i angielskiego. Do listów dołączono i fundusz na podróż, co wszystko Słowacki opisywał matce w dalszéj osnowie listu figurycznie, ażeby jéj nie skompromitować. Ten ustęp pomijamy. Daléj pisał tak:) „Zaraz jeden z moich przyjaciół ofiarował mi bryczkę na resorach krytą, i tak w trzy godziny po odebraniu listów, extrapocztą ruszyłem do Paryża. Wszystko koło mnie mijało jak cienie latarni czarnoksięskiéj — podróżowałem dzień i noc, jak Gryzomir Krasickiego, i nie wiele więcéj od niego widziałem. Były kraje, przez które ze strachem przejeżdżałem — płaciłem po królewsku! O godzinie 12 w południe wyjechałem z Drezna — nazajutrz rano byłem w Lipsku, wieczorem 26go byłem w Wejmarze— interesowało mnie to miasto, jako będące miejscem pobytu Göthego — bardzo ma ładną postać... Przez noc przeje-

chałem przez Erfurt — Saxgotha — a nad rankiem piłem kawę w Eisenach... śliczne miasteczko, a jeszcze piękniejsza droga, która z niego daléj prowadzi między ogromnemi górami. W Fuldzie zatrzymałem się godzinę, dla naprawy powozu — znalazłem tam w oberzy chłopca, co pisze historyą teraźniejszéj wojny — czyli biografią generałów — bardzo dobrze. Dnia 28 z rana byłem w Frankfurcie, tam bawiłem godzinę dla zmienienia moich wexlów. O południu byłem w Moguncyi — śliczny Ren — jaka szkoda, że na niego dłużéj popatrzeć nie mogę!... Potem przeleciałem śliczne prowincye reńskie — dnia zaś 29 wieczorem wjechałem do Metz. Co za przepyszny widok! Miasto uilluminowane, jako rocznica rewolucyi francuskiéj. Lud tysiącami tłoczy się po ulicach. Miałem interes do Prefekta Departamentu — był na balu. Zabłocony i bez koszuli prawie, bo kołnierz schowałem pod chustkę, poszedłem na bal. Możecie sobie wystawić zadziwienie i jeszcze inne jakieś uczucie, z którém byłem przyjęty. Krótki interes, który miałem do Prefekta, odbywszy pojechałem daléj. Szkaradna Francya— miasteczka gorsze od naszych miasteczek— nędza!.. W południe minąłem Verdun — wieczorem w Chalon sur Marne złamał mi się powóz — zostawiłem go tam i kazałem przedać na rzecz składek zbieranych. 31 lipca o godzinie 12 w południe wjeżdżałem do Paryża. Postylion mój wiózł mnie najpiękniejszemi ulicami, i jemu winienem, żem widział Paryż. Zajechałem do pani L. P. Prosiła mnie, żebym poszedł spać. Usłuchałem jéj rady i przespawszy 4 godziny, piątą mego pobytu w Paryżu obróciłem na zwiedzenie Palais Royal i na posilenie żołądka, co uskuteczniłem w pierwszym paryskim traktyerze. Prawda że z pożytkiem wojażuję?... O godzinie 5téj wieczorem już siedziałem w chaise de poste i leciałem do Londynu. Przez całą noc widziałem uilluminowane miasta i miasteczka, bo jeszcze ciągnęły się fety. Nic mi się szczególnego nie zdarzyło, oprócz (jak mówił świętéj pamięci S.) oprócz powtarzam, że tylko co się nie spaliłem. Chwała Bogu, że się skończyło na szlafroku, który leżał podemną i zupełnie spłonął, na pole od surduta i na kawałku kołnierza od płaszcza. Wszystkiemu temu winne cygaro, odtąd też ani cygarów ani lulki nie palę — ale nie tak z bojaźni, jak dla nadzwyczajnéj tego drogości w Londynie. Ale wróćmy do podróży. Nazajutrz wieczorem po wyjeździe z Paryża, to jest 1 sierpnia przejeżdżałem przez Boulogne sur mèr — widziałem morze — przyjemne przypomnienie Odessy. O 11 godzinie w nocy wjeżdżam do Calais — z Paryża mil 37. Śliczny ten widok latarni mor-

skich, bo każda inaczéj się pali dla rozróżnienia. Stanąłem w *hôtel de Bourbon*. Okropnego mi wypłatali figla! Paquetbot á vapeur odszedł bezemnie. Nająłem więc statek, co mnie niezmiernie kosztował, ale za to byłem panem okrętu, i wszyscy byli na moje rozkazy. Musiałem zaś koniecznie nająć statek, bo czekać było niepodobno do jutra. Wjeżdżając do Dover, kazałem zatknąć francuski pawillon — i miło mi było, kiedy pytającym się i tłumnie zebranym na brzegu Anglikom majtkowie odpowiadali, kto i skąd jedzie. — Śliczna Anglia! murawa zieleńsza, a piasek czerwieńszéj farby, co pejzażom oryginalny nadaje widok. Każda garść ziemi uprawiona — śliczne miasteczka! Kanterbury jak mały Londynik wygląda. O godzinie 5téj z rana dnia 3go sierpnia stanąłem w Londynie"....

Kiedy po tylu trudach podróży i bezwłocznem oddaniu listów, gdzie należało, rzucił się Słowacki w hotelu na łóżko, nie przebudził się aż na trzeci dzień dopiero, tak był zmęczony! Przebudził się z fluxyą. Ale doznawał pocieszającego uczucia, że i on teraz był pożyteczny sprawie; a doznawał go tém bardziéj, że sprawa ta, jak mu się wtedy zdawało, w skutek interwencyi dworów, do wywołania któréj i on się w maleńkiéj części przyczynił, miała niebawem wziąć obrot wcale pomyślny. Nie dziw więc, że znajdujemy też w liście z Londynu wyrazy, jak na przykład te:

„Mogę teraz doznawać przyjemności, bo zrobiłem rzecz wielkiéj wagi — to co było w mojéj mocy... O moi mili, rodzina nasza będzie zdrowa!"

Będąc już w Londynie, nie chciał go porzucać, nie poznawszy miasta choć powierzchownie; najął sobie tedy na cały miesiąc mieszkanie prywatne wraz z umeblowaniem i wiktem. Płacił za to wszystko razem półtrzeciéj gwinei na tydzień, to jest polskich złotych 105. Przepędził w stolicy Anglii czas od 3 sierpnia do pierwszych dni września. Uczył się języka angielskiego, którego początki były mu już udzielane w Wilnie. Bywał też często na teatrze i zachwycał się grą sławnego naówczas artysty dramatycznego, niezrównanego w rolach zwłaszcza szekspirowskich, nazwiskiem Kean. W ogóle podobał mu się bardzo sposób, w jaki Anglicy przedstawiają tragedye. O teatrach paryskich zdania tego późniéj nie wyrzekł, kiedy je poznał. — Między innemi zna-

omościami zawiązał też z niektórymi literatami londyńskimi stósunki. Jeden z nich namówił go do napisania broszury o wypadkach warszawskich, które świat polityczny tyle naówczas zajmowały, a nie były dokładnie znane nikomu z cudzoziemców. Słowacki napisał ją po francusku, Anglik przetłómaczył na angielskie i wydał pod swojém imieniem. Tytuł broszury nie jest mi wiadomy, ani też nazwisko owego Anglika. Przyniosło to naszemu autorowi 50 dukatów dochodu, właśnie więc tyle, ile go pobyt w Londynie kosztował, zliczywszy wszystko. Miał tedy to pocieszające przeświadczenie, że to dłuższe zatrzymanie się jego w Londynie nie przymnożyło matce wydatku, jako i podróż do Anglii także nie zrobiła żadnego uszczerbku skromnym jego funduszom. — Londyn bardzo mu się podobał.

„Wiele miałem w nim — powiada w liście już po wyjeździe z Anglii pisanym (z d. 10 września 1831) — chwil zachwycających. Przyjemne miasto! Wszedłszy na samę kulę wieży św. Pawła, rzuciłem okiem w około i pomimo niezmiernéj wysokości wieży, z żadnéj strony końca miasta nie było widać. Domy aż za horyzont się rozciągały, i pyszna Tamiza z ogromnymi mostami, i za ostatnim mostem las ogromny masztów, i nad brzegami Tamizy do obelisków podobne kominy machin parowych, z których wylatują kłęby czarnego dymu — wszystko to tworzy widok zachwycający. Groby w Westminster zwiedzałem także, ale dla przygotowań koronacyjnych nie mogłem dobrze widzieć kąta poetów, który mnie najwięcéj interesował. Dziwny ma pozór dziedziniec Westminsteru, brukowany grobowymi kamieniami — i widok tych ludzi, co sobie bez uwagi stąpają po napisach i czasem zastanawiają się, czytając je pod nogami... Takie groby mają ci, którym sława nie otworzyła drzwi kościoła, a którzy chcą jednakże jak najbliżéj sławnych ludzi spoczywać.“ —

Przy końcu pobytu Słowackiego w Londynie przyjechał tam i Niemcewicz (a zatém ku końcowi sierpnia).

„Widywałem się ze staruszkiem—mile od niego przyjmowany. Wyrzucał mi, że mojéj tragedyi litewskiéj (Mindowe) grać nie kazałem. Staruszek trochę chory — smutny—i niepewny przyszłości. Ale Bóg czuwa nad nami“...

Kiedy przyszła godzina wyjazdu i pożegnania się z gospodarstwem domu, jako też z innymi mieszkańcami jego, którzy

wszyscy pod tymiż co on warunkami zasiadali z nim razem do wspólnego stołu: miał Juliusz znowu miłą chwilę. Przekonał się bowiem, że i pod obcém niebem, że i w krajach okrzyczanych za materyalne, można znaleść serca poczciwe i niewątpliwe sympatye dla doli narodu, którego był członkiem.

„Nie możecie sobie wystawić, powiada, z jakiém wylaniem się, z jaką czułością żegnali mnie Anglicy. Ręka mnie bolała od ściskania się — wszyscy wstali od stołu, co u Anglików jest niesłychaną rzeczą, aby mnie odprowadzić do powozu.“

Podróż jego skierowana była do Paryża, ale nie odbyła się tym razem bez przygód.

„W nocy wyjechałem z Londynu. Nad rankiem stanąłem w Dower — tam cały dzień czekać musiałem na odejście statku parowego. O 4téj po południu puściłem się na bardzo wzburzone morze. Im daléj płynęliśmy, tém było okropniéj. Calais choć mała cieśnina, ale niezmiernie burzliwa. O godzinie 10téj w nocy ciemność była okropna i fale tak wzburzone, że przelatywały przez pokład. Znużony i dręczony morską słabością, poszedłem do kabiny czyli do salonu. Dziwny widok, ze czterdzieści osób leżało na sofach i na podłodze — szczęściem miejsce maleńkie na sofie znalazłem — skurczyłem się i zasnąłem. A jednak pomyślałem sobie przed snem, iż się może gdzie indziéj przebudzę. O godzinie 12téj w nocy obudzono mnie rozmową. Dowiedziałem się z rozpaczą prawie, iż do portu Calais wpłynąć było niepodobieństwem, bo tegoż ranka przy wejściu do portu rozbił się okręt i nocą niebezpiecznie było omijać go. Znów więc kilka godzin morskiéj słabości. Wracamy do Dower, lecz nimeśmy wrócili, wiatr ustał, i napowrót kapitan skierował do Calais, dokąd o godzinie 8méj z rana przybyliśmy. Śliczne było słońce wschodzące na morzu, miałem więc wyobrażenie burzy.“

Po tych przeprawach, bez żadnych już przeszkód dostał się do Paryża. Przybył tam w zamiarze stałego na czas jakiś zamieszkania—około 6go albo 7go września i zaraz urządził się w własnym kąciku, po swojemu. Miał, jak mówi w liście do matki, śliczny mały pokoik, z mahoniowymi meblami i marmurowym kominkiem, który mu wielkie przyjemności obiecywał na zimę. Dopytywał się zaraz o znajomych; ale okazało się, że nie zastał tych, których najwięcéj widzieć życzył sobie. Mickiewicz miano-

wicie i Górecki byli wprawdzie czas pewien przedtém w Paryżu; ale przed jego jeszcze przyjazdem opuścili Francyą i bawili natenczas w Dreźnie.

Paryż nie zrobił na Słowackim przyjemnego wrażenia; równie i Francuzi wcale nie odpowiedzieli jego oczekiwaniom. Porównanie z Londynem i z Anglikami, które się mimowolnie samo przez się nastręczało, wypadło już w pierwszéj chwili na niekorzyść Francuzów.

„Londyn jest zupełnie oryginalnym, Paryż podobny do innych miast, do Warszawy... W Paryżu piękne pałace i ogród Tuilleryjski z swemi drzewami bardzo piękny; ale cóż za podobieństwo do ogromnego parku James w Londynie, gdzie po obszernéj murawie rozrzucone olbrzymie drzewa i pasą się najpiękniejsze trzody, i naokoło ogromne pałace z drzewami pokazują się wpół zamglone tą atmosferą, która dodaje wielkości i nieskończoności widokom angielskim“...

Równie niekorzystnie sądził i o mieszkańcach Paryża.

„Wiele zbiegłem świata, pisał w jednym z późniejszych listów (20 października 1831) — żyłem z Anglikami, bo mi się podobali, z Francuzami nie żyję. Mam do nich jakąś nieprzezwyciężoną odrazę. Taka nieszczerość... i tak wiele gadają! Samotny prawie przepędzam dzień cały.“ ...„Jeden najmilszy z wieczorów, który miałem w Paryżu, był na cmentarzu *Père la Chaise*. Nic nie widziałem piękniejszego w tym rodzaju. Za miastem wzgórze bardzo rozległe, którego pochyłość cała gęsto okryta grobami i zarosła cyprysami, przez które z trudnością przedrzeć się można. Różne drogi krzyżują się w tym lesie — w cyprysach mnóstwo róż miesięcznych, bladych ale kwitnących wiecznie. Czasem ognistym kwiatem błyśnie geranium. Groby wszystkie podobne do siebie, najczęściéj małe kolumny z białego marmuru. We środku na górze jest mała kaplica. Stamtąd wzrok po murawie, z wierzchołków cyprysowych utworzonéj, spada na dół i z dala w dymie błękitnym pokazuje się cały Paryż ze swymi gmachami. Nad nim, gdy byłem, zachodziło słońce. — Czarne wozy ciągle tam przez główną ulicę przejeżdżają — ale pogrzeby tu bardzo ciche — u nas tak Żydów chowają. — Dochodząc do cmentarza, pełno ogródków i sklepików, obwieszonych wiankami z świeżych i z sztucznych kwiatów. To charakteryzuje Francuzów. Każdy za kilka groszy dobrze pokaże innym swoję boleść, a kiedy da kil-

kanaście, to kwiaty z płótna aż po roku dopiero trzeba będzie odmienić."

Takisam wyrok potępiający znajdujemy i o teatrach paryskich.

„Byłem na kilku teatrach — nie możecie sobie wystawić, jak Francuzi szkaradnie grają tragedyą. Każdy wiersz przez nadprzyrodzone głosu przechodzi gamy. W publiczności żadnego gustu, na piękne kawałki świszczą — nic nie lubią, tylko małe komedyjki. W każdéj musi być Dej algierski. Tego wiecznie dręczą, i zdaje im się, że to jest sława narodowa. Byłem na takim wodewillu — zupełnie podobny do Siedem razy jeden. Francuzi rozpływali się."

Takie to były pierwsze wrażenia, które na naszym wędrowcu sprawiła stolica Francyi i stósunki tamtejsze. Z upływem jakiegoś czasu sądy jego o tém wszystkiém zmieniły się cokolwiek. Pobyt w Paryżu zaczynał być przyjemniejszym dla niego przynajmniéj o tyle, że nazbierało mu się wiele znajomości — tak między rodakami już dawniéj zamieszkałymi w Paryżu, jak przybywającymi coraz liczniéj dopiero za jego tam bytności — na emigracyą. Został też wprowadzony do domu XX. Czartoryskich i szczegółowo matce w listach swoich opisuje poniedziałkowe recepcye w hotelu Lambert, na których bywał przyjmowany gościnnie. Za jedną znajomością szły drugie. Do hr. Platerów (Ludwikostwa) był zamówiony raz na zawsze na wieczory czwartkowe; oprócz tego pełno w listach jego wzmianek o różnych Polakach, z którymi już w pierwszych miesiącach pobytu swego w Paryżu znajomości albo pozawięzywał albo poodnawiał. Leonard Chodźko, Antoni Górecki, Lelewel, Władysław i Cezary Platerowie, Michał Podczaszyński, Oleszczyński rytownik, Michał Skibicki, — oto kilka nazwisk więcéj znanych z pomiędzy większéj liczby rodaków, których znał, widywał i o których w listach swoich wspomina. —

Co się tyczy Lelewela, który przybył do Paryża zaraz po upadku powstania i spotykał się ze Słowackim przy różnych emigracyjnych uroczystościach, widzę się tu zmuszonym dodać, że go nasz poeta nie lubił. Wyrażał się w listach o nim zawsze z wielką goryczą. Oto na przykład, co o nim pisał z okazyi rocznicy 29 listopada obchodzonéj w Paryżu w r. 1831.

„Rej wodził na tym wieczorze znajomy niegdyś w Krzemieńcu tancerz, dzisiaj zjedzony przez mole biblioteczne, chudy, z dwoma czerwonemi plamami na policzkach, któremu do ozdoby jeszcze wąsy przybyły.“ (z listu z d. 10 grudnia 1831).

Przy innéj sposobności, z powodu polecenia, które mu przysłano z domu, ażeby się kłaniał Lelewelowi:

„Kłaniałem się, powiada, kutasom u bótów, które mile to przyjęły. Wy je uwielbiacie, szczęśliwi! Nie wiecie, co to jest bliższe poznanie ludzi. Jestto *le prophète voilé de Korashan*, tak go nazywamy ze Skibickim.“ (d. 7 marca 1832).

Niesnaski podobne pomiędzy pierwszemi naszemi znakomitościami niewarteby były wspomnienia, i chętniebym je był pozostawił „w letejskich zapomnienia falach“, gdyby nie okoliczność, że mi się późniéj przyjdzie w rzeczy nader ważnéj do tego, co tu teraz powiedziałem, odwołać. W tymto celu — lubo ze wstrętem — wypisałem powyższe miejsca z korespondencyi Juliusza; i konstatuję niniejszém fakt stanowczéj niechęci, już w owym czasie mającéj miejsce, pomiędzy tymi dwoma pisarzami naszymi.

Stósunki te z emigracyą nie wystarczały jednak idealnym, a raczéj exaltowanym pragnieniom Słowackiego. Źródłem ostatecznem takowych była tęsknota do kraju, choć może zupełnie świadomie sam sobie wtedy jeszcze nie zdawał z tego sprawy. Dlatego też usposobienie jego ówczesne bardzo było niejednostajne. Czasem znajdujemy go rozpływającego się w jakichś błogich uczuciach szczęścia i miłości ku ludziom; a bywały znowu chwile, gdzie go nudziło i ziębiło śmiertelnie całe owo otoczenie jego paryskie. Wtedy sądził o niém z lodowém szyderstwem, z odtrącającém, pogardliwém lekceważeniem! To też oczywiście pozostały i w listach ślady to jednych uczuć, to drugich. Są wprawdzie miejsca w korespondencyi (zresztą tak rzadkie, iż to śmiało do ustępów wyjątkowych zaliczyć można) gdzie pisał:

„Mamo! Nie śmiem Ci napisać, że mi teraz lepiéj na świecie, niż kiedykolwiek było; bo sobie wyrzucam, że ja mogę być bez ciebie, kochana matko, szczęśliwy! Ale widząc, jakto wielu ludzi teraz lubi mnie i kocha i mogę

powiedzieć uwielbia, nie wstydziłabyś się swego syna.“ (list z d. 7 marca 1832 r.).

Jednakże obok podobnych zwierzeń, daleko więcéj dałoby się przywieść ustępów, w których zupełnie innym tonem przemawia.

„Wiele mam teraz znajomych (pisał na przykład d. 10 grudnia 1831); ale żadnego miłego, żadnego z którymby mi było żyć przyjemnie. I chciałbym jak najprędzéj wyrwać się z Paryża do jakiego cichego miasta Włoch, żeby samo miasto mogło przemawiać do mojéj wyobraźni; bo Paryż bardzo prozaiczny — szkaradny — ani tak świetny, jak był kiedyś dawniéj. Trzyma mię w Paryżu jedynie nadzieja, że będę mógł drukować. Ale już tyle moich nadziei na niczém spełzło.“ —

Albo weźmy inne miejsce (z listu z d. 24 stycznia 1832 r.):

„Towarzystwo moje w Paryżu bardzo się powiększyło. Wielu mam nawet szkolnych kolegów; ale wszystko nie ci, którychbym sobie życzył. Słowem, że nie mam prawie towarzystwa. Życie moje bardzo jednostajne, i gdybym go sobie literaturą nie urozmaicał, nudneby było. Najlepiéj jestem z jednym Anglikiem, z którym często wieczory przepędzam i chodzę na spacer. Temu winienem, iż po angielsku już trzepię, a rozumiem wszystko doskonale. Jedną więc z moich największych przyjemności jest to, jeżeli się jaki romans nowy Coopera albo Walterscota pokaże.... Życie moje, jak mówiłem, jest więc bardzo jednostajne; zrana wstaję o godzinie 10téj — piję herbatę w domu — potém piszę — potém idę czytać gazety — o czwartéj idę na obiad, gdzie się schodzi wielu Polaków. Tam się zawsze widzę i gawędzę z godzinę z A. Góreckim, dawniéj pierwszym poetą (?). Jest on teraz w Paryżu, przyjechał z Drezna — i zrobił mi wielką przyjemność, przywożąc mi ukłony od ładnéj Saxonki, córki mojéj gospodyni...“

Dwa te wyjątki z korespondencyi wystarczą, ażeby zrozumiał to czytelnik, że Paryż Słowackiego niczém tedy w murach swoich nie więził; i że jeżeli w nim bawił, to tylko w nadziei, że może znajdzie tu dla dzieł swoich nakładcę, albo też jakim innym sposobem te dziecięta duszy swojéj, jak był zwykł płody swoje nazywać, potrafi wyprawić pomiędzy ludzi.

A było w owym czasie kilkoro już tych dzieciąt w samotnéj Słowackiego pracowni. Dotąd nie miałem jeszcze sposobności po-

wiedzenia choć słówka o autorskich jego zajęciach. I w tém miejscu także jeszcze nie pora rozgadania się o nich. Tyle jednakże nie zawadzi już tutaj mimochodem nadmienić, że zaczął poeta nasz sił doświadczać w tym zawodzie wymodlonym sobie od Boga, już w rychłym wieku. Z rzeczy napisanych na szkolnéj jeszcze ławie nie pozostało ani śladu, choć było to tam tego pewnie niemało. Co powstało po wyjściu ze szkół — w latach uniwersyteckich i za pobytu jego w Warszawie — z tego dopiero to i owo przechowywał u siebie w tece. Małą próbę téj najrychlejszéj Słowackiego poezyi zamieściłem na czele tomu Igo pism jego pośmiertnych, których wydanie staraniom moim udało się przywieść do skutku. Duma ukraińska była pisana w Wilnie w roku 1826. Na rok 1827 przypadają cztery Sonety, widocznie utworzone pod wpływem wydanych właśnie rokiem pierwéj sonetów Mickiewicza. Owocem roku 1828 był poemat pod napisem Szanfary — blada kopia owéj poezyi oryentalno-angielskiéj, która wtedy dostarczała natchnienia i starszym od Słowackiego pisarzom w kole mianowicie literatów litewskich (Al. Chodźko, Julian Korsak itp.). — Wszystkie te próby były dość słabe, jak na młodzieńca już kończącego uniwersytet i mającego zajaśnieć kiedyś takim blaskiem poetyckiéj potęgi. W Warszawie dopiero zaczął się ten olbrzymi talent raźniéj rozwijać. W roku 1829 napisał poemat Hugo i dramat Mindowe. W 1830 przybył do tego Mnich, Bielecki, Marya Stuart, jako też cztery owe wspomniane przezemnie już przy innéj sposobności liryczne jego utwory (Kulik — Oda do Wolności — Bogarodzica — Pieśń Legionu litewskiego), zaimprowizowane w skutek politycznych zdarzeń zaszłych na końcu owego roku i ogłoszone drukiem. Na początku roku 1831 powstała pieśń pierwsza Żmii...

To są wszystkie prace lat jego młodocianych, o których doszła do mnie wiadomość*). Wnosić jednak należy, że musiało ich

*) Właśnie kiedym miał te arkusze pisma mojego odesłać już do drukarni, przyniesiono mi numer 32 (z r. 1866) Kłosów warszawskich, w którym zamieszczona jest bezimiennego autora korespondencya z Brukselli, a w niéj szczegóły o odszukanym rękopisie

być i więcéj jeszcze: jeśli choć w części tylko jest prawdą to co pisał do matki swojéj żartobliwie Słowacki przybywszy do Wrocławia w roku 1831 zaraz po wyjeździe z Warszawy za granicę:

---

jakichś młodzieńczych poezyi Słowackiego, których między pośmiertnymi poety mego papierami ja nie znalazłem. — „Autor Lilli Wenedy — pisze autor rzeczonéj korespondencyi — zagubił przypadkowo w przejeździe przez Niemcy najpierwsze (?) poezye swoje, pisane w Warszawie 1829 roku. Późniéj przez cały ciąg życia napróżno szukał tego rękopisu. Dopiero po śmierci poety, przed niedawnym czasem dostała się ta książeczka w ręce, które zapewne będą umiały zrobić z niéj użytek. Szacowną tę puściznę stanowi niewielki zeszyt (stron 154, format 16kowy), oprawny w czerwony, złocony, safianowy papier, zapisany w całości własną ręką poety, z rysunkami, esami i floresami jego własnéj ręki.

„Na końcu téj książeczki znajduje się następująca notatka:

„„Warszawa 15 listopada 1830 r.

„„Oddałem do cenzury, a wkrótce oddam do druku moje wiersze: Maryą Stuart tragedyą, Jana Bieleckiego powieść, Hugona, Mnicha i Araba. Jakiż będzie mój zawód literacki?““

„Niezmiernie ciekawe (mówi daléj autor korespondencyi) są w téj książeczce notatki pod napisem: Wydatki i przychody z dzieł moich:

„„Za wydrukowanie Bogarodzicy zapłaciłem złp. 200. Wypłacili mi księgarze Gałęzowski, Zawadzki i Węcki, Merzbach, Hugues i Kerman, Brzezina i Kenkel, razem wszyscy złp. 144. Straciłem na Bogarodzicy złp. 56.

„„Za wydrukowanie Kulika zapłaciłem złp. 263. Wypłacili mi księgarze złp. 163. Straciłem na Kuliku złp. 100.““—

Wreszcie donosi korespondent, że się w rzeczonéj książeczce mieścić mają elegie, melodye, dumania, sonety, urywki i rozmaite drobne wiersze; i udziela w Kłosach na próbę „Piosnkę dziewczyny“, która zdaje się być ustępem z jakiéjś dłuższéj całości.

Skoro tylko (dawniéj jeszcze) się dowiedziałem z pism peryodycznych o exystencyi tego zbiorku poezyi, udałem się listownie do osoby będącéj w ich posiadaniu, prosząc o pozwolenie wcielenia ich do powszechnego zbioru pism Słowackiego pozgonnych, których wydanie tu we Lwowie właśnie się wtedy przeprowadzało. Gdyby tego potrzeba była, ofiarowałem się złożyć i honoraryum, byleby tylko zapewnić tym rzeczom ocalenie, a wydaniu mojemu nadać zaletę istotnéj kompletności. Nie wiem, czy list mój nie doszedł owych „rąk, które (jak się autor brukselskiéj korespondencyi wyraża) będą umiały zrobić z odszukanego rękopisu użytek“; czy też raczéj tam osądzono, że ten użytek koniecznie musi być zrobiony viribus separatis:—dość

„Wszystko moje z sobą niosę, to jest mały tłomoczek, a w tłomoczku trochę bielizny i... mnóstwo wierszy. Szkaradne wiersze! wagę mego tłomoka do 46 funtów podniosły“...

Dajmyż na to, że w tych słowach było wiele przesady. Jakikolwiek jednakże mógł być stósunek między ową trochą bielizny a wierszami: zawsze przypuścić można, że było tam pewnie materyału zadosyć, ażeby czém zapełnić parę tomików. — Od owego czasu upłynęło znowu kilka miesięcy. Minęło lato — i jesień; nadeszła zima, na początku któréj, jak to wyżéj już powiedziałem, u Słowackiego zazwyczaj krynice poetyczne wzbierały. Dawne zasoby warszawskie zapewne pomnożone zostały znowu jakim świeżym przybytkiem. Było tedy co drukować, i gorąco tego pragnął młody poeta. Ale życzeniu temu stał na przeszkodzie brak funduszu potrzebnego na pokrycie kosztów z tego wynikających. Nadzieja znalezienia nakładcy pomiędzy wydawcami z rzemiosła rozbiła się bardzo rychło o nieprzezwyciężone trudności. Pomiędzy rodakami było wprawdzie niemało takich, którzy robili Słowackiemu wyrzuty, iż niczego nie drukuje; ale takiego, któryby się ofiarował z materyalną pomocą do ogłoszenia dzieł jego, takiego między nimi nie było! Szukać go i wyciągać rękę po datek, jakby po jałmużnę — tego Juliusz nie chciał. Wynikło tedy ze wszystkiego bardzo rychło to smutne przeświadczenie, że jeżeli te dzieła miały kiedy być ogłoszone, to chyba własnym nakładem. Ale skądże go było wziąć, kiedy autorowi zaledwie wystarczało na życie? Przez czas jakiś, zaraz za przybyciem do Paryża, nosił on się z myślą, że może na innéj drodze trafi do celu. Najdonośniejszą i najprędzéj wynagradzającą pracę autorską gałęzią w literaturze francuskiéj było już i w owych latach powieściarstwo. Słowacki władał nieźle językiem francuskim; ułożył sobie zatém napisać romans po francusku, pomyślany na tle stósunków

---

że starania moje pozostały bez skutku. Wcale nie raczyła osoba dotycząca odpowiedzieć na mój list. Skończy się pewnie na tém, że te rzeczy albo przepadną, albo kapaniną pojawiać się będą w pojedynczych numerach jakiego dziennika emigracyjnego, który tu w kraju — przy i tak już zbytecznéj masie najrozmaitszych pism peryodycznych — mało przez kogo będzie czytany.

polskich. Honoraryum, któreby za niego od Francuzów otrzymał, zamierzał włożyć w wydawnictwo swoich poezyi. Chociaż się zawsze wzdrygał przed myślą pisać coś, że tak powiem, na obstalunek, za pieniądze i dla pieniędzy: wtedy jednak przez wzgląd na to, że nieraz wiele robi miłość kochającego ojca dla swoich dzieciąt, potrzebujących sukienki, w którejby się na świecie ukazać mogły, — wziął rzeczywiście pióro do ręki i zaczął pisać powieść francuską. Było to w styczniu 1832 roku. Znajdujemy o tém w jednym z listów z owego czasu następującą wzmiankę:

„Kręcą mi się po głowie teraz wszystkie anegdoty; bo powiem wam pod sekretem, iż piszę romans po francusku — z naszych oryginałów. Scena na Ukrainie — głównemi osobami są ś. p. szlachcic, co obchodził święta Cererу (podobno jakiś Marchocki), i drugi co podróż do Turcyi czy do Anglii odbywał (Rzewuski), a trzeci geometer Zszantyr, znajomy wam ze sztuki śpiewu i innych doskonałości. Wszystko sprzężone z wielu fikcyami i z długiemi rozmowami w guście Walterscota, i z długimi obiadami — w guście tegoż autora i Niemcewicza i w guście Polaków. Słowem będzie to chef d'oeuvre, za które mi powinni zapłacić jako za takie. Mam już 5 rozdziałów i tylko mi jeszcze 25 nie staje — to bardzo niewiele! Ale nie mówcie o tém nikomu, bo wystawiając żywe oryginały, można się kiedy z nimi spotkać. J' aurai cependant la précaution de faire périr mes personnages à la fin de la pièce — pour qu'on ne puisse plus les retrouver dans le monde; stąd możecie sobie wystawić, że będzie wiele krwi rozlewu — uniknę tego, połowę osób wieszając“...

Z samego tonu baraszkującego, jakim tu sam autor o dziele swojém przemawia, wynika, że nie przywięzywał doń żadnego znaczenia i traktował je jako robotę rzemieślniczą. Jakoż zdaje się, że się na owych pięciu rozdziałach rzecz też podobno urwała; ani bowiem nic takiego nigdy z druku nie wyszło, ani też nie wspomniał już drugi raz o tém Słowacki w korespondencyi. Ziściło się zatém i przy téj sposobności, co był już dawniéj napisał: „za pieniądze pisać nie mogę zupełnie; ile razy o tém myślę, imaginacyą mam zupełnie skrzepłą,“ itd.

Skoro tedy znikąd nie było widoku otrzymania zasiłku na

owo przedsiębiorstwo, udał się po pomoc ostatecznie do matki. Zapytywał rodzinę, czyby nie można podnieść jakiego kapitału— i pisał w tym interesie jak następuje:

„Za kilka tysięcy wdzięczny wam będę. Widzicie sami, że dla mnie nie ma innego widoku, jak te nieszczęśliwe poezye. Czyż mnie ta nadzieja, jedyna nadzieja w mojém życiu, zawiedzie? Innych snów wielkości nigdy nie miałem. Innéj nie spodziewałem się karyery. Kiedy z małego ułomku znany byłem wszystkim Polakom w Paryżu i Dreźnie; kiedy jeszcze dotąd każdy poznając się ze mną wykrzyka: a! to autor Bogarodzicy: czegoż spodziewać się mogę na przyszłość? Przynajmniéj nie zapomnienia! Oskarżajcie mnie więc, iż trzymam się tego, co mi najwięcéj w życiu zrobiło przyjemności. Jeżeliby mi się szczęśliwie z wydaniem poezyi powiodło, to mam zamiar pojechać do Hiszpanii — a stamtąd do Neapolu morzem, a przez Rzym i Wenecyą, Tryest, Wiedeń wrócić kiedyś do Was, jeżeli będzie można. Jakbym był szczęśliwy, gdyby mi się te projekta udały!"...

Powiedzmy jednak już w tém miejscu nawiasem, że ta myśl powrotu do ojczyzny nasuwała mu się wtedy tylko przelotnie. W istocie bowiem nie wchodziła ona wtedy w stałe jego projekta. W innych listach, pisanych około tegosamego czasu, budował on sobie zupełnie inne plany.

„Wasz kraj tak mi się pięknym teraz wydaje, kiedy nie mam prawie nadziei widzieć go kiedy. O powrocie ani myśleć, bo powiedzcie, cobym ja teraz tam robił? Różnica kosztów bardzo mała, czy tam, czy za granicą"...

I w inném miejscu:

„Często sobie myślę, jeżeli mi Bóg w moim zawodzie poszczęści, jeżeli będę miał jakie przychody, co wynosić będą z 5000 franków na rok: wtenczas matko, przyjedziesz do Drezna — tam życie bardzo tanie — najmiemy sobie jaki wiejski domek pod miastem — i może będzie nam dobrze! Drezno bardzo lubię i radbym tam wrócić." —

Matka poczciwa zrozumiawszy żądanie syna, dotyczące owéj sumy na druk poezyi, uczyniła niezwłocznie, co tylko mogło, tak iż już list Juliusza z d. 7 marca 1832 r. zaczynał się od słów:

„Mamo kochana! nie uwierzysz, jak teraz jestem szczęśliwy! I tobie to, Matko moja, winienem jedynie szczęście

jakiego jeszcze doświadczać mogę. Od tygodnia zajęty jestem drukiem moich poezyi. Za dwa miesiące będziesz je Mama miała. To taksamo, jakbyś mnie zobaczyła — bo ja nie jestem niczém inném, jak mojemi poezyami"...

Z dalszego toku listu dowiadujemy się o wszystkich niemal okolicznościach ubocznych, które towarzyszyły oddaniu pod prasę owych poezyi. A że wiąże się z tém i inny jeszcze szczegół, o którym w biografii Juliusza zupełnie przemilczećby nie można: — przytaczam tedy rzecz tę całą własnemi jego słowami:

„W poniedziałek, d. 22 lutego, siedzę rano u siebie; aż wchodzi jakiś człowiek z worem pieniędzy na plecach i oświadcza mi, że ma mi do wypłacenia 3000 franków. I natychmiast składa mi na stole całą sumę w biletach, razem z listem od Mamy. Od téj chwili inne zaczęło się dla mnie życie.... Zaraz nazajutrz rano poszedłem do drukarni Pinnard o druk się układać, i tam zastałem bardzo ładną pannę Pinnard (najstarszą), któréj narzeczony zawiaduje drukarnią. Ten narzeczony był bardzo grzeczny dla mnie. Ułożyłem się o druk, i dwa tomy będą mnie kosztować nie tak wiele, jakem się spodziewał. (Kosztowały go 2000 franków, jak w inném miejscu nadmienia). Potém zostałem z panną Pinnard i z tą długo gadaliśmy. Chodźko mówił mi, iż odemnie o trzecią część biorą taniéj, niż brali za dzieła Mickiewicza. Widzicie, że dobrze to poznawać się z panienkami — dobrze się zostać przy kominku i o czém inném niż o interesach pogadać"...

W pięć dni późniéj opisywał Słowacki matce bytność swoję na obiedzie u panien Pinnard, na który był proszony, i powiada co następuje:

„Znalazłem tam Chodźkę (Leonarda). Średnia z panien, których jest trzy, nazywa się Kora. Śliczna! zupełnie taka, jak sobie wystawiałem Korę, heroinę Mohikanów. Dziewczynka młoda, ma lat 15 i coś hiszpańskiego w twarzy. Ale ja nieszczęśliwy więcéj daleko podobałem się pannie Pinnard najstarszéj, która coś na sawantkę zakrawa. A ponieważ mam dobre uszy, podsłuchałem jéj rozmowy z Chodźką. Mówiła mu, że mnie znajduje bardzo do rzeczy i z dowcipem. A on jéj na to odpowiedział: *mais, les Polonais ne sont pas bêtes!* Zaśmiałem się skrycie z jego odpowiedzi. Widzicie więc, że zdarzają się chwile, kiedy wasz Julek dowodzi, że Polacy nie są głupimi! — Po obiedzie zo-

stałem sam z pannami, i panna Kora śpiewała mi śliczne romanse. Siedząc tak przy kominku, słuchając muzyki, przypomniałem sobie ciche domowe wieczory w Wilnie. Nazajutrz posłałem Korze kilka ładnych romansów, które na teatrze słyszałem.“ —

W niespełna miesiąc potém, znowu pisał matce tyle jeszcze o tejże okoliczności.

„Zacząłem dziś rano pannę Korę po polsku uczyć. Dziwne prawdziwie moje lekcye! Starsza siostra bardzo z tego kontenta. Przypominam sobie, że raz, kiedy jéj mówiłem, jak miłość chłopców ukształca, odpowiedziała mi, że i panny się kształcą. Chce więc zapewne, aby się panna Kora uformowała. Bardzo dobrze. Zdaje mi się jednak, że na zły wpadła sposób; panna Kora płakała cały ranek, nim ja przyszedłem. Dziwna dziewczyna! Mówiłem wam, że Hiszpanki ma zakrój. Wieczór razem ze Skibickim na włoskiéj operze pierwszych w Europie słuchałem śpiewaków: a jednak — nudziłem się...

I jeszcze raz, w tymże liście — wraca do owéj dziewczynki z okazyi innego zdarzenia.

„W Paryżu cholera! Z rana przyszedłszy do drukarni, zastałem całą skonsternowaną. Chłopiec mały 15letni umarł na cholerę. Musiałem pójść do salonu cieszyć i upewniać panny, aby się nie lękały. Wystawcie sobie, że kiedy chłopiec konał, kiedy wszyscy rzemieślnicy stali w około bladzi i przerażeni, tak że nikt się tknąć chorego nie ważył — moja kochana Kora sama otworzyła mu usta i dawała lekarstwo. Gdy się o tém dowiedziałem, chciałem gwałtownie w obecności wszystkich chwycić ją i ucałować— szczęściem że rozwaga przybyła mi w porę.“

W ciągu tego wszystkiego, druk poezyi postępował raźnie naprzód. Uwaga rodaków na emigracyi żyjących zwracała się coraz więcéj na młodego poetę i zdarzały się różne okoliczności, które go zachęcały w jego zawodzie, ośmielały w rozumieniu o sobie, a częstokroć też niestety bałamuciły i psuły. Podsycały bowiem tę próżność i dumę i miłość własną, którą mu wprawdzie wszyscy chętnie wybaczymy, był to bowiem bardzo młody człowiek natenczas, ale która ostatecznie nie należała bynajmniéj do warunków jego powodzenia autorskiego w przyszłości. Raczéj przeciwnie! Jednę okoliczność taką sam szeroce opisał. Byłto dzień

25 marca, przeznaczony na obchód uroczysty rocznicy litewskiego powstania.

„Z rana odebrałem list z wielu podpisami, między którymi znajdował się podpis Julliena starego (wydawcy Revue Encyclopédique, znanego z życzliwości dla naszych), list zaklinający mnie, abym na posiedzeniu literackiém czytał. Siadłem więc do roboty i w kilka godzin napisałem odę, w któréj umieściłem kilka myśli z różnych poematów. Przyszedł wieczór — ogromne zgromadzenie — mnóstwo dam polskich i francuskich, młodych i ładnych. Lafeyette prezydował — wszyscy czytali po francusku — Lelewel także. Czytano wiersze francuskie — potém na końcu Wiceprezes obracając się do zgromadzenia rzekł, że towarzystwo uprosiło największego z poetów polskich (?!), ażeby po polsku deklamował, a stąd wzywa Pana Słowackiego, aby zasiadł miejsce. Pan Słowacki nie zasiadł, lecz stojąc mówił — co? trudno opisać. Rzucałem całém zgromadzeniem — potém rozłamałem wiersz ody, i powiedziałem jednę śliczną historyczną powieść w trzydziestu wierszach, — znów wróciłem do ody — i zakończyłem myślą z Lambra wyjętą. Wypiszę ją tu:

„Ja będę śpiewał i dążył do kresu,
Ożywię ogień, jeśli jest w iskierce....
Tak Egipcyanin w liście z aloesu
Obwija zwiędłe umarłego serce;
Na liściu pisze zmartwychwstania słowa —
Chociaż tém liściem serce nie ożyje,
Lecz od zepsucia wiecznie się zachowa,
W proch nie rozsypie.... Godzina wybije,
Kiedy myśl słowa tajemną odgadnie;
Wtenczas odpowiedź będzie w sercu — na dnie“....

„Po skończeniu Prezes ściskał mnie za rękę i gadałem z nim przez chwilę — starzec interesujący! Francuzi mówili, iż z taką duszą deklamowałem, że wszystko rozumieli prawie. Kiedy po skończeniu spojrzałem na tłum dam — obaczyłem oczy jednéj ślicznéj tak impertynencko zwrócone na mnie, że moje musiałem odwrócić—i znów spojrzałem, i jeszcze tosamo spojrzenie. Żeby tak długo, tobym zwaryował. Potém słyszę głos jednéj damy po polsku pytającéj się wszystkich o mnie. Byłato pani B. którą w Dreźnie znałem. Ta skoro mnie spostrzegła, przyleciała z krzykiem: „Ach! serce Pana!“ Odpowiedziałem, że się cieszę, jeżeli się jéj moje serce podoba. Potém wymawiała mi, że u niéj nie byłem. Potém pytała mię, czy mam przy sobie pugilares, bo mi chce

zapisać swój adres. Gdybym go był miał, to ręczę że w pugilaresie znalazłbym potém coś ciekawszego niż adres, bo to sawantka! Ale ja z najzimniejszą krwią wziąłem ze stołu pióro i kawałek papieru i dałem te materyały nieromantyczne, co znacznie zapał jéj osłabiło, tak iż tylko o mieszkaniu samém dowiedziałem się. Potém w kilka dni byłem na wieczorze u Platerów, gdzie znów nowe obojéj płci zbierałem pochwały, gdzie pan Jullien znów się do mnie przysiadł i upewniał, że Odę zrozumiał“...

Podobnie odurzały go także dochodzące ze wszech stron wieści o recenzentach, o tłómaczach itd. już gotowych do rozsławienia imienia jego na wszystkie końce świata i tylko oczekujących z natężoną niecierpliwością wyjścia drukujących się poezyi.

„Dowiedziałem się — pisał z niezachwianą ufnością w ich powodzenie, w tymże samym liście — że już jeden z Polaków temperuje pióro, aby rozbiór moich poezyi pisać.... Mam już mojego księgarza, który będzie moim księgarzem na zawsze, tak jak Murray Byrona — i będzie mnie oszukiwał... Lemaitre, jeden z francuskich poetów, wziął do tłómaczenia mego Mnicha i Araba. Skibicki pisze do Revue Encyclopédique o moich poezyach, i tam będą umieszczone dwa Lemaitra tłómaczenia... Sienkiewicz (Karol) dowiedziawszy się, że ja wydaję teraz poezye, pisał do Bł. z Anglii, każąc mi się kłaniać i prosząc, abym mu jak najprędzéj poezye moje przysłał, bo je chce na angielski język tłómaczyć. Widzisz, kochano matko, jak to ja będę zaraz w dwóch językach figurował. Sienkiewicz spodziewa się wziąć za to znaczne pieniądze, i pewny jestem że wszyscy moi tłómacze lepiéj niż ja wyjdą. Miło mi wreszcie, że to Sienkiewicz tłómaczyć będzie — i mimowolnie przypomniałem sobie Mikulskiego, który mi radził niegdyś poezyi zaniechać, mówiąc że Sienkiewicz daleko większym odemnie był poetą, a przecież tego błahego i głupiego rzemiosła zaniechał. Wykolę kiedyś oczy Mikulskiemu, posyłając mu po angielsku tłómaczone moje poezye.“ *)

*) Nie od rzeczy może będzie już w tém miejscu nadmienić, że oprócz przekładu na język francuski Bogarodzicy i Araba, dokonanego przez Lemaitra, żadno z tłómaczeń tu zapowiedzianych do skutku nie przyszło. Skończyło się to więc na niedoszłych projektach z jednéj strony — a na płonnych nadziejach z drugiéj. — Przekład Lemaitra wyszedł 1833 r. w Revue, i także w osobnéj odbitce.

Przytoczone ustępy wystarczą, ażeby czytelnik powziął wyobrażenie o stopniu błogiego upojenia, jakiém odurzały poetę — przed ogłoszeniem jeszcze poezyi — ryczałtowe pochwały ze strony osób bezpośrednio go otaczających, osobiście jemu życzliwych, zresztą olśnionych nowowschodzącą gwiazdą jego poetyckiéj sławy. Cieszył on się téj sławie swojéj, jak dziecko cacku, za którém dawno, za którém długo goniło, a teraz ma je już tak blisko przed sobą, że dość wyciągnąć rękę, ażeby je pochwycić. Było to jedyne pragnienie jego na ziemi, jedyna namiętność, powiedziałbym: jedyna sprawa, która go przywięzywała do świata. Dla téj marnéj sławy potomnéj wszystkiego się wyrzekał. Teraz zdawało mu się — po raz pierwszy w życiu, w życiu tak jeszcze młodém, że ją posiadł nareszcie. Przebaczmyż mu, że go tu zdybujemy na rojeniach, które tchną taką dozą miłości własnéj i dumy. Coby to było, gdyby się te rojenia były ziściły od razu!...

Były jednak chwile, gdzie się Juliusz w tém wysokiém rozumieniu o sobie i cokolwiek miarkował; gdzie mu na myśl przychodziło, że ani na uwielbieniach ludzkich, ani też na własnych o sobie samym mniemaniach tak bardzo nie należy polegać. Opowiada w tymże samym liście matce np. następujące zdarzenie.

„Byłem na mszy żałobnéj, którą jeden z moich przyjaciół kazał odprawić za duszę zmarłego ojca. Celebrował X. Praniewicz, Polak ze Żmudzi, który aż po Ameryce wałęsał się i od 5 lat w Paryżu usługę ołtarzową pełni, wielki oryginał! Potém ksiądz zaprosił nas na śniadanie. Ksiądz jest poetą — pisze — drukuje, czyli sztychuje z muzyką swoje wiersze — i te nam śpiewał przy fortepianie. Nic dziwniejszego, jak ta melodya! Najwięcéj mi się podobała strofa, w któréj książę Poniatowski mówi do przechodnia:

Jakom marszałek francuski
Narodowi temu wierny,
Z mojemim szedł na kraj pruski
Przez Sasy, ów naród mierny.

I ja i Skibicki otrzymaliśmy po exemplarzu dzieł, przy których Baka byłby tak mierny, jak kraj saski. Ksiądz sądzi, iż jest wielkim poetą. Pochwały nasze utwierdziły go w tém mniemaniu. Była to jednak scena dla mnie na-

uczająca, aby mniéj ufać miłości własnéj — mniéj pochwałom cudzym — scena bardzo potrzebna; bo czy uwierzycie, że dowiedziawszy się o śmierci Göthego, pomyślałem sobie, iż Bóg go wziął z tego świata, aby dla mnie wydającego poezye zrobił miejsce na świecie?... Matko moja, widzisz jak szczerze piszę ten dziennik — piszę nawet głupie moje marzenia“... itd.

Wreszcie nadeszła chwila (było to d. 12 kwietnia 1832 r.), gdzie leżały już przed nim gotowe obydwa tomy „Poezyi Juliusza Słowackiego“ i gdzie matce przesyła radosne doniesienie:

„Mam poezye moje! I pierwszy dzień ich wyjścia był dla mnie źródłem niewysłowionych przyjemności. Matko moja, cóż Ty, cóż wy wszyscy o waszym Julku powiecie? Matko moja, zdaje mi się, że Ciebie te poezye nie zmartwią — chyba zasmucisz się tymi kilku błędami drukarskimi, których Twój szalony Julek uniknąć nie mógł. Zwłaszcza pod koniec Żmii błyszczą te omyłki straszliwym blaskiem. — Dziś obaczyłem u Pinnard regestr ludzi sławnych, zawarty w biografii Contemporains, a pod literą S. taki porządek: Skrzynecki Jan, Słowacki Euzebiusz, Słowacki Juliusz, Smuglewicz Franciszek, Śniadecki Jan, Śniadecki Jędrzej itd. Widzicie, że w dobrém jestem towarzystwie. Ucieszyło mnie to bardzo Jestto najsławniejsza biografia. Ciekawy jestem, co o mnie piszą — będę się starał dostać jéj. To dziwniejsza, że ta biografia wyszła wprzód, nim zacząłem drukować moje poezye; a stąd niewiem, z czego mnie tam sławnym zrobili?... Posyłam Wam exemplarze z podpisami. Nie wielu osobom posyłam [było takich exemplarzy 13], a to dlatego, aby moich podpisów nie pospolitować, aby te osoby, które odemnie dzieło otrzymają, wiedziały, że ja je szczególniéj szanuję i kocham.... A Tobie, kochana Mamo, jakimże sposobem mógłbym dać poznać, że Ciebie jeszcze z pomiędzy tych wszystkich osób odróżniam? Czy Ty nie odgadniesz, Matko, co czułem podpisując dla Ciebie exemplarz?... Na drugi dzień po wyjściu dzieł, Oleszczyński, sławny sztycharz, prosił mnie, abym mu portret mój zrobić pozwolił. Jak wyjdzie, przyślę go Wam. Wiesz, kochana mamo, że tyle tu mam uwielbienia od moich rodaków, że mię już krytyki nic nie obchodzą. Martwię się tylko błędami druku; ale spodziewam się, że będę mógł prędko drugą edycyą wydać i te błędy zginą“...

W tym sensie list ten nieco się jeszcze przedłuża; nakoniec kończy go Juliusz temi słowami:

„Bądźcie zdrowi i szczęśliwi — ja jestem szczęśliwy. I gdyby nawet 2000 franków, wydane na druk dzieła, nie wróciły się, to powiem, żem nie drogo szczęście kupił.“

To wydawanie dzieł, te różne zajęcia, jakie z tego wynikały w dalszych następstwach, wyczerpywały i czas i całą myśl młodego poety do tego stopnia, że wszelkie inne względy zupełnie im ustępywały miejsca na pierwszym planie. Znajomość z panną Korą, tyle zrazu obiecująca, zeszła z czasem do rzędu rzeczy ubocznych, obojętnych. Minął miesiąc cały i więcéj, odszedł list jeden i drugi, i ani słówkiem nie donosił w nich matce, co się dzieje z panną Korą. Ale matka była zaciekawiona — skłaniała się ku przypuszczeniu, że milczenie właśnie dowodzi, iż uczucie żyje i wzrasta... w końcu wzręcz zainterpellowała jedynaka swojego, jak ta rzecz jest? Na interpellacyą otrzymała odpowiedź taką (d. 4 lipca 1832):

„Milczenie moje nie dowodzi, abym się szczerze zakochał. Nie! Wszystko, jak było, wiernie opiszę, choć może śmiesznym się wam wydam. Przez grzeczność kiedyś powiedziałem pannie Korze, że ją kocham. Ona mi się także przyznała, że mię kocha — a wtedy zapytałem ją, co zrobi, jak ja ją kochać przestanę? Odpowiedziała mi, że się otruje, albo że się utopi; a z téj odpowiedzi widać, że się urodziła na brzegach Hiszpanii. Od tego czasu postanowiłem dowieść jéj, że się ani zabije ani utopi, chociaż ją kochać przestanę. I zacząłem kaprysić i przyprowadzałem ją do gniewu; dawałem uczuć, że jeszcze dziecko — słowem mściłem się na niéj za wszystko, co kiedykolwiek od wietrznic, jak mówi B. Zaleski, ucierpiałem. Nie wiem, z jakiéj przyczyny, ale wpadła w gorączkę—w gorączce miała deliryum, a z tego siostry musiały się tajemnicy jéj serca dobadać. Widząc, że nadto zły byłem w mojém postępowaniu, postanowiłem aby mnie zapomniała. Powiedziałem jéj to, i przez miesiąc nie poszedłem do nich. Pozaprzeszłéj niedzieli przechodząc przez aleję Tuilleries ogrodu, wśród tłumu wyelegantowanych dam ujrzałem znów pannę Korę z siostrami. Ukłoniłem się z daleka i przeszedłem. Ale pani Barateau, także jéj siostra, posłała swego kuzyna, żeby mię szukał i przyprowadził. Wróciłem więc do miejsca, gdzie damy siedziały—z bardzo wesołą twarzą; siadłem przy nich na krześle—

gadałem przez godzinę — panna Kora czerwieniła się i bladła. Potém damy wstały — musiałem pani Barateau ofiarować rękę i odprowadzić do domu. Przechodząc przez most królewski, Kora, która szła naprzód, zatrzymała się i zapytała, z którego to mostu la duchesse de Guiche rzuciła się w Sekwanę. Uczułem, że to zapytanie było delikatném przypomnieniem mojéj niestałości i uśmiechnąłem się, kiedy pani Barateau, która kiedyś znała księżniczkę de Guiche, zaczęła długo na zapytanie Kory odpowiadać. Od tego czasu widziałem je znów kilka razy w ogrodzie — siadam przy nich czasem na kwadrans... Ale dość o tém, już i tak czuję, że się Wy ze mnie śmiać będziecie.“

W dalszych listach nieraz jeszcze napotykają się dorywcze wzmianki o tym stósunku. Wynika z nich, że Słowacki bywał w tym domu potém znowu często, i siadywał pomiędzy panienkami nie kwadranse, ale nieraz długie godziny.

„Bawi mnie otwartość Kory – pisał krótko potém w jednym liście — wszystko mi gada jak pacierz.“

Albo w inném miejscu:

„Smutno mi — ale co robić? jutro pójdę do Kory. Może kiedy mi zacznie patrzeć w oczy i uśmiechać się, może ten smutek rozproszy; choć dalibóg, nie kocham jéj...“

I bez tego zapewnienia okazuje się jasno, że o miłości prawdziwéj nie mogło być mowy co do jego osoby. Być może, że gdyby mu Kora przy własnościach, jakie miała, była zaimponowała czémś wyższém, niepospolitém, a choćby wreszcie i samą tylko niewzajemnością: byłaby może wzięła znajomość ich inny obrot. Bo młody nasz autor zajmował się wprawdzie łatwo i bardzo lubił wiedzieć o tém, że sprawił na kim wrażenie; ale ażeby się u niego odezwało i serce, do tego potrzeba było silnego wzruszenia wyobraźni, a tę rozbudzały tylko twarde, uporczywe i niepokonane trudności, które bodły dumę. Takimto sposobem wzrosło u niego przywiązanie ku Ludwice, choć odpłacane niewzajemnością, do rozmiarów może nie takich, jak je wystawia w Godzinie Myśli, ale zawsze niepospolitych. Pod tymiż warunkami byłaby może trwalsze sprawiła wrażenie i ta 15letnia dziewczynka o hiszpańskich rysach twarzy przy naiwności francuskiéj. Ale Kora zbyt skwapliwie przyznała się do uczuć, jakie w niéj

wzbudził. A to wystarczyło, ażeby wspomnieniom pierwszéj miłości zapewnić i nadal wyłączne miejsce w wyobraźni Juliusza.

To też właśnie do tegoż listu, w którym w taki sposób mówił o Korze, dołączył Słowacki z powodu ogłoszenia dzieł swoich i bilet do Ludwiki Ś. Przerwał nim kilkoletnie milczenie, jakie trwało pomiędzy nimi jeszcze od czasu wyjazdu z Litwy. Matce zaś przesłał takie zlecenie:

„Mamo moja, choćbyś miała dwa exemplarze,*) to jeden poślij Ludwisi — koniecznie! koniecznie!... List ten odeślij, ale tak, żeby pewnie doszedł i żeby go przeczytała... O gdyby ona odpisała do mnie! Ale nie spodziewam się...“

Przez cały ciąg czasu, gdzie się to wszystko działo, Adama Mickiewicza nie było w Paryżu. Autor Walenroda bawił natenczas w Dreźnie, następnie przez tygodni kilka w Poznańskiém; a potém... po zajęciu przez Rosyan Warszawy, znowu wrócił do Drezna. Tu osładzał sobie owe chwile bolesne towarzystwem Odyńca i Stefana Garczyńskiego, do którego się szczególniéj przywiązał. W miesiącu czerwcu czy lipcu roku 1832 opuścił wreszcie stolicę saską i przyłączył się dobrowolnie do tego zastępu wygnańców, którzy w nieprzerwanym szeregu, różnemi drogami przez Niemcy ciągnęli coraz daléj na zachód. Z końcem lipca stanął w Paryżu.

W listach Słowackiego dawniejszych, datujących z pierwszych miesięcy jego pobytu we Francyi, znachodzą się nieraz wzmianki, że nie znalazł i że nie znajduje ciągle tych osób około siebie, którychby sobie najwięcéj życzył. Kogo mianowicie przez to rozumiał, tego nigdy nie powiada. Ale imię Mickiewicza prawie zawsze tam bezpośrednio potém następuje wspomniane, z dołączeniem doniesienia, gdzie właśnie wtedy przebywał. Godzi się tedy ze wszech miar wnosić, że z Adamem to głównie pragnął spotkać się gdzie na czas trwalszy Słowacki, i że zatém nie miał wtedy jeszcze żadnych uprzedzeń przeciwko jego osobie. Przytacza

*) Mówi o tych exemplarzach dzieł swoich, których był kilkanaście wyprawił dla rozdania pomiędzy znajomymi.

czasem wiersz, wyraz, myśl jaką, wyjętą z dzieł Adama, i to tonem, który dowodzi, że go za potęgę poetycką uznawał. Ale po upływie kilku miesięcy, już w stolicy Francyi spędzonych, urosła wziętość Juliusza. Nazwano go na publiczném rodaków i Francuzów zebraniu — największym poetą polskim. Pojawiły się dwa tomy jego Poezyi. Pierwsze wrażenie, jakie te poezye na emigracyjnéj czytelników masie sprawiły, było dla autora bardzo pochlebne. Nie dziw zatém, że po tém wszystkiém nie był to już zupełnie tensam Juliusz, który za przybyciem swém do Paryża skarżył się na to w listach, że nie zastał tam Mickiewicza. Owoż więc spełniły się teraz owe jego niezbyt dawne jeszcze życzenia: miał Adama wreszcie w Paryżu! Jakiż się zawięzuje pomiędzy nimi stósunek?

W liście z d. 30 lipca tyle tylko o tém matce sucho i nawiasowo donosił:

„Mickiewicz dziś przyjechał do Paryża. Ale nie pójdę pierwszy do niego. Jeżeli się zechce poznać ze mną, to dobrze.“

W tydzień potém zapisywał sobie w dzienniku, co następuje:

„Od kilku dni przyjechał Mickiewicz. Żaden z nas nie chciał zrobić pierwszego kroku do poznania się; a było kilka osób, którym mówił, że mnie chciałby widzieć. Starano się więc sprowadzić nas gdzie razem i poznać. Dziś zeszliśmy się na wielkim obiedzie. Mickiewicz improwizował — ale dosyć słabo. Po obiedzie, kiedy chodziło towarzystwo po ogrodzie, Mickiewicz przystąpił do mnie“ [a zatém pierwszy krok zbliżenia zrobiony był według tego świadectwa przez Mickiewicza!] „i zaczęliśmy sobie nawzajem mówić komplementa. Mówił mi, że mnie znał dzieckiem... przypomniałem mu owę jego wizytę u nas, gdy się zszedł tak nieszczęśliwie z Janem Śniadeckim.*) Śmiał się z przypo-

*) Zdarzenie, do którego się ta wzmianka odnosi, było następujące. Wiadomo, że w pierwszych czasach pojawienia się romantyzmu w naszéj poezyi, do najżarliwszych przeciwników tego kierunku należał Śniadecki, profesor astronomii i wysłużony rektor akademii wileńskiéj. W skutek rzetelnych i wielkich zasług położonych przez niego w poprzednich czasach, było znaczenie tego męża i naówczas jeszcze w akademii takie, jak żadnego drugiego profesora. Jego zdania nadawały niejako ton i kierunek zachowania się względem téj

mnienia. Potém przypomniał mi, że mu Malewski moje wiersze za granicę przysłał... Kiedyśmy zabrnęli w kom-

---

kwestyi i innym profesorom. Zaczém poszło, że jak młodzież uniwersytecka garnęła się bez wyjątku pod sztandary nowych pojęć w téj walce literackiéj: tak znowu profesorowie, a mianowicie starsi, stali uporczywie po stronie klasyków. Otóż wśród dość naprężonych stósunków między jedną stroną a drugą, pojawił się r. 1822 pierwszy tomik Poezyi Adama Mickiewicza. Zawierał głównie ballady, oprócz ballad także kilka poezyi ulotnych, a między niemi i wiersz zatytułowany Romantyczność, w którym poeta wręcz rzucił rękawicę kierunkowi reprezentowanemu przez Śniadeckiego, i nawet jego osobę dość wyraźnie pod figurą mędrca ze szkiełkiem w osnowę rzeczy wprowadził. Zdarzyło się, że właśnie po odczytaniu tego tomiku Śniadecki nieukontentowany i cały pod wrażeniem niesmaku rzeczy, których piękności nie pojmował, odwiedził kolegę swego Dra Becu, który jak wiadomo był ojczym Juliusza. I zastaje u niego przypadkowo liczniejsze towarzystwo, a między innymi także i Mickiewicza! Cóż robi? Udaje, że go nie spostrzegł; że nie wie wcale, iż on tutaj obecny. I zaczyna mówić o niedorzeczności i śmiesznościach poezyi, których tom właśnie rąk jego doszedł — w sposób nie tylko sarkastyczny, ale i w najwyższym stopniu upokarzający dla autora, a to tém bardziéj, że i gospodarz domu, rozochocony tém niby nieporozumieniem, dopomagał Śniadeckiemu w tym niewczesnym zapędzie, wyzywając go do coraz dalszych uszczypliwości. Mickiewicz milczał. Był on wtedy jeszcze w towarzystwie osób starszych nieśmiały, i znajdywał się nadto o tyle w położeniu arcyfałszywém, że miał przed sobą samę hierarchią w zawodzie nauczycielskim, do którego i sam wtedy jako profesor szkół kowieńskich należał. Oprócz tego był on z różnych przyczyn i osobiście zawisły od téj starszyzny; nie śmiał zatém wręcz wystąpić w własnéj obronie. Milczał więc: i tak skończyło się owym razem na jego tylko upokorzeniu. Ale im tego nie zapomniał! Wziął ten objaw literackiego antagonizmu ze strony Śniadeckiego i gospodarza domu za coś więcéj, bo za jeden z licznych dowodów usposobienia ich nieprzyjaźnie zwróconego przeciwko rozbudzeniu ducha w ogóle w gronie litewskiéj młodzieży. Że się w tém mylił, tego mógłby nam dowieść sam żywot Śniadeckiego w całości wzięty — żywot poważny i do samego zgonu bez skazy. Ale w sporach ówczesnych grały namiętności i rozdrażnienia. Życzliwego pobłażania ani wyrozumienia nie było ni z jednéj strony ni z drugiéj. — Takie więc wrażenie wyniósł ze sobą Adam z owego wieczoru. I zachował je długo w pamięci, i nie darował. W trzeciéj części Dziadów objawił sąd swój o ludziach owego obozu niemiło-

plementa, kiedy mu mówiłem, że go uważam za pierwszego poetę, jeden z Polaków stojący za mną i podchmielony zapewne, powtarzał jak echo: nadto jesteś skromny — i temi słowami pomięszał zupełnie naszę rozmowę... Podczas obiadu Cezary Pl. biegał i zapraszał nas na wieczór artystów do siebie. Byłto wieczór z męszczyzn samych złożony. Chopin sławny fortepianista grał nam... gadaliśmy różne poezye, słowem że dobrze nam zszedł wieczór... Wielu było Wołynianów — wiele wypiliśmy szampana. Wieczór ten był naśladowaniem świetnych wieczorów, które tu dają artyści francuscy. Na takich wieczorach muzycy najpierwsi grają, malarze przy stolikach rysują karykatury i często korzystają z twarzy przytomnych sawantek — wojażerowie opowiadają swoje podróże — uczeni swoje odkrycia, itd..... W kilka dni potém u Straszewicza był drugi taki wieczór, ale jak zwykle z długich przygotowań nic się nie klei, tak też na tym wieczorze nudziliśmy się śmiertelnie od 10 do 2 w nocy. Pod koniec jednak Chopin upił się i prześliczne rzeczy improwizował na fortepianie..."

Przy podobnych sposobnościach widywali się zatém obydwaj poeci. Znajomość ich byłaby się może powoli zamieniła w zażyłość coraz ściślejszą, tém bardziéj, że nie było i bez literackich stósunków, które ich ze sobą utrzymywały w jakimkolwiek związku. Założone zostało w łonie emigracyi Towarzystwo Literackie. Prezesem tego towarzystwa był Mickiewicz. Miał sobie do pomocy przydanych kilku radców towarzystwa. Jednym z nich był Juliusz Słowacki w skutek wyboru kolegów. A więc były stałe pewne dni takie, gdzie się obydwaj schodzili i gdzieby się koniecznie byli powinni zrozumieć i zbliżyć do siebie. A przecież — pomimo tego wszystkiego — do zbliżenia między nimi nie przyszło! Nieprzebytą tamą pomiędzy nimi, na długie czasy, stanęła pogłoska przyniesiona przez niewiem kogo skwapliwie Słowackiemu o Mickiewiczu, jakoby on w gronie swoich przyjaciół miał był zganić poezye jego. Pisał Juliusz o tém do matki (pod datą d. 3 września 1832), jak następuje:

---

siernie, i przynajmniéj co do niektórych pomiędzy nimi niesprawiedliwie. Lecz to miało nastąpić dopiero późniéj. W czasie, kiedy rozmawiał z nim o tém Słowacki, téj części Dziadów jeszcze nie było.

„Jeden z Polaków mówił mi zdanie, jakie dał Mickiewicz o moich dwu tomikach... powiedział, że moja poezya jest śliczna.... że jest to gmach piękną architekturą stawiany — jak wzniosły kościoł... ale w kościele Boga nie ma!.. Prawda że śliczne i poetyczne zdanie? podobne do jego sonetu pod tytułem Rezygnacya!“...

Od tego czasu już się Juliuszowi nic w Mickiewiczu nie podobało. Raziły go wszystkie właściwości jego indywidualizmu, tak te, które dotyczyły powierzchowności, jak i wewnętrzne. Z powodu pewnego wieczoru u XX. Czartoryskich, donosił na przykład takie szczegóły (w liście z d. 4 października):

„Na wieczorze był i Mickiewicz. Nie możecie sobie wystawić, jak po liderlichosku wygląda — z pomiętym od koszuli kołnierzem i we fraku zasmolonym! Zbliżywszy się do mnie, powiedział: jeżeli teraz co porodzę, to będzie coś zapewne o oku dziecięcia, które dziś widziałem. Na oku tém jest napis *Napoleon Empereur* — i to oko ciągle tkwi w mojéj pamięci. — Zdziwiłem się niezmiernie, że się jego imaginacya tak tém okiem, zapewne udaném, a może szklaném, dla wyłudzenia pieniędzy wsadzoném, zapaliła. Wolałbym, żeby pisał o dziecku ze złotymi zębami... Strasznie mnie zaczynają nudzić moi ziomkowie...“

Niemniéj ciekawa jest wzmianka, rzucona w liście o miesiąc późniejszym (z d. 9 listopada):

„W tych dniach wychodzi z pod pras panien Pinnard tom czwarty Mickiewicza, zawierający trzecią część Dziadów. Jeszcze jéj nie znam. Ale Mickiewicz bardzo już ostygł w poezyi. W rozmowach ciągle religią na plac wyprowadza — uniewinnia Papieża, nawet bullę! Słowem, że mi się jako obecnie żyjący człowiek nie podoba“...

Że zdanie o tém ostygnięciu Mickiewicza w poezyi nie ze wszystkiém było prawdziwe, a mówiąc wręcz i otwarcie, że było fałszywe nawet: o tém przekona czytelnika sama uwaga, że były to czasy, gdzie Adam pracował nad największém swém dziełem, nad Panem Tadeuszem! Ale pozornéj prawdy mogło jednak być nieco w owém spostrzeżeniu Juliusza. Weźmy na przykład list Mickiewicza do Odyńca z dnia 8 grudnia 1832 r. a zatém około tychże czasów pisany,*) a znajdziemy w nim nieje-

*) Listy te ogłoszono w warszawskiéj Gazecie Codziennéj 1860, i także w Czasie 1860, Nr. 165 i nast.

dno, co za komentarz posłużyćby mogło do powyższego sądu o jego naówczas niepoetyczności. Mówi w nim Adam o sobie na przykład jak następuje:

„Piszę teraz poema szlacheckie, w rodzaju Herman i Dorothea (Göthego); już ukropiłem tysiąc wierszy. Podoba się bardzo szlachcie tutejszéj. Duch poetycki czuję w sobie; ale tyle miałem zgryzot z wiadoméj tobie przyczyny, tyle kłopotów korrekty (około trzeciéj części Dziadów, i Ksiąg Narodu), i prócz tego tyle różnych bazgrań, rozprawek, artykułów, projektów, że sam nie wiem, jak czasem mogę kilkanaście wierszy skleić.“

A w miesiąc późniéj pisał jeszcze tak;

„Ja tu żyję niemile śród żywiołów obcych. Jedni mnie nienawidzą, drudzy krzywo na mnie patrzą — doktrynery mają za waryata. Wszyscy głupi solennie, krzykliwi i niedołężni... Paryż tak obrzydziłem, że ledwie już mogę wytrzymać“ itd. (Mick. do Odyńca – Paryż 28 stycznia 1833).

Był zatém Mickiewicz w owych czasach rzeczywiście na wskróś skwaszony i zgorzkniały. I jeżeli się to jego usposobienie — jak jest prawdopodobném — dawało czuć całemu jego otoczeniu, to szczególniéj raziło oczywiście naszego poetę. Ten bowiem ani sam już wtedy sympatycznie na Adama nie spoglądał, mając osobiste swoje żale do niego, ani też nie był i przez niego sympatycznie widziany. Kierunek bowiem ówczesnéj autorskiéj czynności Słowackiego nie podobał się Mickiewiczowi. Był tedy pomiędzy nimi mniéj więcéj tensam stósunek, co w pierwszych czasach między Schillerem a Göthem, kiedy ten ostatni powrócił z podróży włoskiéj i żył cały w przypomnieniach owéj harmonijnéj, niczém niezamąconéj, posągowo spokojnéj klasyczności starożytnych arcydzieł, jakich się tam napatrzył, — a tu mu przyniesiono z wielką wrzawą uwielbienia Ardinghello Heinsego, Zbójców Schillera i inne początkowe utwory tego poety właśnie co tylko wydane. Aż mrowie przeszło Göthego na ten zgrzyt bolesnych, żywotnych, genialnie wypowiedzianych — ale zawsze dyssonanc! Poznanie się jego z Schillerem odbyło się bardzo oziębłe. I wiele czasu upłynęło, nim się ostatecznie zbliżyli do siebie i pojęli i polubili. Otóż mutatis mutandis — podobny

zachodził stósunek i teraz pomiędzy obydwoma poetami naszymi. Zrozumieć się oni nie mogli. Każdy z nich szedł inną drogą.

Ażeby się o tém przekonać, że w saméj rzeczy szedł już wtedy każdy z nich drogą odmienną, trzeba nam o tém nieco szczegółowiéj pomówić. O Mickiewiczu wszelako rozwodzić się tu nie będziem. Czego on żądał i pragnął, jak pojmował wtedy zadanie swoje, emigracyi i narodu naszego: to każdemu z czytelników moich byćby powinno wiadomém. A ktoby mniéj jasne miał o tém wyobrażenie, niechże weźmie do ręki jego Księgi Narodu i Pielgrzymstwa, a znajdzie w nich całe wyznanie wiary tak politycznéj jak społecznéj tego genialnego poety. Pismo to powstało właśnie w r. 1832, a zatém słusznie uważane być może za zwierciadło i że tak powiem, za manifest jego ówczesnych przekonań.— Juliusz Słowacki nie miał wtedy jeszcze, ile mi się zdaje, tak jasno wytkniętych kierunków przed sobą. I wiek jego nie był jeszcze po temu i cała natura jego więcéj była jakaś nierzeczywista, irracyonalna. Mickiewicz przy całéj swéj podniosłości nieskończenie przewyższał go realizmem. Mickiewicz szukał wszędzie żywiołów pozytywnych, dodatnich; szukał pewnika, dogmatu:— Słowacki marzył, poetyzował... Pierwszy wiedział zawsze, do czego dążył i co zamierzał: — drugi łatwiéj byłby podobno z tego zdał sprawę, czego nie chciał; sformułować zaś dobitnie żądań i pragnień swoich dodatnio: — tego w żadnéj porze życia swojego, a tém mniéj wtedy nie byłby pono potrafił. Stémwszystkiém instynktowo miał i on jednak swoje kierunki przed sobą. Szedł pewną drogą i w owym już czasie; i jakkolwiek nie łatwą jest rzeczą oznaczyć, w jaką stronę pęd jego natchnień się wtedy najprzeważniéj skłaniał, niepodobieństwem to jednak nie jest. Inaczéj tego wszelako dokonać nie zdołamy, jak jedynie przez szczegółowy rozbiór jego dwutomowéj ówczesnéj publikacyi. Sądzimy przeto, że nie nadużyjemy cierpliwości czytelnika, jeżeli w następnym rozdziale przystąpimy do tego krytyczno-estetycznego zajęcia i na czas jakiś przerwiemy opowiadanie o dalszych kolejach jego żywota.

ROZDZIAŁ TRZECI.

Poezya polska przed rokiem 1830 — jéj stósunek do literatur zachodnich — jéj główne wewnętrzne znamię. Odrębność wyobrażeń Juliusza Słowackiego — niepopularność jego pierwszych publikacyi. Czas pracy nad każdym z utworów ogłoszonych w r. 1832. Uwagi o poemacie Hugo i o dramacie Mindowe, — rozbiór Maryi Stuart.

Podejmujemy trudne zadanie. Sądy o dziełach Słowackiego są do téj pory nieustalone. Są tacy, którzy się nad niemi entuzyazmują i radziby je położyli w literaturze na pierwszém miejscu. Ale też nie brak i na myślących inaczéj. Ci je odkładają po przeczytaniu bez szczególnego wrażenia, a często z pewnym niesmakiem. Tak jest dzisiaj, tak było od pierwszéj chwili ich ogłoszenia. Przytoczyliśmy powyżéj z listów autora kilka ustępów, z których widno, ile dowodów uznania odbierał on od podobnie myślących za to zbogacenie poezyi polskiéj swemi świeżo wydanemi dziełami. Zanosiło się zrazu, wedle własnych poety świadectw, na różne przekłady i krytyczne onych rozbiory. A przecież pomimo tego, w dalszém kole czytelników ani w emigracyi ani w kraju — nie sprawiły wielkiego wrażenia te pierwsze tomy Słowackiego Poezyi. W ogóle przeszły one pośród głębokiego milczenia. Nie wiemy o żadnéj takiéj w pismach tamtego czasu recenzyi, o któréj by warto było pamiętać i dzisiaj jeszcze. Utwierdza nas w tém i sam poeta, kiedy późniéj — na czele przedmowy do tomu III— gorzkiemi słowy skarżył się na tę obojętność ogółu: „Nie zachęcony pochwałami, nie zabity dotąd krytyką, rzucam

tom trzeci w tę otchłań milczącą, która pierwsze tomy połknęła.“ — Nieukontentowany z powodu, że do pierwszych tomów wkradło się kilka pomyłek druku, wspomniał był poeta w jednym z ówczesnych listów, że ma nadzieję poprawić takowe w drugiéj edycyi. Przypuszczał więc, że potrzeba téjże da się uczuć niezadługo. I to go także zawiodło. Do powtórnego dzieł tych wydania nie przyszło wcale za życia autora, pomimo że się sprzedawały późniéj nawet za cenę znacznie zniżoną...

Jestże to wszystko okolicznością, któraby bezwarunkowo świadczyła przeciw artystycznéj wartości pierwszych jego utworów? Mniemanie takie — zdaje mi się — byłoby mylném. Ale trudno jednak nie wyprowadzić stąd wniosku, że poezya Słowackiego snać nie odpowiedziała ówczesnéj czy potrzebie czy też smakowi narodu. Musiał być więc między jego poezyą a tém wszystkiém, co literatura nasza wydała poprzednio, jakiś rozstęp, jakiś brak związku a raczéj ciągu, dla którego się to nowe jéj zbogacenie nie wydawało zbyt ważném.

Dla wyjaśnienia téj rzeczy, uważam tu za potrzebne rzucić kilka uwag, które się będą może niejednemu wydawały zboczeniem od właściwego przedmiotu. Sądzę jednak, że mi czytelnik zboczenie takie wybaczy przez wzgląd na ważność rzeczy, o którą chodzi. Chodzi bowiem o poszukanie sobie w naszych sądach o Słowackim takiego punktu wyjścia, któryby był i sprawiedliwym względem niego i dalekim od téj znowu pobłażliwości, któraby uwłaczała innym naszym pisarzom.

Uważam za pożądane, ażebyśmy jak najdokładniéj uprzytomnili tu sobie, jakieto czasy pierwszy występ Słowackiego jako pisarza poprzedziły i jakichto zastał on na niwie swojéj rychlejszych pracowników.

Poprzedziło go owo dziesięciolecie (1820 do 1830), które tak świetnie rozpoczęło epokę naszéj nowéj, naszéj narodowéj poezyi. Epoka ta płynie jeszcze i za dni naszych, chociaż wnosząc ze wszelkich oznak zdaje się, że prawdziwa płodność i wielkość tego literatury okresu już przeminęła. Czasy jéj wypełniły się — o ile to poezyi, a nie prozy dotyczy, już z rokiem 1848. Boć późniejsi, młodsi pisarze—to już tylko Epigonowie starszych...

W ciągu rzeczonego dziesięciolecia przyłączył się do pozostałego z dawniejszych jeszcze czasów Niemcewicza nasamprzód— długo przedtém zapoznawany Kaźmierz z Królówki. Potém zajaśniał w całéj pełni blasku umiłowany od wszystkich Adam. A za nim odezwał się od stepów ukraińskich ów „słowiczek“ poezyi polskiéj, Bohdan Zaleski. A potem nadszedł smętny Malczeski; a niebawem w jego ślady ponury, groźny, ale pociągającéj energii — Goszczyński... Równocześnie z nimi zajęli pod przeważne panowanie swoje — na długo — dzielnicę poezyi przez tamtych wcale nietkniętą dwaj równie znakomici pisarze, Korzeniowski i Alexander Fredro. Ci siedmiu, zdaniem mojém, stali przez rzeczonych lat dziesięć na czele ruchu w zakresie poetyckiego działu literatury. Niektórzy z nich przeszli prędko i szli samotnie: był takim naprzykład niezapomniany po zgonie, choć mało znany za życia, autor Maryi. Inni działali otoczeni całą drużyną duchów pokrewnych, chociaż niższych talentem. Około Mickiewicza gromadzili się Odyniec i Zan i Chodźko Alexander i Korsak. Nieco opodal stał skłaniający się więcéj ku Brodzińskiemu Witwicki,—a jeszcze daléj Tymon Zaborowski, Gosławski, Górecki itd. itd.

Równocześnie niemal poczęte i bez przerwy daléj trwające działanie tylu naraz znakomitych talentów zbogaciło poezyą naszę niejednym takim utworem, że każdy z nich byłby na się przez długi czas ściągał uwagę wyłączną, gdyby się nie był musiał dzielić rozgłosem z tylu innymi utworami pierwszego rzędu, przybywającymi rok rocznie do skarbów literatury.

W roku 1820 pojawił się Wiesław. W 1821 odegrano w Warszawie pierwszą komedyą Fredry, Geldhaba. W 1822 wyszły Ballady Mickiewicza. Dumy Zaleskiego także przypadają na owe lata, choć w całym zbiorze pojawiły się znacznie późniéj. W 1823 ukazała się Grażyna i pierwsze części Dziadów. W 1825 Sonety Mickiewicza, Marya Malczeskiego, Odyńca zbiorek poezyi; wreszcie pierwszy nasz romans historyczny, Jan z Tęczyna przez Niemcewicza. W 1826 pierwsze dramatyczne utwory Korzeniowskiego; Pojata Bernatowicza; pierwsze dwa tomy Komedyi Fredry. W 1827 przybył

Zamek Kaniowski Goszczyńskiego. W 1828 Konrad Wallenrod. W 1830 Mnich Korzeniowskiego; trzeci tom komedyi Fredry; T. Zaborowskiego Dumy Podolskie; nakoniec wdzięczne Witwickiego Pieśni Sielskie i Biblijne.

Taki jest poczet dzieł pierwszéj dani w dziejach odrodzonéj naszéj poezyi. Te są imiona i czyny bezpośrednich Słowackiego poprzedników. Dalsza koléj obejmuje już prace i tych co tylko wspomnianych, i świeżych znowu sił poetyckich, które wystąpiły na scenę dopiero po wypadkach r. 1831. Pierwszym co do czasu był w szeregu tych nowoprzybyłych, tych młodszych, właśnie nasz poeta, Juliusz Słowacki. Inne znakomitości pierwszego rzędu, a téjże generacyi — to zwrócony tęskném okiem w przeszłość narodu Wincenty Pol (od r. 1833), wyjątkowo przedłużający trwanie tego okresu aż do dni naszych; a daléj zgasły przedwcześnie i dlatego mniejszéj sławy Stefan Garczyński (także od 1833); nakoniec proroczy, pod kolizejskim krzyżem natchnienia szukający wieszcz Irydyona i Komedyi Nieboskiéj (1834).

Szereg prawdziwych mistrzów słowa nie kończy się oczywiście z Krasińskim. Zajaśniała i po nim jeszcze niejedna gwiazda na niebie poezyi polskiéj. Lecz mówić o nich nie należy już do naszego przedmiotu. Nam chodzi o porównanie poezyi naszéj tak zwanéj romantycznéj przed rokiem 1831, ze stanowiskiem i artystycznym sposobem Słowackiego w owymże czasie. Powiedzmyż więc choć w kilku słowach, co stanowi owéj poezyi odrębne znamię i zasługę około sławy narodu.

Jedném z głównych następstw wystąpienia Mickiewicza i innych jemu współczesnych było podniesienie poetyckiéj literatury polskiéj na wysokość europejskiego znaczenia. Od tegoto dopiero czasu weszła poezya nasza znowu w bezpośrednie zatknięcie z tradycyami postronnych literatur, zajmujących odpowiednie wiekowi stanowisko. Pisarze nasi dawniejsi z małym wyjątkiem byli więcéj naśladowcami, i to wzorów, które i same słabo, nawet koszlawo już tylko odtwarzały starożytny klasycyzm. Świat starożytny zbyt się już był odsunął; studya nad nim w przeszłym wieku, mianowicie we Francyi, zeszły do nicości zapomnianéj pra-

wie nauki. Najzagorzalsi niby wielbiciele mistrzów rzymskich i greckich nie mieli trafnego wyobrażenia o istotnych warunkach wielkości tych niegdyś niedościgłych potęg artyzmu. Pomimo nieustającéj gadaniny o konieczności trzymania się we wszystkiém przekazanych przez starożytność przepisów — literatura francuska nigdy nie zbliżyła się do tych wzorów choćby tyle tylko, ile się u nas w XVI wieku zbliżyć do niéj potrafił Kochanowski. Śmiech wzbudza patrzeć na lękliwość i zarozumiałość tych dworaków wersalskich, kiedy na usprawiedliwienie swoich małoduszných nowostek odwołują się ciągle to do Arystotelesa, to do Horacego lub Quintyliana, to wreszcie do tragików greckich, których dzieła znane im były chyba tylko z urywków, z przekładów lichych, a najczęściéj zaledwie pewnie z powieści. Literatura poetycka Francuzów była więc właściwie tylko karykaturą klasycyzmu; stanowiła począwszy mianowicie od połowy przeszłego wieku, w obszarze nowoczesnéj europejskiéj poezyi, jakiś zacofany, wyjątkowy zaścianek; i nie byłaby mogła ani na chwilę nosić nazwy wielkiéj literatury, gdyby nie była własnością narodu, który pod innym względem nadawał ton całemu społeczeństwu i imponował.

Mimo to wszystko — kierunek téjto właśnie literatury wytykał więc drogi naszym pisarzom z epoki księstwa warszawskiego i poprzedzających ją czasów stanisławowskich, którzy po większéj części na téj roli naśladowców i cudzego powodzenia admiratorów poprzestawali. Nie ściągam tego, co tu mówię, oczywiście do Krasickiego, który zatrzyma w piśmiennictwie na zawsze niepoślednie znaczenie; ale Krasicki góruje tylko albo dowcipem albo rozumem; nigdy uczuciem i wyobraźnią. Inni jego współcześni, lubo czasem nie bez znamion wyższéj poetyckiéj zdolności, wystarczali — że tak powiem, na miejscowe i tylko tymczasowe potrzeby. Naród własny nucił ich piosnki: dalszy świat i wtedy i potém mało kiedy co o nich słyszał. Nie miano bo też u nas wtedy jeszcze żadnych do szerszéj sławy uroszczeń i chętnie poprzestawano na chlubie, że się komu zdarzyło napisać coś takiego, co żywo przypominało jakiego zawołanego rymotwórcę z za Renu, albo w razie szczęśliwszym jaką tiradę z umianéj wtedy przez wszystkich literatów naszych na pamięć Eneidy...

Od roku 1820 począwszy, wszystko się to zmieniło. Poeci nasi młodsi, dostrajając — pod artystycznym względem — lutni swoich na wysokość tonu, jakim brzmiała wtedy prawdziwa poezya w krajach postronnych, zaczęli czerpać natchnień z własnéj krynicy narodu. Po raz pierwszy w mówie polskiéj odżyły wtedy postaci dawno minionych wieków, wskrzeszone z całą świeżością narodowéj prawdy i siły; pieśń gminna — ta skromna, ale wiekuiście zielona bluszczu gałązka, wiążąca dzień dzisiejszy z epoką pierwszych pokładów rodziméj cywilizacyi, rozwinęła się w poemat i wyśpiewała niejednę z tajemnic sztuki, o których się dawniéj nie marzyło poetom; wrące uczucia piersi własnéj teraz dopiero znalazły wyraz rymujący i z stanem duszy poety i z wyjątkowém położeniem narodu. Pękły skrzepłe skorupy bezdusznéj konwencyjności — natura wzięła górę nad sztuką — retoryzm ustąpił miejsca sile połączonéj z prostotą — sentymentalną czułość zastąpiła rzewność i łzy gorące: po raz pierwszy od czasu Kochanowskiego stała się pieśń polska znowu prawdziwém zwierciadłem doli społecznéj, i dyktowały ją idee w narodzie naszym wykołysane i będące dzisiaj pokarmem, wiarą, przyszłością naszą...

Właśnie z tego powodu zajęła poezya polska względem współczesnéj europejskiéj stanowisko nietylko równéj między równemi, ale co większa: okazała się jéj najistotniejszym dośpiewem i niejako uzupełnieniem. Jestto jakby ton w akordzie niezbędny dla dokonania jego harmonii — ton trzeci, ostatni...

Pierwszorzędne potęgi poetyckie w dawniejszych epokach pojawiały się prawie zawsze z osobna. Społeczeństwa całe, wieki całe składały się na wydanie mistrza, któryby uwagę więcéj niż swego tylko narodu zwrócił na siebie. W trzynastym wieku Dante, w czternastym Petrarka, na początku dopiero szesnastego Ariosto. O pół wieku późniéj słynęli trzej prawie równocześni mistrzowie, lecz każdy z innego był narodu: Kamoens Portugalczyk, Tasso Włoch, Kochanowski Polak. Zajaśniał w kilkadziesiąt lat po nich Szekspir — to był Anglik. Na przestrzeń siedmnastego wieku przypadają Calderon i Milton — każdy znowu z innego końca świata. Potém nastało w literaturze powszechnéj długie milczenie, pozornie tylko przerywane płonną gędźbą dwora-

czych, małoduszných, szkolnie udresowanych rymotwórcow. — Od połowy dopiero ośmnastego wieku daje się widzieć jedyne w swoim rodzaju zjawisko. Poezya prawdziwa odżyła. Powstał cały zastęp poetów, rowieśnych i coraz młodszych, którzy się do jéj chóru jeden po drugim łączyli. Najprzód widzimy ich w Niemczech: Klopstok, Lessing, Herder, Wieland, Bürger, Göthe i Schiller. Ci siedmiu, otoczeni całą drużyną mniejszych talentów, zapełniają wiek ośmnasty i podnoszą w kraju swoim sztukę na coraz wyższe szczeble potęgi. A kiedy w r. 1805 zabrakło Niemcom Schillera, Göthe zaś już się więcéj niż poezyą, zajmować zaczął teoryami światła i metamorfozy roślin: odezwał się od gór szkockich głos nowy, powszechną na się zwracający uwagę, godny tamtych antecedencyi i z natchnienia i z całego kierunku. I tutaj znowu działało całe grono współczesnych, przodowali mu zaś ci trzej europejskiego rozgłosu, wielcy poeci: Walterscot (od roku 1805), Tomasz Moore (od 1806), Byron (od 1808). To był więc drugi ton w akordzie nowoczesnéj europejskiéj poezyi. Między 1824 (zgon Byrona) a 1830 (ostatnie prace Walterscota) dogasa i w angielskiéj literaturze głębsze natchnienie. Lecz płonie ono już świętym ogniem gdzie indziéj: — Brodziński, Mickiewicz i ci wszyscy, którzy ich otaczali, dzierżyli w rękach swoich już lutnie.

W chwilach, kiedy to piszę, zamiera zdaje mi się już i ten ton trzeci. A nie słychać niestety nigdzie w świecie, żeby się ten akord daléj rozwijał. Na wierszokletach i rymotwórcach nie zabraknie w żadnym języku. Będzie sobie rzempoliła muzyczka, bez któréj obejść się już ludkowie nie mogą. Ale co się tyczy prawdziwych poetów, to się zdaje, że na długie czasy w bieżącéj dziejów epoce zamknięta została złota ich księga. W rachubach zatopiły się dni obecne, społeczeństwa tegoczesne pozbyły się nawet biernéj zdolności rozumienia wielkich idei. Turkot fabryk przegłusza wszystko na świecie, a posunięta do cynizmu poziomość teraźniejszych instynktów wybornie rymuje z rytmem tego turkotu. Kto wie, czy ów zbieg tylu naraz pierwszorzędnych zdolności, w literaturach ostatniego stulecia, nie był oznaką jakiego przesilenia w duchu społeczeństw? Może się poezya rozstawała

z rzeczywistością życia na dłuższe czasy, i właśnie przeto, jak ta lampa zgasnąć mająca, chciała na pożegnanie zabłysnąć jaśniejszém światłem...

W skutek takiego właśnie, jakeśmy go w powyższém określili, stósunku między literaturą naszą a powszechną, poezya polska — mimo całéj swojéj skądinąd odrębności — okazuje się, zwłaszcza też w pierwszych czasach, w pewnéj zawisłości od tradycyi celniejszych mistrzów postronnych. Dla téj teżto właśnie przyczyny nazywała się ona wtedy romantyzmem. Sama nie wiedząc, jak przychodziła do téj nazwy, składała ona mimowolnie przez to jakby świadectwo swojéj solidarności z angielską i niemiecką poezyą, które u nas w owych czasach uważano za romantyczne. Okoliczność ta nie dowodzi jednak niczego przeciw oryginalności naszego piśmiennictwa. Oryginalność bezwarunkowa w ogóle może być tylko przymiotem albo literatur tak niepiśmiennych i że powiem samorodnych, jak naprzykład ludowe pieśniarstwo serbskie z czasu walk narodowych z Turkami, albo też takiéj wyjątkowéj literatury, jak starożytna grecka. Tamte nic jeszcze nie wiedzą o sztuce dalszego świata. Grecka zaś będąc w dziejach naszéj cywilizacyi pierwszą artystyczną literaturą, musiała się z konieczności i sama z siebie i samodzielnie rozwijać. Ale o żadném z późniejszych a większego znaczenia piśmiennictw europejskich tego już powiedzieć nie można; gdyż każde z nich mniéj lub więcéj posiłkowało się zasobami poprzednich. Podobnie też więc i nasi poeci brali z zewnątrz i popęd i pierwszy kierunek w swojém że się tak wyrażę uzdolnieniu techniczném; czerpali z studyów obcych wzorów świadomość artystycznych wymagań itp. Po za te zewnętrzne względy nie posuwa się jednak u nich to ich pokrewieństwo z obcymi pisarzami. Nie sięga ono prawie nigdy aż do istotnéj dzieł osnowy, która nie tylko brana jest zawsze z obrębu rzeczy ojczystych, ale nawet tonem, barwą i dążnością odpowiadała jak najwierniéj powszechnemu nastrojowi ducha narodowego, jakim ten nastrój był wtedy. Prace naszych poetów sąto prawie zawsze dzieła tchnące jakąś błogą, serdeczną i miłościwą pogodą ducha. Ton pieśni polskich wprawdzie jest przeważnie smętny i łzawy; mimo to jednak widać tu wszędzie

silną wiarę w opiekę Opatrzności nad światem — w grunt natury ludzkiéj ostatecznie szlachetny — w prędzéj czy późniéj zapewniony tryumf idei dodatnich nad potęgami fałszu i złego, przeczącemi im i czasowo tłumiącemi ich panowanię nad światem. To też zwątpienie, rozpacz, bunt ducha, przekleństwa odtrącające, te tak przeważne znamiona poezyi nowoczesnéj angielskiéj, równie wtedy były nam obce, jak metafizyczna mglistość, właściwa niejednemu z pisarzów niemieckich, i ta skłonność do gubienia się w nieznurtowanéj zadumie. Nasze ideały mają zawsze coś realnego — wydobywamy je z pod serca naszego, cierpimy za nie; a po nad wszystkiém unosi się religijna miłość Ojczyzny, głębiéj i czyściéj pojęta, niż w którejkolwiek innéj literaturze. —

Na takieto czasy, śród takiéj w literaturze dążności i po tych zdarzeniach stanowiących jéj odrodzenie — przypadło więc wystąpienie Słowackiego jako autora dwutomowéj jego publikacyi z r. 1832. Nim przystąpię do szczegółowego przeglądu rzeczy w tychże tomach zawartych, uważam za potrzebne rzucić najprzód i o nich kilka ogólnych spostrzeżeń. Określenie to stanowiska Słowackiego wobec innych pisarzów wyjaśni nam najdokładniéj, dlaczego te pierwsze dzieła jego nie zostały tak przez naród przyjęte, jak się tego autor spodziewał.

Zacznijmy mówić o tém, poczynając od dobréj strony. — Znamieniem znakomitéj jego i pierwszorzędnéj zdolności, choć nie rozwiniętéj jeszcze zupełnie, jest w tych dziełach przedewszystkiém zewnętrzna forma. Mimo tak młodego wieku poety — język, styl, wiersz, koloryt, obrazowanie i co tylko stanowi zewnętrzną szatę poezyi, dosięgło już tutaj takiego wydoskonalenia, że pod tym względem nie ustępował początkujący ten pisarz żadnemu z ówczesnych poetów naszych. — Niemniéj świadczy o rzetelnych zaletach już tych młodocianych jego utworów ta okoliczność, że takowe na dłuższéj z nimi znajomości nie tracą. Roboty miernych talentów zwykle najwięcéj się podobają przy pierwszém czytaniu. Biorąc je po raz drugi do ręki, ogarnia czytelnika nuda — i niepodobna już wtedy pojąć, że się to mogło za pierwszym razem podobać. Z pismami Słowackiego ma się rzecz po większéj części

przeciwnie. Im się dłużéj nad niemi zastanawiasz, im je częściéj odczytujesz, tém więcéj w nich wykrywasz niezaprzeczonych zalet. Zalety te są w znacznéj mierze na pierwsze spojrzenie jakby niewidzialne dla czytelnika. Zdaje ci się, jakby one dopiero zwolna z dzieła występowały i odsłaniały ci się w miarę zajęcia, z jakiém na nie spoglądasz. Najwięcéj jednakże to w pracach Słowackiego podnieść należy, że je owiewa jakiś urok tonu, jakiś czar kolorytu dziwnie poetycznego, który się zresztą usuwa z pod analizy. Nie jestto myśl głęboka, nie jestto owa wieszcza mądrość i intuicyjne znawstwo serca ludzkiego, nie jestto wreszcie ani też siła woli męskiéj, skłaniająca do podziwu w tworach mistrzów pierwszego rzędu. Z tego wszystkiego mało znajdziesz w dziełach, które mamy przed sobą. Ale uderza cię w nich natomiast jakiś wdzięk nieopisany, jakiś dziwnie melancholijny urok poetycznego na świat spojrzenia.*) Jestto zdaniem mojém, właśnie

*) Nie potrafię rzeczy téj lepiéj wyrazić, jak przez porównanie. Bawiąc w roku 1864 w Rzymie, często zachodziłem do bazyliki św. Pawła, podźwigniętéj z perzyny, w jaką ją obrócił pożar w r. 1823, a będącéj właśnie obecnie na dokończeniu. Pomijając zewnętrzną świątyni téj powierzchowność, która się stósować musiała do pierwotnéj struktury i z powodu wielkiéj prostoty oczekiwań dzisiejszych nie zaspakaja, całe jéj wnętrze — jestto najwspanialszy pomnik wszystkich sztuk pięknych w połączeniu, na jaki się tylko zdobyć mógł w najwyższym wysiłku swoim wiek obecny. Nie wiedzieć, co tam więcéj podziwiać, czy bogactwa materyału, czy olejne obrazy, mozaiki i freski pierwszych mistrzów tegoczesnych, czy rzeźby, czy las kolumn dźwigających ciężar sklepienia, czy zmyślność, z jaką ściany kościoła wyłożono płytami marmurowemi najrozmaitszych, a zawsze najwyszukańszych gatunków. Bazylika ta ma pięć naw. Nawa środkowa otrzymuje światło z góry z przepysznych okien o malowanych szybach. Nawy poboczne poprzestają jeszcze na szybach tymczasowych ze szkła białego. Otóż właśnie z tego powodu szczególny mię tam zawsze uderzał kontrast. Chociaż już i w pobocznych nawach bazyliki każdy szczegół, ile wykończony z całym wytworem, zmusza każdego do podziwiania tylu w jedném miejscu nagromadzonych arcydzieł: — to kiedy się jednak dojdzie aż do nawy środkowéj, wtedy piękność tak całości, jak pojedynczych przedmiotów przybiera rzeczywiście jakiś urok nieopisany! Światło lejące się tęczami z różnobarwnych okien téj nawy, idealizuje nieskończenie tę część kościoła. Wszystko zdaje się być owiane jakiémś tchnieniem błogiém dla oka i dla ducha,

strona talentu Słowackiego, która go najwybitniéj odróżnia od wszystkich innych naszych poetów, która stanowi najistotniejszą cechę jego oryginalności, która mu zapewnia nawet wobec większych od niego mistrzów stanowisko wyjątkowe w literaturze. Przed jego okiem widne są wszystkie barwy tęczowe poezyi rozlanéj po rozłogach życia ziemskiego. Najniklejsze, najtajemniejsze objawy jéj przytomności pomiędzy nami, mówią do jego wyobraźni: jesteśmy! Gdzie wzrok zwyczajnego usposobienia nie widzi nic, jak pospolite kształty żywota, gdzie ucho najczulsze nie słyszy, jak tylko rytm powszedniego toku wydarzeń: Słowacki tam umie dopatrzeć i dosłuchać się jakby ostatnich westchnień tęsknych téj melodyi, która w poranku dziejów ludzkości była regulatorem życia na ziemi, a dziś już prawie zupełnie się wyniosła z obszarów bytu rzeczywistego. To też za dotknięciem jego ręki przemienia mu się wszystko jakby w jakiś eter powiewny. Nie tyle jeszcze przekonywają o tém autorskie jego utwory, ile listy, tak zresztą od niechcenia pisane, że co tylko po imieniu nazwie, co tylko wedle sposobu swego opowie, na czém tylko spocznie okiem: wszystko to przyobleka się w barwy, w kształty, w tony, o jakich drugim, na tosamo codzień patrzącym ani się marzy. Owoż więc, co nazywam spojrzeniem na świat — nie z woli, nie przez sztukę, lecz z bezpośredniéj natury poetyczném, w ściślejszém słowa tego znaczeniu. —

Lecz właśnie ten dar oglądania wszystkiego jedynie w cudownych światłach poezyi przyprawił poetę naszego o stratę zdolności pojmowania rzetelnych świata tego stósunków w ich warun-

---

Szczegóły spływając w téj toni kolorów w jakąś ogromną jedność, tworzą harmonią miękką, falistą, krągłą, która dziwnie odbija od naw pobocznych, jeżeli się pod wpływem właśnie tego wrażenia, rzuci teraz okiem w ich wnętrze. Podziwiane co tylko tychże piękności i najwyższe sztuki wysiłki zdają się być teraz jakby z innego świata; sprawiają wrażenie, jakby je mroziło jakieś zimno północy. Wszystko się zdaje surowém, ostrém, twardém, istniejącém z osobna i tylko dla siebie. Owożto kontrast sposobów oświetlenia! W pobocznych nawach — to jeszcze koloryt zwyczajnéj, powszedniéj rzeczywistości; a tam — to koloryt poezyi, atmosfera nadziemska, stworzona sztuką. Do tegoto więc rodzaju oświetlenia w malarstwie ja przyrównywam to coś, co w poezyi tak często właściwém jest Słowackiemu.

kach rzeczywistych. Jest on na podobieństwo owych wieszczów mitycznéj starożytności, którym bogowie w zamian za lutnię do rąk podaną i za poetyckie jasnowidzenie, odjęli widzenie przyrodzone i zamknęli oczy na wszystko, co ich zewnątrz otaczało. Słowacki nie miał zmysłu dla niczego, co się tylko zowie rzeczywistością. Zrażała go ona, bo mu nie była piękną; oburzała go, bo nie była mu zrozumiałą. Stanowisko jego względem warunków, w jakich żyć ludziom wypadło, ponieważ je sobie sami tak a nieinaczéj stósownie do natury swéj ustanowili, było najzupełniéj ujemném, wszystkiego odmawiającém, zaprzeczném. Nie przyznając im uprawnienia do bytu, uważając je za bezwarunkową negacyą tego, co być ma, w konsekwencyi też upatrywał we wszystkiém, co ten normalny porządek świata naszego wstrząsa, zakłóca i targa, eo ipso za piękność, za poezyą, słowem za przedmiot godny współczucia poety. Nie zdając sobie sprawy ani z pobudek ani też z godeł, w imieniu których jedynie wolno jest w danéj chwili wyzywać do walki ten ład normalny, na zbudowanie którego składały się pokolenia, narody, wieki całe trudu, cierpień i ofiar, poświęcał pióro swoje najczęściéj i najchętniéj takimto właśnie walkom rozpacznym, bez względu czy je wszczynają siły do tego upoważnione, czy też raczéj grzeszna, zbłąkana tylko niemoc duchowa, w złudne przyodziana pozory bohaterstwa i poświęcenia. I oto właśnie, w czém się pomylił, w czém się rozminął nie tylko z duchem poprzedniéj poezyi naszéj, ale i z instynktem lepszéj części społeczeństwa narodowego.

Nie tylko w téj młodzieńczéj życia jego epoce, ale i późniéj dążność ta, choć potém nieco złagodzona, nieraz się przebija w jego pismach. Nawet kiedy pracował nad Królem-Duchem, ostatniém swojém dziełem, widzimy go stojącego twardo przy takiém przekonaniu. Oto je w tym poemacie wręcz wypowiada w następujących wierszach, które tém chętniéj tu przytaczam, że nie mogły one znaleść pomieszczenia w drukowanym kontexcie tego utworu z powodu, iż były rzucone luźnie gdzieś na brzegu jednéj z kart manuskryptu.

„Ujrzałem wtenczas straszną tajemnicę,
Że duchy wszystkie lecą tam, gdzie boje,

Gdzie się trzaskają serca i przyłbice;
A z miejsc, gdzie ducha sen ma łoże swoje,
Uchodzą: dziwna w pośmiertnych różnica
Z tymi, co wieczne tu marzą pokoje
I chcieliby mieć świat opasły, zdrowy —
Piekielni, z których drwi anioł globowy!

„O! fałszu, ludziom z ciała niewiadomy,
Tęsknoto, królów spokojnych płacząca!
Wiédz, że ten lepszy, co na krew łakomy
Zda się jak orzeł, lud o lud roztrąca“... it. d.

Nie podlega wątpliwości, że w tych strofach jest wiele prawdy. Spokój, sen ducha, nieczynność — to martwość; bój, ruch, prąd naprzód — to przyrodzone prawo duchowe. Ale gdyby to zdanie Słowackiego postawić w jego sposobie na czele wszelkich prawd innych i zrobić zeń regulatora postępków dla wszystkich ludzi: w coby się to wtedy zamieniła ta ziemia nasza i życie na niéj?

Ale to jeszcze nie wszystko. Na tém tle wyobrażeń, stanowiących u Słowackiego przez cały jego zawód to co nazywamy pospolicie filozofią poety, daje się widzieć w młodzieńczych jego latach jeszcze jedna doktryna, a dzieła jego z roku 1832 są prawie wszystkie właśnie wyrazem takowéj. Słowacki przypuszczał dwie niejako natury ludzkie. Zwyczajny ogół — mniejsza o to, czy z głów koronowanych, czy z nędzarzy złożony — to gawiedź, to „tłum“. Po za tym tłumem zdarzają się, wprawdzie rzadko i wyjątkowo, ludzie całém niebem różni od zwyczajnych kreatur ludzkich. Sąto wedle poety duchy wyższe, jakby przez przypadek tylko i nieporozumienie przysłane na ten nasz padoł. Czy to są istoty dobroczynne dla rodzaju ludzkiego? Czy oni wytykają tu bliźnim swoim lepsze drogi żywota? Czy zostawiają po sobie w czynach, w śladach lepiéj przepędzonego życia, wdzięczną pamięć po sobie? — Bynajmniéj! Nasz autor pojmuje tę ich wyższość, tę ich demoniczną wielkość w zupełnie przeciwny sposób. Są to duchy, z którymi on wprawdzie sympatyzuje całém sercem i aż za nadto, które jednakże mimo tego i same są najnieszczę-

śliwsze i dla drugich złowrogie. Między warunkami ich szczęścia, a tém co świat zwyczajny poczytuje sobie za szczęście, nie ma żadnéj wspólności. Co ludzi cieszy, dla nich jest niczém; co ludzi zaprząta i zaspakaja, ich nudzi; a czego oni pragną, to przy tych okolicznościach, jakie są, wcale nie może być osiągniętém na ziemi. Są to więc otchłanie uczuć gorejących, góry woli trawiącéj się w sobie, są to tytany: ale postawione po za wszelkim stósunkiem ze światem i z tém, co na nim jest. Wielkości takie nazwałaby matematyka nieobliczonemi, niewymiernemi wielkościami (irrationales, incommensurabiles). Ich życie między resztą rodu ludzkiego — jestto zdaniem autora, jedno pasmo cierpień, zawodów, jęków, krzywd, zbrodni, przekleństw i wszelkiego rodzaju rozdźwięków. Jest jakby jakiś wiszący nad ich głowami fatalizm, który wszelkiéj ich styczności z ludźmi taki zawsze nadaje obrot, że oni sami celu swego nie osięgając, niweczą wszystkie warunki spokoju i szczęścia drugich. To też marzą oni ciągle o samobójstwie, narzekają na przesyt życia, celu żadnego przed oczyma nie mają, nic ich nie wiąże do świata, gardzą ludźmi, nienawidzą wszystkiego, na czém świat stoi: i narobiwszy zamętu i klęsk na całéj drodze swego żywota, przeklinani, przeklinając, kończą marnie, jako niby ofiary przewrotności świata i zwyczajnéj natury ludzkiéj. — Do tegoto typu odnieść należy i Araba i Mnicha i Mindowę i Bieleckiego i Żmiję i Botwela w Maryi Stuart. Tak rozmiłowany był nasz autor w ideałach tego rodzaju, że ciągle więc jednego człowieka w dziełach swoich wprowadza, pod zmienioném tylko zawsze nazwiskiem! Wielka musiała być w nim wtedy gorycz dla ludzi, kiedy ten temat mizantropii i zwątpienia nie ustępował mu z oczu!

Oczywista rzecz, że tego rodzaju doktryna, pozbawiona wszelkiéj podstawy, nie mogła trafić do przekonania powszechnego, kiedy się ukazały te piérwsze tomy Poezyi Słowackiego. Ogół nie mógł wcale rozumieć, o co autorowi chodzi? Dzieła poprzednich poetów były im zrozumiałe, bo tchnęły miłością ku ludziom. Społeczeństwo polskie jest z natury dobroduszne, optymistyczne. Nie raz ono aż zbyt daleko się posuwa, spodziewając się wszystkiego, co najlepsze; wierząc w dobrą wolę wszystkich; kochając

to co swoje, co ludzkie — nawet z błędami! W tém się więc aż do owego czasu dążność poezyi, która pragnęła podnieść ludzi, ale ich wzgardą nie odtrącała, z usposobieniem społeczności naszéj spotykała na jednéj drodze. Punkt wyjścia Słowackiego wcale nie był z takich przypuszczeń. Miłość ludzi, jakimi są stworzeni, nie należała wcale do jego przymiotów. Stawiał jako ideały, jako bohatery w swoich dziełach takie natury, które (choćby indirecte) dowodzić miały, jakie to życie jest nędzne, a my sami jacy maluczcy i podli! Choćby to była i prawda: — to i jakiż skutek być może takich dowodzeń? Uderzać na błędy, na głupstwa ludzkie... rozumiem. Ale cóż pomoże utyskiwać nad naturą człowieka? My tego nie zmienimy! Wyrzekać na to — jestto to samo, jak kiedyby kto wyrzekał, że w styczniu jest bardzo zimno, a w lecie znowu gorąco.— I społeczeństwo nasze wie o tém, że bywają pomiędzy ludźmi natury wyjątkowe, że się zdarzają czasem duchy potęgi i zdolności większéj, aniżeli zwyczajna. Ale wystawiamy sobie stósunek onych do reszty ludzi zupełnie inaczéj. Prawdziwie wielki człowiek—to chluba wieku, to największy dar boży, jakiego dostępują narody, to dobroczyńca społeczności, która go posiada.

Przejdźmy teraz do szczegółów i rozpatrzmy się bliżéj w tém wszystkiém, co w sobie mieściły tomy wydane roku 1832. Nasamprzód wypada oznaczyć koléj rzeczy w nich objętych, nie podług tego jak je autor uporządkował w wydaniu, gdyż to nic dowodzi niczego, ale podług czasu, w którym nad każdém dziełem pracował. Miałem przed sobą podręczny Słowackiego exemplarz obu tomów. Są w nim zapisane ołówkiem własną jego ręką notki dające o tém wiadomość, kiedy i gdzie co było pisane. Można zatém z autentyczną pewnością ustanowić porządek chronologiczny utworów, o których mowa; był on następujący:

Hugo był pisany w Warszawie, 1829 roku, w sierpniu.

Mindowe — także w Warszawie, tegoż roku, w listopadzie. Praca nad nim ukończona była w jednym miesiącu.

Mnich przypada na luty 1830 roku — w Warszawie.

Bielecki na lipiec tegoż roku — tamże.

Marya Stuart zajęła, równie jak Mindowe, jeden miesiąc

czasu. Była pisana w Warszawie w roku 1830, od 17 września do 18 października.

Arab powstał w listopadzie 1830, tamże.

Żmija był płodem różnych czasów. Pieśń pierwsza rzucona była także jeszcze w Warszawie, w miesiącu lutym 1831, a zatém krótko przed wyjazdem za granicę. Druga pieśń przybyła w Dreźnie, w lipcu 1831. Trzecia w Paryżu, w wrześniu. Czwarta tamże, w październiku. A zatém zapełnia poemat ten prawie cały rok 1831, przy pracy nad nim ciągle przerywanéj już to przez zdarzenia tego roku, odwodzące uwagę autora w inne strony, już przez same zmiany pobytu, niemniéj przyczyniające się do roztargnienia.

Do Skibickiego wiersz powstał dopiero w Paryżu w lutym 1832.

Nie mam zamiaru wchodzić z równą szczegółowością w rozbiór wszystkich tych poezyi. Niektóre z nich nie wytrzymują zgoła krytyki i nie ma się co nad niemi rozwodzić. Tak na przykład myślę, że i najzagorzalsi wielbiciele Słowackiego zgodzą się na to, że najrychlejsza między wyliczonemi powyżéj jego rzeczami wypadła nader słabo. Ani przez inwencyą, ani przez wykonanie poemat ten nie sprawia wrażenia na czytelniku. Charakter **Hugona**, głównéj osoby, tak dorywczo i ołówkowo tylko rzucony, że ani sądu o nim ani współczucia dla niego mieć niepodobna. Wszystko zaś psuje do reszty ten brak prawdopodobieństwa, rażący przy każdym kroku. Jestto zatém tylko próba młodzieńcza z rodzaju tych, któreśmy ogłosili na początku pierwszego tomu dzieł Słowackiego pozgonnych.

Przejdźmy do **Mindowy**. — Przedewszystkiém najwłaściwszą będzie powtórzyć, co o téj sztuce sam autor rozumiał wtedy, kiedy oddawał ją do druku. — „Niech mi wolno będzie wyznać, (mówi on w notach dodanych na końcu sztuki), że sam czuję najlepiéj wszystkie niedostateczności dramatu Mindowe, a części przynajmniéj błędów starałem się w Maryi Stuart uniknąć. Mamże jeszcze z szczerszą otwartością postąpić? mamże wyznać, że Mindowe jest najmłodszym z płodów w dwóch tomach zawartych,

napisany przed trzema laty, kiedy autor miał lat —. Ale nie, zamilczę o wieku autora, bo to byłaby nadto słaba i bezużyteczna obrona, i możeby słusznie jakie z pism peryodycznych powiedziało, iż kiedy nie na tytule dzieła, to przynajmniéj w przypisach o przywileje małoletnich upominam się.*) I tak: Mindowe powinien był w tece dziecinnéj pozostać. Wiecznieby w niéj pozostał, gdyby nie dziecinne moje przywiązanie do kilku scen pierwszego aktu, i do całego aktu trzeciego"....

Że to, co tu mówi Słowacki, było jego przekonaniem rzetelném, a bynajmniéj nie pochodziło z jakiéjś udanéj skromności, którato skłania niekiedy autorów do spowiadania się przed czytelnikiem z tych lub owych uchybień częściowych, aby krytyka tém pewniéj pochwaliła całość ich dzieła: o tém świadczy i ta jeszcze okoliczność, że się w tymsamym sensie o téj sztuce wyraził i poufnie w liście do matki. Zdaje się, że musiała ona coś zganić w układzie tego dramatu. Na to jéj tedy odpowiedział poeta słowem krótkiém ale dobitném: — „Tragedya Mindowe wiem że bardzo słaba — oprócz kilku scen." (Z listu z d. 30 lipca 1832 r.)

Na tym wyroku i mybyśmy mogli najzupełniéj poprzestać. Miejsc pojedynczych wyższym nacechowanych talentem nie brak wprawdzie téj sztuce, wrażenia odpowiedniego jednakże całość nie sprawia. Co samo już świadczy albo o jakiémś niefortunném założeniu całego pomysłu, albo o jakiéjś wadliwości w jego przeprowadzeniu, albo o obojgu. Wadliwe przeprowadzenie rzeczy— jestto innemi słowy pewien niezwiązek pojedynczych części, choćby z osobna najpiękniejszych, pomiędzy sobą i w stósunku do całości. Że dzieło niniejsze zarzutom pod tym względem podlega, tego nie ma co dowodzić. Sam autor to już przyznał. Za to nie wiem, czyby się był zgodził — w owéj chwili przynajmniéj — na to, coby powiedzieć należało o głównym pomyśle tego dramatu.

Z nazwą tragedyi wiążą się zawsze wysokie wymagania.

---

*) Miał lat wtedy właśnie 20. A zatém prawie tyle, ile ich miał Schiller, kiedy pisał pierwszą swoję tragedyą, *die Räuber*. Zresztą wzmianka, że to był najmłodszy z płodów wtedy wydanych, o tyle jest niedokładna, że Hugo napisanie jego poprzedził.

Zapewne ażeby tego uniknąć, nazwał poeta obecny swój utwor skromniejszém mianem obrazu historycznego. Nie na wiele mu się to jednak przydało. Najprzód bowiem, jeżeli czém nie jest Mindowe, to właśnie obrazem wieku. Do tego musiałby był Słowacki podejmować zupełnie inne studya. A potém, jak nadanie nazwy tragedyi takiemu utworowi, który nią nie jest, nie czyni go jeszcze tragedyą: tak też odwrotnie zatytułowanie sztuki jakiéj poematem dramatycznym, obrazem historycznym itp. nie przeszkadza jéj bynajmniéj być tragiczną kreacyą, jeżeli tylko ma po temu wewnętrzne i prawdziwe warunki. Rzecz się ma podobnie i w tym razie. Mindowe nie może być inaczéj przedmiotem krytycznych uwag, jak tylko właśnie jako tragedya, do rodzaju któréj najwięcéj się zbliża.

Powiedzmyż, co jest, co ma być tragiczném w obecném dziele? — W ogólności otrzymuje każdy utwor znamię tragiczne albo przez odpowiedni tok zdarzeń, stanowiących to co pospolicie nazywają bajką dramatu, albo przez charakter działających w nim osób. Zazwyczaj jedno nie może być bez drugiego, bo gdzie jest pierwsze, tam się znajdzie samo z siebie i drugie; jednakże bywa zazwyczaj pewna po téj albo po owéj stronie przewaga. Stósując to do Mindowy, zdawać się wprawdzie może na pierwszy rzut oka, że poeta oparł się tu głównie na przedmiotowéj stronie osnowy; że wyrazem i przeprowadzeniem téj idei, która kierowała jego wyobraźnią kiedy obmyślał układ dzieła, chciał mieć mniéj więcéj następujący przebieg wydarzeń:

> Mindowe porzucił wiarę ojców. Z pobudek politycznych, dla zaspokojenia dumy swojéj, dla powiększenia granic państwa, wdał się w związki z Krzyżakami, przyjął koronę królewską, a z nią (wprawdzie obłudnie i tylko na pozór) i chrześcijaństwo. Naród oburzył się nad taką wzgardą bogów ojczystych. Stanął przeciw wiarołomcy. Własna matka rzuciła na głowę jego przekleństwo. Na nic się nie przydało, że potém Mindowe odrzucił maskę przybraną, do pogaństwa powrócił i Krzyżaków zdradził. Przekleństwo matki musiało się dopełnić. Zerwany węzeł wierności narodowéj nie mógł być powetowany. Mindowe ginie, a z nim i całe potomstwo jego. Na jego tronie zasiada Trojnat, wierny religii narodu.

Po głębszém zastanowieniu jednak upada przypuszczenie, żeby z tego punktu widzenia dała się wskazać główna waga téj sztuki.

Najprzód bowiem bezpośredni cios, spadający na głowę króla, nie pochodzi ze strony zbuntowanego ludu, ale od Dowmunta. Dowmunt mści się za krzywdę osobistą, a nie z religijnych powodów. Co większa — ów Trojnat, który ostatecznie obejmuje rządy nad Litwą po strąceniu Mindowy, nie ma co do głównéj rzeczy żadnéj nad tymże wyższości. Nie jest on typem dążeń przeciwstawionych roli, jaką stryj jego odegrał. Chociaż bowiem jest poganinem i być nim nie przestaje, to i on jednak osięga tron książęcy także nie inaczéj, jak tylko przy pomocy Krzyżaków: jest z nimi sprzymierzony, przyrzeka, „że się nie będzie nigdy wdzierał do pruskiéj dzielnicy“, że „usługę Krzyżaków w wiecznéj zachowa pamięci“. Nic się zatém przez jego na tron wstąpienie na Litwie nie zmieniło. Tak przed katastrofą, jak po katastrofie — białe habity z czarnym krzyżem na piersiach z równym wpływem występują na scenie przy każdéj sposobności.

A zatém okazuje się, że tragiczność téj sztuki nie może polegać na akcyi. Tok zdarzeń nie zawiera w sobie żadnéj idei tragicznéj. Szukajmyż przeto, czego nam trzeba, gdzieindziéj — w charakterach.

Charakterów w téj sztuce jest kilka z pewną siłą i konsekwencyą rzuconych. Plastyczna, marmurowa postać Rognedy jest jak z jednego odlewu. Posągowy to pomnik macierzyńskiéj miłości na tle szorstkiego wieku i nieogrzanéj uczuciem chrześcijańskiém dzikości. Lecz to osobistość stawiona w téj tragedyi na drugim planie. — Wybornym typem starolitewskiéj siły jest także Lutuwer. Mistrzowska scena jego skonania (w akcie czwartym) jestto jeden z najszczęśliwszych ustępów w całym dramacie i nie pozostawia nic do życzenia. Ale i z Lutuwerem tylko się mimochodem zapoznajemy i spotykamy go zaledwie trzy razy w całym przebiegu sztuki. — Z wielkim wdziękiem rozpoczęta rola nieszczęśliwéj Aldony zrazu obiecuje wiele; od połowy IIIgo aktu jednak i ta postać przestaje zajmować widza, spadłszy na poziom prostéj kopii szekspirowskiéj Ofelii. — Heidenrich, Wojsiełko, Mindowe — są to typy jednego stępla, ale

Mindowe przerasta ich wszystkich perfekcyą w swoim rodzaju i zarzuca cieniem cały obraz dramatu. W ręku Mindowy zbiegają się wszystkie nici rozbiegłych zdarzeń. On niemi kieruje, on je wszystkie porusza. Jego wola, jego czyny, jego cierpienia — oto punkt, około którego się wszystko gromadzi.

Rozbierzmyż teraz rolę, jaką autor dał odegrać bohaterowi sztuki. Przyznając z góry, że takowa ma w sobie wszelkie tragiczności pozory, starajmy się wyrozumieć, czy te pozory nie są złudne; czy w charakterze Mindowy daje się dostrzéc coś takiego, coby jego działanie w tym kierunku jak się ono rozwija, upoważniało i dawało mu prawo do walki, jaką jest całe człowieka tego życie?

Tragiczność roli Mindowy nie jest wynikiem jego położenia, jego stósunku do świata, śród którego żyje. Ona wynika z jego własnéj natury, ona jest w nim i tylko w nim samym. Jestto człowiek, jakby na to zrodzony, ażeby nie poszanować niczyjego prawa na świecie, ażeby zdeptać wszystko, co dla drugich miłe i drogie, ażeby uważać za igraszkę rąk swoich wszystko, co go tylko otacza — i piętrzyć zbrodnie na zbrodniach — i wiedzieć że to źle — i boleć nad tém i cierpieć, — a jednak nie móc czy też nie chcieć zejść z téj drogi fatalnéj.

Czy tacy ludzie zdarzają się na świecie? Bywają pono niekiedy — dzięki Bogu, że bardzo rzadko! W utworach poetyckich można się częściéj z nimi spotykać. Dzieła Byrona przedewszystkiém w nie obfitują. Byron też dopiero jest właściwie ojcem podobnych typów w poezyi jako natur upoważnionych do bytu.

Sąto niby półbogi w porównaniu z zwyczajną małością ludzką. Ale ta ich półboskość nie sięga po za własne rozumienie o sobie, a w najlepszym razie nie sięga po za pewną, błyszczącą jak szych, wspaniałość słów, uczuć i pragnień, których jedyném źródłem bezdenna egoistyczna duma. Sąto zatém olbrzymy w zachceniach, a w działaniu prawdziwe karły! Burzyciele szczęścia ludzkiego za życia, a w godzinie zgonu szatany. Zdaje im się, że cały ich zawód na ziemi byłato jedna nieustająca krzywda,

jakiéj doznawali od ludzi: podczas gdy w rzeczy saméj onito byli dręczycielami drugich.

Czy Słowacki widział swego Mindowę w takiém świetle przed sobą? Czy wiedział o tém, że jego bohater nie jest niczém więcéj, jak demonem upadłym? Otóż właśnie w tém cały obłęd poety, że tego nie wiedział; że owszem rozumiał, iż w nim przeciwstawia zwyczajnéj naturze ludzkiéj osobistość doskonalszéj organizacyi, właśnie przeto upoważnioną do zakłócania szczęściem wszystkich i każdego na ziemi...

Zresztą gdyby się można zgodzić na wprowadzenie postaci, jakem ją tutaj określił, w zakres dzieła osnutego na najdawniejszych dziejach Litwy pogańskiéj: — przyznać trzeba ku pochwale poety, że ją i z konsekwencyą przeprowadził i nieraz umiał uwydatnić tę abstrakcyjną wielkość, jaka niewątpliwie jest jednym z przymiotów podobnych demonicznych osobistości.

Dążność ta otrzymała w dziele obecném tyle nawet po nad wszelkim innym względem przewagi, że czytelnik nieraz — mimo woli i mimo wiedzy — sympatyzuje z jego bohaterem! Słysząc dumne, niekiedy prawdziwą potęgą tchnące odzywania się jego, skargi jego zaprawione dojmującą goryczą, rozkazy jego wydawane głosem, przed którym wszystko się korzy, — zapominamy niemal o czynach, na któreśmy własném okiem patrzeli, o czynach zadających kłam owéj wyniosłości, owej poezyi wyrazów.

Jeżeli naprzykład Mindowe (w akcie I) przemawia do Krzyżaków:

„Kiedy nie będę królem, będę księciem Litwy,
Będę was darł i palił, rabował i łupił.
I teraz nadtom drogo tytuł króla kupił,
Jeśli miałbym pochlebiać i ważyć w umyśle
Słowa, które wymawiam, mówiąc to co myślę.
Ci wolno nie gadają, których jarzmo gniecie.
Ale mnie kto da prawa? kto mi zwiąże mowę?
Czy jest gdzie jaki drugi Mindowe na świecie?
Albo może wasz Papież jest drugi Mindowe?“

Albo kiedy się (w akcie II) skarży na posępne przeznaczenie swoje:

„Sam więc jestem, sam jestem! Walczyć, szerzyć mordy,
Śledzić spiski — trucizną chłodzić spiekłe wargi,
Wędzidłem krwawém ściągać dzikie ludu hordy —
To moje życie... usta nie wydadzą skargi...
Nie wiedzą, że ja cierpię“...

Albo kiedy przewidując bliską zagładę, obsaczony zbuntowanym narodem (w akcie V) mówi do Rognedy:

„Matko, czujesz? — przez okna téj gotyckiéj sali
Kwitnących jodeł płynie balsamiczne tchnienie...
O Litwo moja, syn twój na ciebie się żali!
Zdradzasz go“...

Albo wreszcie, kiedy (w akcie IV) żegna się ze swoim zamkiem:

„O zamku, co przetrwałeś długie wieków burze,
Ciebie naprzód powita jutro słońce jasne,
Ja ciebie żegnam... Zamku! na wysokiéj górze,
Byłeś ty gniazdem orła, orzeł ciebie wsławił,
W tobie zasypiał, w tobie zwykł łupy pożerać
I nieraz cię krwią ofiar niewinnych zakrwawił;
Ale czyż orzeł w gnieździe powinien umierać?“

Któżby nie słuchał słów takich z pewném współczuciem i nie rozumiał, że ma głębszą naturę przed sobą? A tymczasem złóż, oblicz, oceń całe pasmo jego działania — rozważ, co ten bohater w jaśniejszych chwilach sam o sobie i to bez najmniejszéj mówi przesady, — naprzykład w pierwszéj scenie aktu IIIgo.

„I któż się odważy
Zajrzeć w głąb tego serca, w tę przepaść rozpaczy
I zbrodni? . . . . .
Ja sobie nie przebaczę, nikt mi nie przebaczy.
Najmniejsza z moich zbrodni, a wielka z pozoru,
Żem się krwią zmazał —
(pokazując sztylet)
Patrzaj, tą krwią wypisane
Wszystkie są moje czyny na téj rdzawéj stali...
Ty chcesz czarniejszych zbrodni? ty chcesz duszę ciemną
Przejrzeć aż do dna? patrzaj! pod berłem z żelaza

Lud podły, ciemny, dziki czołga się pode mną.
Przycisnąłem go całym ogromem ciemnoty,
Bojaźń już nosi w sercu, chytrość w miejscu cnoty.
Patrz, jak ów ciemny Litwin na moje skinienie
Uchyla korne czoło, piersi krzyżem znaczy,
Choć wolałby przy piersiach czuć węża pierścienie,
Niż ten krzyż nienawistny... Któż mi to przebaczy?"

Jeżelić tak: to jakże jemu mówić do ojczyzny z wyrzutem:

„O Litwo moja! syn twój na ciebie się żali,
Zdradzasz go".

W inném miejscu (w akcie Vtym) powiada o sobie:

„Bezbożny — zbójca — tyran — obłudnik — morderca.
Jedna z tych zbrodni ludzkie wypali sumienie:
Jam wszystkie spełnił — zimno! Znużony po zbrodniach
Głębiéj teraz spać będę i w grobowe cienie
Przejdę, przy jasnych wiosek krzyżackich pochodniach.
Ach matko, ciężkie, ciężkie było moje życie!
Czułem, choć twarzą boleść wskazywałem rzadko.
Nikt mnie nie kochał"!...

Ta skarga: nikt mnie nie kochał! nie jestże to istne szaleństwo w ustach takiego człowieka?

Owoż — przeprowadzenie zawodu takiéj demonicznéj natury, takiéj że powiem irracyonalnéj wielkości ducha, powołanéj do czynu w rozległym zakresie działania władcy narodu — zdaje mi się że było artystycznym zamiarem autora Mindowy. Zadanie wielkie, zadanie godne znakomitego poety. Ale trzeba sobie było zdać z tego sprawę, czy się kreśli wizerunek demona, czy ideału. — Nie chodzi wprawdzie o to, ażeby bohaterami dramatów były same idealne postaci. I ujemne żywioły mogą niekiedy nosić na sobie znamiona wielkości. Poezya złego nie wyklucza z swego obszaru. Bohaterem szekspirowéj tragedyi Ryszard IIIci jest niemal szatan wcielony. Ale Szekspir wiedział o tém, że to bicz boży, na to tylko tutaj przysłany, żeby wyprzątnąć plac z nieprzydatnych do niczego rumowisk. Nie wzbudzał w widzach dla niego ani współczucia ani uwielbienia. Nicość moralna nie jest tam zatém bynajmniéj osłoniona wszystkimi urokami poezyi, aż

do złudnego przybrania pozorów tego, czém nie jest, i przemienienia się w przedmiot zachwytu poety. U Słowackiego zaś w tém dziele ma się rzecz właśnie przeciwnie.

Pomiędzy utworzeniem Mindowy a dokonaniem **Maryi Stuart** upłynęło trzy kwartały czasu, zapełnionego innemi robotami poetyckiemi. Bierzemy jednakże pod rozbiór już w tém miejscu ten późniejszy utwor Juliusza, ponieważ je forma dramatyczna do siebie zbliża; a daléj ponieważ chcielibyśmy pod bezpośredniém wrażeniem uwag rzuconych co do Mindowy, ocenić — sprawdzić niejako te słowa poety w domówieniu do rzeczonego dzieła powiedziane: „Sam czuję najlepiéj wszystkie niedostateczności Mindowy, a części przynajmniéj błędów starałem się w Maryi Stuart uniknąć.“

W rzeczy saméj przyznać to poecie należy, że drugie jego dzieło sceniczne z wielu miar od tamtego jest wyższe. Już sam początek jego wzbudza wielkie oczekiwanie. Zawiązanie intrygi zręczne. Nakreślenie charakterów zdaje się być szczęśliwe, wykonane ręką pewną i wprawną. Wstępne sceny przemawiają doraźnie do wyobraźni i coraz więcéj obudzają zajęcia. Cały akt pierwszy, równie jak drugi, prowadzone są w sposób chlubnie świadczący, że się talent poety przez ten czas rozmógł, dojrzał, spotężniał. Uchybień, jakie wytknąć należało Mindowie, nie znajdujemy tu ani śladu. Co krok miejsca silne, porywające, prześlicznie pomyślane, wyrażone najcudniejszym wierszem, jakim kiedykolwiek pisano po polsku. Już pewność czytelnika ogarnia, że ma przed sobą utwor pierwszego rzędu, jednę z pereł dramatycznéj poezyi naszéj. Wtém — rozpoczyna się akt III., a w nim coś się akcya zaczyna wikłać — ogniwo łańcucha zdarzeń, dotąd prowadzonego tak dzielnie, pęka — charaktery owiewa jakby mgła jakaś, która nie dopuszcza dojrzeć aż w samo ich wnętrze— coś się w nich paczy, zdaje się, jakby się ich role poprzemieniały — współczucie widza chwieje się... lecz nie uprzedzajmy sądu czytelnika naszego. Zacznijmy raczéj rozbiór, od czego go rozpo-

cząć należy, od wyjaśnienia głównéj intencyi autora, od zdania sobie sprawy z roli pierwszorzędnéj w dramacie, z charakteru Maryi.

Jestto młoda, żywych uczuć, luźnych zasad i wątłéj woli kobieta, stawiona ironią losu na tronie narodu, z którym oprócz prawa do dziedzicznéj nad nim władzy, żadna ją wspólność nie łączy. Obyczajami zbliżona do Francyi, gdzie jéj upłynęły najrańsze lata młodości; sercem najściśléj złączona z Rzymem, którego religijną zwierzchność uznaje; gorących katolickich przekonań— objęła rządy nad krajem, który się od jedności kościoła oderwał, uporczywie obstaje przy nowych wyobrażeniach, w posępnym rygorze swego purytanizmu spoziera z oburzeniem i wzgardą na tę miękkość obyczajów zamorskich, co ton nadają na dworze Maryi Stuart. Pospólstwo stolicy w zapędzie fanatycznym nie tylko lży publicznie wyznanie swojéj monarchini, ale i czynnie znieważa przybytek „papistycznego“ jéj nabożeństwa. Jeden z sekciarzy, przywódca ludu, posuwa się i daléj jeszcze. Oto namawia już gawiedź do stanowczego wypowiedzenia jéj posłuszeństwa nawet jako panującéj, do otwartego buntu. „Zburzcie, zburzcie to gniazdo, woła wskazując na jéj pałac królewski, a odlecą kruki!“ — A wyższe stany? Wyższe stany patrzą na to wszystko obojętnie. Nie widać w nich żadnego współczucia dla znieważonéj. Czują mniéj więcéj tosamo, co pospólstwo; tylko że miarkują uczucia swoje rozsądkiem i jeszcze trzymają się w karbach uległości pozornéj.

Ale poeta nie poprzestał na odsłonieniu téj tylko jednéj trudności w zawodzie swéj bohatérki. Droga Maryi nie z téj tylko przyczyny prowadzi po nad krawędzią przepaści, że ją widzimy w przedmiotowéj kolizyi, gruntującéj się na okolicznościach politycznych, zewnętrznych, na okolicznościach, których ona nie wywołała. Jest jeszcze inny szkopuł, o który się rozbić może łódka jéj spokoju i bezpieczeństwa, a tym szkopułem jest jéj własna osobistość. Tamte trudności dotyczą jéj tylko jako królowéj; te jéj dotyczą jako kobiety.

Marya jest młodą, dobrą, a nadewszystko — ona jest piękną! Wywiera urok i pociąg jakiś nieopisany na wszystkich, któ-

rzy bliższy, którzy częstszy przystęp do niéj znajdują. W téj mierze jest jakaś jakby fatalność przywiązana do jéj osoby. Wprawdzie ogół narodu nie podlega téj sile jéj niewieściego uroku. Przesądy, sekciarstwo, niechęci z jednéj, a brak ufności z drugiéj strony utrzymują zbyt wielki przedział między krajem a tronem. To téż mało ma przyjaciół królowa szkocka. Ale kto się liczy do jéj otoczenia, do jéj przyjaciół — rycerze jéj orszaku— dworzanie wierni, którym serce jéj lepiej jest znane, ci wszyscy pod wpływem jéj czarującéj osobistości muszą się żegnać z spokojem ducha! Marya zapala miłość, na kogo tylko z nich spojrzy.

Wszakżeż nawet najmłodszy w całém ich gronie, paź królowéj — niedorosłe pacholę i prawie dziécię jeszcze — rozmarzony tém słodkiém upojeniem, jakiego w jéj otoczeniu doznaje, z uniesieniem, w bezwarunkowém oddaniu całego swego jestestwa na usługi swéj pani, takiemi oto słowy maluje uczucia, jakie ona w nim rozbudziła:

„Czy ja kocham królowę? Jakież dam dowody?
Kocham ją jako matkę, siostrę, jak anioła.
Taki jestem szczęśliwy! dzień cały od rana
Przepędzam przy jéj stopach, — nieraz na kolana
Spadnie mi róża napół uwiędła z jéj czoła;
Nieraz jéj twarz ochładzam złocistym wachlarzem,
Twarz spłonioną jasnymi rumieńca szkarłaty;
Nieraz schylonéj kornie przed boskim ołtarzem
Trzymam książkę modlitwy, lub niosę kraj szaty.
Szczęśliwy jestem!“...

Z takich samych uczuć, tylko w namiętniejszy sposób, mógłby się spowiadać i Rizzio, nadworny lutnista królowéj, i niejeden inny jeszcze, gdyby — byli tyle naiwni, co ów paź młody, i nie woleli tego, co czują, tego co sobie roją, do czasu zamykać w sercu.

Wprawdzie za urojenia drugich nikt odpowiadać nie może. Ale na Maryą spada jednakże część winy za te jaskrawe uwielbienia jéj powierników. Niekoniecznie to bowiem mimo jéj wiedzy i mimo jéj chęci zapalają się te płomienie. Marya jest już

z natury zalotna. Nienadaremnie też pierwszą życia wiosnę spędziła nad brzegami Sekwany.

„Niedawno w kraju Franków na królewskim dworze
Kochałam wszystkich, równo od wszystkich kochana.
Z dziecinnym śmiechem nowe widziałam klejnoty,
Z dziecinnym śmiechem ciche słyszałam westchnienie,
Z uśmiechem przed zwierciadłem trefiłam włos złoty,
Przeplatając różami trefione pierścienie.“

Na kwiatach tedy, na skrzydłach motylka, jak sen ułudny, lekko uleciała jéj przeszłość. Za przybyciem do Szkocyi skończyły się te dni jasne. Widzi się tu przyjmowaną ozięble, samotną i opuszczoną przez naród; czuje, wie nawet o tém, że jest podejrzywaną i niemal znienawidzoną. Témci miléj, tém wdzięczniéj przyjmuje hołdy od téj szczupléj liczby przyjaciół, jaka ją jeszcze otacza. A chociaż w tym lub owym odgaduje uczucia żywsze i śmielsze i gorętsze, niżby może należało: bawi się niemi, cieszy się niemi, bo to jéj próżności pochlebia, bo tkliwe jéj serce nie chciałoby odtrącającém słowem nikomu jego rozkosznych marzeń przerywać — a wreszcie, wszakże to już jest wszystko „co jéj rozjaśnia tę pustynię ciemną,“ do któréj przyrównywa smutny swój zawód na ziemi!

Z tego zachowania wynikają oczywiście następstwa, które szkodzą jéj sławie i bynajmniéj nie przyczyniają się do umocnienia jéj stanowiska na tronie. Świat wie o tém, że stósunek między królową a mężem jéj Henrykiem Darnley, jest od pewnego czasu bardzo jakoś oziębły. Powszechne mniemanie oskarża ją o miłostki z dorodnym Włochem, z poetycznym harfiarzem nadwornym, z Rizziem. Mniemanie to podziela także i tytularny król Szkocyi, małżonek Maryi Stuart. Co większa, i Rizzio nawet — sam rozmiłowany w królowéj nad miarę — bynajmniéj nie jest daleki od uwierzenia temu, że doprawdy osoba jego jest dla królowéj nieobojętną. Na karb tego, co sobie roi, poczyna też on sobie z panami i dostojnikami królestwa z takiém zuchwalstwem, w sposób jak dla przybylca i człowieka w jego podrzędném położeniu tak niestósowny, że tém bardziéj jeszcze samochcąc utrudnia pani swojéj wszelkie porozumienie z narodem. Marya Stuart je-

dnakże i tego wszystkiego za nic sobie nie waży. Poczytując się za niewinną, nie poczuwając się do tego, o co ją posądzają, śmiało wyzywa opinią ludzką.

Wprawdzie przychodzi jéj na myśl, że mogą czasem szkodzić nawet i same pozory, że „czyste zwierciadło skazić może i lekkie tchnienie“. Ale duma monarsza co prędzéj ją napowrót sprowadza na tę pochyłość, po któréj idzie, gdyż —

„Ktoż ma prawo mnie sądzić? ja osądzę siebie!
Ludzie są u stóp moich, nademną Bóg w niebie“!

Co najwięcéj jednakże w całym tym stósunku jest niebezpieczném, to że serce Maryi nie jest zajęte żadném żywszém, trwalszem, rzetelniejszém uczuciem, a koniecznie zdaje się potrzebować głębszego zajęcia. Jéj mąż, Henryk Darnley, nie jest człowiekiem, któryby potrzebom tego serca wystarczał, któryby je osobą swoją zapełnił. Niedołężna to natura! Ograniczony, słaby, lękliwy — namyśla się w nieskończoność nad wszystkiém. Rozbiera po tysiąc razy swoje nędzne położenie, swój upokarzający stósunek względem kraju, względem żony, względem jéj zalotników. Szemrze pokątnie na jéj postępowanie, zazdrości jéj władzy królewskiéj, którą tylko tytularnie z nią dzieli. I w téjsaméj chwili drży na samę myśl, że się może królowa obraziła o co na niego! Przyjaciele jego chcieliby w nim rozbudzić jakieś poczucie godności. Nik, błazen jego nadworny i towarzysz nieodstępny (o którym powiedzmy tu choć nawiasowo, że jestto może najwdzięczniejsza rola w całym dramacie i najgłębsza natura ze wszystkich figur w nim działających), Nik smaga go nielitościwie dojmującemi szyderstwy. Popychają wszyscy nieboraka to w tę stronę, to w ową. Rozdmuchują w nim iskrę zemsty. On też nieraz zapala się okrutnie — przyznaje im wszelką słuszność — grozi wszystkim zapalczywie... ale czémże im grozi? — oto że się wreszcie już postanowił, nad położeniem końca temu wszystkiemu — namyśleć!

Taka chwiejna kreatura, taka bezwarunkowa nicość męszczyzny nie była oczywiście stworzona na męża Maryi Stuart. Jeżeli Henryk znaczył coś kiedy w jéj oczach, to te czasy dawno minęły. Zgoda i porozumienie małżeńskie spadły między nimi do

pustéj formy. Darnley rzadko się też pokazuje na pokojach królewskich. Trawi czas najwięcéj z błaznem swoim, w wiejskiém ustroniu. A w sercu Maryi — próżnia niczém nie zapełniona!

W tym stanie rzeczy potrafił zbliżyć się do boku królowéj człowiek, którego niepospolita, zagadkowa istota od razu zapala jéj wyobraźnię. Jest on obecnie także rycerzem w jéj orszaku; nazwisko jego Botwel. Postać zadumana — ponura — smutna, o bladéj twarzy. Trawią i dręczą go od dawna pragnienia jakiéjś nieokreślonéj wielkości, pragnienia przechodzące wszelki zakres rzeczy do osiągnienia podobnych. Jeden z tych typów bajrońskich, nigdy niezadowolonych z niczego, którym się przeto snuje ciągle myśl zabójstwa po głowie. — Oto jakiemi słowy sam Botwel zapoznaje nas z sobą:

„Na wybladłéj twarzy
Gorzki uśmiech i wzgarda: — nie patrz, co jest we mnie.
Któż się we wnętrze grobu zaglądać odważy?
Nie zniszczyły mnie zbrodnie, jestto sytość życia;
Gorące serce wrzało we mnie od powicia,
Teraz jestem znużony, zimny — umrzeć muszę“ ...

Z tą tedy tajemniczą naturą, z tym duchem kolosalnych zapędów, ale jakby napiętnowanym cechą potępienia na czole, spotyka się na drodze życia swobodna, bezpieczna, zalotna żona Darnleja. I to spotkanie stawia ją znienacka, niebawem w położeniu, z którego się bezkarnie wycofać — graniczy niemal z niepodobieństwem. Aż dotąd postępowanie królowéj szkockiéj mogło być w wielu względach niebaczne, mogło upoważniać do krzywdzących podejrzeń, mogło w oczach rygoryzmu jéj purytańskich poddanych być i naganném: — w własném wszelako sumieniu nie miała ona sobie dotąd do zarzucenia żadnéj przewiny. Igrała wprawdzie z uczuciami, które być nie powinny igraszką; bawiła się miłością, którą tylko w drugich wzbudzała; szła po śliskiéj, stroméj ścieżce, lecz ani przypuszczała, że ta ścieżka może prowadzić i ku przepaści. Naraz spostrzega, że się zapędziła za daleko. Widzi się w pętach uczucia, które z uśmiechem na twarzy tylekroć wyzywała bezkarnie. Czuć zaczyna całą wagę, całą potęgę téj siły, któréj się nierozmyślnie poddała. Sumienie wła-

sne przemawia do niéj z goryczą, że to, co dotąd nazywała tylko swych nieprzyjaciół potwarzą, może niezadługo i sama o sobie za drugimi powtórzy.

Wrącym pędem toczy się odtąd ten prawdziwie tragiczny przebój pomiędzy wzrastającą coraz bujniéj w sercu Maryi miłością i demoniczną potęgą, którą na niéj posępny Botwel wywiera, a słabym oporem reflexyi i sumienia, jaki zdolna stawić obydwom. Do tragicznego obrotu rzeczy przyczyniają się i uboczne okoliczności, przypadkowe zdarzenia, następstwa nieprzewidzianych, obojętnych założeń dawniejszéj daty. Takto zwykle się objawia w zawikłanych sprawach ludzkich ironia losu. Pod wpływem tego wszystkiego wynikają z nawiązanego ogniwa pierwszéj przewiny coraz nowe, coraz fatalniejsze, coraz wręcz występniejsze wypadki, aż wreszcie przychodzi do świadomego i umyślnie zamierzonego morderstwa, wykonanego na własnym mężu, i do wystawienia się na ostatnią wzgardę i ohydę narodu. W objęciach zbrodniczego kochanka, przed którego tajemniczą istotą w końcu i sama się wzdryga, obarczona żalem i wyrzutami sumienia, w ostatniéj scenie widzi się Marya zmuszoną zstąpić z stopni tronu swojego, w rychłéj ucieczce szukać ocalenia przed sprawiedliwą pomstą własnych poddanych. Ustępuje tedy z granic ojczyzny. Razem z Botwelem — znienawidzonym, idzie powierzyć się niepewnym losom tułactwa między obcymi. A ostateczny kres jéj zawodu — smutna dola ofiary, na śmierć z ręki kata wskazanéj, wśród ciemnych murów angielskiego więzienia — odsłania jéj się jak wizya — w dalekiéj perspektywie, na tle obrazu, który przed oczyma jéj ducha niewidoma ręka roztacza. To katastrofa i rozwiązanie dramatu.

Tyle miałem do powiedzenia o głównym zamiarze, jaki autor dziełu swemu podłożył. Takem pojął charakter bohaterki tego dramatu.

Ramy obrazu Słowackiego są zatém jak widzimy, dość szczupłe. Nie zamierzał on, jak Schiller w swojéj tragedyi tegoż tytułu, wciągnąć w zakres dzieła swojego całego historyzmu danéj epoki. W głębi zdarzeń na pierwszym stawionych planie, nie odsłania żadnych przebojów dziejowych ogólniejszego znaczenia,

których związek z zabiegami ludzi dramatu podnosiłby bohaterkę i tych co ją otaczają, na wysokość prawdziwie historycznych postaci. Nie chciał korzystać nawet z owéj kolizyi polityczno-dziejowéj, ukazanéj w głębi sceny w sposób tyle obiecujący na samym początku sztuki, z kolizyi mówię między narodem a panującą z powodu sprzecznych religijnych przekonań. I zaniedbał zupełnie wyprowadzić z téj sceny następstw, któreby w jakiéjkolwiek mierze wpływały na tok dramatu w dalszéj jego osnowie. Zgromadził natomiast całe światło obrazu właściwie na jednéj tylko postaci. Spoczął wzrokiem swoim na niepospolitych rysach jéj indywidualnéj natury, na nadzwyczajnych kolejach jéj życia, uważanego z ogólnie ludzkiego stanowiska. I tak stawił przed sobą zadanie, które mimo że sprowadza koronowaną osobistość dziejową na poziom prywatnéj niemal niewiasty, tyle jednak ma stron w wysokim stopniu zająć jeszcze mogących wyobraźnię każdego, tyle warunków prawdziwéj dramatyczności, że krytyka patrząca, jak sprawiedliwie, tego tylko, co dać autor zamierzył, a nie czegoby sobie kto może życzył, nie ma pod tym względem nic do zarzucenia poecie.*)

Nawet więcéj jeszcze ośmieliłbym się powiedzieć na korzyść pomysłu służącego tu za główne założenie dramatu. Wspomniałem już wyżéj o tragedyi Schillera, osnutéj na tym samym ustępie dziejów szkocko-angielskich. Daleki wprawdzie jestem od rozumienia, żeby arcydzieło to niemieckiego tragika nie miało być jako skończony utwor sztuki, wzięty w całym swoim ogóle, nieporównanie wyższém od obecnéj sztuki Juliusza. Gdyby atoli chodziło o porównanie ze sobą samych tylko bohaterek w jednym utworze a drugim, to zdaje mi się, że porównanie takowe wypadłoby pod artystycznym względem ostatecznie na korzyść takiéj Maryi Stuart, jak ją poeta polski w dziele swojém wprowadza.

*) To jedno chyba możnaby tu nadmienić, że niewłaściwie nazwał autor dzieło swoje, pomimo tak ścieśnionego zakresu, historycznym dramatem. Historycznym nie jest on wcale, chociaż zna i historya ludzi, którzy w nim występują. On jest tylko psychologicznym obrazem serca ludzkiego i jego namiętności. Ale mniejsza o tytuł!

Heroina Schillera jest nierównie mniéj dramatyczna. Bardzo mało, właściwie nic wcale nie przyczynia się ona osobą swoją do téj gorzkiéj doli, jakiéj doznaje. Jéj cierpienia, jéj smutny koniec, nie sąto wyniki winy, którąby była zaciągnęła sama; sąto wszystko raczéj, jak wiadomo, następstwa okoliczności od niéj niezawisłych. O tyle zawód jéj tedy jest tylko bierny. Cierpi — jako słaba ofiara obcéj przemocy; upada — niewinnie.

Warunkiem prawdziwéj tragiczności w losach człowieka jest nieodzownie pewien własny i umyślny współudział jego w powodach, które na posępny obrot jego doli wpłynęły. W klasycznéj tragedyi greckiéj mogło odgrywać przeważną rolę przeznaczenie, fatalizm. Zgodne to było z ówczesnemi wyobrażeniami o warunkach szczęścia i nieszczęścia ziemskiego. Nam nowoczesnym wszelako pojęcia takie nie wystarczają. W nas wrażeń prawdziwie tragicznych nie wzbudza widok saméj tylko bierności cierpienia. Nam trzeba i czegoś więcéj — własnéj współwiny tego, który cierpienia te znosi.

Geniuszowi tak potężnemu jak Schiller, nie mogły oczywiście nie być wiadome i najgłębsze tajemnice sztuki, któréj był mistrzem. Znał on dokładnie warunki tragicznych założeń i rozporządzał samowładnie sposobami sprawiania za pomocą dzieł poetyckich, wrażeń, o jakie nam tutaj chodzi. To też bierność roli zbyt idealnéj Maryi Stuart w jego utworze, była tylko skutkiem nieuniknionym samego wyboru rzeczy, samego przedmiotu dzieła. Ograniczył się bowiem Schiller do samych ostatnich chwil zawodu swéj bohaterki. Kreśląc ujmujący jéj obraz na tle posępném angielskiego więzienia, czuł on i sam najdokładniéj pewien brak samodzielnego ruchu, brak, że tak powiem inicyatywy dramatycznéj w jéj roli, jaki z tego nieuchronnie wynikał. Lecz umiał go zakryć poniekąd, a nawet sowicie go wynagrodził innym sposobem. Wprowadził bowiem w dziele swojém Maryą nie tyle jako charakter przerastający zwyczajny poziom niewieści pod względem ogólnie ludzkim, ale jako postać historyczną, stawioną na piedestalu jéj dziejowego znaczenia, z wszystkiemi znamionami wieku i kraju, na tle których ją zapamiętała historya. Wprowadził ją jako typ pewnych uroszczeń dynastycznych, pewnych prze

konań religijnych, których samo pojawienie się w jéj osobie na ziemi angielskiéj, chociaż było przypadkowe i bez żadnych nieprzyjacielskich zamiarów, już tu zostało poczytaném za wyzwanie do boju, i ściąga na się nieuchronnie odwet ze strony interesów miejscowych, tamtym ideom przeciwstawionych. Tak więc bohaterka Schillera, jako katoliczka, jako prawa dziedziczka tronu Tudorów, któréj się lękać osobiście musi Elżbieta, a z nią i każdy jéj poddany, jeżeli jest zwolennikiem panującego kościoła,— jako przedstawicielka pewnych godeł przywiązanych mimo jéj woli do jéj imienia, występuje w tragedyi przecie wyzywająco i niejako zaczepnie. I z tego punktu widzenia uważana, odzyskuje poniekąd to pełne znaczenie dramatyczne, na jakiém jéj zbywa jako osobistości indywidualnéj, jako kobiecie, która zakończyła już z światem i nie zamierza mięszać niczyjego spokoju,

Słowacki wybrał sobie inną chwilę życia Maryi Stuart. Rozwinął w ramach swego obrazu właśnie pierwszą połowę jéj pełnego przygód zawodu. Ukazał jéj wizerunek z całym urokiem niewieścim, jakim właśnie w owych czasach tyle jaśniała; z ową dumą monarszą, która późniéj dopiero miała doznać upokorzenia; z pędem temperamentu niezłamanego żadnymi jeszcze ciosami losu, pod wrącym skwarem namiętności, jakie się właśnie dopiero rozbudzały w jéj sercu. Rola tak pomyślana łączy w sobie wszelkie warunki świetnego powodzenia na scenie. Postępki i przeboje, uczucia i koleje, jakie bohaterka jego popełnia, stacza, przechodzi — są tu wypływem jéj własnéj inicyatywy. Odpowiedzialność za wszystko spada jedynie na nią. Źródło wszystkiego, co czyni, i wszystkiego, co cierpi, jest w niéj saméj.

Równocześnie z powyższém uznaniem artystycznych zalet wyboru, poczuwać się musi jednakże krytyka i do obowiązku postawienia zapytania: Czy z materyału takich czynów i takich cierpień daje się stworzyć dzieło, któreby równie zadość czyniło i etycznemu także zadaniu dramatu, ile jest pewném teatralnych efektów? Czy przygody indywidualne takiéj osobistości, jak Marya Stuart w owéj życia epoce, są zdolne przyjąć na się to znamię głębszéj intencyi, tę idealną barwę prawéj poezyi, do znajdywania któréj w dramatycznych kreacyach

już nas przyzwyczaili wielcy mistrzowie dawniejsi na tém polu literatury?—Nie śmiałbym żadną miarą rzeczy powyższém zapytaniem objętéj zaprzeczyć bezwarunkowo. Rozumiem raczéj, że co do tego względu zależało wszystko już tylko od talentu, a raczéj od zręczności poety w ciągu pracy nad szczegółowém wykonaniem utworu. Mianowicie stanowiła tu o rzeczy całéj owa czujna baczność artysty i psychologa, ku temu najusilniéj zwrócona, ażeby każdy krok na téj przepadzistéj pochyłości ku zbrodni był czy to odpowiedniemi zajściami poprzedniemi, czy wyjątkowym stanem duszy działającego należycie i dostatecznie uzasadniony. Częstokroć się i najjaskrawszy występek okaże jako tylko tragiczna, nieuchronna konieczność chwili, jeżeli go stawisz na tle okoliczności, które towarzyszyły jego spełnieniu. W ogóle przed trybunałem poezyi łatwiéj jest zdać rachunek z przewinień, jak przed wszelkimi sądami świata. Prawdziwe są słowa Byrona:

„Bywają zbrodnie, z których rdzę ohydy
Zdejmuje chwila — bywają pokusy
I nieuchronne i takie potężne,
Że z niemi boju naturze nie wszczynać.*)

Tymto sposobem może więc nie byłoby niepodobieństwem zrehabilitować w dramacie imię kobiety, nie najlepiéj zapisane w historyi. Wydatne, usilne, z przyciskiem dokonane odsłonienie w jéj charakterze gruntu, nie mającego w stanowczy sposób żadnéj spółki z poziomą i powszednią pospolitością kału ziemskiego i — co jeszcze ważniejsza — nieustanne a konsekwentne utrzymywanie w widzach przez cały przebieg dramatu wiary w onę lepszą cząstkę jéj serca — potrafiłoby zdaje mi się doprowadzić do tego, iżby słuchacze — nawet w obec jéj przestępstw stanowczego potępienia godnych skądinąd, byli raczéj przejęci współczuciem litościwém i tą czcią wielkiemu przynależną nieszczęściu, aniżeli zimnym wstrętem oburzenia i zgrozy.

Ale temu zadaniu poeta nasz, zdaniem mojém, nie sprostał. W ogóle uwaga jego nierównie mniéj była zwrócona na potrzebę pokonania trudności wynikających z etycznych wymagań dramatu,

*) Byrona Werner, Akt II, scena 2.

jak na osiąganie silnych poetyckich efektów. I ta to właśnie okoliczność odebrała utworowi jego ów wdzięk muzyki rzewnie przemawiającéj do serca, owę wspaniałość obrazu, pod którego barwami czujemy przytomność jakiejś wielkiéj idei, słowem ono znamię wyższéj kreacyi, jakiego brak podobnośmy wszyscy uczuli, kiedyśmy mieli przed niezbyt dawnym czasem sposobność widzenia Maryi Stuart odegranéj na scenie. *)

Czuję w wysokim stopniu i pociąg i potrzebę nawet poparcia tego, co tu powiedziałem ogólnie, dowodami opartymi na szczegółowych takich ustępach dzieła, gdzie pod wspomnianym względem kompozycya Maryi Stuart zdaje mi się być niedostateczna. Odsuwam jednak od siebie pokuszenie, jakiego w téj mierze doznaję, a to z przyczyny, że przewiduję, iż wywody podobne, jeżeliby być miały wyczerpujące, powiększyłyby za nadto objętość tego dzieła i — co gorsza, nadałyby mu mimowolnie jakąś cechę polemiczną, którą, ile tylko być może, chciałbym usunąć z uwag dotyczących pisarza, którego nie ma już pomiędzy nami. W własnym interesie poety niechaj mi tedy będzie wolno tę przynajmniéj dołączyć tu tylko jeszcze uwagę, że niedostatki, jakie upatruję w praktyczném przeprowadzeniu tak tego dramatu, jak i wielu innych młodzieńczych dzieł Słowackiego, nie tyle mi się widzą skutkiem jakiegoś niedopatrzenia, jakiéjś, jeślibym miał nazwać rzecz po własném imieniu, niezdolności technicznéj, ile raczéj wynikiem odrębnego sposobu artystycznego, i prawiebym powiedział — maniery, jaka mu w pierwszych latach jego zawodu była właściwa i stanowiła wtedy jedno z najwybitniejszych znamion jego oryginalności.

Jeżeli który z pisarzy naszych, to właśnie Juliusz uważany być może zdaniem mojém za szczególnego wyobraziciela romantyzmu w poezyi. Romantyzm — jestto jeden z owych wyrazów, o których znaczeniu można mówić bardzo długo i powiedzieć bardzo wiele, a jednak nie wyczerpnąć wszystkiego. Na to jednak zgodzi się każdy podobno, że przywiązane są do jego istoty i pewne odrębności co do ducha i pewne właściwości co do formy.

*) Była dana na scenie lwowskiéj dwa razy w ciągu roku 1862.

Pomijając zupełném milczeniem tamte, a mając w obecnéj chwili tylko te ostatnie na oku, przyznajmy sobie, że romantyzm formy—wprawdzie nie z istoty rzeczy, lecz bardzo często w skutku, de facto, wychodzi na tosamo, co genialny kaprys, co niezawisłość najzupełniejsza od wszystkiego, co pozytywne, co jakiemukolwiek rozważeniu podlegające, co przez techniczne wymagania kompozycyi warunkowane.

Poeta hołdujący przesadnie temu kierunkowi sztuki, w ciągu pracy około szczegółów dzieła rozpoczętego poczyna sobie wedle najswobodniejszego widzimi-się swojego; i rzucając jeden rys tak, drugi owak, ma zwykle swoje przyczyny, dlaczego w taki właśnie je sposób rzucił. Lecz to są tylko jego przyczyny. Zdarza się czasem, że nie ma i żadnych przyczyn; ale mu coś majaczy, jakby je miał; i to nieokreślone, jemu samemu niedościgłe poczucie wystarcza, aby kierowało już jego ręką. Jeżeli go wspomaga w pracy prawdziwe natchnienie i wielki talent, to poczucie owo go nie zawiedzie. W przeciwnym razie — zawiedzie go niezawodnie i to na bezdroża dziwactwa, na trzęsawiska marzycielstwa, na jakich tak często na początku tego stulecia widywano owych to poetów niemieckich kuszących się rywalizować z sławą Göthego i Schillera, których w literaturze téj znają pod imieniem romantyków i którzy — powiedzieć można — zdyskredytowali to godło.

Com tu powiedział w ogóle, nie zamierzam tego oczywiście stósować literalnie do poety, już w pierwszych latach czynności swojéj pisarskiéj tak znakomitego, jak nasz Słowacki. Miał wszelako i on pewne swoje nawyczki, którychbym się nie wahał kłaść głównie na karb źle zrozumianego romantyzmu. Jego odrębny sposób rozwijania osnowy poetyckiéj zależał — pod względem technicznego artyzmu — na tém, że więcéj on zawsze tylko natrącał i napomykał, nawięzywał i urywał, jedném więc słowem, szkicował i fragmentyzował, aniżeli żeby miał był wszystkie przejścia kreacyi swojéj wykonywać szczegółowo, w równéj mierze i w nieprzerwanym ciągu.

Cała sztuka jego (w dziełach przypadających na pierwsze lata zawodu, o tych bowiem tu jedynie mówię), polega na tém:

rzucać pełnemi garściami światła na stanowcze tylko momenta, a resztę zostawiać w cieniu, jeżeli nie zupełnie po za ramami obrazu. Sprawiać wielkie wrażenia sporadyczne — oto główny cel jego tworzenia. Czegoby zaś całości niedostawało, niech sobie tam tego czytelnik własnym przemysłem dopełni! —

Byli, trafiają się może jeszcze, wielcy i godni europejskiéj sławy artyści dramatyczni — tak aktorzy, jak i śpiewacy sceniczni, którzy początkowe sceny sztuk i w ogóle wszystkie obojętniejsze ustępy oddawali zazwyczaj z umyślném jakiémś zaniedbaniem i bezbarwnością, ażeby za to w chwilach rozstrzygających błysnąć niespodziewanie całą świetnością talentu i samym kontrastem wrażeń najpotężniéj olśnić publiczność. Owoż w podobny zupełnie sposób występują i w dziełach naszego poety szczegóły wykończone tém jaskrawiéj na widok, im mniéj są podniesione pośledniejsze partye utworu. Te świetne chwile w jego kreacyach sprawiają wrażenie jakoby grup rzeźbiarskich, plastycznem dłutem ciosanych; ale zato przestrzenie pomiędzy jedną taką grupą a drugą traktowane są od niechcenia, często lekkomyślnie, co się zowie, byle zbyć. Owoż – gdyby to zaniedbywanie się, gdyby to homeryczne w miejscach niektórych zasypianie odnosiło się do wiersza, do języka, do innych tym podobnych zewnętrzności poetyckich: — nie byłoby nic zgoła do powiedzenia przeciwko przyswojeniu sobie takowego sposobu. Ale najgorsza w tém, że się ono — nawet w rodzaju poezyi tak realizmem przesiąkłéj, jak dramat, u Juliusza właśnie do zupełnie czego innego ściąga. Albowiem wiersz autora Maryi Stuart jest owszem w każdéj części dzieła mistrzowski, język jego zawsze się iskrzy brylantami najczystszéj wody! Natomiast niedbałość epizodyczna, o jakiéj mowa, dotyczy u niego samejże rzeczy, obmyślenia osnowy, dotyczy saméj kompozycyi, wiązań budowy, częstokroć samychże fundamentów. I to jest właśnie fatalna strona téj maniery, wielce powabnéj skądinąd. Cóż bowiem z tego, że stanowcze chwile i wydatniejsze ustępy w większém dziele poetyckiém będą w sobie oddane z całą świetnością geniuszu? Jeżeli tych chwil walnych powody, jeżeli tych ustępów potężnych wiązanie polega na jakichś kruchych, wątłych i że tak powiem, uproszonych tylko premisach,

a krytycznéj próby nie wytrzymuje: w takim razie i to wszystko, co na tém oparte, zawisło jakby w powietrzu i nie może wywierać prawdziwie głębokiego wrażenia. Uderza i podoba się w pierwszéj chwili: po dłuższém zastanowieniu nie zaspakaja.

Tak na przykład piękną jest niezaprzeczenie scena VI aktu trzeciego w Maryi Stuart, scena, gdzie się Rizzio po raz ostatni żegna z królową i gdzie zostaje zamordowanym. Jeżeli jednak zważymy, że Rizzio miał wedle rozkazu Maryi wyjechać niezwłocznie i jeszcze téj nocy, i że były bardzo ważne powody, ażeby jak najrychléj odjechał, i że też już stanęło na tém (w ostatniej scenie aktu II), że się już więcéj nie pokaże na jéj pokojach: — to prawdziwie nie wiedzieć, jakiéj okoliczności przypisać to widzenie się jego jeszcze z królową? W pewnéj recenzyi uczyniono uwagę, że się Marya w Włochu kochała i że dlatego więc jako dawnego kochanka, przyjmuje go jeszcze u siebie, ażeby się z nim pożegnać. Ale przypuszczenie takie nie ma żadnéj podstawy. Świat wprawdzie posądzał królowę o te miłostki. W rzeczy saméj nie było ich jednak między nimi. Bo czyż w takim razie mogłaby ona mówić w monologu (w scenie VII aktu II):

„Wszak z dawna mnie obarcza czarne podejrzenie,
Myślą, że kocham Rizzia“...

Czyżby wreszcie, w takim razie, mogła się była ostatnia scena aktu II odbyć takim tonem pomiędzy nimi, jak jest skreślona w dramacie? A zatém niepodobna jest wymyśleć sobie żadnego dostatecznego powodu, dlaczego Rizzio po tém wszystkiém, co zaszło, otrzymuje to wezwanie do Maryi, zwłaszcza że tegoż samego czasu ma się przecież pojawić w jéj komnacie i Botwel, także przywołany tam przez nią. Cóż więc jest? Oto poeta musiał wprowadzić owego wieczora czy nocy Włocha do pokojów królowéj, gdyż u stóp to jéj miał być Rizzio koniecznie zamordowany. Lecz zupełnie zaniedbał uzasadnić téj jego niespodziewanéj bytności o téj porze w tém miejscu; i cierpi na tém budowa sztuki. —

Weźmy inny przykład. — Kiedy po zamordowaniu już Rizzia i po oddaleniu się jego zabójców, Marya omdlała odzyskuje przy-

tomność i spostrzega przybyłego tymczasem do jéj komnaty Botwela: wtedy rzuca się rozpaczliwie sama w jego objęcia —

„O niech teraz te światła, te pochodnie zgasną!
Żeby mój wstyd ukryły... Kocham cię Botwelu!
Nie jest to czas ukrywać i taić uczucia,
Rzucam się na twe łono, już jestem zgubiona“!

To zwierzenie, które wśród takich okoliczności, tak bez ogródki czyni Marya Stuart kochankowi swojemu, zdaje się być oparte na głębokiéj znajomości serca ludzkiego. I gdyby tak się rzeczy miały, jak je sobie Botwel tłómaczy:

.... „W dobrą trafiłem godzinę.
Wieki trzebaby czekać na takie wyznanie,
A teraz ją zdradziły rozpacz, obłąkanie“....

zwierzenie to byłoby rzeczywiście, jak tam ktoś o tém powiedział: „psychicznie uzasadnione!“ Byłaby to wielka exkuza dla bohaterki dramatu, że upada; i wielka zasługa poety, że téj sprawie taki dał obrot. Lecz to zwierzenie się królowéj, jako i samo przybycie Botwela o téj porze w to miejsce, nie jest bynajmniéj przypadkowe. Wszakże on już poprzednio przez pazia królowéj został tu zawezwany na tę godzinę, na jéj wyraźny rozkaz! (Obacz scenę II w akcie III.) Daléj Marya Stuart nie teraz dopiero rzuca się w tę przepaść, w jaką się miała dla niéj obrócić ta miłość ku Botwelowi, bo już w scenie poprzedniéj (w scenie VII aktu II.) widzieliśmy ją, co się zowie, przygotowaną i zdecydowaną do tego kroku.

„O teraz przybądź do mnie! przybądź tu Botwelu!
Przybądź! nie mam korony i nie mam pierścienia —
Przybądź! już się nie lękam Boga i potwarzy,“ i t. d.

A zatém, nie jestto bynajmniéj następstwem okropnéj dopiero chwili owéj i „rozpaczy“ i „obłąkania,“ że się rzuca Marya sama w jego objęcia. Choćby bowiem te okropności wszystkie i nie były zaszły, choćby był Rizzio jeszcze przy życiu: to byłoby się stało i wtedy nawet tosamo. Bo i cóż byłaby powiedziała królowa Botwelowi przybywającemu do niéj w nocnéj porze i na jéj własny rozkaz? — Podobno mniéj więcéj tosamo, co i teraz z jéj ust usłyszał! —

Albo cały ten pomysł (w akcie V.) z ową lampą płonącą przed ołtarzem, któréj Botwel koniecznie uparł się użyć do podpalenia prochów pod Henrykiem Darnlejem, ażeby go wysadzić w powietrze —. Marya Stuart wzdryga się na taką myśl świętokradzką. Czyni, co tylko może, ażeby nie dopuścić do tego. Cała scena dotycząca téj chwili jest pełna wielkich wrażeń tragicznych. Jeżeli jednak rozważymy, że wszystek ten opór czyniony jest przez kobietę, która przed chwilą męża swego już własną ręką intencyjnie zamordowała, (boć wiedziała ona o tém, że truciznę zabójczą, a nie napój usypiający leje w czarę podaną mu do wypicia, skoro konwulsyjnie drżała jéj ręka w chwili, kiedy ją do niéj wlewała; skoro powiedziała wyrazy:

„Przeprasza, jakby leżał w śmiertelnéj pościeli!
Człowiek, co może jutra, jutra nie zobaczy,
U stóp moich klęczący błaga przebaczenia“) i t. d.

jeżeli mówię rozważymy, że taki potwór kobiecy, jakim jest już Marya Stuart po owéj piekielnéj scenie w wiejskim domku mężowskim, wzbrania się teraz pozwolić lampy do podpalenia miny, gdyż to jest lampa święcona: — to wygląda to wszystko, jakby na puste tylko jakieś ceregiele! Tragiczność wrażeń na myśl taką ulatuje, a natomiast zostaje tylko niesmak i tém większy wstręt do osoby, któréj wyobrażenia okazują się tak anormalnie pomięszane....

Owoż w takich to niedokładnościach kompozycyi upatruję ostateczną i najgłówniejszą przyczynę, dlaczego Marya Stuart zaspakajając w tylu najświetniejszych ustępach w tak wysokim stopniu wymagania artystyczne, nie czyni jednak zadość etycznym dzieła poetyckiego warunkom. Jeżeli w którém dziele, to w téj właśnie tragedyi uderza to ogólne spostrzeżenie co do natury całego sposobu, właściwego Słowackiemu w początkowych latach jego poetyckiéj czynności, że bez porównania więcéj jego jest rzeczą porywać, zadziwiać i zapalać wyobraźnię swego czytelnika czy widza, aniżeli umieć zająć myśl jego i prowadzić ją krok za krokiem, jak służebnicę woli swojéj — do celu, o który chodzi.

ROZDZIAŁ CZWARTY.

Dalszy ciąg rzeczy zaczętéj w poprzedzającym rozdziale. Nieco o powieści poetyckiéj jako nowéj formie poezyi. Bielecki — Mnich — Arab — Żmija. Ogólny wniosek. Byronizm i jego ślady w poezyi polskiéj.

Reszta ówczesnych utworów Słowackiego, Jan Bielecki, Mnich, Arab, Żmija — wszystko to ujęte jest w formę tak zwanéj powieści poetyckiéj. Jestto ściśle biorąc, mięszany rodzaj poezyi, w tym kształcie prawie zupełnie nieznany przed wystąpieniem na początku tego wieku najcelniejszych poetów angielskich. Za głównego twórcę téj formy uważać można najwłaściwiéj Byrona, który w tymto sposobie wykonał najznakomitsze swoje i najwięcéj europejskiego rozgłosu sprawiające utwory. Za tym przykładem rozeszła się wziętość powieści poetyckiéj niebawem na wszystkie literatury postronne. Poeci polscy także ją przyswoili sobie niebawem. Obok Mickiewicza Grażyny, była Marya Malczeskiego pierwszym w literaturze naszéj stanowczym przykładem tego rodzaju poezyi i służyć może za jeden z najdoskonalszych wzorów kiedykolwiek wykonanych w tym kształcie. Przeważa w nim oczywiście pierwiastek opowiadawczy i opisowy; to też przynależy forma rzeczona głównie dziedzinie Epiki. W gruncie rzeczy atoli poemat, o jakim mówimy, mało ma wspólności z naturą owych plastycznych, szerokiém korytem zwolna a majestatycznie się toczących kreacyi, jakich przykłady najwydatniejsze znajdujemy w rozległych epopejach starożytności, a przedewszystkiém w Iliadzie i Odyssei. Powieść poetyczna kipi spadzistém łożyskiem, na spienionych falach, ujętych w wąskie ko-

ryto. Nie rozlewając się bynajmniéj, jak tamte, na cały obszar przedmiotowego życia danéj epoki, nie przywięzując żadnéj wagi do wydatnego w rzeźbiarski sposób postaciowania szczegółów: pędzi ona co prędzéj naprzód w ślady za jednym tylko punktem, a tym punktem — osoba samego bohatera.

Na pozór wiele w tém wszystkiém podobieństwa do toku, do rytmu dramatycznych kreacyi. Ale bo też jest w tém wszystkiém i coś więcéj, jak pozór. Jak się w dramacie przed oczyma naszemi zlewa zewnętrzność zdarzenia i wewnętrzność uczucia (namiętność) w genezę czynu, w akcyą:—tak i w skład téj nowéj, téj romantycznéj formy epizmu wchodzi już cały zasób artystycznych potęg liryki. Uczucia osobiste poety, jego smętność, żal, nienawiść, jego zwątpiałość i zrozpaczenie, jego zapał ożywczy, i miłość i ogień namiętny, słowem — co tylko wre na dnie własnego jego serca — wszystko to znajduje tu wyraz bezpośredni i wplata się jak idealny duchowy wątek w materyalną osnowę przedmiotu pieśni.

Utwor taki sprawia na słuchaczu wrażenie, jak kiedyby kto spoglądał na ruch przesuwających się widzeń wywołanych do życia czarodziejskim pędzlem malarza, przy odgłosie jakiéjś napowietrznéj muzyki, która ten świat kolorów owiewa tonami i uzupełnia.

To zespolenie dwóch odrębnych żywiołów poezyi tém więcéj jest wdzięczne i dla poety dogodne, że dozwala jego natchnieniu najzupełniejszéj swobody. Wolno mu tu, kiedy zechce, spocząć na pewnym ustępie z całém rozmiłowaniem w szczegółach flamandzkiego malarza; wolno mu znowu dawać się porwać pędowi, w którym całe partye obrazu zbywane być muszą kilku zaledwo ogólnymi rysami. Wolno mu snować wątek powieści, jak koléj rzeczy wymaga; wolno mu zwikłać go nagle, urwać, rzucić zasłonę zagadki na najciekawsze ustępy, i zwracając wyobraźnię słuchacza ku innym ogniwom tego łańcucha zdarzeń, wprowadzać inne widoki, ażeby — niezadługo i te znowu porzucić. Słowem: im więcéj rozmaitości, swobody i subjektywizmu autora w rzeczach tego rodzaju: tém też więcéj zwykle wrażenia.

Talentowi Juliusza z saméj natury rzeczy odpowiadał naj-

właściwiéj ten rodzaj pracy. Próby zastósowania téj metody do utworów dramatycznych nie zawsze były na miejscu. Natomiast w poematach, o których rzecz obecnie, znalazł on się że tak powiem, na własnym gruncie. To też bodaj które pomiędzy rychlejszemi jego dziełami tak od razu trafiło do powszechnego czytających smaku, jak **Jan Bielecki**, którego utworzenie przypada właśnie na tę przestrzeń czasu pośrednią, jaka była pomiędzy napisaniem Mindowy a Maryi Stuart.—Lesław Łukaszewicz, autor znanego Rysu dziejów piśmiennictwa polskiego, jak wiadomo, nie był wielkim krytykiem; ale tém pewniéj zato znajdujemy w zdaniach jego o dziełach autorskich odgłos wyobrażeń, jakie powszechnie popłacały naówczas pomiędzy czytających ogółem. Owoż w edycyi dziełka swego ogłoszonéj we dwa lata po śmierci poety (w edycyi z r. 1851), mówi on o Bieleckim w takich wyrazach: „We wszystkiém, co muza Słowackiego wyśpiewała, znajdziesz ustępy piękne, a całość zawsze niesmaczną. Pospolicie dziwaczy. Tylko powieść Jan Bielecki udała mu się.“ — Tosamo niemal donosił o téj powieści matce i sam poeta, a to zaraz po pierwszém dzieł tych wyjściu z pod prasy.

„Początek Jana Bieleckiego jest nie do rzeczy.*) Jednak Bielecki jest najwięcéj chwalony przez wielką liczbę, któréj takiéj cichéj poezyi potrzeba“....

Równocześnie zdaje się ze słów powyższych i to zatém jeszcze wynikać, jakoby autor sam tak wielkiéj wagi do tego swego utworu nie przywięzywał. Że przynajmniéj stawiał Żmiję i Maryą Stuart o wiele wyżéj: to nie podlega wątpliwości żadnéj.

Przedmiot poematu wzięty jest w części z kronik, w części

---

*) Rzeczywiście wstęp do Bieleckiego jest niestósowny i bez żadnego związku z całością. Ale bo też jestto ustęp późniéj dopiero doczepiony. Boć poemat sam pisany był jeszcze r. 1830 w Warszawie, a wstęp jest daty o rok cały późniejszéj. We wstępie są już zużytkowane wrażenia, jakich doznał autor 1831 r. w Londynie, kiedy zwiedzał Westminster, z czego też potém zdawał w takisam sposób sprawę matce listownie. Takie przystawki późniejszéj daty zazwyczaj się nie udają.

z ustnéj tradycyi, przywiązanéj do głównych miejsc zdarzenia, a mianowicie do Brzeżan (w Galicyi wschodniéj).

Współczesny zdarzeniu temu Bielski w Kronice Polskiéj tyle o Bieleckim zapisał, że kiedy w r. 1589 Tatarzy w wielkiéj liczbie na Podole i Ruś wtargnęli, plądrując z niezmierną szkodą dla okolicznych mieszkańców: zaszło z nimi kilka potyczek, między któremi bitwa pod Baworowem była jedną ze znaczniejszych. Bitwy téj wprawdzie pohańcy nie wygrali, owszem od téj dopiero chwili „jęli ustępować“. Ustępowali wszelako z niemałą ilością zabranego w niewolę ludu i szlachty. Z tych niektórzy złożywszy okup niemały, wyszli na wolność po niedługim czasie. „A Korycińskiego — są słowa dziejopisa — Bielecki mając z nim z dawna przyjaźń, darmo puścił. Był ten Bielecki Polak Lublinianin herbu Janina, jedno się poturczył i przyjechał z Turek do Polski za króla Stefana, i tu chciał mieszkać; jedno że przecie swéj wiary złéj odstąpić nie chciał. Król Stefan chcąc go najwięcéj do poselstwa zatrzymać, żeto umiał język tatarski i turecki, naznaczył mu był opatrzenie pewne na Podolu; ale król dał, a panowie wzięli. O co rozgniewawszy się Bielecki, zbiegł do Tatar i Tatary na ojczyznę swą nawiódł.“ —

Lakoniczne wyrażenie Bielskiego: król dał, a panowie wzięli, uzupełnia cokolwiek podanie brzeżańskie. Przechowała się w niém pamięć, że jeden z rodu, którego własnością niegdyś były Brzeżany, z rodu Sieniawskich, wioskę Bieleckiego gdzieś położoną w sąsiedztwie najechał, dworek szlachcica wraz z chatami włościan puścił w perzynę, a na ostatek całe to miejsce pługiem kazał zaorać i w puste pole zamienić.

Taki więc był surowy materyał poematu. Zdarzenie to przedstawiało różne strony, na których mogła była spocząć wyobraźnia poety. I tak, najbliższe może, co się tu nasuwało jako wdzięczny temat do obrobienia — byłato ta zagadkowa postać poturczonego Polaka na tle zygmuntowskiéj epoki! Widzieliśmy za dni naszych kilka przykładów podobnéj zamiany krzyża na księżyc, a poczciwéj nazwy polskiéj na jakiegoś beja lub paszę. Ale to były manewra polityczne — komedye, dowodzące nibyto wielkiéj dyplomacyi i miłości ojczyzny u tych, co się na owe awantury puścili.

Szczęść im tam Boże na téj drodze! Jeżeli jeszcze dziś myślą, że nie popełnili wielkiéj niedorzeczności, tém lepiéj dla nich. W wyjątkowém naszém położeniu dzisiejszém wszystko to jednak daje się, jeśli nie chwalić, to przynajmniéj rozumieć. Ale wtedy! W czasach tak normalnych, takiéj głębokiéj wiary, w czasach gdzie sobie z religii jeszcze żartów robić nie pozwalano — byłto wypadek dziwnie nierymujący ze wszystkiém, na czém tylko ta rzeczpospolita stała. Jakichże to chyba nadzwyczajnych potrzeba było kolei losu, żeby się była mogła wyrobić taka osobistość, jak owa przez historyka odmalowana! Szlachcic polski — poturczony — wrócił do kraju — otrzymał od króla opatrzenie, jest wolny i niezawisły — i mimo tego nie chce czy nie może „złéj wiary swojéj odstąpić.“ Ileż w tém wszystkiém zagadek! Ile domysłów się tu nastręcza względem przeszłości Bieleckiego, względem jego związków z drugą ojczyzną, względem jego własnéj indywidualności, czego wszystkiego historya wcale nie odsłoniła. Była wtedy w młodszém gronie poetów naszych w ogóle wielka skłonność do obrabiania przedmiotów oryentalnych. Sam Słowacki hołdował téj skłonności. Otóż nastręczała się tu jedyna w swoim rodzaju sposobność uczynienia zadość temu pochopowi przejętemu od Byrona i Moora, nie rozmijając się przeto z rzeczywistą tradycyą i narodową i nawet historyczną.

Albo rzućmy okiem na inną stronę téjże tradycyi. Autor, któryby był obdarzony pewnym zmysłem dziejowym, któryby dla natchnienia swego szukał podstaw więcéj przedmiotowych, byłby się tu uczepił tych słów kronikarza: Król dał, a panowie wzięli, i byłby podniósł głównie ów fałsz odwieczny w stósunku możnowładców dawnéj Polski do braci młodszéj, do szlachty, która choć z prawa we wszystkiém niby równa magnatom, była w rzeczy saméj jednak ciągle przez nich traktowana z odtrącającém lekceważeniem. Z tegoto fałszu wynikły u nas wszystkie klęski publiczne. Wszechwładność panów taka, jak była w dawnéj Polsce, nie byłaby mogła mieć miejsca, gdyby prawa im przynależne a prawa niższéj szlachty były rozgraniczone. Rozgraniczenia tego nie dopominali się możnowładcy, bo zagarniając przy każdéj sposobności dla siebie wszystko, co się zwało wolnością

szlachty, więcéj posiadali mocy, niżby im takowéj była dać mogła najdaléj choćby posunięta forma rządu oligarchiczna. Rozgraniczenia tego nie zażądała i szlachta, bo jéj miléj było znosić i nadużycia, a chlubić się dogmatem że szlachcic na zagrodzie równy wojewodzie, aniżeli przyznać, że ta równość — to tylko urojenie, i poprzestać na czémś skromniejszém. Ani tedy od jednych, ani od drugich nie wychodziła inicyatywa do ustanowienia stósunku, któryby kładł wreszcie koniec temu systematycznemu przechytrzaniu się obu stanów. Zamęt pojęć, jaki w téj mierze panował, zakończył się dla całego państwa — jego upadkiem, a nim jeszcze do tego przyszło, sprowadzał na osoby pojedyncze w ciągu wieków bardzo często katastrofy równie jaskrawe, chociaż się takowe skrupiały tylko na nich samych i ich rodzinach. Przykładów takich dzieje dostarczają podostatkiem. Owoż i w tym razie z danego materyału dawała się wysnuć kreacya szerszych rozmiarów, rdzennie trafiająca w samo serce naszych instytucyi i obyczajów, w któréj żyłyby i kipiały namiętności, może najdaléj posunięte i najwięcéj też tradycyjne ze wszystkich, jakie tylko były znane dawnemu społeczeństwu naszemu.

Słowacki, wierny stanowisku, jakie zajął w poezyi, szukający wszędzie ideału wedle swego punktu widzenia, pochwycił rzecz z innéj zupełnie strony. Jego fantazya zajęła się tu tylko widokiem walki jednego ze wszystkimi, widokiem krzywdy, jakiéj doznaje od świata szlachetny, niewinny, słabszy... W całym szeregu ogniw, stanowiących łańcuch zdarzeń, jakie sobie wysnuć można z podania o Brzeżanach i o Bieleckim, poecie naszemu najpoetyczniejszym się zdawał — nie tyle jeszcze ów pęd namiętny, stromą drogą prowadzący człowieka do zbrodni, byleby tylko się zemścić: ile ów nadmiar cierpień, dojmujących po zemście, już dokonanéj a w taki sposób. Owoż to położenie tragiczne człowieka, który nawet po spłaceniu swéj krzywdy widzi się pod stopami tryumfującéj przemocy; ten żal do świata, że go tenże zmusił do czynów, których on sam nie może sobie przebaczyć; to osamotnienie na świecie istoty, dla któréj ani za życia nie ma nigdzie miejsca pomiędzy ludźmi, ani nawet po śmierci nie będzie kawałka ziemi na mogiłę — to były motiwa w całem oném wydarzeniu dziejo-

wém, dla których zwrócił Słowacki na przedmiot ten uwagę. One też jedynie wprowadza w ramy obrazu, wykluczając historyzm i wszystko inne, jako przybory obojętnéj treści.

„Co było w kraju? nie skreślę do razu.
Jeden cień tylko maluję obrazu“...

Oczywiście wypadło właśnie z tego powodu niejeden szczegół, ze strony surowego materyału podany, przekształcić inaczéj, aby początki i powody katastrofy odpowiadały założeniu. Rozstęp między opowieścią poety a podaniem polega głównie na tém, że podanie ukazuje w Bieleckim renegata już od pierwszéj chwili jego powrotu do kraju; w poemacie zaś był on wprawdzie kiedyś za młodu w niewoli tureckiéj, ale wrócił z niéj niesturczony. Dopiero późniéj krzywda, jakiéj od magnata doznaje, rzuca go na drogi zdrady kraju i wiary. — Wszystkie te premissa zresztą zbywa autor jak najkrócéj. Jestto dla niego tylko rusztowanie do budowy, któréj ostateczne odsłonienie przypada na drugą dopiero połowę poematu. Ze słów urywkowych dowiadujemy się tedy w początkowych pieśniach tyle jedynie o tém, że działo się to za panowania króla Stefana. W brzeżańskim zamku żył możny, dumny starosta — mieszkanie jego przepychem nie ustępowało w niczém grodowi królów. Ale na czole magnata od niejakiego czasu zawisła chmura jakaś posępna. Jakaś skryta troska dręczyła go tajemnie, pomimo skarbów i włości i tłumu sług i téj szaty złocistéj, w któréj jaśniał. Od tygodnia poczęły się do zamku jego nieustające zjazdy... W komnatach jego gościnność i uprzejmość i biesiady huczne. Znikła z groźnego możnowładcy oblicza zwyczajna duma. Otworzył na oścież serce dla okolicznéj szlachty i karmi ją i poi i schlebia chodopachołkom. Pozwala się rozlegać po domu swoim swobodnie hucznemu gości swoich gwarowi. Po tygodniu takowéj uprzejmości wypływa wreszcie oliwa na wierzch.

„Héj! szlachta znacie Bieleckiego Jana? —
Dawniéj w niewoli gnił u Bisurmana,
A dziś się z pany w jednym stawi rzędzie,
Jak król udzielny w darowanéj grzędzie...
A kiedy zamki walą się pod gromem:
On podparł domu walące się ściany

I tak spokojnie między niemi żyje
I tak szczęśliwy, że nad jego domem
Co wiosny bocian nowe gniazdo wije....

Z dalszéj mowy wynika, że ten więc szlachcic podły, jak się starosta o Bieleckim wyraża, miał z nim jakąś zwadę i wytoczył sprawę przed króla.

„I jam był winien, winien był Sieniawski!! —
I oko w oko przed króla obliczem
Widziałem wroga!.. Nie próżno przychodził:
Król go pochwalił, zachęcił, nagrodził;
Nie spojrzał na mnie i odprawił z niczém!...“

Przy łaskawéj pomocy życzliwéj braci, która właśnie spija wino starosty, znajdą się jeszcze jednak sposoby powetowania téj krzywdy...

„O! dzisiaj ptaka ja wypłoszę z gniazda
Jękiem i dymem, iskrami płomieni!...
Bracia — noc widna! niedaleka jazda!
Słyszałem, dzisiaj Bielecki się żeni;
Nim wróci, niech mi Pan Bóg dopomoże,
Dom zrzucę, spalę, grunt domu zaorzę“...

Temu wezwaniu okazuje się zgromadzona szlachta powolną:

„Miodem i winem i ucztą zagrzany
Tłum szlachty powstał z ochotnym oklaskiem —
Już most zwodowy pod kopyty dzwoni“. —

W drugiéj pieśni przenosi nas autor w wnętrze kościoła. Rzecz się dzieje w Brzeżanach. Dla dopełnienia obrzędu ślubnego, staje tu przed ołtarzem Bielecki, Anna i cały orszak weselny: tymczasem dom pana młodego — w niedalekiéj odległości od Brzeżan — prawie wyludniony z mieszkańców, nie ma nikogo, coby go bronił przed tą hałastrą, niosącą mu zniszczenie. Ta napaść nie wchodzi tu w ramy obrazu. Jesteśmy świadkami tylko sceny ślubnéj, która zresztą, równie jak poprzednie ustępy, zbyta jest ogólnymi tylko rysami. Tak młodożeniec, jak panna młoda — sąto jeszcze tylko typy powszechne. Do wnętrza ich serc nie zazieramy. Co tu o nich słyszymy, ściąga się więcéj do ich powierzchowności, do ich ubioru, do orszaku, który im towarzyszy. Nawet ich uczucia są tylko zwyczajnym w razach podobnych

nastrojem duszy. Gdyby nie te kilka szczegółów, które urywkowo w poprzedzającéj pieśni rzucił był o Bieleckim starosta, to bohater poematu byłby dla nas człowiekiem zupełnie nieznajomym, chociaż go w tym ustępie mamy tak blisko przed sobą.—Podobnie urywkowo opowiedziane jest i przybycie młodożeńców do domu Bieleckiego. Domu tego już nie znajdują. W miejscu, gdzie przed kilku jeszcze dniami był dwór i wioska, znajdują tylko rolę świeżą zaoraną i głuchość. Cała ta więc sytuacya znowuż naznaczona tylko kilku rysami. Zdaje się, jakby poeta słów żałował dla wszystkiego, co go dopiero prowadzi do właściwego tematu. Nawet burza uczuć, obudzonych w bohaterze poematu tą dojmującą krzywdą, zbyta jest cała w tych kilku wierszach:

„Patrzą, nie wierzą... Sam Jan staje, słucha,
Blednieje — nagle z tłumu się wyrywa,
A w tłumie była cichość straszna, głucha.
Wkrótce Jan wrócił — prędko jak błysk gromu
Stanął przed żoną obłąkany, blady.
Na jego szatach widać krwawe ślady...
— „Anno," rzekł, „Anno wracaj! nie mam domu!
Nie wrócę z tobą, obelga dotkliwa!
Zniósłbym nieszczęście, lecz nie zniosę sromu.
Już mnie domowe szczęście nie omami:
Wracaj o Anno! ty będziesz szczęśliwa,
W twojém objęciu zalałbym się łzami.
Ja nie mam domu!..." Zadrżał i spiął konia,
I jak wiatr szybko poleciał przez błonia".

I oto już wszystko, co o tém mówi poeta.

Odtąd Bielecki zupełnie znika ze sceny. Przez niemały czasu przeciąg ani wieści, co się z nim dzieje. Żona po nim już przywdziała żałobę... Gdy wtém nagle zapowiada się znowu bliska jego w stronach owych obecność przez owo tajemnicze zlecenie przysłane Annie, ażeby się i ona także znalazła na balu maskowym, który wyprawia w zamku swoim starosta.

Na tymto balu — w przedostatniéj pieśni — przychodzi dopiero do takich zdarzeń, że ów aż dotąd dla nas prawie nieznajomy staje się naprawdę najwydatniejszą postacią poematu. Tu

dopiero odsłania się w nim typ tego demonizmu, téj dzielności pchniętéj na przepaściste szlaki zaguby, o któréj wizerunek jedynie chodziło autorowi. — Jakich przejść w usposobieniu duszy trzeba było, ażeby z normalnego człowieka przedzierzgnąć się w podobnego demona, tego poemat nie odsłania. Ani słowa nawet o tém, co się zewnętrznie działo z Bieleckim od chwili, gdzieśmy go stracili z oczu. Ale wynagradza nas za to poeta gotowym widokiem tego, czém on jest teraz, kiedy znowu staje przed nami. Cała postać Bieleckiego tak jest zmieniona, że za pierwszém spojrzeniem własna żona go nie poznaje. Podobne przeistoczenie zaszło i w zewnętrznych jego stósunkach. Pokazuje się bowiem, że aby wywrzéć zemstę na magnacie, który go skrzywdził, człowiek ten wyparł się wiary, ojczyzny i przeszedł na stronę najzaciętszych jéj nieprzyjaciół. Zbratawszy się z Tatarami,

„Czoła złocistym przysłonił turbanem
I wiarę złotym księżycem naznaczył.“

Po takim czynie, jako wódz ordy pohańców, naprowadził na Polskę zagon tatarski. Nie wahał się spławić we krwi tysiąca chat i dworków, których mieszkańcy nie zawinili mu w niczém, byleby tylko zawisł ten piorun zagłady i po nad zamkiem starosty. I owoż woli jego dzieje się zadość. Znienacka, kiedy się w grodzie brzeżańskim sproszeni goście bawią w najlepsze, zalały tłumy najezdców wszystkie sienie i komnaty zamkowe. Bielecki

„Leci na czele i służbę pomija,
Nikogo dotąd uderzyć nie raczył,
Miecz jego w pochwach — on wzrokiem zabija!
Już wpadł do sali, zaraz za nim w ślady
Straszny wiatr zawył na ściany zamkowe,
Światła zadrżały, zgasły, tylko blady
Świecił się promień lamp w alabastrowe
Ukrytych głazy... Wpadł jak śmierci mara
I wyjście mnogą wartą zabezpiecza....
Pan Brzeżan z mieczem stał w obec Tatara.
Błysnęły szabli obrazy święcone,
I padł starosta na twarde granity. —

Zaśmiał się Tatar... śmiechem obudzone
Zabrzmiało echo — był to jęk kobiety"...

Aż dotąd zdrada i mściwość wiodły Bieleckiego do celu jakby po drodze różami tylko usłanéj. Dosięgnął pragnień swoich nakoniec. Widzi dumę, która zniszczyła całe szczęście jego na ziemi, powaloną u stóp swoich i skarconą strasznie. Nie będzie już ten magnat nikogo krzywdził na świecie! I pierwszy haust z podanego do ust zemsty puharu zdawał się słodki. Ale słodycze takich upojeń prędko się przemieniają w truciznę. Na najwyższym zenicie swoim Bielecki słyszy jęk, jak echo złowieszcze czynu, którego się dopuścił. Ten jęk przyzywa go do świadomości— powiada mu, co uczynił. Ten jęk najdroższéj mu na ziemi istoty staje się dla niego hasłem cierpień stokroć dotkliwszych, aniżeli krzywdy, które aż dotąd od drugich znosił. Własne sumienie się w nim odzywa i mówi mu, że taka zemsta — to sromota, to dopiero ze wszystkich upokorzeń — największe! Teraz dopiero ów wróg jego, nibyto zwyciężony, rzucił go pod stopy swoje — na wieki! Dotąd miał on do czynienia z nim jednym tylko: od téj chwili obraca się przeciwko niemu cała ojczyzna, kościoł, rodzina własna. Komu tylko miła cześć prawa, komu tylko święte, co jest świętością, gardzi nim i odtrąca od siebie. Jest wymazanym z liczby synów ziemi, co go zrodziła. Ze społeczności kościoła wyrzuca go klątwa biskupia. Rozbudza się w winowajcy bolesna, niczém nie zagłuszona świadomość zbrodniarza, wywołańca. A mimo tego, nie przestał on jednak należeć sercem do tych wszystkich, którzy go odtrącają—gdyż żyć po za ich sferą nie może!

Cała ostatnia część poematu, zawierająca w sobie ten obraz cierpień człowieka odepchniętego bezlitośnie przez całe społeczeństwo, wykonana jest z taką siłą uczucia, z taką głęboką prawdą poezyi, że śmiało ją stawić można na równi z celniejszemi pięknościami naszéj literatury. Szczególnie zaś podnosi wartość rzeczonego ustępu idealna postać Anny, z dziwnym urokiem stawiona na samym przedzie obrazu w pieśni ostatniéj. Jestto niejako kontrast serca, przeciwstawionego bezduszności instytucyi, zdolnych tylko potępiać bezwarunkowo. W osobie Anny wcielił poeta całe współczucie i że tak powiem, solidarność swoję z tym posę-

pnym ideałem, jaki sobie w postaci Bieleckiego wymarzył. Anna bynajmniéj nie tai tego przed sobą, że czyny jéj męża są wobec ludzi i Boga występne wielce i grzeszne. Z jękiem rozpaczy, mdlejąca, ujrzała go idącego po téj drodze zbrodniczéj. Ale ta kobieta ma serce! Przyznając zbrodnię, umie ona wnijść i w pobudki takowéj. Odgaduje konieczność, która jéj męża skłoniła do powzięcia takiego postanowienia. Lituje się nad nim i w jego upadku, jako go miłowała za dni szczęśliwszych. Słowem: Anna rozumie Jana. To też porzuca bez wahania i dom rodzicielski i kraj ojczysty, byle tylko nie opuścić opuszczonego przez wszystkich. I towarzyszy mu wiernie przez całą jego wędrówkę aż do saméj godziny zgonu. A kiedy mu świat na ostatek i grobu nawet w nielitości swojéj odmawia, onato słabemi dłońmi swojemi grzebie dla niego mogiłę. I czując wśród téj ostatniéj posługi, siły coraz bardziéj mdlejące, nadaremnie do drzwi cerkiewnych powtarzając stukanie, ażeby Bóg się zmiłował, kiedy ludzie nie mają dla niéj litości: niknie biedna z wysilenia nad grobem — niedokopanym! Gaśnie w nieméj boleści zwolna, „jako w Bogu tonące modły — jako daleki śpiéw“, i usypia przy zwłokach męża — na wieki...

Najpiękniejszy ten ustęp na samym końcu powieści — miała to być ze strony poezyi niejako rehabilitacya człowieka, którego twardy porządek ziemski potępił nazwiskiem zdrajcy, a nad którym anioł boży w postaci kobiety owéj — zapłakał. I te łzy czyste miłości i zlitowania tak zaważyły na szali onego żywota, do połowy złożonego z przestępstw, a do drugiéj połowy z cierpień, że i my potomni sympatyzujemy ostatecznie z bohaterem téj staropolskiéj tradycyi.

Jeżeli jednak z nim sympatyzujemy, to tylko pod następującém zastrzeżeniem. Widzę się tu zmuszonym przypomnieć, co się już wyżéj powiedziało w ogóle o formie powieści poetyckiéj, że wielką w niéj odgrywa rolę owa urywkowość i epizodyczność, pozwalająca autorowi dobrą część swego zadania co krok pozostawiać własnemu domysłowi czytającego. Owoż i w tym razie od czytelnika to jedynie zależy, zapełnić sobie własną wyobraźnią tę przerwę, jaka przypada na środek poemątu, kiedy to Bieleckiego

po zniszczeniu jego wioski z oczu tracimy, aż do powtórnego jego wystąpienia na scenę, w roli przywódcy Tatarów. Doznana ze strony starosty obelga i krzywda, a przy niéj i ogołocenie z całego mienia, jak są opowiedziane przez autora, mogły wprawdzie i musiały zrodzić w sercu szlachcica namiętne pragnienie zemsty. Jednakże dalekie to wszystko jeszcze jest od jaskrawości pobudek, jakieby zajść musiały, zanimby się człowiek w położeniu Bieleckiego ówczesném puścił na takie drogi zapamiętałéj żądzy odwetu! Wyprzéć się wiary ojców swoich i nie tylko zapómnieć o ojczyźnie, ale ją jeszcze spławić w powodzi krwi niewinnéj — to są rzeczy, o które się nie tak łatwo pokusić. Łatwiéj to wszystko pomyśleć i zamierzyć, aniżeli wykonać. Prędzéj się kto odważy na wszelką inną zbrodnię, choćby największą, choćby najprzeciwniejszą naturze ludzkiéj, niżeli na to. Doprowadzenie rzeczy takiéj do końca jest wynikiem długiego pasma planów i środków i obmyślonych sposobów, które potrzebują dla siebie i czasu długiego, zanim zrodzą ostateczny swój owoc. Owoż właśnie z tego powodu szał namiętny, któryby pchnął kogoś na razie ku stronie takiego postanowienia, sto razy tymczasem by się ulotnił i ostygł, zanimby dzieło doszło do skutku.

Jeżeli zatém patrzymy na Bieleckiego i w téj jeszcze chwili jego zawodu z pewną wiarą w prawdę poezyi: to chyba już jedynie dlatego, ponieważ wychodzim z przypuszczenia, iż nie zależało na tém autorowi, żeby przedeptać, że tak powiem, krok za krokiem tę całą przestrzeń, jaka człowieka dzieli od normalnego usposobienia aż do najwyższéj burzy wszelkich żywiołów w jego jestestwie. Wyobrażamy sobie na przykład, że się Bielecki poprzednio w inny sposób i niejednokrotnie kusił o dokonanie zemsty; że wszystkie jego usiłowania wywarcia jéj w granicach, że tak powiem, względnie godziwych, były wobec przemocy, wobec przezorności magnata nadaremne; przypuszczamy, że tymczasem mogła i niejedna nowa obraza zajść ze strony tryumfującego możnowładcy, która serce szlachcica już i bez tego zranione, tém zapamiętalszym bolem porwała.... Słowem poddajemy się wrażeniu, jakbyśmy słyszeli z ust poety, że on tę całą skalę pośrednich pobudek, zażegających coraz silniéj, wiodących coraz nie-

uchronniéj człowieka do ostateczności, otwiera dla naszéj wyobraźni, ale zakrywa dla oczu naszych, i że im ukazuje wtedy dopiero znowu swego człowieka, kiedy ten stanął już na samym szczycie tego szału i opętania, które jak ogień piekący pozbawia go odpowiedzialności za wszystko, co przedsiębierze w tym stanie...

Rzecz o **Mnichu** i **Arabie** zbędziemy krótko. Sąto utwory już z tego powodu mniéj znaczenia mające, że były tylko odbiciem wrażeń wzbudzonych obcém natchnieniem. Rozczytywanie dzieł poetów angielskich a mianowicie Moora i Byrona, których fantazya lubiła się zasilać zasobami wschodniego świata, poddało Słowackiemu myśl przeniesienia i swoich także ideałów na tło stósunków oryentalnych, chociaż ich wtedy nie znał jeszcze inaczéj, jak tylko z książek. Utworzenie obu poematów było przedzielone pracą nad innemi rzeczami. Mnich powstał przed Bieleckim, zaraz po ukończeniu Mindowy. A Arab należy do płodów najpóźniejszych w obu tych tomach, gdyż tylko Żmija jest jeszcze późniejszéj daty. Rzecz dziwna, że wartość tych dwóch oryentalnych powieści, nieskończenie nierówna, ma się w odwrotnym właśnie stósunku do czasów, w których jedno i drugie powstało. Arab, pomimo wybornego wiersza i wszystkiego, coby rzéc można na pochwałę o jego zewnętrznéj formie, jestto prawdziwy lapsus ingenii; podczas gdy Mnich, pominąwszy pewne nieprawdopodobieństwa w szczegółach, poniekąd wytrzymuje krytykę.

Głównym tematem jest i tutaj odstępstwo wiary i tradycyi ojczystéj. Szczególna rzecz, że ta właśnie materya tak często zaprzątała wtedy wyobraźnię młodego poety. Między siedmiu jego pracami objętemi w obu tych tomach, cztéry obracają się właśnie około tego motiwu. Mindowe zmienia religią z rachuby i nieszczerze. Bielecki z konieczności. Żmija udaje chrześcijanina z powodu przypadkowych okoliczności. Jeden tylko Mnich zostaje apostatą z całą wiarą, że dokonywa zmiany na lepsze, i czyni to z wolnéj woli. Są zatém, jak widzimy, pewne odcienie w szczegółowém przeprowadzeniu téj myśli; ale grunt rzeczy jest zawsze jeden i

następstwa czynu tesame. Prowadzi to zawsze do osamotnienia jednostki na tle całéj reszty sobie podobnych i do nieuchronnéj walki z ogółem, ani zdolnym zrozumieć pobudek téj apostazyi, ani też skłonnym do przebaczenia takowéj. Ta kolizya była tedy ciągłym przedmiotem rozmyślań Słowackiego przed rokiem 1831...

Poeta stawia przed nami zakonnika jakiegoś w klasztorze na górze Synai, zdającego spowiedź z całego życia, spowiedź ostatnią, gdyż wątek życia tego człowieka właśnie się kończy. Młodość jego, pełna świetności, nie taki zapowiadała mu koniec. Syn zwierzchnika jednego z najdzielniejszych pokoleń arabskich, przywodził i sam za młodu nieraz w napadach na karawany.

„Niegdyś na czele pokolenia ludu
Ścigałem w piaskach z płócien miasta błędne“.

Nie chodziło mu przy tém bynajmniéj o zdobycz, o pomnażanie skarbów dziedzicznych. Szukał niebezpieczeństw, bo gardził spokojem życia. Walki miały dla niego urok, bez względu na to, jaki ich skutek. Przygody, trudy, niewczasy były potrzebą jego ducha.

„Niegdyś szczęśliwy wśród nędzy i trudu,
Pogardy okiem patrzałem na nędzę“...
. . . . . .
„Marzyła dusza!... Ileż razy w spieki
Ścigałem w stepach znikome obrazy“...

Gdy więc tak często bez celu zapędzał się ten młody Arab w stepy bezludne, zdawało mu się razu jednego, jakby słyszał jakieś przeciągłe a melodyjne tony, które mu z daleka wiatr zachodni przynosił.

„Wypuszczam konia i gonię za śpiewem;
Śpiew ten brzmiał w niebie, na ziemi, dokoła —
Coraz doganiam wyraźniejsze tony,
Wkrótce ujrzałem złoty krzyż kościoła:
Tym smutnym śpiewem brzmiały wasze dzwony.“

Prześliczne jest miejsce, gdzie dziki ten syn pustyni opisuje pierwsze wrażenie, jakiego doznał za wnijściem do chrześcijańskiéj świątnicy:

„Wchodzę — stanąłem przy ciemnym filarze,
W oczach się lśniły złociste ołtarze,
Wyście śpiewali i światła palili.
Ściana jak niebo gwiazdami okryta;
Każda kolumna jak palma stepowa,
A na jéj czole złoty liść rozkwita,
A pod jéj stopą skała marmurowa.
Promień z barwionych bijąc szyb kościoła,
Niósł z sobą obraz na szkle malowany,
A potém w dymie kadzideł zbłąkany,
W mglistych błękitach utworzył anioła.
Nie znałem wówczas sztuki malowidła,
Widziałem tylko, że anioł nade mną
Roztaczał złotem malowane skrzydła,
Spływał i patrzał w duszę moją ciemną“....

Wrażenia te tak silnie wstrząsnęły duszą Araba, że porzucił wiarę ojców i został chrześcijaninem.

„Ty mówisz, mnichu, że to dzieło cnoty? —
Ale Bóg ciężką zesłał na mnie karę!
Dni moje gorzkie zatruły zgryzoty:
Wszyscy odbiegli, bracia się zaparli,
Sam ojciec przeklął: — „Idź wyrodne dziecię!
Idź w świat! i zostań sam jeden na świecie““...

Ta klątwa ojca spełniła się dosłownie. Młody renegat, odepchnięty i nienawistnie prześladowany przez swoich, ziścił nawet sam owo straszne przekleństwo. Zaczepiony przez brata, zabił go, nie wiedząc w chwili czynu, komu śmiertelną ranę zadaje. Napadnięty potém przez ojca, uszedł wprawdzie przed jego gniewem i przywdziawszy habit zakonny, zagrzebał się w owym samotnym klasztorze. Lecz i tam dosięgła go fatalna siła przekleństwa. Przy odpieraniu napadu jakiéjś tłuszczy Arabów, którzy w nocy, znienacka, uderzyli na klasztor, żeby go złupić, jegoto oręż powalił trupem herszta owego tłumu. Klasztor został ocalony, ale się okazało, że tym hersztem — był jego ojciec...

Tak więc (nie przeczę, że wielkim kosztem podobieństwa do

prawdy!) jego własna ręka spełniła w całéj grozie owę klątwę ojcowską.

„I pokolenie płacze po swym królu;
A jam ostatni z królów pokolenia,
Jako pszczół matka, gdy w wymarłym ulu
Siedzi posępna nad córek grobami,
I sama szuka grobowego cienia.“

Mógłby teraz zażywać spokoju, kiedy wyginęli już wszyscy, którzy mu go zamącali, gdyby... nie własne jego serce! Onoto zaczyna się teraz domagać praw swoich, których zaspokoić nic nie potrafi na ziemi. Świat nowy, w który przeszedł, murem opasany klasztornym, nie odpowiada jego pragnieniom, nie czyni zadość jego ideałom, i nie może być jego światem! Takie życie, to śmierć przed zgonem, to martwość! Pod kapturem zakonnym

„Myśl moja wyschła, jak źródło stepowe,
Ja sam jak palma usycham i więdnę“...

Nawet pacierze tych ludzi, których już widzi w myśli snujących się około trumny, w któréj go zamkną, gdy umrze: — martwe to modły, zimna to boleść!

. . . . . „Niosą kir, kobierce
I światła w rękach i zakryte czoła;
Modlą się za mnie — lecz nawet pozoru
Nie ma boleści!... Zimne mnicha serce
I modły zimne jak mury klasztoru!“

Domierza tedy życia w chrześcijańskim klasztorze, ale widzi się w nim jakby wygnańcem z innego świata, jakby obcym pośród obcych. A tamten świat, do którego myślą powraca „chociaż łza jego, pamięć przodków plami:“ już się także odsunął od niego przepaścią nieprzebytą na wieki! Ani więc tu, ani tam — nigdzie — nie ma dla niego miejsca! Żył samotnie— umiera z uczuciem opuszczonego przez wszystkich, z wiedzą, że i za grobem nie znajdzie swojéj sfery. Żałuje przeszłości, którą zmarnował, rozpacza o przyszłości, któréj nie zasłużył. Ostatnia jego wola zaleca, aby mu wykopano gdzie na samotnych stepach grobowiec, wśród jakiéj kwietnéj oazy, gdzie może drzewa czulsze będą, niżeli serca ludzkie.

Drugi poemat, zatytułowany **Arab**, uważam za poroniony płód excentrycznéj... mizantropii raczéj, aniżeli fantazyi. Słowacki tak się wżył w ten świat ideałów ujemnych, iż mu się zdawało, że dość uderzyć w ten ton nieustającéj zwady z całym rodem człowieczym, żeby zagrać melodyą, żeby stworzyć poemat. Przesuwa tu przed oczyma naszemi wichrzącego, jak uragan stepowy, nie człowieka, ale demona jakiegoś, którego przeszłość zgoła niewiadoma, a témsamém i powody całéj jego wściekłości zwróconéj przeciwko ludziom. Nie znam żadnego dzieła, nietylko Słowackiego, ale w całéj literaturze, naszéj i postronych, w którémby treść całéj owéj wtedy przez niego wyznawanéj doktryny była wypowiedziana tak wręcz i bez żadnéj ogródki, jak właśnie w tym poemacie. Jestto najlepsza satyra, jaką dla zdyskredytowania stanowiska takowego tylko było można napisać. Sądzi się sama i nie ma potrzeby dłużéj się nad tą rzeczą rozwodzić.

Przystępuję do ostatniego z utworów, które zamierzyłem rozebrać w tym rozdziale, do **Żmii**; i zdaje mi się że się nie rozminę z przekonaniem ludzi mających zdrowe zdanie o tego rodzaju rzeczach, jeżeli powiem, że ten oryentalno-ukraińsko-historyczno-fantastyczny poemat o sześciu pieśniach nie tylko z wyższego, to jest etycznego punktu widzenia, ale nawet i pod względem artystycznym uważać trzeba za pracę, która się zupełnie nie udała autorowi. Pozostawia ona przy czytaniu niesmak jakiś wielce niemiły, którego powody zdaje mi się, nie polegają jedynie na zbyt rażących nieprawdopodobieństwach, jakie się tu spotykają, ale jeszcze i na czémś więcéj. Autor sądził o tém wszyskiém inaczéj. Nazwał utwor ten romansem poetycznym z podań ukraińskich i zamieścił go na samém czele tomu pierwszego w przekonaniu, że to jest najdoskonalsze dzieło jego ze wszystkich, które wtedy ogłaszał. Oto, co w téj mierze pisał do matki, która jak się zdaje musiała była w ogóle zrobić jakąś mniéj korzystną uwagę o budowie niektórych jego utworów.

„Zdanie Mamy jest zupełnie słuszne; ale przeczuwam, że postrzegany przez Mamę brak w całościach jest skutkiem

rozpierzchłych pieśni Żmii. Muszę więc tu wam wyznać, że ten nieporządek w układzie jest koniecznym, że Żmija zdaniem mojém i wszystkich jest najdoskonalszym z moich poematów. Jeden z najsławniejszych naszych krytyków (?) powiedział o mnie przeczytawszy Żmiję, że cały naród ożył w pieśni; że tam, gdzie inni z murów cegiełki dobywali, ja całe mury wzniosłem. Cieszy mnie, że Żmiję wszyscy znajdują najlepszym, bo to jest mój ostatni poemat; widać więc, że postępuję i kształcę się". (dnia 30 lipca 1832 z Paryża).

Ta wzmianka o zdaniu owego „najsławniejszego z krytyków" dostarcza tylko jednego przykładu więcéj na to, że jeżeli w innych literaturach krytyka jest wielką dźwignią i dla powodzenia pisarzów i do kierowania smakiem czytającego ogółu: — u nas rzecz się ma wcale przeciwnie. Tak zwani krytycy nasi — z małym wyjątkiem, począwszy od pierwszych czasów, gdzie się zjawili — uczynili wszystko, żeby kiedyś powiedziała o nich ta karta dziejów literatury, która tę sprawę podniesie, że gdyby autorowie i zdrowa część społeczeństwa byli poszli za nimi: byłoby się wreszcie skończyło na tém, że u nas czarne byłoby białém, rozumne niedorzecznem, chorobliwe szczytném, oklepane jedynie uprawnioném i t. d. Dałaby się z tego textu napisać bardzo ciekawa monografia i warto, żeby się kiedy kto zajął tym przedmiotem. Bajka Krasickiego o Młynarzu, synu jego i ośle mogłaby tu służyć za illustracyą do każdéj karty; i wyszłyby na wierzch rezultaty zabawne i ciekawe, choć niekoniecznie pochlebne, a tém mniéj budujące... Co się tyczy autora Żmii, snać go łudziła albo ta okoliczność, że było to najmłodsze dziecię jego ducha, albo mu też może to pochlebiało, że cała osnowa tego poematu była jego własnéj inwencyi. W notach dodanych na końcu poematu wyraźnie zwraca też autor na to uwagę, że „romans tu umieszczony jest prawie zupełnie utworem imaginacyi." Z dalszych słów wynika, że wszystko, co przejął gotowego z podań przeszłości do ułożenia sobie tak rozległego przedmiotu, ograniczało się do następujących bardzo mało ważnych punktów oparcia. Jest gdzieś na Ukrainie wał ogromny, nazywany przez lud wałem Żmii; ten zaś zdaniem niektórych miał być jednym z pierwszych i najdawniejszych wodzów Zaporoża... Wiadomą daléj

jest rzeczą, że Kozacy na łodziach swoich, które nazywali czajkami, podejmowali nieraz dalekie wyprawy morskie, i czasem zapędzali się aż pod mury samego Carogrodu. Oprócz tego jest znowu wzmianka w którymś pamiętniku polskim, że razu pewnego został jakiś Basza turecki wzięty w niewolę przez Kozaków i był trzymany na pośmiewisko w klatce, jak drugi Bajazet... Nakoniec opowiada Beauplan w znanym swoim opisie Ukrainy sposób, w jaki Kozacy i Tatarzy polować byli zwykli na sumaka. Tenże pisarz wspomina też o jakichś ruinach zamku, wzniesionego niegdyś wysoko po nad wodą na jednéj z wysp dnieprowych. I oto już wszystko, z czego samemu dopiero wypadło autorowi dosnuć sobie reszty osnowy dla zapełnienia poematu o sześciu pieśniach. Nie bywszy zresztą sam nigdy ani w okolicach nad Dnieprem, ani też w krajach tureckich, któreto światy obydwa służą tu na przemian za scenę zdarzeń, zmuszony był puścić wodze fantazyi i ledwie się tedy owędy wiadomościami z drugiéj ręki zasilał, jakich mu dostarczali Beauplan, Grądzki, Zaleski, Goszczyński, a głównie poeci angielscy, malujący oryentalne stósunki.

Powyższe okoliczności oczywiście nie mogły być po temu, żeby dzieło tak założone rozlegle, wypadło tak korzystnie, jak się tego można było spodziewać już po autorze Maryi Stuart i Bieleckiego. Z téjto głównie przyczyny koloryt Żmii jakoś zanadto jest mglisty, wątpliwy. Sfera tego poematu zanadto jest fantastyczna, jak na poemat tradycyjny w rodzaju na przykład Zamku Kaniowskiego; a zanadto ma znowu barwy historyczno-miejscowéj, jak na utwor czystéj fantazyi w sposobie Aryosta. Jest to tak dalece i jedno i drugie zarazem, że ostatecznie czyni wrażenie rzeczy, o któréj się mówi, że jest ni to, ni owo...

Ale te wszystkie niewłaściwości nie byłyby mogły Żmii — przy talencie poety — tak stanowczo zaszkodzić, gdyby nie inna pomyłka, na którą warto zwrócić uwagę. Żeby rzeczy nie przedłużać, pomijam milczeniem gwałtowne naciągnięcia i nieprawdopodobieństwa, na które dzieło to laboruje w wysokim stopniu, a które zbyt są rażące, żeby potrzeba było je wykazywać. Nie powiem ani słowa o chorobliwości figury odgrywającéj tu główną ro-

lę, bo musiałbym chyba tylko powtórzyć, com w ogóle o ludziach Słowackiego powiedział. Zato podnoszę uchybienie, którego się autor tylko w samym Żmii dopuścił, a które zdaniem mojém główną jest tego przyczyną, że utwor ten w czytaniu męczy i nuży. Uchybienie to upatruję w posuniętém po za wszelkie granice miary rozstrzeleniu pojedynczych ustępów Żmii. Niepodobieństwem jest dla czytelnika, aż do środka pieśni piątéj (a zatém przedostatniéj), ogarnąć tu okiem wiązania łączącego poszczególne zdarzenia i epizody w całość. — Skądinąd podnosi to wprawdzie artyzm dzieł poetyckich, jeżeli mięsza się do ich składu i cokolwiek nieprzeniknionéj na razie tajemniczości. Wyłożenie wszystkiego od razu jakby na dłoni — z rozmazującą najmniejsze drobnostki expozycyą, spospolitowałoby tylko osnowę poematu. Taka zupełna ewidencya może być tylko zaletą prozy, a nie poezyi. Ale autor nasz przesadził tu w dobrych chęciach, i posunął ubieganie się o tę kunsztowną nieprzeniknioność w budowie Żmii do tego stopnia, że zamiast czytelnika zaciekawić temi ciągłemi zagadkami, które mu poddaje, raczéj go czyni wreszcie obojętnym na wszystko.

W pierwszéj pieśni maluje w obszernych ramach łowy na sumaka. Ponieważ wcale się nie domyślamy, jaki te łowy związek mieć mogą z głównem założeniem powieści, czytamy je z roztargnieniem, życząc sobie co prędzéj końca. Następuje pieśń druga, a w niéj wprowadzenie nowéj zupełnie postaci, Xeni. I tu znowu ani sposób dorozumieć się, co ta epizoda ma za związek z łowami, i co ona znaczy w całości poematu? Dociekamy, kto jest ta Xeni? Przypominamy sobie, żeśmy coś podobnego już i gdzieindziéj widzieli — w Zamku Kaniowskim. Natrętna kochanka Nebaby nawet imieniem się nie różni od zagadkowéj postaci w téj części „Żmii“. Ale Słowacki daje domysłom naszym inny obrot, wkładając w sam środek tego epizodu długą „Powieść kozacką“ o Rusałce w sposobie dumek Zaleskiego. Tym ustępem najmityczniejszéj osnowy najzupełniéj zbija nas z tropu, na któryśmy już już wpadali. To też przeczytaliśmy całą część drugą dzieła i znowu nie rozumiemy nic! W nadziei, że nam zagadkę wyjaśnią dalsze karty, przystępujemy do pieśni trzeciéj. Ale tu zastępuje nam drogę znowu inny obraz, obraz zbrojnéj wyprawy

czajek kozackich na morze Czarne. Czujemy się tu wprawdzie już na gruncie głównych wypadków; ale się wychyla znowu inny przedmiot nadaremnych dociekań naszych, Zulema. Wprowadza ją poeta tak tajemniczo, że się osłonioną być zdaje całemi warstwami mgły nieprzejrzanéj. W pieśni czwartéj przychodzi na pełném morzu do boju między czajkami Żmii a jakimś okrętem tureckim. Selim, syn baszy i dowódcy tego okrętu, ginie w téj walce, sam basza pierzcha. Lecz kto ten Selim? kto ten basza? jakie znaczenie téj potyczki na morzu? czy było to tylko zajście przypadkowe, czy też ma bliższy związek z główną osnową? — I to wszystko — jeszcze zagadka! I w piątéj nawet pieśni cała pierwsza połowa ma znowuż wszelkie pozory ustępu nienależącego do rzeczy. Chodzi tu o wzięcie w niewolę jakiegoś baszy natolskiego, które też i przychodzi z wielkim trudem do skutku. Dopiero wreszcie od środka téj części Żmii, naraz zaczyna się wyjaśniać, że te wszystkie pasma rozpierzchłe, które w pojedynczych pieśniach nużyły i niecierpliwiły uwagę, tworzą całość jednolitą i dopełniają się wzajem. Łowy na sumaka — Xeni ze swojém dziecięciem — powód istotny wyprawy na miasta muzułmańskie — zapalczywa walka z Selimem — szalona nienawiść ku baszy, którego Żmija nareszcie pochwytuje w niewolę — zagadkowa osobistość Zulemy itd. wszystko to nagle staje się teraz zrozumiałém, usprawiedliwioném, dodałbym że się staje i pięknem, gdyby było rzeczą ludzką, przeistoczyć naturę wrażeń — już odebranych. Ale wrażenia odebrane należą do przeszłości, a ta stęgła jest i nic działać wstecz na nią nie może. To też przez to zanadto późne odkrycie nader sztucznego węzła powieści mało się zmienia na lepsze ostateczny sąd czytelnika o dziele, które już jest przeczytaném i w ciągu czytania nie bardzo zajmowało.

Stanęliśmy u kresu. Znamy teraz już ducha tych pierwszych prac Słowackiego, na mocy szczegółowego tychże rozbioru, i pojmujemy wszyscy podobno, ileto prawdy było w owych słowach Mickiewicza, że poezya tego młodego wieszcza – to gmach, sta-

wiany piękną architekturą jak wzniosły kościoł, tylko że w kościele tym Boga nie ma. Zdanie to na razie oburzyło Juliusza. Bo też prawdopodobnie nie rozumiał on jeszcze wtedy, co mu właściwie Adam zarzucał. Słowa te na pierwszy rzut oka wyglądają na zarzut bezbożności. Do bezbożności Słowacki ani w życiu własném, ani w pismach swoich się nie poczuwał. Lecz Mickiewicz miał też zupełnie co innego na myśli i wyrzekł to, co rozumiał, w formie przenośni, a nie w dosłownym sensie. Nie wytykał on tu braku religii, ale brak rzeczy, która témsamém jest w poezyi, czém jest obecność bóstwa w kościele; wytykał brak tego, co stanowi cél wszelkiéj sztuki, a tém jest: wiara w lepszą cząstkę człowieka i w możność doskonalenia się jego tak jako jednostki, jako i w zbiorowości. Skeptycyzm społeczny zabija wszelkie popędy działania, a témsamém znosi i podstawę saméjże poezyi, téj najpotężniejszéj dźwigni z materyalizmu ku ideałom.

W kilka lat potém i samemu autorowi Żmii otworzyły się oczy na ten brak w początkowych jego kreacyach. Już w trzy lata po ogłoszeniu takowych, przyznał się matce, że „znienawidził swoje pierwsze utwory i że czuje potrzebę, aby coś jasnego napełniało jego karty, aby więcéj łez było w słowach“... A pod koniec życia jeszcze surowiéj o nich sądził. „Wstyd mi — mówił natenczas — wielu melancholii byrońskich. Strach, aby one nie zaraziły innych.“

W saméj rzeczy, byłato tylko jakaś naleciałość skądinąd, któréj się w młodszych latach wielki ten talent poddawał. Byronizm — pojmowany i przesadnie i jednostronnie — oto, co przyjął Słowacki nie tylko za regulatora w pracach swoich autorskich, ale poniekąd nawet i w życiu. I w życiu swojém, zwłaszcza za młodu, był on w wyobrażeniach i sądach, w nałogach i imaginacyjnych cierpieniach swoich, co się zowie bajronistą. Było w tém z razu coś sztucznego; lecz wzrósł młody nasz poeta i dojrzewał pod wpływem tego kierunku tak konsekwentnie i systematycznie, że mu się to bajronizowanie wreszcie przemieniło w drugą naturę.

Ale bo też młodość Juliusza przypadła właśnie na czasy najgłośniejszéj sławy i największéj w świecie umysłowym przewagi te-

go genialnego człowieka. Wygórowanie przewagi téj poczyna się od roku 1824, roku śmierci Byrona. Wprawdzie był Byron już i za życia przedmiotem powszechnego podziwu. I wielbiciele jego i antagoniści (a było ich pomiędzy Anglikami niemało), w tém jedném się między sobą zgadzali, że był to geniusz pierwszego rzędu. Stémwszystkiém aż do r. 1824 wyjątkowe, niezwyczajne, częstokroć gorszące okoliczności jego życia rzucały cień niekorzystny na wszystko, co tylko wychodziło z pod jego ręki. Oskarżano go o rzeczy, które popełnił i których nie popełnił. Do niekorzystnych o nim pogłosek, które miały po sobie słuszność, doczepiło się — nie powiem drugie tyle, ale nieobliczone mnóstwo baśni i potwarzy ohydnych, wylęgłych w bujnéj wyobraźni jego nieprzyjaciół lub też tych bezmyślnych plotkarzy, którzy choć go nie widzieli na oczy, umieli jednak rozpowiadać o nim, jakby go znali najlepiéj. Z tak mętnych źródeł wyrobiła się o nim z czasem opinia — w Anglii i po za Anglią — najbałamutniejsza w świecie. I na mocy téj opinii nie tylko ryczałtem potępiono życie jego prywatne, ale potępiano i cały zawód jego jako pisarza. Dzieła Byrona miały rzeczywiście więcéj związku z osobistością autora, aniżeli by to powiedzieć można o jakimkolwiek innym pisarzu. Rzadko tylko i wyjątkowo podejmował on przedmioty, któreby nie potrącały o zdarzenia rzeczywiste, których był świadkiem, uczestnikiem lub sprawcą. Dodajmy do tego, że wszystko co pisał, lubił otaczać umyślnie jakąś tajemniczością. Przy takich okolicznościach ani się było można spodziewać spokojnego i bezstronnego sądzenia jego utworów. Chcąc je rozumieć, trzeba było znać wewnętrzne dzieje poety, a te zaledwie najbliższym przyjaciołom Byrona były wiadome. Liczba takowych była bardzo mała, wreszcie nikt ich natenczas nie słuchał. To też nawet najżyczliwsi, pod wpływem obiegających po całéj Europie plotek, dziwnie sobie tłómaczyli jego kreacye. Przypomnijmy sobie tylko na przykład, co Göthe w szczególny sposób rozpowiada o znaczeniu Manfreda, w rozprawce pisanéj w kilka lat po ogłoszeniu tego dramatu, ale jeszcze za życia autora! Jeżelić więc tak niepodległy, tak bystry i życzliwie dla Byrona usposobiony umysł nie był zdolny ani przeniknąć prawdy, ani też w jéj czystém świetle spo-

glądać na jego twory: cóż dopiero za wyobrażenie mogła mieć o nich cała massa zwyczajnych czytelników?

Dopiero tedy po śmierci jego nastąpiło, czego się zresztą i sam Byron spodziewał. Znajdują się w pamiętniku jego te słowa: — „Sprawiedliwość będzie mi wymierzona wtedy dopiero, kiedy ta moja ręka, która to pisze, będzie tak zimna, jak serca, które życie moje zatruły.“ — Począł się teraz objawiać nagły a stanowczy zwrot wyobrażeń, w kierunku ku zupełnéj rehabilitacyi zmarłego, ku apoteozie nawet, choć do takowéj znowu nie było dostatecznych powodów. Zwykłe to zjawisko w kolejach sądów ludzkich, zawsze skłonnych do przeskoku z jednéj ostateczności w drugą... Zmiękły serca surowe na samę wieść o zgonie wieszcza. Zgon ten zbyt wczesny, w 37 roku życia, w porze najwyższéj siły jego geniuszu — zgon idealny i prawie bohaterski, na klasycznéj ziemi Hellady, w chwili jéj wybijania się z pod barbarzyńskiego jarzma na niepodległość, wśród usiłowań, które odepchnięty od własnéj ojczyzny Byron nie tylko majątkiem własnym sowicie wspierał, lecz i pieśnią natchnioną to wywoływał, to unieśmiertelniał — zgon ten mówię pod tylu względami chlubny i nadzwyczajny rozbroił zaciętość wszystkich. Teraz dopiero — odezwali się wielbiciele poety. Z dokumentami w ręku przemówili przyjaciele zmarłego. Pojawiły się równocześnie biografie, pamiętniki, wspomnienia, listy, rozmowy i tym podobne pisma dotyczące Byrona. Odparto fałsze, uchylono potwarze, odsłoniono zalety i piękną stronę zgasłego życia. Stanął rzetelny wizerunek poety — wizerunek poetyczny nad miarę, uwieńczony aureolą cierpień i krzywd, w znacznéj części niezasłużenie doznanych — w moralnym względzie daleki wprawdzie od ideału i ze wszystkiemi znamionami krewkości ludzkiéj, ale dlatego nie gorszy od tysiąca innych, którym pomimo tego przecie nikt nie zamącał pokoju. W miarę takiéj rehabilitacyi osoby autora, zaczęto odtąd w świetle rzetelnéj prawdy i o czynach jego poetyckich sądzić inaczéj, i to pod względem ich moralnego znaczenia; artystycznéj potęgi bowiem nie odmawiano dziełom jego i przedtém.

Gdy się to wszystko działo w ojczyźnie poety, wzięła i dalsza Europa z zajęciem żywszém na nowo dzieła Byrona do ręki.

Były one jéj już znane w pewnéj części i dawniéj z sporadycznych przekładów francuskich i niemieckich, z których najrychlejsze przypadają na czasy przed rokiem jeszcze 1820. Ale właściwie teraz dopiero zaczęto na wyścigi na najrozmaitsze języki tłómaczyć wszystko, co tylko pochodziło z pióra Byrona. Nie było w Europie literatury, na któréjby obliczu w latach owych nie pojawił się już mniéj, już więcéj wydatny odblask natchnień tego poety.

Temu powszechnemu prądowi nie mogła się oprzéć i nasza literatura. Wpływ Byronizmu w Polsce, przed rokiem 1830 i przez kilka jeszcze lat potém, był w saméj rzeczy większy może, niż się to dzisiaj niejednemu wydaje. Zestawienie przekładów dzieł Byrona na polskie nie daje wprawdzie ani o czasie, ani o stopniu tego wpływu dokładnego wyobrażenia. Gdybyśmy bowiem z nich o tém mieli brać miarę, to wypadłoby wnosić, że przewaga bajronizmu zaczęła panować u nas na dobre dopiero około r. 1833; albowiem najlepsi nasi tłómacze tego poety wtedy dopiero wystąpili.*) Tymczasem wniosek taki byłby zupełnie mylny.

---

*) Notuję tu najcelniejszych:

Julian Korsak (Więzień Czyllonu 1830, Lara 1833). Adam Mickiewicz (Giaur 1834). A. E. Odyniec (Korsarz 1834, Narzeczona z Abydos 1838, Niebo i Ziemia 1841, Mazepa 1843). Franciszek Morawski (Więzień Czyllonu 1841, Manfred, Mazepa, Oblężenie Koryntu, Paryzyna 1853). Józef Paszkowski (Manfred, Kaim 1842). Antoni Zawadzki (Werner, Żale Tassa, Narzeczona z Abydos, Wyspa 1846). Antoni Czajkowski (Beppo, około tegoż czasu; Don Juan, w rękopisie). W. hr. Baworowski (Childe Harold 1856, Don Juan 1863). Michał Budzyński (Childe Harold 1857, Proroctwo Dantego 1858). Adam Pajgert (Wyspa 1859). Michał Chodźko (Manfred 1860).

Pierwsi nasi przekładacze Byrona, Bruno hr. Kiciński (Korsarz, Oblężenie Koryntu 1820) i Władysław Ostrowski (Dziewica z Abydos 1821, Giaur 1830), nie mieli sił po temu, żeby dziś jeszcze można było kłaść jakiś przycisk na ich przekładach. Pierwszy, to jest Kiciński, tłómaczył zresztą tylko z francuskiego, a nie z oryginału — Przed rokiem także jeszcze 1830 spolszczył niektóre pieśni Byrona przecudnym wierszem Mickiewicz (Pożegnanie Childe Harolda— Sen — Eutanazya). Lecz to są rzeczy krótszéj objętości.

Oprócz tych wszystkich co tylko wymienionych, było jeszcze po r. 1834 kilku innych mniéj zasłużonych tłómaczów polskich Byrona.

Od czasu bowiem pojawienia się Pieśni Janusza, Komedyi Nieboskiéj i Pana Tadeusza, a zatém właśnie od r. 1833 i 34 poezya nasza zaczęła brać taki obrot, że bajronizowanie, jeżeli się kiedy wynurzyło na nowo, to należało już w każdym razie do zjawisk wyjątkowych i mniéj też cenionych w piśmiennictwie. Tém bardziéj zato zajmował ten kierunek umysły między 1824 a 1833. O czém ażeby się przekonać, nie dość jest dopatrywać posępnych barw bajronowskich na tle takich kreacyi pierwszego rzędu, jak na przykład Zamek Kaniowski albo Marya; lecz trzeba spojrzeć na płody poetów i rymotworców pomniejszych. Naśladownictwo tych pisarzów przesadne, a wreszcie entuzyazm bezwarunkowy dla dzieł Byrona i dla wszystkiego, co tylko tchnęło tym duchem, musiał w gronie młodszéj mianowicie generacyi przechodzić wtedy wszelkie granice, skoro jeden z ludzi naszych najwytrawniejszych a zarazem najwyrozumialszych, Brodziński, widział się zmuszonym w tym przedmiocie głos zabierać po kilka razy, przestrzegając w cierpki sposób przed niebezpieczeństwem grożącém z téj strony literaturze. Brodziński zaprawdę nie należał do liczby przeciwników nowego zwrotu poezyi. Owszem, onto był, który się głównie przyczynił do nadania jéj takowego kierunku. Z saméj zasady byłto zatém w owéj kwestyi sędzia bezstronny. A jednak w rozprawach jego krytycznych z czasu przed r. 1830 znajdujemy częste wycieczki przeciw téj manii ogarniającéj umysły.

Oto, co na przykład pisał był o tém w rozprawie O Exaltacyi i Entuzyazmie:

„Byron pędzlem najwięcéj poetycznym zaciera wszelką poezyę tego i przyszłego świata. W nieśmiertelności i nieskończoności samę tylko nicość pokazuje i chciałby, żeby człowiek do niczego nie przywiązany, niczemu nie ufający, wkoło boleścią i ni-

---

Wyczerpującą o nich wszystkich wiadomość znaleść można w dobrym artykule bibliograficznym przez K. Estreichera zamieszczonym w Rozmaitościach Lwowskich r. 1859, Nr. 17 i 18.

Dzięki usiłowaniom wymienionych pisarzy, posiadamy obecnie całego już niemal Byrona przełożonego na polskie. Nie znalazły tłómacza dotąd tylko jeszcze następujące (większe) utwory: Marino Faliero, Dwaj Foskarowie i Sardanapal. —

cością zagrożony, sam w sobie piekło wzniecił i w niém się strawił. Nie Wirgiliusz, jak Dantemu, nie Muza, jak wszystkim poetom, ale zły duch otwiera mu, równie jak jego Kaimowi, i serca ludzkie i światy nadziemskie, kryjąc we wszystkiém rządzącego Boga. Nadto, umiał on słabościom ludzkim nadać nie tylko powab, ale i pewny pozor wyższości, któréj źródłem i celem jest tylko namiętność w sobie ograniczająca człowieka i kłócą go z sobą samym....

„Czuję, na jak wiele się ważę, mówi daléj Brodziński, czyniąc podobne uwagi o geniuszach tak słusznie wsławionych. Przecież zważając na pochop do naśladowania poetów, którzy tak oddzielném byli zjawiskiem, godzi się w sprawie prawdziwéj poezyi przemówić. Byron sam tylko mógł być takim, jakim był poetą. Próżno każdy usiłuje trafić jego drogą do celu. Od niego poczęli młodzi poeci gwałcić swoje pogodne uczucia, nosić w sercu sami nie wiedzą jakie tajemnice, i gorzko marzyć i szukać tego, co właśnie w pełności mają. Niknie w nich poetyczna naiwność; wiosnę życia szpecą nienaturalnie, liściem jesiennym od zarazy pożółkłym. Miasto tkliwego udziału ze światem, który ich nęci do siebie, kłócą się z nim; wyszukują starannie, ażeby tęsknić do czegoś, rozbierają swoje uczucia, jak bohaterowie sceny francuskiéj swe położenia i w sprzeciwieństwie z własną naturą chcą znaleść poezyę“...

Za te słowa o Byronie gromił później Brodzińskiego Mickiewicz z katedry w Collège de France.*) I rzeczywiście zdaje się być na pozór wiele przesady w tych sądach Brodzińskiego o duchu lorda-poety. Wszelako krytyk nasz nie polemizował też z nim samym, ale z jego naśladowcami, o których śmiało powiedzieć można, że więcéj w utworach ich bajronizmu, aniżeli w samym Byronie. U tego bowiem zawsze jest takt artystyczny i pewna miara we wszystkiém. Są zawsze okoliczności, które demoniczność postaci jego albo łagodzą, albo przynajmniéj tłómaczą; które pozwalają jéj się pojawiać, lecz że tak powiem w formie koncesyi. Bajroniści przeciwnie przyjęli wszystkie desperacye

*) Obacz Kurs roku IIgo, lekcya 29.

bajrońskie za wątek uprawniony sam przez się, za materyał gotowy — za rudę czystego złota, którą tylko topić i przelewać w posągi. I dlatego też miał rozważny autor Wiesława zupełną słuszność, kiedy wypowiadał przekonanie, że naśladowanie tego poety może być dla nas daleko więcéj szkodliwém, niż wszelkie inne naśladownictwo. Jeżeli zaś co samym skutkiem usprawiedliwiło te Brodzińskiego obawy, to właśnie rola w, jakiéj wystąpił na początku swego zawodu oto nasz młody poeta! Bajronizm jestto klucz jedyny, za pomocą którego zrozumieć można, jak człowiek genialny, tylu nadzwyczajnymi warunkami usposobiony na prawdziwego wieszcza narodu, mógł się przez czas tak długi zaprzątać ideałami, które były po za wszelką wspólnością z gruntem naszego poczucia narodowego. Czy zwrócimy uwagę naszę na ogólne idee podłożone dziełom, któreśmy co tylko przebiegli, jako pomysły zasadnicze, czy też na ludzi w nich działających: w jednym i drugim razie wniosek nasz nie będzie inny, jak tylko że te wszystkie typy były odbiciem (dodajmy mocno skrzywioném!) tradycyi byrońskich.

ROZDZIAŁ PIĄTY.

Druga połowa roku 1832. Ukończenie poematu Lambro. Smutne doniesienia z domu. Nowe niesnaski z Mickiewiczem. Dziady. Nagły wyjazd z Paryża. P. Lenormand i podróż do Genewy.

Ogłoszone poezye stanowiły przez kilka miesięcy po ich wydaniu główny przedmiot, na który była zwrócona uwaga autora. W listach swoich z owego czasu często do tego punktu powraca, jużto udzielając matce wiadomości o tém, co o dziełach jego emigracya sądziła, już odpowiadając na uwagi, jakie o nich przesyłała mu rodzina jego z Krzemieńca. Były bo też i szczególne przyczyny, dla których pragnął, aby to pierwsze jego wystąpienie dobrze było przyjęte. Miał on już wtedy w tece materyału nowego dosyć na zapełnienie trzeciego tomu. Poemat Lambro już był ukończony w r. 1832 (i to w pierwszych miesiącach). Chodziło więc znowu o fundusze na pokrycie dalszych kosztów nakładu, a miała ich dostarczyć dopiero sprzedaż dwóch tomów wydanych, z którą jednak nie wiodło się tak pomyślnie księgarzom, jak się z razu autor spodziewał. Dlatego też ogłoszenie trzeciego tomu wypadło odłożyć na czas późniejszy...

Pomiędzy listami, jakie z powodu dzieł ogłoszonych poeta nasz od różnych osób odbierał, doręczono mu i słów kilka z Wilna — od Ludwiki Ś. Przypominam, że posłał jéj był w lipcu jeszcze exemplarz dzieł swoich w darze, a przytém i list, z powodu którego równocześnie pisał do matki: „O! gdyby ona odpisała do mnie! Ale nie spodziewam się“... Otóż nad spodziewanie jego, po trzech miesiącach — z początkiem października — podziękowanie za pamięć od Ludwiki nadeszło.

„Ile z listu sądzić mogę, Ludwisia nie gniewa się za pamięć moję; owszem gniewa się, że za mało pamięci o niéj w książkach. Oto są słowa z jéj listu: — „„Miło mi było w mojéj cichéj samotności przebiegać te odcienie myśli i uczuć znajomej mi duszy. W tych tworach poetę tylko widać — chował się człowiek — nieraz się jednak człowiek zdradził, a ja go poznałam... Żadnéj już nie czytam książki; ale poezye Pana jak przyjaciela dawnego, nie jak książki przyjęłam, i tak zostaną u mnie, póki ja jeszcze cierpieć będę na ziemi.““ (Z listu z d. 8 Grudnia 1832 r.).

Na to spostrzeżenie, że się w utworach jego poetyckich ukrywał człowiek, rzucił autor taką uwagę:

„Spodziewam się, że jak wydrukuję Lambro, to mnie nie będzie obwiniać, że się kryję z mojemi uczuciami. Myślę tylko nad tém, że trudno go będzie tam przesłać, bo Lambro straszny“...

Zresztą ówczesne życie Słowackiego w Paryżu nie nabierało wcale w oczach jego powabów. Znajomość z rodziną p. Pinnard była utrzymywana, ale jakoś od niechcenia. Z samą panną Korą to zrywał, to zawięzywał znowu; lecz stósunek ten nie obiecywał długiéj przyszłości — mimo jéj przywiązania do niego. To też wyobraźnia jego łatwo zajmowała się innemi wrażeniami, przy lada sposobności — zawsze przelotnie i zawsze w taki sposób, że serce jego w tém wszystkiém wcale nie brało udziału. Więcéj ono było przystępne dla uczuć przyjaźni, choć i w tym względzie nie było ono otwarte dla byle kogo. Z pomiędzy małéj liczby osób, które wtedy w bliższych zostawały stósunkach z poetą naszym, był może jeden tylko, o którym powiedzieć można, że go łączyła ze Słowackim prawdziwa przyjaźń. Byłto człowiek cierpiący, schorzały, nierokujący długiego życia; nazywał się Zienkowicz. Do niegoto ściąga się, co tu przytaczam z jednego z listów pisanych w owym roku do matki:

„Odebrałem znów list z Wersalu. Wspominam o nim dlatego, że słowa napisane na końcu, „twój do śmierci“, przez człowieka, który wie sam, że jest jéj tak bliskim, dziwne na mnie i wstrząsające uczyniły wrażenie. Skąd ten człowiek mógł zawrzéć w dwóch słowach tyle poezyi! ... O godzinie 11 z rana wyjechałem do Wersalu, który leży o dwie nasze mile od Paryża. Zienkowicz wyszedł na moje

spotkanie, ale w drodze ominął się ze mną. Przyjechawszy więc, nie zastałem go w domu, lecz wkrótce nadszedł. Mieszkanie jego zupełnie wiejskie. Za domem ma niewielki ogródek, zarosły trochę dzikimi chwastami i opuszczony, ale bardzo miły dla mnie, bo właśnie pisząc moje pamiętniki dzieciństwa (Godzinę Myśli), tak się rozmarzyłem w przeszłości, że koniecznie dzień jeden musiałem przepędzić w cichym wiejskim domu. Ogród pięknym mi się wydawał — było tam kilka winogradów rozpiętych na murze, — morel owocem okryty — kilka kwitnących róż — gruszki pachnące — i naokoło mur szary, a w kącie ławka z drzewa i nadpróchniała, gdzie córka gospodyni musi co dnia szyć i pracować, bo koło ławki widać dwie zachowane na pniu róże blade i już osypujące się z liści. Na téj ławce usiedliśmy, i często przerywając rozmowę, zastanawiałem się słuchając téj wiejskiéj ciszy. Wszystko było zgodne z tą ciszą; nawet ten młody człowiek, który siedział koło mnie i oddychał ciężko — blady — i za kilka tygodni może także cichy i śpiący. — O piątéj godzinie siedliśmy z nim do domowego obiadu. Jak zwykle u chłopców, było dobre wino, porter angielski, a wtenczas rozmowa zaczęła się weselsza. Do stołu posługiwała nam córka gospodyni 13letnia dziewczyna, bardzo do Hersylki (przyrodniéj siostry Juliusza) podobna. Stawałem w jéj obronie, ile razy mój towarzysz, jak zwykle, cierpki trochę w chorobie, gniewał się na nią za uchybienia w potrawach popełnione, bo często widział, że nie dopełnili jego rozkazów, gdy chciał aby potrawy litewskim były zrobione sposobem. Chcąc raz dziewczynkę zmięszaną wywieść z ambarasu, poprosiłem ją o pachniący różowy groszek zatknięty w jéj pelerynce. Wybiegła do ogródka i narwała mi mnóstwo groszków, ale w przyniesionym bukiecie poznałem groszek, który zniknął z jéj pelerynki, bo wszystkie inne może umyślnie przez nią były zerwane ciemniejszego koloru. Udając, że tego nie spostrzegłem, powiedziałem do niéj: ja nie o te kwiaty, ale tylko o twój różowy groszek prosiłem. Uśmiechnęła się — zarumieniła i odpowiedziała, pokazując na bukiet: il est là, oh! vous le reconnaissez bien.—Bardzo mi się podobała ta delikatna scena, i bądź pewną moja Mamo, że żadném słowem nie zniszczyłem jéj uroku. Potém Zienkowicz sporządził litewski kaliszan, taki jakeśmy w Wilnie pijali. Było tam piwo, porter, wino, syrop z konfitur, cukier, cynamon, cytryna i grzanki, słowem było wszystko, co tylko się mogło w wazie pomieścić... a tak był dobry, że się nawet mojéj dziewczynie podobał... Po obiedzie poszliśmy do kró-

lewskiego pałacu, a kiedyśmy wychodzili, dziewczynka wyszła za mną na ulicę — i patrzała długo: — odwróciłem się jeszcze z daleka — uśmiechnąłem się i lekko schyliłem głowę. Chodziliśmy długo po parku — i słońca krąg czerwony zachodził za drzewami, tak że nań patrzeć można było. O godzinie 9téj wsiadłem do dyliżansu i tak szczęśliwie, że sam jeden w nim jechałem. Przez całą drogę marzyłem — jeżeli chce Mama wiedzieć o czém — to o dziewczynce. I wkrótce ujrzałem coraz gęściejsze latarnie — potém elizejskie pola — a potém ogłuszył mnie huk miasta. O godzinie 11téj wysiadłem na oświeconéj gazem ulicy Rivoli. — Wracając do domu, ujrzałem w jednéj bramie starca w porządnym surducie z tak schyloną siwą głową na piersi, że twarzy dojrzeć nie można było. W obu rękach trzymał kapelusz, ciemność nadawała mu jakąś wielkość nieszczęścia. Wrzuciłem mu do kapelusza pieniądz miedziany, bo mi przyszła myśl, że to może być udana wstydzącéj się nędzy postać. Stał nieporuszony — milczał. Wstyd mi było myśli krzywdzącéj starca — wróciłem się i rzuciłem do kapelusza pieniądz srebrny: — milczał... To milczenie tak mnie zastanowiło, że gdybym miał pieniądz złoty przy sobie, wróciłbym.... i chciałbym był, żeby jeszcze raz milczał.... Kochana Mamo! nie czytaj nikomu tego listu, bo mnie wezmą za głupca, że będąc w Paryżu, piszę o dziewczynie, co mi dała groszek, i o żebraku, który milcząc przyjął jałmużnę“... (dnia 30 lipca 1832).

Oprócz Zienkowicza miał Słowacki w owych czasach w Paryżu drugiego jeszcze towarzysza, z którym się świadczył i codziennie widywał. Był nim wspomniany już wyżéj Michał Skibicki, tensam, któremu przypisane są Arab i Mnich wraz z wierszem umieszczonym na czele tych utworów. Oprócz tych dwóch, nie ma w listach śladu, żeby był wtedy w emigracyi kto inny jeszcze bliższy serca Juliusza. Jest wzmianka (w miesiącu lipcu r. 1832) o przybyciu do Paryża Bohdana Zaleskiego, ale obojętna.

„Spotkałem dziś rano Boh. Zaleskiego; zaszedł mi drogę i poznał z daleka, choć bardzośmy się mało znali przed tém.“

Jest zapisek o Stefanie Witwickim, że także przyłączył się do grona żyjących na wygnaniu, ale z dodatkiem bynaj-

mniéj nie świadczącym o wielkiéj życzliwości. Jest słów kilka o Lelewelu, lecz niekorzystnych:

„Człowiek z kutasami u bótów (tak Sł. zwykle Lelewela w téj korespondencyi nazywał) jak antreprener w kłopotach, traci szacunek u ludzi, bo się ciągle intrygą zajmuje i w tutejszéj babilońskiéj wieży pomięszał języki. Smutno tu patrzeć na to, co się tu dzieje“... (list z dnia 9 listopada 1832).

Jest notatka o pani Hofmanowéj, ale także sucha, jeżeli nie uszczypliwa.

„Jest tu panna niegdyś Tańska i pisze, jak słychać, opisanie Paryża dla dzieci — może to być bardzo ładne. Zdaje się, jakoby się tu cała literatura przeniosła, to jest literatura młoda — literatura kobieca, garbata trochę — literatura kłótliwa trochę, paszkwilowa — a została się tylko u siebie literatura klasyczna czyli niema“...

To też w strony ojczyste, do grona rodziny, w przyszłość, która go kiedyś ze swymi miała połączyć, najbardziéj się lubił przenosić myślą Słowacki z tego gwaru i wiru krzyżujących się stósunków, jakie tworzyła ówczesna emigracya. Miłość matki i przywiązanie rodziny miały go wynagrodzić za wszystko.

„Gdyby ludzie o wszystkiém nie zapominali — pisał d. 9 listopada 1832 — ty matko i mój ojciec zostawilibyście mi na świecie wielu przyjaciół. Ja... nie powinienem mieć syna, bo nawet dla siebie jednego przyjaciela znaleść nie mogę — cóżbym mu więc zostawił?“ —

Nadzieja, że odzyska kiedyś miejsce stracone przy familijnym stole i że znajdzie wszystkich i wszystko na dawném miejscu — ta nadzieja najwięcéj w nim podtrzymywała otuchę. Nieraz i obojętny przedmiot w Paryżu nasuwał mu na myśl to jego ulubione marzenie. Oto na przykład pisał razu jednego coś matce o wybornych brzoskwiniach francuskich, i to mu przypomniało, że niegdyś o nich w Wilnie i Jan Śniadecki z pochwałami wspominał.

„Kiedyś i ja na starość z Wami zasiędę do stołu, jak Jan — z siwym włosem i z białemi najeżonemi brwiami. Wtenczas będę gadał o paryskich brzoskwiniach“...

Nadzieje jego atoli zamierały jedna po drugiéj — za dotknięciem o twardą rzeczywistość. Listy nadsyłane mu z kraju

często były zwiastunami bolesnych zdarzeń. Wyczytywał w nich to o tym, to o owym z pomiędzy dobrych znajomych, przyjaciół, nieraz i krewnych, że go skrzydła płynącego czasu zmiotły do grobu. Prawie równocześnie doniesiono mu właśnie w ciągu owych miesięcy o śmierci Alexandry, przyrodniéj jego siostry w Wilnie za mąż wydanéj, i o jego wuju Janie Januszewskim, że powodem długiego niepowrotu jego w r. 1831 z obozu powstańców podolskich nie była, jak zrazu przypuszczano, niewola, lecz zgon w jednéj z potyczek. Po rozstrzygnięciu w taki sposób długiéj niepewności o losie męża, wdowa po nim pozostała (Julia) z drobném dziecięciem (Stasiem) ściągnęła także do Krzemieńca z Wierzchówki, w któréj aż dotąd mieszkali. Cała tedy reszta rodziny zgarnęła się w jedno miejsce, obsiadła jedno ognisko.

„Jak Wam teraz dobrze być musi (pisał w liście z d. 3 września) tak wszystkim razem w waszym spokojnym Krzemieńcu! Wystawiam sobie Wasze koło domowe, i Melankę maleńką, kręcącą się koło smutnego Stasia. Jak Wam teraz dobrze być musi! Ale jak mi okropnie myśleć, że kiedyś, powróciwszy do was, nie zastanę tylu osób. A tak często marzyłem, jakto ja kiedyś będę w domu Olesi, jak będę z Julką odwiedzał podrosłe Julinki. Nie możecie sobie wystawić, jak to jest trudno oddalonemu o mil kilkaset pomyśleć sobie, że to wszystko snem nie jest — Wilno bez Olesi! Wierzchówka bez Julki!...“

W miesiąc później otrzymał doniesienie, że i téj Melanki, którą sobie wystawiał kręcącą się w familijném kółku w Krzemieńcu, nie ma już w domu rodziców! Była to jego siostra cioteczna, córka drugiego jego wuja, Teofila Januszewskiego; dziecina przez całą rodzinę, a szczególniéj przez naszego poetę bardzo umiłowana. W żadnym prawie liście on téj maleńkiéj nie pomijał milczeniem; lubił się przypominać jéj dziecinnéj pamięci i zawsze zapytywał, co tam porabia? Z Drezna jeszcze (1831) list jeden pisząc, żartobliwie jéj obiecywał, że jak powróci do Krzemieńca, będzie ją uczył po niemiecku, „bo ładny to w ustach dam język.“ A teraz mu doniesiono, że to dzieciątko zgasło...

Wyjmuję kilka ustępów z listu pisanego pod bezpośredniém wrażeniem chwili (d. 4 października 1832):

„Wczoraj rano o godzinie 9téj położyłem się, aby zasnąć. Zaledwo zamykałem oczy, usłyszałem stukanie do drzwi — list od Was — senny siadłem do czytania — list ten spadł ciężarem na rozigrane i drżące prawie zmysły... O! bo też nigdy nic podobnego nie czytałem, jak ten list Mamy. W nim taka ogromna poezya smutku, że nikt, nikt z żadnych pisarzy do niéj się nawet nie zbliżył. Matko moja! tyle w liście twoim prawdziwéj boleści — tak wiernéj, że płakałem, czytałem — i znów płakałem. Potém na kawałku papieru leżącym na stoliku napisałem trzy nagrobki i posyłam je — nie przemienione.

Nagrobków, o których tu mowa, żądano od niego w liście. Jeden miał być dla Melanki, drugi dla Olesi, a trzeci dla Jana Januszewskiego.

„Gdybym ja był szczęśliwszym (pisze daléj, zwracając mowę do rodziców umarłéj), tobym Wam może przywiązanie dzieci zastąpił. Ale ja złym jestem kaznodzieją szczęścia. Te dni mną całym zatrzęsły, a kiedy to piszę, zalany jestem łzami i czuję, że uczucia moje są skrzywione, bo wstrząśniony smutkiem, znajduję w nim jakąś głupią, poetyczną, exaltowaną rozkosz... Darujcie mi — bo ja w dzieciństwie kształciłem się tak, abym nie był podobny do ludzi — a teraz dopiero pracuję nad sobą, aby być podobnym do człowieka“...

.....„I znów na wasz list spojrzałem — i wiersz napisany przez kochanego Dziadunia zdaje mi się najsmutniejszym, bo on mi się wydaje, jak jakiś anioł-duch z tamtego już na wpół świata wyglądający, który wśród płaczących zawsze jedne i znane mi napisał słowa: „Ja ciebie mój kochany wnuku pozdrawiam i powodzenia życzę.“ Ta jednotonność słów robi te słowa tak uroczystemi, że mi się zdają błogosławieństwem Boga... Więc Dziaduniu kochany, klękam przed Tobą i przyrzekam Ci, że wnuk twój będzie umiał kiedyś, jak twój syn starszy, dług wypłacić, którego Ty dla starości wypłacić nie mogłeś... I Ty, kochana Babuniu, nie wstydź się wnuka wierszoklety, bo on oprócz wierszy ma jeszcze do rozrządzenia życie — a może Bóg mu pozwoli skonać, jak skonali — —

.....„Mamo kochana, czuję jak Tobie teraz smutno! List Twój Mamo zasmucił mię, ale razem piękność jego jest tak zachwycająca, że prawdziwie dumny jestem. List ten, jeśli kiedyś o mnie pisać będą, wykryje tajemnicę całą, że jeżeli miałem jaką poezyą w sercu, to ją od Ciebie wziąłem. Zwłaszcza to wyrażenie: „Mama powtarza,

niech się dzieje wola Boga; ja zaś wspomniawszy na ciebie, niezdolna do wyrzeczenia słów tych“ itd. jest ogromnym obrazem Matki, która nawet przed Bogiem dzieci swoje zakrywa — i Bogu nawet, jeżeliby miał syna jéj zabić, broni. Te słowa miłości i przywiązania Twego do mnie, z duszy wyrwane, słowami mojemi zapłacone być nie mogą, lecz całém życiem“...

Ale przejdźmy od tych smutnych rzeczy do więcéj obojętnych, do potocznych szczegółów w Słowackiego korespondencyi.

„Żebyście Wy wiedzieli — pisał do krewnych dnia 9 listopada 1832 — jak ten świat nudny! Zupełnie inny, niż nam się wydaje. Zwłaszcza Paryż — jestto prawdziwe więzienie dla człowieka bez wielu pieniędzy. Bo w inném miasteczku, a nawet mieście, cudzoziemiec wchodzi zaraz do dobrych towarzystw. Tutaj zamknięte są domy. Trzeba mieć kabryolet własny, żeby się otworzyły. Zwłaszcza teraz noblesa wyniosła się prawie z Paryża — la bourgeoisie, ta brylantowa poczwara, która zajęła jéj miejsce, nie przypuszcza do siebie, tylko bogatych. Chcąc zainteresować jaką damę, trzeba po angielsku gadać — udawać Anglika, bo widzą, że Polacy nie mają pieniędzy. Udawać zaś Anglika, jestto udawać głupca i oryginała, bo takimi są Anglicy. W jednym tylko względzie Paryż mi się lepszym wydał, niż o nim marzyłem. Gdy bowiem do nas kto z Paryża przyjedzie, zaraz ma jakiś dziwny śpiczasty kapelusz, jakiś frak wywrócony, itd. W Paryżu zaś przeciwnie; nie widziałem tu elegantów tak jak u nas z półkniętym kijem—z nakrochmalonym halsztuchem. Wszyscy skromnie i zgrabnie ubrani. Ubierać się zaś można, jak się komu podoba. Śmiałobym tu wyszedł na ulicę w dziadowskiéj lisiurce, którą niegdyś jak syn marnotrawny dziadkowi zarwałem. Widziałem tu nieraz ludzi trochę podstarzałych na modnym spacerze w jesieni przechadzających się w błękitnym jasno watowanym szlafroku, na frak zamiast płaszcza wdzianym. — Jeżeli chcecie sobie Julka wystawić, chodzi on w dni mniéj zimne w długim aż po kostki ciemno ceglastym surducie krojem angielskim na jeden rząd guzików zapiętym, który mi już drugą zimę służy; w dni zimne w granatowym płaszczu z długim kołnierzem i z bobrowém futrem, które mam od kochanéj Mamy; a w dni ciepłe, w czarnym tużurku krótkim“...

Podobne wzmianki nawet o garderobie zdarza się nieraz czytać i przy innych sposobnościach w jego korespondencyi. Słowacki

nie był elegantem z profesyi i nie przywięzywał do odzieży zbyt wielkiego znaczenia. Ale była inna przyczyna, dla której nie tylko lubił uważać na swoję powierzchowność, ale i chwalić się przed matką, że o tych drobnostkach nie zapomina. Oto chodziło mu o pewną rehabilitacyą całego rodzaju poetów, oskarżanych zazwyczaj o zaniedbywanie się; a przyczyniało się może do tego i trochę opozycyi z powodu znanego antagonizmu...

„Zostawszy raz poetą — chcę ujść powszechnéj nagany, która nasz ród wystawia jako opuszczony i niedbały — i nie chcę, aby mnie tak jak Mickiewicza, do domu gry (?) nie wpuszczono, bo go służący wzięli za lokaja i dali odpowiedź, że ma źle zawiązaną chustkę...“ (list z d. 30 lipca 1832).

Pomimo ciągłych wyrzekań na Paryż, na Francuzów i na Emigracyą, z którą rad nierad musiał się stykać — za nadejściem jesieni 1832 Słowacki z konieczności godził się i na dalszy pobyt w tém mieście. Żeby nie ziębnąć w pokoiku swoim przez zimę, kazał go urządzić zawczasu więcéj na sposób polski.

„Dzisiaj zabezpieczyłem się od zimna — pisał dnia 9 listop. 1832. Kazałem sobie piec postawić, bo kominek wiele mi zjadał drzewa i ciepła nie dawał, — a pracując wieczorami, trzeba było ciągle o ogniu pamiętać, i to rozrywało moję uwagę.“

Plany zajęć i rozrywek na całą zimę także już były zrobione. Przy pracach, które mu same płynęły z duszy, spróbował wtedy po raz drugi roboty, która mu miała dostarczyć środków do ogłoszenia IIIgo tomu Poezyi.

„W tym miesiącu byłem sześć razy na tragedyach francuskich... dla poznania się lepiéj z Francuzami teraźniejszymi i z grą aktórek; albowiem pod sekretem powiem Ci Mamo, że piszę tragedyą dla jednego z tutejszych teatrów; nie wiem jednak, czy mi ją przyjmą i zechcą wystawić, i czy zechcą zapłacić“...*)

---

*) Między papierami po śmierci poety przez rodzinę jego przywiezionymi do kraju, rzeczywiście znaleziono dwa małe urywki z francuskiego dramatu pisanego jego ręką, a poprawianego gdzieniegdzie inném pismem, zapewne przez jakiego rodowitego Francuza. Urywki te są z końca sztuki: jeden z czwartego, drugi z piątego aktu (Musiała ona zatém stanowić kiedyś całość skończoną). Była pisana prozą,

Ażeby się uzdolnić do jak najpomyślniejszego dokonania innych utworów, które obmyślał, żądał w tymże liście od matki niektórych książek polskich.

„Jeślibyś mogła, kochana Mamo, to mi przez jadącą siostrę Michała (Skibickiego) przyślij dzieła Jana Kochanowskiego, które masz w swojéj szafce; a jeżeli można, to dostańcie także przekładu Jerozolimy przez Piotra, bo mi tu te dwa dzieła dla języka bardzo są potrzebne. Teraz albowiem nie mam, jak tylko Trembeckiego; i uważam, że mój styl twardnieje nieznacznie“...

Wreszcie donosił rodzinie i o zabawach, jakich sobie w ciągu téj zimy dla urozmaicenia czasu pozwalać postanowił: kiedy wtém nagle zaszło zdarzenie, które te wszystkie jego projekta pokrzyżowało stanowczo.

Niepomału zdziwić się matka musiała, kiedy wyczytała w liście Juliusza już w miesiąc późniéj doniesienie następujące.

„Kochana Mamo! pobyt mój w stolicy nachyla się już do końca. Za dni kilkanaście wyjeżdżam do Genewy. Potrzeba zmusza mnie do wyjazdu, więc i dobrze, że mnie przynajmniéj w poetyczniejsze krainy posyła. Wiele miałbym pisać o tym miesiącu, ale nie wiem, jakiemi słowy“... (Z listu z d. 8 grudnia 1832).

Jaka potrzeba zmuszała go do wyjazdu z Paryża, z tego się matce nie tłómaczył. Przytoczył natomiast wiele różnych powodów, mających niby usprawiedliwić to nagłe jego postanowienie.

„Przez kilkanaście dni, które poprzedzą mój wyjazd, będę ciągle zwiedzał teatra, bo mi się zdaje, że do Paryża nie prędko, a może i nigdy nie powrócę. Bo tu przykro — drogo — niespokojnie. Między nami ciągłe zwady — a w tych zwadach wykrywają się tak puste głowy, że aż to obraża dumę narodową. A potém, będąc w Genewie, między Paryżem a Florencyą, któżby do Paryża wracał? Pisałem już, że interes zmusza mnie

---

miała za treść sprawę Beatryczy Cenci, którą późniéj opracował Słowacki wierszem po polsku. Ale osnowa polskiego dramatu zupełnie odstępuje od pomysłu, wedle którego, ile wnosić można, rzecz ta była przeprowadzona w sztuce francuskiéj.—Urywki rzeczone zbyt mi się zdały mało znaczące, żeby je zamieszczać w zbiorze pism Słowackiego pośmiertnych.

do wyjazdu. Ale zapewne z własnéj woli w Genewie zostanę na mieszkanie i wiele sobie obiecuję przyjemności, i listy moje może ciekawsze będą, jak Wam doniosę o mieszkaniu Russa, Woltera, a nadewszystko jak pielgrzymkę na Mamy intencyą odprawię i zwiedzę Coppet, gdzie pani Staël mieszkała. Może na wiosnę znajdę sobie gdzie mieszkanie nad jeziorem genewskiém w jakim wiejskim domku — i tam oddam się rozmyślaniom nad marnościami światowemi, bo ja stworzony jestem do życia mniszego, spokojnego, i w najludniejszych miastach tworzę sobie samotność— ale nudną, przerywaną hukiem powozów, rozmową nudnych znajomych. Więc mnie nie obwiniaj Matko, że cichszéj samotności szukać będę"...

I w drugim liście potém pisanym, już datowanym z Genewy (z d. 30 grudnia 1832) nie wyspowiadał się Juliusz, co mu tak zaciężyło na sercu. Rzucił tylko nawiasem wzmiankę o ostatnich chwilach pobytu swego w Paryżu, która tém bardziéj mogła każdego zaciekawić:

„Powiem Ci jeszcze, moja Mamo, że mnie w jedném zgromadzeniu ziomków proszono na klęczkach prawie, ażebym został. Ale już było zapóźno, przygotowania do podróży już były porobione"...

Dopiero po upływie całego niemal roku dowiedzieli się krewni rzetelnéj przyczyny, która Słowackiego wypędziła z Paryża. Świadczy ona może o zbyt daleko posuniętéj drażliwości u niego; rozważywszy jednak wszystko, przyznać należy, że w jego położeniu trudno było inaczéj sobie postąpić. Rzecz tak się miała.

Pod sam koniec roku 1832, w miesiącu listopadzie czy grudniu, wyszło w Paryżu dzieło, o którego mającém niebawem nastąpić ogłoszeniu donosił już poprzednio matce swojéj Słowacki. Pojawiła się Dziadów Część trzecia. W jednéj scenie tego utworu występuje, jak wiadomo, figura, któréj tam dano ogólną nazwę Doktora. Zajmuje ona jedno z przedniejszych miejsc na całym planie obrazu, ale jest wystawiona w takiém świetle, że odpowiedzialność za te wszystkie bezprawia, jakie się działy w Wilnie w latach 1823 i 1824, spada na nią w znacznéj części i to z tém większą sromotą, że jestto rodak i członek ciała uniwersyteckiego, którego więc obowiązkiem było zasłaniać od gwałtów

młodzież niewinnie prześladowaną; a on tymczasem działa w poemacie Mickiewicza jako intrygant podżegający jeszcze podejrzliwość Nowosilcowa tak przeciw młodzieży jak profesorom, i nie wstydzi się być jego nadskakującym pochlebcą, a nawet denuncyantem wręcz oskarżającym profesora historyi Lelewela i kuratora uniwersytetu księcia Czartoryskiego o spiski przeciw rządowi w gronie uczniów utrzymywane.

Mickiewicz wprawdzie nie nazwał w Dziadach po imieniu tego doktora. I stądto może też poszło, że stawiwszy go jako figurę typową, z wyobraźni wziętą, a nie z rzeczywistości, pozwolił sobie nie tylko intrygi z historycznemi zdarzeniami rzeczywiście związek mające na karb jego położyć, ale dodał do nich jeszcze i kilka rysów dokomponowanych, (na przykład owo zajście nieludzkie z X. Piotrem itp.) które same jedne wystarczałyby najzupełniéj na to, żeby każdego potępić na całą wieczność...

Wiedział oczywiście każdy, kto tylko z zajściami czasu owego jakokolwiek był obeznany (a któż ich w emigracyi nie znał natenczas?), że tą figurą bezimienną był profesor medycyny w uniwersytecie wileńskim Dr. Becu, rzeczywiście od piorunu w roku 1824 zabity, jak to i w Dziadach jest przedstawione.

Czy oskarżenie podobne ojczyma Słowackiego było uzasadnione i sprawiedliwe?

Nam późniejszym, oddalonym od czasu i miejsca zdarzeń, w obec takiéj powagi jak autor Dziadów — trudno zaiste zaprzeczyć temu dzisiaj stanowczo. Sądzę atoli, że był to w każdym razie jeden z tych smutnych przykładów, w jakie pierwsze lata po upadku powstania 1831 roku szczególniéj były obfite, przykładów mówię ryczałtowego piętnowania ludzi nieraz niewinnych znamieniem odstępstwa, zdrady i Bóg wie jakich przekroczeń. Chociażby nie żyli jeszcze ludzie, co pamiętają te czasy, a którzy, o ile mi się mówić z nimi zdarzyło, po większéj części zgadzają się na to, że się tym krokiem względem profesora Becu dopuścił Mickiewicz grubéj przesady: to już samo porównanie rzeczy, jak jest dana w Dziadach, ze znaném pisemkiem Lelewela „Nowosilcow w Wilnie,“ okazuje, że musiał być Mickiewicz, kiedy

układał tę scenę, w dziwném jakiémś rozdrażnieniu. Wychodząc z tego punktu widzenia, można i trzeba wprawdzie wierzyć, że wypowiadał autor Dziadów to co pisał, w najgłębszém przekonaniu i w najlepszych zamiarach, i że się czuł podniesionym na wysokość, z któréj giną przed okiem drobne względy na pojedyncze osoby, w obec zamiaru podniesienia pewnéj idei; pomimo tego wszystkiego zaprzeczyć tego jednak nie można, że przedstawienie jego scen wileńskich z r. 1823 więcéj było poetyczne, niż zgodne z prawdą, a sądy o osobach niektórych w wysokim stopniu polegały na uprzedzeniu.

Lelewel był naocznym świadkiem, a nawet jednym z głównych aktorów całego tego dramatu. Był on nadto osobistym przeciwnikiem stronnictwa w uniwersytecie wileńskim, po którego stronie stał Becu. Co większa, i Lelewel miał przekonanie, że profesor ten czynnie się i umyślnie przyczynił do oddalenia jego z katedry wraz z niektórymi innymi jeszcze profesorami. Nie było tedy powodu, ażeby winę profesora Becu Lelewel zmniejszał, i widać też po całym sposobie, jakim rzeczy te opisuje, że mu bynajmniéj na tém nie zależało, ażeby go od zarzutu oczyścić. Przeciwnie! sądzi on o nim z uprzedzeniem; o zachowaniu się jego opowiada namiętnie. I cóż mu więc takiego zarzuca? Jestże najmniejsze podobieństwo pomiędzy winą, jaką mu przypisuje historyk, a ową rolą, w jakiéj go wystawił w dziele swojém poeta? Bynajmniéj! podobieństwa, stósunku nawet między jedném przedstawieniem a drugiém nie ma żadnego...

Wprawdzie grube są i Lelewela zarzuty przeciw niektórym profesorom, a między nimi i przeciw Doktorowi Becu. Stém wszystkiém, kto tylko całe przedstawienie rzeczy w wspomnioném dziełku Lelewela przejdzie z uwagą i rozwagą bezstronną: niepodobna żeby nie widział, że grzeszyła niewątpliwie jedna strona, ale grzeszyła i druga. Tu podejrzliwość — tam zaciekłość, tu brak umiarkowania i taktu w postępowaniu, a tam przebieranie znowu miarki w sądach o dążności i postępkach przeciwnego obozu: — takieto były na nieszczęście w ówczesnéj inteligencyi litewskiéj przymioty, od których wymówić nie można ani ednych ni drugich.

Starsi nie pojmowali w ówczesnych okolicznościach innéj drogi ku lepszéj, ku upragnionéj przyszłości: jak drogę jawną, pewną, bezpieczną — drogę opartą na podwalinach danego stanu rzeczy — wśród pracy powolnéj wprawdzie i niejaskrawéj, ale trwałym skutkiem wynagradzającéj za trudy. W podziemne knowania żadnéj wzbudzić w sobie nie mogli wiary. Lękali się entuzyazmu, którego kierunek ginął w mistycznych jakichś sferach extazy, a doniosłość przekraczała wszelkie granice rzeczy prawdopodobnych, a nawet możliwych.

Dla młodszych profesorów i dla całéj uniwersyteckiéj młodzieży mało wtedy miało uroku, co nie nosiło piętna tajemniczości i nie wiało wonią zakazanego owocu. Niepokonana moc jakaś parła całą tę generacyą ku robotom, o których ostatecznych następstwach bodaj który z nich samych miał wtedy jasne wyobrażenie. Oda do młodości była ich pieśnią. Gorąca wiara w to, czego wszyscy pragnęli, przy wzgardliwém odrzucaniu na bok wszystkiego, co wyglądało na kalkuł — to była modła postępowania tego zastępu.

W owych czasach nazywano to wszystko romantyzmem. Ale wiedziano już wtedy dobrze, że się w téj nazwie ukrywało coś więcéj, jak same kwestye dotyczące poezyi lub estetyki...

Takie były dwa stronnictwa w łonie społeczeństwa naszego, których głównem ogniskiem był w owym czasie uniwersytet wileński. — Stronnictwo gorętsze zwyciężyło. Jego hasła wzięły z czasem na całą rozległość kraju zupełną przewagę nad instynktami przeciwnéj partyi. Co tylko szczytnego posiadamy w literaturze — zawdzięczamy niewątpliwie popędowi i świetnéj inicyatywie, jaka była dana z téj strony. I po za literaturą nawet — wszystkie pierwszorzędne sprawy nasze publiczne od owego czasu począwszy, były prowadzone kierunkiem, jaki narodowi wytknęło i ciągle potém wytykało przekonanie tychto zwolenników peryodycznie obudzać się mającego w społeczeństwie naszém zapału i wiary w cudowność polityczną. Łatwo tedy było Mickiewiczowi — w uczuciu odniesionego tryumfu... wprawdzie tryumfu nie pod murami Warszawy, ale tylko w zakresie myśli i niedaléj jak

między swymi — łatwo mu było w roku 1832 na owych pokonanych, prześcigniętych, już w mgle zapomnienia ginących przeciwników niegdyś swego zastępu rzucać gromy wzgardy i potępienia! Ale dziś—kiedy dalszy przebieg romantyzmu owego w polityce leży już przed nami doprowadzony do ostatecznych kresów, i owoce jego dojrzałe jak na dłoni widne są wszystkim: — dziś zdaje mi się, ani sam nawet Mickiewicz ani Lelewel nie śmieliby już w podobny sposób jak dawniéj sądzić o ludziach owéj epoki...

Czas wreszcie powiedzieć to sobie, że może ci starzy i niby zacofani antagoniści Lelewelowskiéj partyi w uniwersytecie wileńskim nie byli wcale ani tacy obskuranci, ani tacy obojętni dla kraju, za jakich ich okrzyknięto wśród walki! Mieli oni rozum i kochali ojczyznę równie dobrze, jak drudzy! A że się nie mogli z młodszymi godzić na sposoby, jakimiby jéj służyć: — za to winować ich nie należy.

Za to winować by można tylko znękane, ciężkie i ciągle jeszcze chore społeczeństwo nasze, na którém się ci młodsi przerachowali potężnie, a które ludzie przeciwnego tamtym obozu snać dobrze znali. Wedle tego, jakiém je znali, miarkowali oni swoje postępowanie. Ich przekonaniem było: wprzód ogół narodowy odrodzić, a potém — przyszłości to pozostawić, co tamci czynić chcieli od razu, jakby wszystkie okoliczności już były przygotowane do tego.

Ale wróćmy do rzeczy. Samo się rozumie, że co tu mówię o profesorach wileńskich umiarkowańszych dążności, rozumiem o ogólnym kierunku tychże postępowania, a nie o pojedynczych krokach bez taktu, jakich się niejeden i między nimi pod uciskiem prześladowania dopuścił czasem. Zupełnie zaś tego, co powiedziałem, nie ściągam do takich zaprzańców i nikczemników, jak na przykład Pelikan, późniejszy rektor uniwersytetu, który zajmował zgoła odrębne stanowisko...

Co się tyczy doktora Becu, sam Lelewel w jedném miejscu broszury swojéj, w nocie dodanéj niżéj textu na dole, a zatém, jak jest prawdopodobna, dopisanéj późniéj, kiedy już był ochłonął z pierwszéj niechęci przeciwko niemu, sam Lelewel przyznaje, że byli

koledzy, którzy rzeczonego profesora dla osóbistych uraz „zamierzali złośliwie zgubić;“ że nie brakło nawet i na takich uczniach uniwersytetu, co dawniéj w domu jego bywali, a potém dostawszy się do kozy, „plątali wesoło i nieszkodliwie“ (?) profesora w sprawę, za którą zostali uwięzieni. A więc i jego stanowisko było zachwiane. I jemu groziło niebezpieczeństwo. Broniąc się z konieczności przeciw złośliwości jednych, a lekkomyślności drugich, może nie trafiał zawsze na sposoby najstósowniejsze; może powodując się zbytecznie osobistém rozdrażnieniem i żalem, postąpił sobie w czém niezupełnie, jak należało; lecz trzebaż było zaraz rzucić bezwarunkowego potępienia kamieniem na człowieka, który w pracowitym zawodzie swoim całe życie przeżył bez skazy, dopędzał późnego wieku wśród czci powszechnéj i miał, jak to sam Lelewel wzmiankuje, i przedtém i w ciągu owego śledztwa najściślejszą przyjaźń z Janem Śniadeckim?! Ta jedna okoliczność, ta jedna rękojmia, ta jedna data o przyjaźni ze Śniadeckim już zdaniem mojém wystarcza, żeby mu nie przypisywać winy, o jaką go może wtedy w Wilnie posądzano chwilowo. Charakter tak nieposzlakowany, wzrok tak bystry, znajomość pobudek ludzkich taka wytrawna, a nadewszystko owa surowość zasad, która Śniadeckiego przez cały ciąg życia jego jako osobistość tyle podnosi po nad innych ludzi tych generacyi, nie byłaby mu pewnie dozwoliła żyć w poufałym stósunku z kolegą, któryby stał na jednéj linii z intrygantami, jak Pelikan albo ta inna hołota, która się obławiała w zyski i rosła w honory przy owéj sposobności...

Wspominana tu Lelewela broszura, w sposobie pamiętnika traktująca o owych czasach i stósunkach wileńskich, obchodzi nas tu bliżéj z innéj jeszcze przyczyny. Została ona ogłoszona drukiem po raz pierwszy w Warszawie w ciągu listopadowego powstania, w pierwszych miesiącach roku 1831. Zważywszy, że w niéjto właśnie ojczym Juliusza w takiém świetle jest przedstawiony; daléj, że wyjazd Słowackiego z Warszawy już w marcu tegoż roku nastąpił nagle, tajemniczo, bez dostatecznych powodów takich, z którychby się było można wytłómaczyć przed matką; dodając do tego i to nareszcie, że we wszystkich listach

swoich Słowacki odtąd nie wspomina nigdy o Lelewelu inaczéj, jak tylko w wyrazach świadczących o namiętnéj niechęci i z gryzącém szyderstwem: — zdaje się być rzeczą więcéj niż prawdopodobną, że téj jego jakby ucieczki z Warszawy — bez planu, w świat obcy, byle daleko, w ciągu wojny z niejakiém jeszcze powodzeniem trwającéj — nie mogło być co innego powodem, jak właśnie owa broszura! Dla mnie przynajmniéj jest to wniosek, o którego trafności wcale nie wątpię. Niepodobieństwem było dla Słowackiego oddychać dłużéj atmosferą miasta, które zdawało mu się, że patrzało na bezkarną zniewagę imienia, które jego matka nosiła. Nie śmiał jéj wyznać, że dlatego wyjeżdża z kraju, ponieważ jeden z mężów składających rząd najwyższy w stolicy, człowiek w dniach owych może najpopularniejszy w narodzie, którego przeto trudno było niepokoić wtedy o rzeczy czysto prywatne... dopuścił się takiéj krzywdy względem dobréj sławy jéj męża. Dlatego to wtedy wolał osłonić milczeniem, co go właściwie wypędziło z Warszawy. Dlatego też i w późniejszych listach tak się o tém mimowolnie nieraz wyrażał, że tylko za pomocą takiego téj zagadki wytłómaczenia można i wyjazd i dziwne o jéj pobudkach napomknięcia i niechęć ku Lelewelowi w korespondencyi jego zrozumieć.*)

Jeżeli go zaś już ta publikacya Lelewela tak boleśnie wtedy dotknęła: témci bardziéj uczuć musiał teraz tę nową krzywdę, jaką rodzinie jego wyrządził w Dziadach Mickiewicz. Nie przeto tylko, że tu mniemana wina jego ojczyma dosięgała rozmiarów prawdziwie monstrualnych. Lecz wszakże to było dzieło, które czytane być miało i odczytywane przez wszystkich! To był poemat — to był Mickiewicza poemat!... Pamiętniczek Lelewela, szorstkim stylem pisany, mógł ugrzęznąć w rękach samych tylko uczonych, samych historyków z zawodu; ani z rzeczy ani z formy nie mógł sobie obiecywać nieśmiertelności. Dziady były dziełem poety, na którego zwrócone były oczy każdego, kto tylko język polski rozumiał. Broszury Lelewela nie znała matka Juliusza i nigdy

*) Obacz miejsca odnoszące się do całéj téj sprawy na stronie 24 i 25, 40 i 135 niniejszego dzieła.

się o jéj exystencyi nie dowiedziała, jak o tém wnosić można na pewne z milczenia o tém dziełku w listach do niéj pisanych. Lecz możnaż było przypuszczać, żeby i Dziady rąk jéj dojść nigdy nie miały? Lelewel wreszcie, w czasie kiedy drukował swoję książeczkę, był zupełnie obojętnym człowiekiem dla Słowackiego. Ani wiek, ani stósunki, ani zawód nie zbliżał ich obydwóch do siebie. Inaczéj rzecz się miała z Mickiewiczem. Jeżeli już nie dla innych powodów, to przez sam wzgląd na obecność Juliusza na emigracyi w Paryżu, przez wzgląd na to, że to brat jego młodszy po lutni, że z nim koleguje w przełożeństwie nad Towarzystwem Literackiém — już dla tych mówię przyczyn nie godziło się Mickiewiczowi obierać sobie właśnie jego ojczyma za ofiarnego kozła, któryby dźwigał cały ogrom wzgardy poety dla wszystkich samolubów i zaprzańców, jacy tylko byli i kiedykolwiek być mogli...

To też łatwo sobie wystawić, co się po przeczytaniu téj książki dziać musiało w duszy naszego poety tyle zawsze drażliwego, a tak serdecznie przywiązanego do Matki... Oto, co jéj pisał w rok dopiero po wyjeździe swoim z Paryża, kiedy ona wiedziała już skądinąd o wszystkiém:

„Więc wiecie o Adamie! Och! teraz dopiero powiem, ile mię kosztowało przełamanie pierwszego popędu dumy! Skorom przeczytał, chciałem się koniecznie strzelać z nim i natychmiast posłałem list do Michała (Skibickiego) przyjaciela mego, aby mi pomocy swojéj użyczył. Przyszedł Michał wieczorem, i różnemi radami odwiódł mnie od zamiaru. Była to jedna z przyczyn, dlaczego do Genewy wyjechałem — i teraz nie uwierzycie, ile męki cierpię, ilekroć ludzie chcą zdanie moje o Adamie usłyszeć. Nienawidzę go!... Wyjątek z mojéj przedmowy*) on obciął i umieścił w pisemku, ale tak obciął, że mu dał całkiem inne znaczenie — pozor jakiejś uszczypliwości. A przedmowa moja jest raczéj mojém usprawiedliwieniem i wszyscy, którzy ją całą przeczytają, przyznają, że Adam ze złą wiarą postąpił. Onto bowiem o dziełach literackich w pisemku pi-

*) Mówi o przedmowie do IIIgo tomu Poezyi, obejmującego Lambro. O utworze tym, który wyszedł w początku roku 1833, będziemy niżéj mówili osobno.

sał. — Nic mi nie pozostaje, jak okryć Ciebie Matko moja, promieniami takiéj sławy, aby Cię inne ludzi pociski dojść nie mogły. I muszę tego dokonać — Bóg mię sam natchnął — bo rozwinął w myśli mojéj wielkie dzieło.*) Część pierwszą za kilka dni posyłam do druku i teraz przepisuję. Wierz mi Matko droga, że się nie zaślepiam, żem to dzieło osądził po napisaniu obcego człowieka rozwagą... i drukuję bezimiennie. Będzie to równiejsza walka z Adamem“... (Z listu rokiem późniéj pisanego z Genewy d. 30 listopada 1833).

— Kiedy już zapadło niecofnięte postanowienie przeniesienia się do Szwajcaryi, rozpoczęto przygotowania do bezzwłocznéj podróży. Wśród najrozmaitszych zajęć, jak to bywa na wyjezdném, przyszła do głowy myśl Słowackiemu odwiedzić jeszcze sławną naówczas wróżkę paryską, pannę Lenormand. Było to w samę wilią Bożego-Narodzenia.

„Dwoma dniami przed wyjazdem Michał rano wchodzi do mnie i pośród rozmowy wspomina coś o sławnéj pannie Lenormand. Musisz ją Mama znać z reputacyi, bo ona niegdyś Cesarzowi wróżyła. — Ułożyliśmy natychmiast projekt iść do panny Lenormand. Szczęściem wiadoma nam była ulica, gdzie mieszkała; dom zaś, w którym żyje ta Sybilla, oznacza napis nad bramą: „Librairie de Mlle Lenormand.“ Wchodzimy do sieni, wita nas stara duguenna pytając, czy przyszliśmy na konsultacyą. Odpowiadamy, że tak, i wpuszczeni jesteśmy do pokoju ładnie umeblowanego, w którym całe ściany okryte obrazami rozmaitych cudów przyrodzenia i śród tych malowideł wisi ogromny portret saméj wróżki, w aksamitnéj czarnéj sukni, ze złotą u dołu frenzlą i w zamyślonéj postaci odmalowany. Kilka osób przybyłych przed nami czekało na kabałę, słychać było w drugim pokoju ciągłe mruczenie czarownicy. Wpuściła nas nareszcie do swego pokoju. Jak wygląda, opiszę: Jest-to baba stara, lat ma ze 60, otyła, niska, z garbem na plecach, ubrana w szaréj sukni, na głowie mnóstwo loków i na nich na bakier aksamitny ogromny czarny beret, jak męska czapka; rysy twarzy ma zupełnie polskie, trochę ciocię P. przypomina. Siadła na krześle z poręczami,

*) Stósuje się to do Kordyana, który był napisany w rok po wyjściu Dziadów, w Genewie.

przy biurku z wytartém suknem, na biurku leżało mnóstwo kart rozmaitéj wielkości. Usiedliśmy oba przy biurku. — Zapytana, odpowiedziała, że ceny wróżby są rozmaite, od 6 aż do 60 franków. Prosiliśmy o sześciu-frankową przyszłość. A więc przyznacie sami, że ludziom, co po 6 franków płacą za głupstwo, nie mogła wielkich cudów przepowiedzieć. Zadała mi pierwszemu następujące pytanie: „w którym miesiącu rodziłem się?“ — „w Auguście;“ „którego dnia?“ — „23;“ „Jaka pierwsza litera imienia?“ — “J.; “pierwsza litera kraju?“ — „P.“ „Jaki kolor najwięcéj lubię w ubiorze?“ — „czarny.“ „Jakie zwierzę najwięcéj lubię?“ — „psa.“ „Jakiego zwierzęcia najbardziéj nieciérpię?“ — „pająka.“ „Jaki kwiat najbardziéj lubię?“ — „różę.“ Na tém zakończyła, i wziąwszy talią kart zwyczajnych, ułożyła z nich długi szereg, dwie zawsze karty odrzucając. Potém wzięła ogromne karty, z dziwnymi wizerunkami, i kazała mi z nich wybrać jedenaście lewą ręką, inne zaś odrzuciła. Potém z trzeciéj, równie ogromnéj talii kazała mi wybrać 23 karty; z wybranych ułożyła ogromny wachlarz i z wachlarza zaczęła wróżyć, jak excytarz jednym głosem i niezmiernie prędko. Wróżby zupełnie pospolite; między innemi powiedziała, że będę się dwa razy kochać; że rozpoczynam podróż, któréj mi rozpoczynać nie radzi aż do odebrania pewnych wiadomości; że dopiero w dziewięć miesięcy będę miał stałe o losie moim wiadomości; że jestem zdatny, ale radzi mi wykończyć to, com naszkicował; że między 27mym a 28 rokiem mojego życia będę bardzo szczęśliwy, że w tych latach wiele dla mnie zajdzie wypadków. Oto są wszystkie prawie przepowiednie; ostatnia tylko dosyć interesująca. Michałowi nie powiedziała, że zaczyna podróż; a ponieważ jéj mówił, że kocha konia, wróżyła mu, że się na polu walki odznaczy. — Tumani baba i niczém zbywa chorych na zdrowy rozsądek pacyentów.*) — Po tak przepędzonéj godzinie wyszliśmy z Micha-

*) Ażeby zaspokoić czytelnika ciekawość i powiedzieć mu o wypadku tych przepowiedni, póki pamięta jeszcze o wróżbie; nadmieniam, że jednak w tym pojedynczym razie niekoniecznie „baba tumaniła!“ Niejedno się z jéj zapowiedzi spełniło rzeczywiście. I tak, co się tyczy dwukrotnego zakochania — okaże się niżéj, że w tém było wiele prawdy, chociaż nie trzeba brać rzeczy w zbyt ścisłym sensie. Obietnica szczęścia i czasu obfitego w wypadki między 27 a 28 rokiem życia, ściągnęła się wprawdzie do skromniejszych nieco rozmiarów, bo tylko do podróży do Włoch i na Wschód, odbytéj

łem do ogrodu Luxembourg. Gadaliśmy długo drwiąc z siebie nawzajem, a potém mimowolnie wpadliśmy w długie zamyślenie, aż on pierwszy odezwał się: „Wiesz, szkoda, żeśmy babie nie dali po 60 franków, może by nam co więcéj powiedziała.“ Odpowiedziałem śmiechem na te jego słowa, malowały one doskonale łatwowierność człowieka, zdradzały go aż do głębi serca. Ale ja także wyznać muszę i jemu to wyznałem, że także przez czas zamyślenia na tę samę myśl wpadłem.“ (List z dnia 30go grudnia 1832 z Genewy).

W wilią wyjazdu pożegnało grono bliższych znajomych Słowackiego obiadem na cześć jego wyprawionym przez któregoś z przyjaciół. A nazajutrz, dnia 26 grudnia, w samo więc drugie święto Bożego Narodzenia, o godzinie 7méj wieczorem wsiadł do dyliżansu.

„Przyjaciele, z których jeszcze dwóch przy powozie mnie czekało, stali wokoło, gadając ze mną przez okna ka-

---

w r. 1836—37. Stémwszystkiém, chociaż nie były to czasy bardzo szczęśliwe, to były one jednak jeszcze stósunkowo najszczęśliwsze w całém życiu poety od chwili wyjazdu jego na emigracyą, a nawet i najobfitsze w wypadki, a przynajmniéj w przygody. A co ze wszystkiego najdziwniejsza, to że trafiły właśnie na wiek jego oznaczony!

Byronowi, kiedy jeszcze był chłopcem, wróżyła także wieszczka jakaś, nazwiskiem Msr. Williams. Przepowiedziała mu, że rok wieku dwudziesty siódmy i trzydziesty siódmy będzie dla niego niebezpiecznym. „Jedno się rzeczywiście spełniło,“ pisał Byron w swoich pamiętnikach, stósując rzecz do swego ożenienia, które przypadło właśnie na rok jego 27my. „Nie zapomnę nigdy 2go stycznia 1815. Było mi, jak gdyby podpisywali mój wyrok śmierci. Lady Byron (młoda panna) była jedyną spokojną osobą w całém towarzystwie. Ksiądz wymówił nazwisko moje fałszywie; matka narzeczonéj wrzeszczała; ja drżałem jak osowy listek, dawałem odpowiedzi niedorzeczne i nazwałem żonę po ślubie Miss Millbank (nazwisko panieńskie)“... Tak tę rzecz opisywał Byron w kilka lat po owym ślubie złowieszczym, który zatruł mu całe życie goryczą. Nie upłynęło wiele czasu i okazało się, że i druga przepowiednia owéj wróżki miała się spełnić. Mając właśnie lat 36 i kilka miesięcy, poeta zakończył życie.

Więc wierzyć przepowiedniom? — Nie zawsze! Ale zdarzają się czasem rzeczy na ziemi i na niebie, o których się nie śniło naszym filozofom... Byron w nie wierzył, Walter Scott także, i Rousseau, i Göthe, i Napoleon — i wiele innych wielkich ludzi!

rety... i przy świetle latarni dziwnie się wydawała postać wychudła i blada suchotnika (Zienkowicza), który się wywlekł z mieszkania i stał nieruchomy na deszczu. Widzę go dotąd przed sobą, jak mówi Szekspir, oczyma duszy mojéj, choć go może oczyma głowy nigdy już nie zobaczę. Ruszył dyliżans, to ogromne zwierzę, nadziane różno-narodowym tłumem, i jechaliśmy długo przez ciemne ulice, potém przez pont Neuf, a potém przez ulice, na których nigdy nie byłem, choć blisko półtora roku siedziałem w Paryżu. I tak zakończyłem paryski epizod mojego życia. W nocy nie mogąc rozerwać niczém mojéj uwagi, przebiegłem myślą mój pobyt w tém mieście — i nic nie znalazłem przyjemnego — żadnego wspomnienia, prócz chwili, w któréj przyniesiono mi pierwsze dwa tomiki moich poezyi."

A znajomość z panną Korą? — Nie ma o niéj wzmianki w tém rozmyślaniu poety o najbliższéj swojéj przeszłości. Pożegnanie się ich obojga było, zdaje się, z jego strony obojętne; dla niéj było bardzo bolesne.

„Powiem ci Mamo, że mnie kilka osób w Paryżu żałowało, mówi Juliusz w inném miejscu tegosamego listu. Kora płakała i z drugiego pokoju było słychać łkanie; a kiedy wyszła do salonu, czerwone miała tak oczy, że siostry za rzecz potrzebną uznały mówić przedemną, że ma mocny katar mózgowy, nad czém bardzo ubolewałem."

Ale wróćmy do przerwanego opisu podróży.

„Przejeżdżałem przez ładną Francyą — ładną nawet w zimie, bo pola, choć skrzepłe, zachowują jednak zieloną barwę. W dyliżansie, w którym jechałem, znajdowało się kilku Francuzów, którzy na górach wysiadali z powozu i szli piechotą. Zacząłem ich naśladować i często po całéj mili uchodziłem. Co dziwniejsza jeszcze, że w towarzystwie naszém znajdował się jeden sławny szybko-biegacz, który się w Paryżu popisywał i któremu dotrzymywałem kroku.— Towarzysze moi pierwsi znudzili się pieszemi wędrówkami i na końcu samotny musiałem je odbywać. Wszedłszy na jednę górę, spotkałem się po raz pierwszy z zimą; murawa była cała szronem obsuta, futro u mego płaszcza obmarzło; wyprzedziłem z daleka dyliżans i stanąłem sam jeden, a widząc naokoło skały, waszemi imionami próbowałem ich echa... Jechałem przez Tonnerre-Dole; wszędzie śliczne okolice. Nakoniec trzeciego dnia, o godzinie piątéj z rana, przyjechaliśmy do St. Laurent, położonego na górze Jura, skąd trzeba było wziąć sanki, aby przebyć śniegi

téj góry. Sanki dano nam zupełnie do naszych bud podobne. Towarzystwo dyliżansowe w dwie się budy zabrało, bo było już nas tylko cztérech. Siedliśmy więc, ja z moim ciągłym towarzyszem Szwajcarem w pierwsze sanie, dwóch kupców francuskich w drugie, na trzecie spakowano rzeczy i ruszyliśmy z górki na górkę. Co za rozkosz — śniég dawno niewidziany — tu sanna, tu po gołoledzi sanki nad przepaścią grożą zatoczeniem się. Co za rozkosz jechać na południe sankami! — O 7méj zaczynało się rozjaśniać. Jechaliśmy brzegiem doliny Mijou, która się kilka mil ciągnie. W dolinie między sosnami stoją opuszczone szalety, domki, w których latem pasterze mieszkają. Na końcu doliny widać wielką bramę, to jest góry z dwóch stron spływają i kończą wąwóz, a w tém ujściu doliny kawał mgły wisiał do ziemi, jak srebrna kortyna. Słońce oświecało ten zimny i zamarzły obraz.—W oberży samotnéj na górze Jura jedliśmy obiad, a po obiedzie pokrzepieni, zaczęliśmy nową podróż z góry na dół. Dosyć wam powiedzieć, że prędkim kłusem jechaliśmy z téj góry godzinę, i porzuciwszy najpiękniejszy czas na górze, wpadliśmy nagle w krainę mgły, tak że spojrzawszy na otaczający naokoło i na śpiący na ziemi obłok, nie mogliśmy prawie wmówić w siebie, żeby o téj porze na szczycie góry słońce świeciło. Zjechawszy z Jura, w pół godziny stanęliśmy na gruncie Szwajcarów, w ojczyźnie Wilhelma Tella. Jechałem koło Ferney; widziałem z daleka zamek Woltera i kościołek, który Bogu postawił. — Ferney mniéj na mnie zrobiło wrażenia, niż sama droga. Przez 12 godzin widząc śniegi wokoło, o was marzyłem, marzyłem o dawném dzieciństwie, o dniach przepędzonych między sosnami. Tak mi było miło i smutno razem, że wam tego wystawić nie potrafię. — O półtoréj mili od Genewy znów siedliśmy w dyliżans na kołach i o 5téj wieczór wjechaliśmy do miasta. Teraz patrzcie na początek listu, a będziecie mieli wyobrażenie, jak pierwsze chwile w téj mieścinie przepędziłem."

Początek listu był taki:

„Nie masz smutniejszéj dla mnie chwili, jak ta, w któréj przybywam do obcego miasta. Dzisiaj o 5téj wieczór przyjechałem do Genewy, wniósłem się do hotelu pod Wielkim Orłem i nie mogąc po nocy włóczyć się po nieznaném mieście, kazałem sobie do pokoiku przynieść herbaty i przy ogniu kominka marzę i piszę list ten do kochanéj Mamy." (Wszystko z listu datowanego z Genewy dnia 30 grudnia 1832).

ROZDZIAŁ SZÓSTY.

Rok 1833. — Pensyonat na przedmieściu genewskiém i jego gospodynie. Tryb życia Słowackiego w Genewie. Nowe stósunki i znajomości. Wrażenie francuskiéj recenzyi jego Poezyi. Teatr genewski.— Wiadomość o zgonie Zienkowicza. — Lambro oddany do druku, przedmowa do niego. — Życie towarzyskie roku owego dość zajmujące. Boston — Eglantyna — Eliza. — Wiosna — różne figury z dalekich krajów sąsiadujące teraz z Słowackim — rodzina Uwarow — Potopow — hrabina Seidwitz — misyonarz Wolf itd. — Wycieczki w góry okoliczne. — Uroczystość szkolna — imieniny Juliusza. — W jesieni praca nad Kordyanem.

Zaraz nazajutrz po przyjeździe do Genewy znalazł tam Słowacki kilku ze swoich dawnych znajomych, i ci mu dopomogli w wynalezieniu mieszkania. W ich towarzystwie i wśród stósunków genewskich wcale przyjemnych, po niewielu już dniach, owe przykre uczucia, jakich doznawał w pierwszéj chwili za przybyciem do tego miasta, ustąpiły miejsca usposobieniu nie tylko znośnemu, ale nawet bez porównania swobodniejszemu, aniżeli w Paryżu.

„Genewa jest niezmiernie drogą — pisał dnia 5 stycznia 1833, w dalszym ciągu listu, z któregośmy dali ustępów kilka w poprzedzającym rozdziale — i wszyscy, nawet najbogatsi cudzoziemcy mieszkają w tak nazwanych pensyonatach. Pochodziwszy trochę, znalazłem bardzo piękny pensyon w wiejskim domu o kilkadziesiąt kroków od miasta położonym (aux Paquis Nr. 10 pod Genewą). Kosztuje mnie na miesiąc 130 franków, bez opału. Szczęśliwie bardzo, że się do tego pensyonu dostałem, bo moi ziomkowie mają w nim dobrą opinią. Gospodyni pensyonu nazywa się Mme. Patteg. Jeżeli zobaczycie Grocholskiego

lub Kosielskiego, powiédzcie im, że zaraz na wstępie zapytała mi się panna Patteg, czy ich znam; i odtąd ciągle mi o nich gada. Oni kiedyś mieszkali u téj saméj pani, trzy razy przejeżdżając przez Genewę: ale wtenczas pensyon był w mieście, dziś zaś zmienił lokal i ukrywa się w ogrodzie między świerkami i sosnami.

„Muszę Wam opisać pensyon Genewski. A naprzód dom, w którym się mieści, potém gospodarstwa moich portrety skreślę — potém opiszę mój pokój — a potém moich towarzyszy. Dom leży trochę za miastem, ale wyszedłszy z niego, w kwadrans można być na drugiéj stronie Genewy. Bo Genewa mniejsza jest prawie od Kamieńca, tylko domy są stare i wysokie. Możecie sobie wystawić, jak jest mała, kiedy pomimo największéj drogości mieszkań, liczy tylko 24,000 mieszkańców. Otoż dom, w którym mieszkam, stoi w ogrodzie za miastem, wysoki na trzy piętra, szary z zielonemi okienicami. W ogrodzie najwięcéj jodeł i sosen, o kilkadziesiąt kroków jezioro Genewskie, którego jednak dla innych wiejskich domów z okien nie widać. — Pani Patteg — jestto stara kobieta, przyjemnéj twarzy i niezmiernie dobra. Przeczuwam, że gdybym kiedy zachorował, w jéj domu nie byłbym jak obcy. Córka jéj, panna Eglantyna Patteg, wszystkiém w domu się trudni. Jest to panna mająca około lat 30 — ładną być dawniéj musiała — teraz pokazują się w niéj wady staréj panny. Stémwszystkiém bardzo przyjemna w konwersacyi, i dobrze gada o swoich znajomych. Czule wspomina Groch. i Kosiel., z uśmiechem mówi o Ilkiewiczu, którego także znała, a który musiał się bardzo zmienić od czasu, jakeśmy go widzieli, — bo wystawiła mi go panna Pattek jako nadzwyczaj wesołego i miłego w towarzystwie. — Przybywszy na pensyon, zastałem w nim familią francuską — starego pana z żoną i synem, bo tu i kobiety mieszkają w pensyonach. Ci państwo wczoraj wyjechali — jeden mi tylko więc został towarzysz — jestto Francuz, ksiądz protestancki, z którym grywam w szachy wieczorami. Mała ta liczba pensyonaryuszów powiększa się nieskończenie w lecie. Wtenczas mnóstwo przyjeżdża Anglików, często ładne przybywają Angielki — a wtenczas pensyon staje się bardzo przyjemną wioską naszą. Wszyscy się bez przymusu schodzą w godziny uczt — bawią się — wieczorami pływają po jeziorze i późno przy księżycu wracają do domu. — Mam pokoik bardzo ładny, zupełnie wiejski — z obiciem w kraty zielono karmazynowe — biurko czeczotkowe — ogromny, ale ogromny fotel aksamitny, w którym jak siędę, to mnie nie widać — i krzesła i sto-

łek i piec okrągły — okna, jak zwyczajnie w Szwajcaryi, z małemi szybami—a przed oknami świerki — sosnę — dąb stary — wiele krzewów — murawę teraz nawet zieloną — i kląb z róż. Okna moje są obrócone na wschód, będę więc miał w lecie słońce — i w ładny poranek otworzę sobie okna i będę miał zapach róż — zapach balsamiczny jodeł. Nie uwierzysz Mamo, jak mnie te jodły cieszą, jak mi jest przyjemną ta wiejska cisza, która mnie w około otacza. Zdaje mi się nieraz, że już osiadłem na wsi, abym odpoczął po trudach życia. W domu, w którym jestem, zupełnie mi uczuć nie dają, jakobym był za pieniądze, i to mi jest bardzo przyjemnie. —

„W pensyonacie tym wstają wszyscy o 9téj rano — o 10téj schodzą się do wielkiéj sali na śniadanie, złożone z jajek miękko gotowanych, z mięsa na zimno, z kawy i herbaty. Ostatnie te dwa napitki przyprawiają tu doskole — ale kawa w mieście jest niegodziwa. Potém rozchodzą się wszyscy. Ja idę najczęściéj do miasta, do salonu lektury — odwiedzam moich znajomych — i znów o 4téj schodzimy się na obiad. Ile razy jem obiad smaczno zgotowany — dziękuję Bogu, żem się od paryskich traktyerów wyzwolił — i czuję, że mi to daleko lepiéj na zdrowiu. Po obiedzie często ktoś z dam genewskich do pani Patteg przychodzi z wizytą — i tak pozawczoraj wieczór przepędziłem na rozmowie z panną Liną, jest to ładna z czarnemi oczyma Szwajcarka — a we czwartek mam pójść do jéj rodziców na wieczór. O 9téj godzinie pijemy herbatę — i potém przy kominku ciągnie się rozmowa, po któréj każdy do swego pokoju odchodzi.“

W ciągu następnych tygodni i miesięcy przywykał Słowacki coraz więcéj do miejsca swego nowego zamieszkania, i do ludzi, którzy go otaczali. Ujrzał się tu bez wielkiego zachodu pośród nader ożywionych stósunków towarzyskich, na brak których często w Paryżu narzekał. Oto, co swoim Krzemieńczanom o tém wszystkiém opowiadał (w liście z dnia 10 lutego 1833 r.):

„Co do mojego teraźniejszego położenia, bardzo miłe życie prowadzę. Mieszkam u ludzi, którzy kazali mi Mamie napisać, że mnie bardzo kochają i starają się tosamo dla mnie uczynić, co chcą aby dla ich oddalonego syna czyniono. Stara dama, pani Patteg, ciągle mnie się pyta o moje chęci — gusta; wszystkiemu chce dogodzić — nad zdrowiem mojém czuwa — słowem, mogę Wam zaręczyć, że bardzo godna i uczciwa osoba. Jéj córka, panna Eglan-

tyna, bardzo mnie także lubi — stara się bawić — w kilku domach mnie zapoznała, a w domach tych przyjmują mnie ze znaczną atencyą i rozróżniają od innych. Winien jestem pannie Eglantynie, że wprowadzony zostałem na kasyno i bywam na niém często dosyć. Kasyna tutejsze są bardzo świetne. Szwajcarki, ładne blondynki jak śniég, mięszają się w kołach walca z zamyślonemi Angielkami, których tu jest najwięcéj. Tańcują tylko kontredanse, walce i galopady. Zaproszony byłem także na kilka balów przez nieznajome dawanych osoby — dziwny to wcale zwyczaj! Byłem na jednym z nich i z trudnością wyśledziłem przeczuciem prawie gospodynią, któréj się trzeba było ukłonić. Na takich balach tańcują mazura, i to mi największą sprawia przyjemność. Najprzyjemniejsza jednak część dnia dla mnie jest ta, którą przepędzam w domu. Jestem zupełnie na wsi — z rana po śniadaniu wychodzę z panną Eglantyną do ogrodu. Czas tak mamy śliczny, że dzisiaj w lutym chodząc w surducie, spotniałem. Ogród zawsze zielony, pełny sosen i jodeł — niebo błękitne — a na horyzoncie wysoko wznosi się Mont-blanc śnieżny — lekko jak chmura skreślony — czasem wiankiem białéj chmury okryty. Wyrysuję Wam kiedyś i przyślę widok domu, w którym mieszkam, wzięty z ogrodu. Chodząc tak z rana, często pannie Eglantynie opowiadam różne przypadki mojego życia i zbieramy fijołki, które się już pokazują. Kilka dni temu pani Patteg umyślnie dla mnie dała wieczór i kilku Polaków zaprosiła — kilka było dam ładnych. Bawiłem towarzystwo jak mógłem, nauczyłem mazura — z trudnością przypomniałem sobie z dziesiątek figur — i bardzo były panny kontente. Potém ustawiłem wszystkie do angleza, i znów im różne nasze figle pokazywałem. Wkręciłem wszystkie w długiego gąsiora i tak się rozhasałem, żem im wszystkie tańce pokazał aż do kozaka. W głębi duszy jednak czułem nadzwyczajny smutek, wspomnienia tłumem cisnęły się do głowy i napełniały puste serce“...

„Miałem jeszcze jednę wielką przyjemność. Jednego wieczora przyszła do nas pani Morin. Jestto żona jednego z pierwszych doktorów — bywam u nich — ona sama Włoszka — trochę sawantka, ale w miarę — ma ładną córkę, która się nazywa Lina — i sama śpiewa prześlicznie metodą włoską. Otóż pani Morin przyszła do nas wieczorem i wśród konwersacyi powiedziała mi z uśmiechem: „Młody N. N. mówił mi dziś, że w jednym z dzienników francuskich czytał długi i pochlebny artykuł o poezyach Juliusza Słowackiego. Czy Pan znasz tego poetę? Udałem, że mnie ten

artykuł mało obchodzi; ale nazajutrz z bijącém sercem pobiegłem do Société de lecture, gdzie znajdują się wszystkie dzienniki, i wynalazłem krytykę moich poezyi w Revue Européenne.*) Bardzo pochlebnie mówią: zaczynają od wyjścia na świat Bogarodzicy — dają tłómaczenie tego hymnu—potém mówią o Żmii z pochwałami— potém przytoczony jest w tłómaczeniu wyjątek wiersza do Skibickiego — rozbiór dość obszerny tragedyi, z cytacyami—pochwała śmierci błazna i charakteru jego w Maryi Stuart. Nakoniec tłómaczenie całego Araba wcale niezłe. Jest wszędzie trochę ocukrowanéj krytyki — ale jest i to, że mam lat 22 i że rzuciłem podstawy wielkiéj literackiéj sławy. — Widziałem potém w Société de lecture czytających artykuł o mnie — widziałem, jak jeden dobywszy pugilaresu, imię moje zapisywał, nie wiedząc, że tak blisko niego stałem — a to mnie nadzwyczaj bawiło. Wczoraj znalazłem w gabinecie czytających samego poważnego pana Morin, który zapewne przez żonę wysłany, nad rozbiorem moich poezyi siedział. Wszystkie damy moje znajome starają się, aby tego żurnalu dostać — i wiedzieć, co ja za jeden?“

„Właśnie rok temu, jak drukowałem w Paryżu poezye. Pobyt w Dreźnie, w Londynie, w Paryżu — zupełnie inne obrazy i bardzo odcieniami wydatne zostawił w mojéj pamięci. Pobyt w Genewie różni się zupełnie, i spodziewam się, że utworzy obraz wspomnień najcichszy i najprzyjemniejszy; bo dom, w którym mieszkam, latem napełnia się mnóstwem wojażerów. Bardzo to będzie korzystnie dla mnie, że nie wychodząc z domu, będę się w różnych towarzystwach ocierał. Już teraz rozmowa moja łatwiejsza, dosyć mnie w salonie w dobrém świetle wystawia. Pomaga mi w tém rodzaj małéj sławy, która rzuca jakiś urok na moje rozmowy, a przynajmniéj ludzi dobrze o mnie uprzedza i często tłómaczy milczenie moje, które zgubiłoby w opinii innych. I sam nie czując się w potrzebie ciągłego gadania, gadam więcéj, bo nie doświadczam żadnego przymusu“.

O samém mieście Genewie takich udzielał spostrzeżeń:

„Teatr tutejszy jest szkaradny, albowiem wiele jest metodystów w arystokracyi, którzy teatr za zakazaną i zgu-

*) Zdaje się, że tento artykuł wyszedł potém i w osobnéj broszurce, wydanéj r. 1833 w Paryżu p. t. *Notice sur les poésies de Jules Słowacki*, podpisanéj przez p. Lemaitre.

bną uważają zabawę. Obyczaje genewskie zadziwiają. Nigdzie nie ma mniéj intryg — ale wiele jest plotek, jak zwyczajnie w małém mieście. Zwyczaj tu jest, że panny same chodzą po ulicach; zwyczaj także, że przed pobraniem się młodzi ludzie kochają się po lat 10. Słowem, wiek tu złoty trwa dotąd, i z tego względu miasto dziwną ma postać moralną. Arystokracya tutejsza złożona z kupców i zegarmistrzów — nudna bardzo i płaska. Oto macie w kilku słowach rys Genewy." (List z dnia 10 lutego 1833, z Genewy).

Lubo oddalony znaczną przestrzenią od miejsca dawniejszego swego pobytu, wiedział Juliusz jednak, co się dzieje w Paryżu, odbierając mnóstwo listów od znajomych tamtejszych; i porównywając stan rzeczy tam, a około siebie, powtarzał bardzo często: „lepiéj mi jest w Genewie, niż w Paryżu"....

W listach paryskich donoszono mu nieraz o osobach, które go szczególniéj interesowały, o Zienkowiczu, o pannie Korze, o Mickiewiczu i t. d. Wiadomości o Zienkowiczu były coraz smutniejsze, wreszcie przysłano mu doniesienie o jego zgonie.

„Pisałem wam o moim wyjeździe — o moim chorym przyjacielu.... Okropną odebrałem wiadomość — w kilka dni po moim wyjeździe mocno zasłabł — był bez nadziei — siedział nieruchomy na łóżku i ciągle powtarzał: „nie ma Julka" — a wymawiając te słowa płakał. Kilku znajomych ciągle go pilnowało — kilkoma dniami przed śmiercią odebrał mój list — a list był wesoły, szalony prawie, bo nie wiedziałem, że się tak źle miał. Czytano mu ten list — płakał. Dnia 18 w nocy o 10 godzinie wszyscy go opuścili i został tylko służący. W pół godziny potém chory otworzył oczy — westchnął trzy razy i skonał. Pochowano go na cmentarzu père la Chaise, gdzie tyle razy całe ranki przepędzałem.... Matko moja, pomódl się za tego, który kochał do śmierci twojego syna i któremu twój syn nic w zamian nie dał, tylko łzę po śmierci". (z Genewy dnia 10 lutego 1833).

O pannie Korze pisano mu z Paryża, że go zawsze wspomina, — rumieniąc się, kiedy go kto inny wspomina. — „Druk mego Lambra — mówił z tego powodu Juliusz do matki w tym samym liście — przypomni jéj, jak niegdyś drukując poezye chodziłem do nich co ranka i gadałem z nią przez długie godziny.

Będzie jéj trochę smutno, kiedy to wspomnienie pierwszéj cichéj miłości stanie jéj przed oczyma“....

To jest ostatnia wzmianka o pannie Pinnard w korespondencyi Juliusza.

Nie długo potém, w początkach marca (1833), zaczął się rzeczywiście druk tomu III Poezyi. Korektę mu arkuszami z Paryża przysyłano. W maju było już dzieło gotowe i w rękach publiczności. Są zamieszczone w tym tomie: poemat w dwóch pieśniach p. t. Lambro, i następujące krótsze utwory: Hymn do Bogarodzicy — Kulik — Pieśń legionu litewskiego (te trzy rzeczy ogłoszone już były podczas listopadowego powstania w Warszawie) — Duma o Wacławie Rzewuskim — Paryż — i Godzina Myśli.

> Dla tego jednego poematu — pisał autor o Godzinie Myśli“ do matki — chciałbym, abyście tom III czytali kiedyś. Jestto poemat serca, w którym jest całe moje dzieciństwo. Matko moja, kiedyś w Westminsterze naszego kraju może mi dadzą kąt jaki! Śmiej się ze mnie, ale ja czuję, że mam w sobie duszę sławy, która ze mną umrzéć nie może“... (z listu z dnia 15 marca 1833).

Na czele tego tomu Poezyi położył autor Przedmowę, w któréj się skarży na obojętność, z jaką przyjęto dawniejsze jego publikacye. Między innemi rzeczami są w niéj i następujące ustępy:

„Minął ów czas błogi, chociaż mało korzystny dla literatury naszéj, kiedy umieszczona w Dzienniku Warszawskim oda, duma lub ballada, nadawała imię poecie. Trzydziestu prenumeratorów dziennika (albowiem tylu ich było) rzucało nazwisko nowe na woskowane posadzki salonów, i romantyczny poeta brał chrzest, znajome nadający imię; nadto pisma czasowe dzienne zamglonymi niemczyzną okresami rzucały z paszcz sfinxowych zagadkę sławy autorskiéj — szczęśliwy, kto ją zrozumiał, szczęśliwszy, kto w pokorze ducha niezrozumianéj wierzył. Dziś dziennikarze owi, tworzyciele literackich królów, milczą...

....„Szanuję szkołę religijną, owę wieczerzę pańską polskich poetów, do któréj zasiedli w Paryżu: — sądzę bowiem, że wypływa z przekonania; że nie jest sztucznie natchniętą słowami Fry-

deryka Schlegla, który w katolickiéj religii źródło jedyne poezyi upatruje. Oddaliłem się wszelako od idących tą drogą poetów; nie wierzę bowiem, aby szkoła De-la-Menistów i natchnięta przez nią poezya była obrazem wieku itd.“

Z powodu onéj przedmowy pisał późniéj — po wyjściu już dzieła — do matki, jak następuje:

.... „Od dni 20 wyszedł na świat tom IIIci moich poezyi... Przedmowa krótka i gryząca trochę obraziła Mickiewicza. Zemścił się w jedném z małych pisemek, ale dosyć niezgrabnie. Polakom tu mieszkającym podoba się ten tom bardzo — ale nie wiem, jak u Was sądzić będą ludzie. O ten tom bardziéj jestem niespokojny, niż o dwa pierwsze. Napiszcie mi, jeżeli o nim co usłyszycie. Jeżeli tak daléj płodną będzie moja imaginacya, jeżeli co roku zacznę tomy nowe drukować, to wkrótce w waszéj małéj szafce będziecie mi musieli poświęcić całą jednę policę — a po mojéj śmierci ten, co mię poznać zechce, będzie musiał miesiąc cały ze mną obcować. Takie są teraz sny moje“... (z listu pisanego w czerwcu 1833).

Cały zajęty planami coraz nowych utworów, czuł na wygnaniu swojém dotkliwie brak sposobności zasilania się ożywczém źródłem literatury ojczystéj, zwłaszcza dawniejszéj. Dzieła Kochanowskich, o które w Paryżu jeszcze prosił, nie nadchodziły. Nie ma prawie listu, w którymby o nich nalegliwie nie przypominał. Oprócz tych dwóch Zygmuntowczyków, żądał jeszcze i Obrazu wieku panowania Zygmunta III przez Siarczyńskiego.

„To dzieło wielkim byłoby dla mnie skarbem! Ta mała biblioteka polska wiecznie mi będzie towarzyszyć, i będę bogatszym od wszystkich moich kolegów. Co Ci tylko Mamo wpadnie w ręce ze starych kronik, które się czasem po rękach Żydów walają, to mi przyślij.“ (list z d. 15 marca 1833).

Wśród tych rozmyślań o swojéj przyszłéj sławie i o drogach, któreby go do niéj zawiodły, wśród pracy nad pierwszemi scenami nowego dzieła (Kordyana?), któréj zwykle ranki poświęcał, nie stronił w owych czasach Juliusz i od zabaw towarzyskich. A było do nich wiele sposobności w domu pani Patteg. Dawano amatorskie przedstawienia komedyi — tańczono na wieczorkach wiele.

„Czy wierzycie — pisał w tymże liście do krewnych — że ja tu pierwszy animuję towarzystwo? Kiedy tańczę, młodzież ściga mnie oczyma i zgodnie mi pierwszego miejsca ustępuje. Na ostatnim wieczorze zdziwiłem ją walcem tańcowanym tak, jak u nas tańcuje wojsko, to jest uderzając ostrogami. Ja zaczynam mazura, ja prowadzę kotyliona i pokazuję nowe figury, jakoto: z szalem, z czterema królami kartowymi i t. p. Często gram do tańca na fortepianie — i potém panna Patteg opowiada mi, co o mnie damy gadają — i bardzo pochlebne rzeczy słyszę, o czém Wy z trudnością wierzyć możecie. Widzieliście mnie bowiem dzieckiem nudném, teraz zaś umiem czasem grać rolę wesołego chłopca, i tylko domowi widzą mnie smutnym i posępnym. Nie odraża ich to jednak odemnie, bo moje położenie oddalone od Was i od kraju usprawiedliwia tygodniowe spliny.“

Kiedy nie było tańców, siadano do zielonego stolika i bawiono się grą w karty.

„Wiecie jak najczęściéj przepędzam wieczory? Oto przychodzi do nas stara dama, zupełnie do pani Lebrun podobna, z żywszą trochę imaginacyą. Otóż ta dama — pani Patteg — ja — i minister protestancki, który u nas mieszka, zasiadamy do bostona. Gram doskonale w bostona — i nieraz staje mi w myśli moje dzieciństwo. Bo pamiętam, jak niegdyś jako dziecko leżąc na sofie w Mianowskiego jeszcze mieszkaniu, widziałem mego ojca, Rustema, Bogatkę przy zielonym stoliku, i mówiono mi, że grają w bostona — że do Słowackiego przyszli na bostona.*) Gra ta nie jest tak nudną, jak mi ją wystawiano — owszem, daleko łatwiejsza od wista i ma tysiąc rozmaitości.“

Przy takiém zachowywaniu się, przy takiéj łatwości w potocznem towarzyskiém pożyciu — nie dziw, że Słowackiego w cichym domku owym na przedmieściu Genewy wszyscy lubili. A szczególniéj zdaje się, że go lubiła coraz więcéj panna Eglantyna Patteg.

„Dobrze z nią żyjemy (pisał w liście z dnia 15 marca) — zwierza mi się ze wszystkiego i mówi, że żadnéj ze swych przyjaciółek tegoby, co mnie, nie wyspowiadała.“

W miesiąc późniéj uskarżał się gorzko poeta, że mu matka pozwoliła tak długo czekać na swój odpis.

---

*) Mianowski i Rustem byli koledzy starego Słowackiego, profesorowie wileńscy.

„Dwa miesiące, a raczéj cały miesiąc drugi tortury moralne wycierpiałem. Co dnia czekałem posłańca z poczty od godziny 11 do 2, a od drugiéj godziny, kiedy już nie było nadziei, rozpacz mnie porywała. Dopiero kładąc się spać, myślałem znowu o godzinach nadchodzącéj poczty, i tak było przez cały miesiąc... Kochana Eglantyna cieszyła mię, jak mogła. Często całe ranki przepędzała na dziedzińcu, czekając pocztmistrza... Często widząc go mijającego dom, biegła za nim lękając się, aby nie zapomniał był wstąpić. Nie uwierzysz Mamo, jakito jest mój stróż anioł ta Eglantyna. Ale teraz nie ma jéj tutaj, wyjechała do staréj i choréj ciotki w Lionie i dopiero za dni czternaście wróci.“ (d. 24 kwietnia 1833).

Przez te dni czternaście starała się sama pani Patteg, matka Eglantyny, rozweselać rozmową smutnego swego lokatora. Ale jéj wysilenia, ażeby go rozerwać, nudziły Juliusza. Natomiast była inna osoba, która lepiéj znała tajemnicę, jak mu skrócić chwile przemijające zanadto zwolna. Było jéj imię Eliza. Oto, co o niéj pisał (d. 26 kwietnia):

„Właśnie teraz wracam z kościoła protestanckiego, gdzie słuchałem pilnie kazania. Byłem tam, przyznam się tobie Mamo, dla widzenia jednéj miłéj osóbki, która mi wczoraj powiedziała, że będzie na kazaniu. Gdybym sobie mógł wystawić, że podróżuję dla przyjemności — gdybym sobie mógł każdéj chwili powiedzieć: jeżeli zechcę, to Mamę za dwa miesiące zobaczę, wtenczas obecne życie wydawałoby mi się bardzo przyjemne. Panny nie opuszczają mię. Dawniéj Eglantyna chodziła ze mną po całych dniach po ogrodzie — dziś, gdy jéj nie ma, stokroć ładniejsza od niéj panienka odwiedza nas co dwa dni z matką. Dlaczegoż nas odwiedza?.. zapewne nie dla widzenia staréj pani Patteg... A zresztą, sądź sobie Mamo, jak chcesz, — ale prawdziwie zdaje mi się, że glina, z któréj mię Bóg ulepił, nabrała jakiegoś magnetycznego pociągu, który wiąże do mnie serca panien... Eliza, tak się nazywa przychodząca do nas często panienka, jestto osóbka mała, bardzo podobna do Kazimiry Niepokojczyckiéj — ma czarne oczy pełne iskier, wiele dowcipu i miłości w mówieniu, wiele prostoty i ma lat około 24, (więc właśnie tyle, co i nasz poeta liczył ich sobie natenczas. Eglantyna miała niestety lat wtedy już około 30). Dawniéj bywała u nas rzadko, tylko na wieczorach, wtenczas podobała mi się bardzo — i ubierałem ją zawsze, gdy wychodziła; a dlatego ją ubierałem, że podobał mi się jéj

kapelusz... Wszystkie damy przychodzą na wieczory w kapeluszach ogromnych z czarnéj lewantyny, z tak wysokim przodem, że nie dotyka kapelusz włosów. Kapelusze te nazywają się calèche, kocze... i szpecą niezmiernie wychodzące z balów damy. Otóż kapelusz panny Elizy, choć do wszystkich innych podobny, odróżniał się czarną koronką szeroką i spadającą na czoło. Gdy się w niego ubrała, podobna była do świeżéj róży rozkwitłéj na oknie gotyckiém; więc dlatego ubierałem ją, gdy z wieczorów odjeżdżała. Matka jéj jest wdową i ma córkę przy sobie i syna ładnego w Paryżu. Życie jéj matki teraz jest bardzo piękne. Gdy widzi gdzie dom jaki osierocony śmiercią... dom, od którego wszyscy weseli odbiegli, tam najczęściéj z córką przepędza wieczory — u starych — u chorych. Eliza musiała się nauczyć bostona—aby grywać w takich domach ze starcami i z nieszczęśliwymi; dlatego twarz jéj nosi wyraz dobroci i spokojności. Często chodząc z Elizą po ogrodzie, obrywamy po listku margerytki. Raz gdy nie przyszła przez dni cztery, chciałem jéj dać do zrozumienia, że mi tęskno bez niéj: więc wstałem rano, poszedłem do miasta, kupiłem śliczne dwa bukiety kwiatów, wróciwszy do domu, ułożyłem je naśladując Twój gust Mamo w układaniu bukietów, a potém w ogrodzie zerwałem dwie margerytki małe—i w środek ogromnego bukietu włożyłem. Bukiet ten posłałem Elizie — ale od pani Patteg. Nie zawiodłem się, przypomnienie się było skutecznem — przyszła z Mamą wieczorem — i mówiła mi, że złą była na margerytki naszego ogrodu, które jéj nieprzychylny dały wyrok. Widzisz Mamo, że znalazła te dwa małe kwiatki, choć były w tysiącu ukryte. Ja zawsze mnóstwo mam po niéj słów cichych, łagodnych, smutnych, z których tak widna miłość, że jéj nie chcę zapytać, czy mnie kocha; bo mówiła mi, że była smutną przez 4 dni, a ja nie pytałem, dlaczego. Gdy chciałem wiedzieć, co robiła wczorajszego wieczora, odpowiedziała: Tak mi było smutno, że położyłam się o godzinie 10 i czytałam. Jaką książkę? zapytałem.— Nowy Testament. Kiedy jestem smutna, nic innego czytać nie mogę... i mówiła daléj: dziś rano obudziwszy się, zdziwiłam się, że mi wesołe przychodziły myśli, i przeczułam, że dzień ten będzie szczęśliwy. W tym dniu odebrała bukiet — i chodziliśmy po ogrodzie. Dobra dziewczynka! Nie wiem, czy Ciebie takie detale interesują; ale te detale są całą rozmaitością mego życia; bardziéj mnie zajmują, niż mój tom IIIci, który za 8 dni wyjdzie z druku.“

Byłoto słowo, którego zaledwo się spodziewać było można z ust Słowackiego, tyle zawsze zajętego swojemi pracami poetyckiemi. To też matka to przeczytawszy, pewnie co więcéj tam sobie pomyślała o Elizie, jak tylko: „dobra dziewczynka!“

A trzeba właśnie było, że mu w dniach owych pisała, czyby nie było dobrze, gdyby sobie którą z tych panien, z któremi miał tyle sposobności przestawać, upatrzył na towarzyszkę życia i złagodził choć takim związkiem cierpkość samotności tułacza? Tak praktyczne widoki nie przypadały jednak do myśli poetyzującego młodzieńca.

„Ty mi Matko piszesz o ożenieniu?“ — odrzekł jéj na to w tym samym liście, gdzie właśnie tyle o Elizie donosił. „Nie chciałbym niszczyć twoich marzeń — a jednak zdaje mi się, że ja wiecznie na samotność skazany jestem, bo mojéj żonie ciężarem być nie myślę. Dosyć, że nim jestem dla Ciebie...

„Mówią mi czasem ludzie, że ja mam wyższe zdolności. Po takich mowach ludzi często myślę z goryczą, że jest tylu, którzy z małym talentem utrzymują całe rodziny — zasłaniają je od niedostatku; a ja jestem jak niepotrzebne ziele! Jestem nawet ciężarem dla ciebie Mamo moja!... Przebacz mi, że taką drogę obrałem, ale wrócić nie mogę...

„Wierzę w przyszłe życie, bo to niepodobna, żeby Bóg Ciebie nie nagrodził za to, że Ci dał takiego syna! Jedna stara dama, przeczytawszy artykuł o mnie w Revue Européenne, napisała mi bilecik, w którym po wielu pochwałach nareszcie napisała: heureuse votre mère! Ona także jest matką. Więc myślałem sobie, że może ten wykrzyknik zagłuszy nieco słowa mego sumienia, które mi powiada, że Ty jesteś nieszczęśliwą przezemnie.“

Wracając do projektów, jakie sobie matka układała, do projektów ożenienia Juliusza, te już dlatego były więcéj niż trudne do doprowadzenia do skutku, ponieważ uczucia jego, choćby obudzone w sposób wiele obiecujący, zbyt rychło zawsze urywały się jakoś.

O Elizie na przykład nie ma już ani jednéj wzmianki w dalszéj korespondencyi!

Byłoż rzeczywiście prawdą to, co pisał był niedawno przedtém o sobie:

„O kochani moi! smutno mi, smutno czasem — i często — bo się już przerabiam na obywatela świata! Już się ani do miejsc, ani do osób, z któremi żyję, nie przywięzuję tak silnie, jak w dzieciństwie — i to jest jedną z wad jakiéj nabywa serce tułacza“... (d. 30 grudnia 1832).

...„Szczęśliwy, kto nigdy z oczu komina ojcowskiego nie straci — kto jak liść uwiędły padnie u stóp drzewa, na którym wyrósł!“ (z listu z d. 22 września 1833 r.)

Byłoż, powtarzam, w saméj rzeczy to tułacze jego życie przyczyną, że się serdecznie nie był zdolny do nikogo przywiązać? Czy też może przeszkadzał temu ów obraz w pamięci jego niezatarcie wyryty... obraz, który mimo wszelkiéj dumy i na przekorę najsilniejszym postanowieniom, ażeby zapomnieć o nim, ciągle mu się odnawiał przed oczyma?

„Kochana Mamo (pisał w czerwcu 1833), czy Ludwisia S. wyjeżdża do Odesy? Spytaj ją, czy o przyrzeczeniu swojém pamięta.*) Spodziewam się, że mój tom IIIci pogodzi ją trochę ze mną.“ —

Pośród zajęć, rozrywek i melancholijnych rozpamiętywań, któreśmy opisali powyżéj, minęła tedy poecie naszemu pierwsza zima w Szwajcaryi i nadeszły upragnione miesiące wiosny. Zakwitły wonne bzy w ogrodzie Eglantyny—w parę tygodni późniéj horyzont domku jéj matki zamknięty drzewami okrył się tysiącem róż — nadeszło lato. Z początkiem każdego lata pensyonat pani Patteg zwykł był napełniać się mnóstwem różnych podróżnych. Przygotowany na to Słowacki, cieszył się już naprzód owéj rozmaitości, jaką to w dom wprowadzi. Posłuchajmyż opowiadań jego, rozrzuconych po całéj korespondencyi owego roku, o współmieszkańcach, których miał w ciągu lata 1833.

„W domie, w którym mieszkam, mijają się różne cienie, jak w czarnoksięskiéj latarni. Najprzód z jaskółkami przyleciał pewien Anglo-Szkot — niezmiernie cichy i nabożny — młody i dziecinny... Kupił zaraz siatkę na motyle i cały ranek uwijał się z nią po ogrodowéj łące. Jak mi to boleśnie przypomniało moje dzieciństwo — Mickuny, Wilejkę — lasy sosnowe i jeszcze coś —. To dziwnie, że

*) Prosił ją z Paryża jeszcze Juliusz o przysłanie sobie portretu, który mu też ona nadesłać obiecała, lecz późniéj.

już teraz nie mogę łowić motylów! Anglik ten po 2 tygodniach pobytu z nami wyjechał do Lozanny"...

„Dom po odjeździe Anglika został pustym przez czas niejaki — wtém jednego poranku zwaliła się, jak lawina, ogromna familia rosyjska, pani Uwaroff, córka ministra, z dziećmi. Z początku doznałem elektrycznego wstrząśnienia, — teraz bardzo dobrze jesteśmy, niezmiernie grzeczni dla siebie. Pani Uwaroff sama już jest w dosyć podeszłym wieku, żywa i krzycząca — córka najstarsza dosyć rozlana i szeroka, ma twarz przyjemną i ładne czarne oczy. Włochy mało się odbiły na jéj imaginacyi — została nieociosaną statuą. Ma sztambuchy, w których włoscy artyści stósując się do jéj gustu, wszystko jaskrawymi kolorami malowali. Śpiewa, robiąc zawsze 3 omyłki w aryi każdéj— nigdy mniéj, ani więcéj. W nótach ma mnóstwo polskich teraźniejszych śpiewanych mazurków, które zapewne w ogień pójdą za powrotem.— Młodsza jéj siostra żywa i piękna, jeszcze dziecko. — Synek mały w czerwonéj huzarce haftowanéj złotem bardzo dobry dziewięcioletni chłopczyk. Przyjaciel syna karzeł lat ma 40, łokieć i ćwierć wysokości, twarz pomarszczoną, ale głowę nie nazbyt wielką; uśmiecha się do wszystkich i nie jest bynajmniéj gniewliwym.— Przy dzieciach guwerner — ze wszystkiego do Szantyra mierzącego pola w Jaszunach podobny. Przy pannach guwernatka, dwie panny służebne i służący. — Oto jest cała familia wojażerów — zdaje mi się, że dostatecznie odmalowana. Całe 3 piętra domu rozlegają się od ich krzyku; mówią różnymi językami i nieraz mi się zdaje, że jestem w Babilońskiéj wieży.—Niedawno miałem rozczulającą scenę z powodu karła. Doniesiono mu bowiem, że jego ojciec umarł. Wystawcie więc sobie tę małą figurkę upośledzoną; przy herbacie — wyciągnął z kieszeni małą chusteczkę do nosa i ocierał łzy, które mu mimowolnie płynęły. Okropnie było myśleć, że on wracając do kraju, nie znajdzie osoby, któraby go może jedna tylko nie z urąganiem przyjęła. Została mu wprawdzie siostra, która w Petersburgu lekcye na fortepianie daje i z tego się utrzymuje. Po herbacie, kiedy odchodził do swego pokoju, gdzie śpi na dwóch krzesłach, przystąpiłem do niego i ścisnąłem go za ręce. Widać, że mi wdzięczny był za to uściśnienie, bo od tego dnia wstając z rana — i odchodząc wieczór, zawsze zbliża się do mnie i biorąc rękę moję w dwie swoje małe rączki, ściska z całéj siły" — (list z czerwca 1833 r.).

Familia ta rosyjska czas tylko krótki zabawiła w Genewie. Po ich odjeździe tyle jeszcze Słowacki donosił o nich matce:

... „Z obu stron między nami panowała taka delikatność, żeśmy sobie uczuć nie dali różnicy narodowéj. Zdaje mi się nawet, że te osoby mnie dosyć polubiły; bo po odjeździe w listach, pisanych do pani Patteg, dały mi długie dowody pamięci. A panna Alexandra (starsza córka) odjeżdżając, zostawiła mi rysunek przez siebie zrobiony domu wiejskiego, w którym mieszkał niegdyś Byron."

Kiedy jeszcze mieszkali ci Rosyanie w owym domku genewskim, urządzali różne wycieczki w okolice. W wyprawach tych towarzyszył im czasem i Słowacki.

„Jeden z tych spacerów najprzyjemniejszy był na góry otaczające jednę stronę Genewy— góry, z których mniejsza równa waszéj zamkowéj górze.... Damy jechały w dwóch powozach, ja zaś dostałem sobie dosyć niezłą szkapkę i tak przyjechaliśmy aż do stóp Salève. Tam wszyscy wsiedliśmy na osły, — moje zwierzątko największe i najmocniejsze prowadziło cały orszak, orszak wesoły, śmiejący się, błyszczący różnymi kolorami sukien damskich. Na górze czekało nas wiejskie śniadanie — na długim stole z desek— pod gruszami i jabłoniami. Potém oczy nasze rzuciliśmy na ogromną dolinę, po któréj płynie kręty Rodan — jezioro— w końcu jeziora najeżona dachami Genewa i kilkanaście innych miasteczek — łąki — drzewa — słowem widok ogromny — rozległy — prawdziwie prześliczny! Po górach snuło się mnóstwo dzieci, ubranych fantastycznie w pióra, z chorągwiami i muzyką. Były to dzieci Szwajcarów, bawiące się w Niedzielę, jak przystoi na potomkow Tella. Uformowani w dwa oddziały, snuli się po wąwozach, strzelali z pistoletów — podobni niegdyś do Julka Achillesa w zbroi.... Kilka razy pływaliśmy w czołnach na jeziorze. Majtek, który nas woził, był niegdyś przewoźnikiem Byrona, i dlatego często z nim wchodzę w rozmowę. Stary wioślarz dotąd o niczém nie gada, tylko o angielskim poecie — zdaje mu się, że jakaś część sławy przy nim została, przy długiém obcowaniu z lordem.... Między innymi szczegółami opowiada, jak raz z Byronem poszli w zakład o lujdora, kto z nich prędzéj na drugi brzeg jeziora dopłynie. Nie dziw, że mię Lord wyprzedził, powiada Maurycy (tak się nazywa majtek), albowiem za Byronem płynęło czołno i służący leżącemu na wznak Anglikowi lał do gardła dobre wino, co nie mało w pływaniu dopomagało. Po-

wiada daléj, że przegrawszy zakład, oddał Byronowi lujdora, który się długo wzbraniał, ale nareszcie przyjąć musiał. Dodaje wszelako Maurycy, że Byron chociaż dobrze trzymał się w wodzie, nie wiele robił drogi, bo miał koszlawą nogę, nie większą od jego dłoni. Bardzo czasem wielką przyjemność znajduję w rozmowach majtka, — i patrzę na wielkich ludzi z téj saméj strony, z jakiéj się na nich lud zapatruje.

„Patrząc co dnia na szczyt góry Mont-Blanc, przychodzi mi często na myśl Malczeski, który po śmierci jednym poematem tak wzrósł, że nawet głową przewyższa naszych poetów. Przebiegając opisanie wejścia na górę Mont-Blanc, znalazłem na ostatniéj karcie między wyliczonymi bohaterami tego trudnego przedsięwzięcia imię Malczeskiego, ale skaleczone tak, że gdybym skądinąd o jego wędrówce na tę górę nie wiedział, tobym się był o tożsamości osoby nie domyślił. Nie wiem, dlaczego — ale myśl o Malczeskim została głęboko w moich dumaniach utkwiona; zdaje mi się, że jest coś podobieństwa między nami, — ale burza jeszcze mię nie złamała. Wiesz Matko, że teraz jedyną modlitwą moją jest prośba, aby mi Bóg pięknie i szlachetnie dał umrzéć; bo kiedy pomyślę, że wędrówka moja może być długa — że przyjdzie na mnie nędza — że mię duma moja zabije: to prawdziwie, że mię okropność takiego losu przeraża.“ (z listu z dnia 15 lipca 1833).

W chwili kiedy to pisał, już familii Uwarow w domu pani Patteg nie było. Zmieniły się dekoracye w następujących miesiącach, a raczéj wystąpiły na scenę inne osoby, grające jak się wyraża poeta, razem z nim tragi-komedyą życia.

Najprzód przybyła po nich znowuż rodzina Rosyan i na długo w miejscu osiadła.

Była to, jak u nas nazywają, poczciwa szlachta.

„Wdowa Potopof, ładna jeszcze kobieta, choć ma w Rosyi córkę dorosłą — bardzo dobrego serca, łagodna jak anioł i prosto-duszna. Kuzynka jéj, panna Aneta, zupełnie ze wzrostu i twarzy do Maryi Kukulnikówny podobna — także bardzo dobra i prosta. Kuzyn obu tych dam, pan Szaszin — brzydki z twarzy — ale szczery i otwarty — nie mówi po francusku, tylko po rosyjsku. Z temi osobami jestem, jak można najlepiéj. Kuzynowi gadam, co mi przez głowę przejdzie — z panią Potopof także często po rosyjsku rozprawiam.—Obok mego pokoju ma mieszkanie

la Comtesse Seidwitz, lat 65 — z wszelką grzecznością dla dam to piszę, — trochę urożowana — co dnia w innéj sukni — wygorsowana — krzyż dworu wiedeńskiego zawieszony na ogromnéj kokardzie nosi przy boku, — za nią zawsze lokaj Niemiec z dwoma poduszkami, które kładzie gdziekolwiek baba usiąść zamierza. Stémwszystkiém jestto bardzo dobra osoba — wesoła — przyuczona u dworu do grzeczności — każdemu ma coś powiedzieć; bardzo lubi kalambury — wozi ze sobą papugę, która kilka słów z okna krzyczy, — a oprócz służącego ma służącą Niemkę, którą sama pilnuje i na klucz zamyka przed wielkiemi pokusami — a tak zamknięta panna oknem cały dzień wygląda — i cały dzień śpiewa nieuczonym lecz łagodnym głosem, z akompaniamentem gitary. Biedna dziewczyna, prawdziwie jak papuga wygląda! Ta pani la Comtesse siedzi przy mnie u stołu, ciągle mam z nią konwersacyą, ciągle wyciąga szklankę, do któréj wina nalewam, a baba cukru nasypuje, a ja znów trochę wody dolewam — i jestem podobnym do Ganimeda. — Z drugiéj strony mego pokoju mieszka Anglik — oryginał — łysy, z ogromnym nosem, trochę głuchy, ograniczony i całą sławę swoję ufundował na dobrém graniu w wista, i choć tu po 5 sous punkt gramy, on jakby o wielkie sumy chodziło, łaje, jeżeli który z grających słowo przemówi. Wiecznie w spodniach nankinowych i w tabaczkowym fraku ubrany.—Oto są osoby, które ze mną zajmują pierwsze piętro domu. Dół jest zajęty salonami i pokojem jadalnym; na drugiém piętrze mieszkają gospodynie—dwie Angielki, matka z córką. Córka trochę do Julki Michalskiéj podobna — naiwna, żywa jak dziecko; matka ładna jeszcze, tak że za siostrę córki mogłaby uchodzić. Przyjechały ładną karetą, z dwoma służącymi, widać że bogate — nazywają się Donnelan — jadą na zimę do Włoch. Nakoniec mieszka z nami Anglik Hamilton, ładny chłopiec, wysoki, zawsze pięknie ubrany, mało mówiący z powagą i przymusem — oto jest nasze towarzystwo. (z listu z dnia 23 sierpnia 1833).

Nie było to jednak jeszcze całe towarzystwo Juliusza. Przybyła bowiem późniéj nieco jeszcze jedna para do domu pani Patteg — jakiś pan Wolf z żoną, duchowny anglikański, wysłany z Anglii, ażeby ludzi na metodystów nawracał. Ten dowiedziawszy się, że Słowacki jest autorem, przez cały ciąg pobytu wszystkie osoby zaniedbywał, a do niego się przyczepiał; posta-

nowił sobie bowiem wykierować koniecznie i jego także na metodystę protestanckiego.

„O gdybyście widzieli — pisał o nim w liście z d. 22 września 1833 — jego tłustą, okrągłą postać — przy chudéj żonie — jego uśmiech jezuicki.... Gdybyście widzieli, jak przy stole z jezuicką miną spożywa pokarmy: śmialibyście się, jak ci się śmieją, którzy z boku na nas patrzą.“

Z tém późniéj głównie z Anglików złożoném towarzystwem odbywał Juliusz także niekiedy wspólne wycieczki w dalsze okolice Genewy. Jeden z nich szczegółowo opisał.

„Przepłynęliśmy jezioro i na drugiéj stronie widzieliśmy dom, w którym mieszkał niegdyś Byron bawiąc w Genewie. Dom ten teraz zamieszkały przez kogo innego, oddalony o 3 wiorsty od miasta — dom mały, murowany i wcale pospolity. Nie wchodziliśmy do środka — dziedziniec nadzwyczaj smutny, otoczony stajniami — z drugiéj strony ogród na schodzącéj do jeziora płaszczyźnie. Wioska, w któréj mieszkał, nazywa się Cologny.*) Wracaliśmy po jeziorze przy świetle księżyca. Nie możecie sobie wystawić, co za przepyszne jezioro przy księżycu... z jednéj i z drugiéj strony błękitniejące brzegi mgliste — a w końcu jeziora migające światła i rzędy oświeconych okien — to Genewa! Z czwartéj strony brzegów nie widać przy świetle księżyca. — Taki spacer byłby zachwycającym z miłemi osobami. Ale wy sobie nie możecie wystawić, co to są Anglicy i Angielki! Jest trzech Anglików w naszym domu — żaden z nich nawet jednéj myśli swojéj w głowie nie ma. Angielki także nie takie, jak je sobie wystawiałem — wcale nie sentymentalne — i nigdy jeszcze z Anglikami nie było w naszym domu interesującéj rozmowy“....

Tak mówił o tém w liście z dnia 22 września. A w miesiąc późniéj, kiedy już wszystko w różne strony porozjeżdżało się z owego ustronnego zacisza na przedmieściu Genewy, znalazło się w jego doniesieniach jednak wspomnienie zupełnie innym to-

*) Pobyt Byrona w tych miejscach nie był długi. Mieszkał on tu tylko w ciągu lata 1816, porzuciwszy Anglią i co tylko rozwiódłszy się z żoną. Następnie, w końcu roku tego, przeniósł się do Włoch. W tymto domku powstał więc Sen — Więzień Chillonu — IIIcia pieśń Childe Harolda i pierwsze pomysły Manfreda.

nem wypowiedziane o jednéj z osób należących do narodu, który tak niekorzystnie wtedy osądzał.

„Pusty dom nasz — a dla mnie pustynią się zdaje od czasu wyjazdu młodéj Angielki, która tu mieszkała, przez drzwi tylko oddalona odemnie, i z którą po całych dniach szaleliśmy. Prawdziwie, że dziwnie, jak wiele dotąd we mnie dziecinnego, a czasem jak wiele splinu.“ (dnia 27 października 1833).

W ciągu jeszcze pełnego lata, w miesiącu sierpniu, kiedy całe towarzystwo owo ożywiało jeszcze dom pani Patteg, miał Słowacki przyjemną scenę, którą opowiadał matce ze wszystkimi szczegółami. Wizytator szkółek miejscowych uprosił gospodynią domu, ażeby mu pozwoliła ogrodu swego na wyprawienie dzieciom festynu.

„Porobiono więc w ogrodzie wielkie przygotowania; jakoto zasadzono słup, na wierzchu którego zawieszone były cacka dla dzieci — pozaczepiano na drzewach w alei hojdałki — pozastawiano stoły: i do tak urządzonego ogrodu o godzinie pierwszéj weszły dzieci ordynkiem z bębnami wojskowymi na czele i niosąc mnóstwo chorągiewek. Nie uwierzysz Mamo, jaki to ładny widok 400 dzieci ładnie ubranych, ubogich, bogatych — z jaką wesołością wchodzili do ogrodu, jak mrówki rozsypali się po trawie, potém znów około chorągiewek zasiedli. Pani Potopoff, która zostawiła w Rosyi małego synka, chodziła między dziećmi, szukając czy którego podobnego nie znajdzie — i łzy miała w oczach. Ja także — nie wiem dlaczego, oczy miałem łez pełne i coś mię dusiło w gardle. Prawdziwie że nie wiem, jakie to było uczucie. Człowiek najszczerzéj płacze, kiedy płacze nad sobą samym, a ja wtenczas żałowałem siebie samego, że mię burza tak gwałtownie od wieku dziecinnego oddzieliła... Podczas gier — cała nasza kompania domowa siadła na ławce między dziećmi. Wtenczas przypomniałem sobie Czackiego — przypomniałem sobie własne uczucia, jakich doznawałem, odbierając oklaski na examinach — i prosiłem wizytatora, aby mi prezentował pierwszego ucznia. Natychmiast wizytator przyprowadził mi za rękę małego 12 letniego chłopczyka, trochę chorego wtenczas; wziąłem go za rękę, powiedziałem mu imię mojéj ojczyzny — zapytałem, czy ją zna? Powiedziałem mu kilka pochlebnych rzeczy i dałem mu ładny medal mój, prosząc ażeby sobie kiedyś będąc starszym, przypomniał tę

chwilę. Wiecie, że podczas téj sceny wielu przytomnych łzy miało w oczach. Mały chłopczyk ściskał mię za rękę i nie znalazł słowa na ustach. Eglantyna mi potém mówiła, że chciałaby mię w téj chwili uściskać. — Droga Mamo, są czasem chwile, w których myślę, że Tybyś była ze mnie kontenta.... (z listu z d. 23 sierpnia 1833).

Podobnie rzewnych, ale i miłych zarazem uczuć doznał Słowacki w tymże samym miesiącu przy innéj jeszcze sposobności. Były to jego urodziny — dzień sierpnia 23ci: w dniu owym rozpoczynał 25 rok życia. W wilią dnia tego doręczono mu list z Krzemieńca, „który choć smutny, był mu najmilszém wiązaniem.“ Nazajutrz po odebraniu listu, w sam dzień urodzin, obudził się o godzinie 7méj i spostrzegł rękę, która naprzód odchyliwszy firanki, rzuciła na jego łóżko bukiet kwiatów. Zapewne bukiet ten będzie od Eglantyny, pomyślał sobie.

„Przebudzony tak mile, nie mogłem i nie chciałem spać dłużéj, choć zazwyczaj do 10, to jest do śniadania łóżko zalegam; ale pomyślałem sobie, że miléj mi będzie, pierwsze dwie godziny tego dnia Tobie Mamo poświęcić — i oto piszę do Ciebie.“

Kiedy tak pisał, bukiet dany mu na wiązanie stał przed nim — w głębi jednéj róży w bukiecie spał sobie spokojnie zielony żuk. „Zdaje mi się — są słowa Juliusza — że on ma teraz los podobny do mnie — który spoczywam cicho w głębi pięknego szwajcarskiego ogrodu“... Potém zszedł na śniadanie i zastał pannę Eglantynę samę, która go zniewoliła, aby przyjął od niéj złotą obrączkę.

„Obrączka ta otwiera się — i we środku napis: 23 Aout 1833. — To dziwnie, że tak pamiętała o dniu moich urodzin, o którym kiedyś w zimie jeszcze mówiłem — a tego miesiąca zapytywany o dzień kilkakrotnie, nigdy nie chciałem powiedzieć. Obrączkę tę, z pierścionkiem niegdyś od babuni darowanym, na jednym palcu noszę.“

W dalszym opisie donosi o powinszowaniach ze strony niektórych Polaków w Genewie bawiących, o obiedzie, na którym pito jego i matki jego zdrowie, i o wieczorku, na którym tańcowano do 11 w nocy. —

Zwróćmy teraz uwagę naszę na autorską czynność poety — na tle towarzyskich stósunków, któreśmy właśnie poznali. Zajmo-

wały fantazyą jego przez ciąg całego tego roku pierwsze pomysły do dzieła, którém, ile wnosić można, był wydany później poemat pod tytułem Kordyan. Już w marcu (1833) donosił matce, że ranki poświęca pracy nad jakimś nowym utworem. W lipcu wspomniał o nim w sposób, że wątpić nie można, iż miał na myśli to właśnie dzieło. Za nadejściem jednak lata, przesuwające się przez dom, w którym mieszkał, coraz nowe osoby sprawiały mu tyle roztargnienia, że w tym wirze i zamęcie niepodobna mu było przedłużać pracy. Rzucił tedy pióro, z uśmiechem nieco szyderczym zwrócił oczy badawcze na oryginalne te typy, z którymi pod jednym dachem się mieścił — i doznając już to przyjemności w towarzystwie z tylu żywiołów różnych złożoném, już moralnego znużenia, bawił się — nudził — marzył — wygrywał na fortepianie — czytał bardzo wiele; ale nie pisał nic. W ogóle nie czuł w sobie żadnego do poważnéj pracy przez całe te miesiące popędu.

„Napada mię czasami chęć czynniejszego życia," — takiemi słowy opisywał usposobienie swoje w korespondencyi z czerwca i lipca — „marzę o różnych projektach; ale wszystko to naprożno.... Siedzę cicho i spokojnie nad brzegami jeziora — i myślę o Was. Czasem jestem tak odrętwiały, że potrzebowałbym, aby mię pszczoły Twojéj Mamo pasieki pokąsały. — Smutno mi, smutno!"...

Z nadchodzącą jesienią — i cisza w domu z powodu powoli rozjeżdżających się gości i wrodzona właściwość, że o téj porze właśnie zazwyczaj nawiedzała go jakaś konieczność poetyckiego tworzenia — wszystko to zaczęło składać się na to, że owe pierwsze zarysy dzieła, jeszcze na wiosnę rzucone, nabierały w jego wyobraźni coraz więcéj ciała i kształtów.

„Téj zimy zamyślam pisać i pisać — mówił o sobie w liście z d. 22 września: — jestem jak góra w połogu. Prawdziwie nie wiem, jaka jest organizacya we mnie, że się tak o pewnych epokach ożywia myślami — przepełnia — wylewa — i znów jestem jak Turek (przez pół roku), po wytrzeźwieniu się z opium, zupełnie zimny i prozaiczny."

W październiku donosił:

„Anglicy i Angielki i wszystkie inne narody, które przez lato dom nasz napełniały — z przyjściem jesieni unio-

sły się jak jaskółki na południe. W towarzystwie samych tylko gospodyń domu możebym się nudził szalenie, gdyby nie kraina marzeń i urojeń, która silniéj niż kiedykolwiek oddzieliła mię od świata. Piszę wielkie dzieło — napisałem już 1300 wierszy; ale to jest jeszcze niczém w porównaniu do całéj budowy"... (z listu z d. 27go października 1833).

W końcu listopada mógł już zdać sprawę z dalszego postępu pracy:

„Cały ten miesiąc pracowałem nad nowym poematem i w dni 20 napisałem 2,200 wierszy. Czuję jakąś pociechę, myśląc, że moja młodość nie jest zupełnie straconą dla dobra Ojczyzny mojéj. Przynajmniéj tak sobie powiadam i słodzę tém wszystko... Książki Kochanowskich odebrałem z taką radością, jak gdybym witał przyjaciół. Będę je zawsze chował, bo notatki Ojca i Twoje kilka wyrazów, Mamo, uświęciły je dla mnie. Czytam ciągle teraz oba dzieła na przemiany i znajduję, że Treny są niezrównanéj piękności. Uwagi Ojca mego po większéj części znajduję słuszne; w niektórych tylko miejscach widzę, że go gust ówczasowy klasyczny, a raczéj francuski trochę obłąkał. — W teraźniejszéj poezyi Brodziński się najwięcéj do Kochanowskiego zbliża — ale jest od niego niższy o trzy wieki. Oprócz tych dzieł nic więcéj teraz nie czytam, bo po całych dniach przepisuję na gwałt mój nowy poemat, który nazywa się Kordyan. Dziwne to imię sam dla mego idealnego człowieka znalazłem"... (z listu z dnia 30 listopada 1833).

Z saméj skwapliwości przepisywania widać, ile zależało autorowi na jak najrychlejszém w świat wyprawieniu téj książki. Temu życzeniu stawały znowu w drodze zwykłe trudności z powodu braku funduszów nakładowych. Za poprzednio wydane tomy koszta zwracały się z wolna, bardzo późno i jak to mówią, tylko kapaniną, a pewnéj części takowych nawet pozbawiała go nierzetelność osób do rozprzedaży użytych albo księgarzy, na których też często wyrzeka.

„Ci, którzy je wyprzedają, tacy są hołysze, że mi przychody moje kręcą — i długo zatajają. Słowem przekonywam się, że księgarze — jestto najgorsza klasa. Wszyscy do Zawadzkiego podobni"... (list z d. 23 sierpnia 1833).

Dało się jednak jakoś wszystko załatwić. W miesiącu styczniu czy lutym następnego roku pojawił się w Paryżu poemat, bez żadnéj przedmowy i bez wyrażenia imienia autora, pod ty-

tułem: Kordyan, Część pierwsza Trylogii — Spisek koronacyjny. Paryż 1834. 12° str. 159.

Autor dziełem tém zamierzał rzucić rękawicę Mickiewiczowi, pójść w zapasy ze sławą jego: dlatego też wydał je bezimiennie. „Będzie tak równiejsza walka z Adamem," wyrzekł przy wiadoméj nam już sposobności do matki. Stawiał Kordyana wyżéj nad wszystkie swoje aż potąd ogłoszone utwory. Obiecywał mu wielkie powodzenie: „Wyjście na świat tego poematu będzie dla mnie bardzo ważną epoką," — pisał mając przed sobą pierwsze arkusze druku do korekty sobie przysłane (d. 3go stycznia 1834). I miał przekonanie, że „osadził to dzieło swoje po napisaniu obcego człowieka rozwagą."

Nim się daléj zapuścim w rozpowiadaniu o kolejach życia poety, zatrzymajmy się na tém miejscu i pomówmy nieco o téj jego świeżo wydanéj publikacyi, jako też o utworach, które zapełniają wydany przed nią tom III. Przedsięwzięliśmy sobie bowiem iść w ślady nie tylko za ruchem zdarzeń w życiu jego zewnętrznych, ale i dopatrywać rozwoju wewnętrznéj w nim siły, któréj miarą były dzieła z kolei wydawane.

ROZDZIAŁ SIÓDMY.

Zdanie o poemacie Lambro. Czy narodowość poezyi na tém polega, ażeby obrabiać materye brane jedynie ze sfery własnéj? — Rozbiór Kordyana — kilka uwag o Dziadach Mickiewicza i o Garczyńskiego Wacławie.

W wydanym w roku 1833 tomie trzecim Poezyi Słowackiego zajmuje główne miejsce „powieść poetyczna“ w dwóch pieśniach nazwana Lambro. Rzecz wzięta jest z historyi nowogreckiéj, z drugiéj połowy zeszłego wieku. Lambro był dowódcą Greków, którzy namówieni przez jedno z wielkich mocarstw północnych do zrobienia powstania, zostali następnie pozostawieni sobie samym i niesumiennie zdradzeni w chwili stanowczéj. Powstanie naturalnie upadło. Przypłacili je strumieniami krwi wytoczonéj najdzielniejsi synowie tego ujarzmionego narodu.

Podjąwszy jako przedmiot do dzieła zdarzenie wzięte z dziejów postronnych, poeta rozminął się z praktyką przestrzeganą i wtedy i dziś jeszcze w literaturze naszéj. To też w przedmowie usprawiedliwia to zboczenie swoje z drogi utartéj. — „Myli się ten, kto sądzi, że narodowość poezyi zależy na opisywaniu narodowych wypadków; wypadki są tylko szatą, ciałem, pod którém trzeba szukać duszy narodowéj lub duszy świata... Lambro jestto człowiek będący obrazem naszego wieku, bezskutecznych jego usiłowań; jestto wcielone szyderstwo losu, a życie jego jest podobne do życia wielu teraz mrących ludzi, o których przyjaciele piszą, czém być mogli, o których nieznajomi mówią, że nie byli niczém“...

Powyższe zdanie Słowackiego o warunkach narodowości w po-

ezyi nie przypadło do przekonania pisarzów zajmujących się w latach owych krytyką. Jeden z najdzielniejszych pomiędzy nimi, mający po sobie powagi tém więcéj jeszcze przez to, że był zarazem i sam znakomitym poetą—Goszczyński, zupełnie się inaczéj na rzecz tę zapatrywał. On żądał koniecznie, aby w poezyi polskiéj nawet przedmiot był swój i własny. To też mówiąc o Słowackim, pogardliwie prawie wyraził się o Lambrze: — „Nad dziełami obcéj osnowy, jak Lambro, nie nasza rzecz zapuszczać się w uwagi.“ *)

Mnie się zdaje, że słuszność tak stanowczo jest po stronie Słowackiego, że nie ma nawet potrzeby tego dopiero dowodzić. Wprawdzie teorya Goszczyńskiego utrzymuje się dotychczas w praktyce. Zacieśniliśmy więcéj może, aniżeliby należało, horyzont poezyi naszéj. Przy obecnych stósunkach nie jestto wprawdzie bez pewnych ubocznych korzyści. Ale prędzéj czy późniéj przyjdzie chwila, gdzie się to jednak będzie musiało zmienić. W każdym razie godzi się być mniemania, że użyźniłoby to niwę pięknéj literatury naszéj, gdybyśmy czasem pomnażali jéj plony zasobami czerpanymi z przeszłości przynajmniéj innych rodów słowiańskich. Może nas dzisiaj odstrasza od podobnych zetknięć pusta mara panslawizmu. Byłaby to bardzo nieuzasadniona obawa! Jeżeli już nie co innego, to ostatnie sceny Kordyana, o którym niebawem przyjdzie nam mówić, mogłyby stanąć za dowód, że bez narażenia się na niebezpieczeństwo obłędów panslawistycznych, można w tych dalszych światach słowiańskich znajdywać nieraz przedmioty godne fantazyi Szekspira. Dzieje nasze są czyste, pod etycznym względem nieskończenie wyższe od przeszłości nie tylko innych słowiańskich plemion, ale i wielu dalszych europejskich społeczeństw; ale właśnie przeto ogólne ich znamię stanowi pewna że tak powiem, beznamiętność. To też rzadko kiedy udaje się na tém tle wznieść dzieło większych rozmiarów, któreby samą treścią doraźnie działało na wyobraźnię i tchnęło grą tych pasyi

*) Obacz bezimiennie ogłoszoną jego rozprawę „Nowa Epoka poezyi polskiéj“ w Powszechnym Pamiętniku Nauk i Umiejętności krakowskim, r. 1835.

gwałtownych, bez których pewne rodzaje poezyi nie mogą się obejść.

Poddając to napomknięcie nawiasowe pod rozwagę szczególniéj naszych dramatycznych pisarzy, wracam do poematu, o którym mam zdanie moje powiedzieć. Podzielam najzupełniéj z Goszczyńskim wstręt, który go powstrzymywał od zapuszczania się w uwagi nad Lambrem. I ja nie mam zamiaru rozpoczynać szczegółowéj analizy tego utworu, któremu z mego stanowiska jednakże nie dlatego odmawiam wyższéj wartości, że to „dzieło obcéj osnowy“, lecz że wykonanie i całe przeprowadzenie obranego przedmiotu uważam za chybione pod każdym względem.

Czego chciał Słowacki, zabierając się do téj pracy? — Powiada on w przedmowie o swoim bohaterze, że „jestto człowiek będący obrazem naszego wieku i bezskutecznych jego usiłowań“. — Obaczmy, czy to prawda.

Rozebrawszy rzecz z pięknych rymów, wierszy, obrazów i tympodobnych przyborów poetyckich, którym nic zarzucić nie można, bo pod tym względem wykonał autor dzieło z całym przepychem: ściągnijmy osnowę poematu do jaknajściślejszego streszczenia i okażmy w suchych słowach, jakito człowiek dostarczył tu rysów na skreślenie obrazu naszego wieku...

Bohaterem poematu jest młody wódz w jedném z tych licznych powstań, jakie poprzedziły wydobycie się ostateczne Grecyi z pod tureckiego jarzma. Miał on był już w którymś z poprzednich ruchów czynny udział; ale wtedy, skoro tylko przyszło do walnéj bitwy, skończyło się wszystko dla téj sprawy jak najgorzéj. Cały zastęp Greków wyginął. Lambro sam jeden tylko potrafił opuścić pobojowisko przy życiu. Udał on się natenczas na emigracyą — „lecz nie samotny! znalazł się ktoś drugi, co przy nim giermka podjął się usługi“. (Byłato Ida, jego kochanka. Odpowiedzialność za ten pomysł niedorzeczny — musi rad nie rad przyjąć tym razem na siebie Byron, protoplasta całéj familii typów tego rodzaju).—W kilka lat późniéj zaczęło się w Grecyi zanosić na nowy wybuch. Wystąpił w narodzie natchniony poeta Ryga i budził pieśnią swoją ducha z letargu; któreś z mocarstw popierało pomysł powstania: więc przyszło wreszcie do

pierwszych objawów jawnéj walki między ludnością grecką a rządem. Na pierwszą wieść o tém wszystkiém Lambro emigrant zjawił się w kraju! Powrócił z daleka z gotowém postanowieniem odegrania w tym ruchu zbrojnym, który się właśnie zaczął, roli naczelnego wodza. Ale zaczyna i to powstanie bardzo rychło doznawać niepowodzenia: pierwsze starcia Kleftów z Turkami wypadły nieszczęśliwie; co gorsza, ów wieszcz narodowy został ujęty w niewolę, i właśnie przygotowuje się scena straszna, gdzie go w skutek zapadłego wyroku mają stracić publicznie.

Właśnie w przededniu téj exekucyi, schodzi się Lambro w umówioném miejscu z kochanką. (Ida od niejakiego czasu nie dzieliła już z nim wygnania, ale spędzała czas w kraju. Teraz, po długiém niewidzeniu, witają się tedy z sobą na nowo). Przy téj sposobności zapoznajemy się nieco lepiéj z osobą bohatera powieści. Widzimy w nim rodzonego brata Mindowy, Botwela, Żmii itd. z różnicą chyba, bez jakiéj nie znaleść i dwóch listków na drzewie. Melancholia i skeptycyzm — oto znamiona choroby duszy tego człowieka. Na twarzy przyszłego zbawcy Grecyi „jakiś szatan mięsza“ rozpacz i śmiech szyderczy i cierpienie; a na dobitek, wyczytuje jeszcze na niéj kochanka „ostatni stopień wszystkich nieszczęść... nudę“! — Dalsza rozmowa odsłania, że Lambro został (już po oddaleniu się Idy od niego) korsarzem, nad czém oboje, i ona i on nawet także, ubolewają. Dawniéj — mówi Lambro o sobie — byłem innym człowiekiem; ale mię nieszczęście złamało! To też teraz szerzy on śmierć z obojętnością około siebie, jak daleko tylko działa okrętu jego sięgają, i z uśmiechem dziwnéj radości patrzy nawet na konanie własnych majtków, którzy wiernie dzielą z nim wszystkie koleje losu...

Po tym obrazie Lambra, który pomimo wszystkich starań, jakie podjął autor, żeby go otoczyć urokiem pewnéj wielkości, wzbudza jako człowiek odrazę, a jako przyszły zbawca narodu najwyższe niedowierzanie: — następuje epizod rzeczywiście oddany z niepospolitym talentem — jedyne miejsce w tym poemacie, które się może i które się musi każdemu kto je czyta podobać, opis wykonania wyroku na wskazanym na śmierć poecie. Postać giną-

céj na szubienicy ofiary oddana jest à bas-relief, niewielu tylko rysami; ale te kilka rysów staje za szczegółową opowieść o całém jego szlachetném życiu i daje wymowne, tryumfujące świadectwo tym ideałom, którym Ryga wszystko na ziemi poświęcił. —Nie podnosi za to bynajmniéj w oczach naszych osobistości głównego bohatera czyn, jakiego Lambro dokonywa właśnie przy téjże exekucyi, mszcząc się nibyto za tę krew niesprawiedliwie przelaną. Jestto brawura — może wyborna, żeby dowieść kwalifikacyi na korsarza, ale nie wiele dobrego rokująca o rozumie wodza narodowego! Poeta opisywał to wszystko na nieszczęście w inném przekonaniu.

Po spaleniu w taki awanturniczy sposób tureckiego okrętu, czeka Lambro, co powie na to naród, i gotuje się do dalszego działania. Ale nim przyszło do tego, żeby się choć był dowiedział, jakie jest usposobienie ludności: — przytrafiło się na jego korsarskim statku, téjże nocy co nastąpiła po owym akcie brawury, zdarzenie, które położyło koniec i karyerze jego jako naczelnika sił zbrojnych powstania narodowego, i... poematowi. Zdarzenie to bardzo naturalne, choć dla czytelnika wcale niespodziewane! Okazuje się bowiem — w drugiéj pieśni — że Lambro, oprócz innych przymiotów niekoniecznie potrzebnych wodzom naczelnym, posiadał jeszcze i ten najniepotrzebniejszy ze wszystkich, iż był nałogowym... amatorem opiatu. Poeta starał się tę smutną stronę swojego bohatera ubarwić i osłonić, ile to tylko być mogło. Zamiast powiedzieć otwarcie, że się Lambro lubił zapijać, wyraża się tedy w tych poetycznych słowach:

„Że Lambro co dnia bledszy o północy
Szaleje trucizn namiętném piciem
I życie mieni na sen gorączkowy.“

Tym razem — po tém co zaszło, tuż przed czynami, jakich się Ojczyzna ma prawo po nim spodziewać — czuje to Lambro, że mu jakoś nie wypada brać i téj nocy czary do ręki... Nadeszła północ: nasz człowiek trzyma się twardo! łamie się z nałogiem, jak tylko może. Ale ludzie tego rodzaju daleko pochopniejsi bywają do walki z całym światem, niżeli ze sobą samymi! Siebie zwyciężyć nasamprzód, a potém dopiero zapróbować i z drugimi

tego samego: — téj zasady Słowacki w młodocianych robotach swoich nie zastósował nigdzie! Tak też miała się rzecz i z Lambrem. Długo on dumał blady samotnie na pokładzie swego okrętu — patrzał w milczeniu na spokojną powierzchnię morza, oświeconą bladém światłem księżyca — bladł coraz bardziéj i chwiał się: nagle upadł bez przytomności. Po jakiéjś chwili wróciły siły — powstał: — ale teraz gromkim głosem zażądał swojéj zwyczajnéj czary! — Podano mu ją — wypił. Zbiég przypadkowy okoliczności sprawił tu nieco zamętu. Zamiast pazia, który obsługiwał w razach takich naszego kapitana okrętu, wcisnęła się tym razem była do niego przebrana za pazia Ida: ona mu tedy podać musiała fatalną czarę ową, któréj zażądał. Kiedy ją nalewała, drżała jéj ręka i kilka kropel trucizny wpadło do czary więcéj, niż należało. Więc nastąpiło, co musiało: otruł się bohater poematu. —

Powyższe streszczenie saméj osnowy Lambra uwalnia mię od potrzeby rozwijania uwag i nad artystyczną i nad moralną wartością poematu. Zdaje mi się, że byłby to utwor wyborny, gdyby był wykonany w formie satyry, parodyi, komedyi dowcipnéj i gryzącéj, słowem czegoś z dążnością szyderczą. Chodzi tu wprawdzie o rzeczy zbyt poważne i wzniosłe, żeby się który z poetów polskich był mógł ośmielić na to. W naszéj literaturze takie traktowanie podobnego przedmiotu byłoby niepodobieństwem. Ale gdyby taki Heine na przykład, dla którego nie było rzeczy, z którejby nie baraszkował, był się zabrał do tego: to jestem pewien, że nie potrzebowałby on w całéj téj powieści niczego zmienić ani też dodać ni ująć, a byłby wystawił farsę, którąby stanowiła kamień węgielny dla jego autorskiéj nieśmiertelności. Figura Lambra — to typ stworzony dla Heinego! Jako ideał — jestto zero, ladaco: — ale właśnie przeto, że będąc zerem, chce uchodzić za wielkiego człowieka, jestto niewyczerpany materyał dla komika i humorysty...

Na nieszczęście, podług założenia poety, miał to być człowiek, „będący obrazem naszego wieku i bezskutecznych jego usiłowań.“ Tak jest, niezawodnie! Usiłowania

naszego wieku są bezskuteczne, ale właśnie tylko dlatego, że tacy ludzie, jak Lambro, i w taki sam sposób, jak on, narzucają się społeczeństwu na przewodników, a ono daje im się prowadzić i wyzyskiwać! Nie przeczę tego zatém, że udało się tu Słowackiemu dać dość wierny wizerunek jednego z całéj legii tych mniemanych bohaterów, którzy są prawdziwą plagą bieżącego stulecia! Zaszła przy tém jedna tylko mała pomyłka. Poeta stworzył karykaturę, a rozumiał, że stawia ideał! W przekonaniu, że roztacza obraz poetycznéj wielkości, starał on się bohatera swego uposażyć w wszelkie warunki zapewniające dla postępków jego współczucie i podziw czytelnika: gdy tymczasem odsłania się z pod tych sztucznych osłon wyobraźni autorskiéj sama tylko nędza i zgniłość moralna jego człowieka, tém przykrzejsza dla oka, że występuje z olbrzymiemi uroszczeniami i z dumą, któréj nic zgoła nie usprawiedliwia.

Razem z poematem Lambro zostawiamy po za sobą okres Słowackiego bajroński (a raczéj pseudobajroński), i przechodzimy do naturalniejszych natchnień i do więcéj przynajmniéj samodzielnych kierunków w jego zawodzie. Bez symptomatów pewnéj chorobliwości nie obyło się i w tém drugiém stadyum u niego; ale przynajmniéj była to już chorobliwość, jakiéj w owym czasie podlegali tysiące. Zbliżył się więc poeta nasz więcéj do usposobienia ogółu. Pierwszym czynem na téj nowéj drodze był Kordyan. Pod każdym względem możnaby go nazwać słupem granicznym pomiędzy pierwszą dobą poety a drugą.

Dziełem tém więcéj Juliusz przekonał naród o swém niepospolitém uzdolnieniu poetyckiém, aniżeli tém wszystkiém razem, co wydał poprzednio. Kordyan wyszedł bezimiennie. Nie od razu zdołano się domyśleć, kto jego autorem. Byli tacy, którzy w pierwszéj chwili przypisywali go Mickiewiczowi.

„Mój śpiew ostatni — pisał autor Kordyana niebawem po jego ogłoszeniu do matki — jeżeli nie podobał się, to zadziwił. W jedném z pism po francusku wydawanych czyta-

łem o nim zdanie i rozbiór pochlebny—o tyle, ile przeciwna partya ganić nie może; a ta przeciwna mi partya, są to nieszczęściem wszyscy poeci, na których czele Adam. Od tego bowiem sam pierwszy stronić zacząłem. Wielu jednakże w Paryżu przypisuje pieśń moję Adamowi. Oto wyjątek z listu do mnie pisanego: — „Byłem przytomny, jak Ogiński atakował Adama, i kiedy ten się wypierał, że nie jest autorem dzieła i że nie wie o niczém, Ogiński rzekł: to przynajmniéj wiemy, że Pan chce to mieć tajemnicą.“ — W drugim liście (mówi daléj Słowacki) pisze mi jeden ze znajomych: — „Z Memla (?), dokąd exemplarze posłałem, piszą mi o Kordyanie z wielkiém uniesieniem — i biorą to za pracę Adama.“ — Z tych dwóch doniesień widać, że w wielu miejscach bezimiennie wydaną moję pracę przypisują innemu. Znając uprzedzenia naszych w tym względzie, nie jest mi niemiłą taka pomyłka“... (z listu z dnia 27 kwietnia 1834).

Do mniemania takiego przyczynić się mogło niejakie podobieństwo w zewnętrznéj formie pomiędzy Kordyanem a wydaną niedawno przedtém Częścią IIIcią Dziadów Mickiewicza. I jedno i drugie dzieło jest nieregularnym, niescenicznie ułożonym, lecz zato wielkiéj lirycznéj siły dramatem. Jest nawet pewne pokrewieństwo i w całym pomyśle. Na okoliczność tę atoli zbyt wiele przycisku kłaść nie należy; pokrewieństwo to bowiem wynikło z intencyi, w jakiéj Słowacki zabrał się do napisania Kordyana. Chciał on, jak to już wyżéj okazałem, dziełem tém — rzuciwszy niejako rękawicę Mickiewiczowi, iść z nim o lepszą. Mickiewicz stworzył w postaci Konrada wizerunek najszlachetniejszych i zarazem do najwyższego stopnia siły i natchnienia podniesionych wysileń właściwych generacyi współczesnéj. Bohater jego, póki jeszcze nosił imię Gustawa, wplątany był we wszystkie potoczne stósunki świata i doznał najdotkliwszych bolów, jakie tylko mogą zranić serce zwyczajnéj jednostki w społeczeństwie. Przesiliwszy się w duchu, czyli jak to poeta wyraża: przetworzywszy się w Konrada, bohater Dziadów podniósł się po nad poziom tych wszystkich pragnień i zawodów osobistych i wyłącznie poświęcił życie ojczyźnie. Pragnie ją „dźwignąć i uszczęśliwić;“ lecz nim przystąpi do czynu, żąda od Boga... rządu dusz! Konrad czuje się nieśmiertelnym i jako Bóg sam wszechwładnym myślą własną, „któréj

ludzie mu nie dali", „tą myślą, co niebiosom pioruny wydarła." Czuje się w sobie równym Bogu uczuciem, „co się samo w sobie chowa—jak wulkan, i tylko dymi niekiedy przez słowa." Ale temi dwiema dźwigniami, dopóki one w nim samym tylko zawarte, nie spodziewa on się ani przemóc ani podnieść odrętwiałego ciężaru martwéj bryły, jaką mu się być wydaje w danych stósunkach cała massa narodu. I dlatego żąda od Boga potęgi, żąda bezpośredniéj, nieograniczonéj, choć niewidzialnéj władzy nad duchami ludzkimi...

„Ja chcę władzy! daj mi ją lub wskaż do niéj drogę!
Tę władzę, którą mam nad przyrodzeniem,
Chcę wywrzéć na ludzkie dusze!"

Konrad chce nad bliźnimi władzy doraźnéj, i to nie za pośrednictwem pieśni, ani wiedzy, ani siły zbrojnéj, ani nawet cudów:

„Chcę czuciem rządzić, które jest we mnie,
Rządzić, jak Ty, wszystkimi zawsze i tajemnie:
Co ja zechcę, niech wnet zgadną,
Spełnią, tém się uszczęśliwią,
A jeżeli się sprzeciwią,
Niechaj cierpią i przepadną!"

Ponieważ zaś téj potęgi nadludzkiéj nie otrzymuje Konrad od Boga, wpada w szał rozpaczy i zaczyna wątpić o dobréj woli stwórcy. Ośmiela się do bluźnierstwa:

„Kłamca, kto Ciebie nazwał miłością —
Ty jesteś tylko mądrością!"

To jest najwyższy zenit, do którego się wznosi bohater Dziadów, przynajmniéj w wydanéj części dzieła. Bóg nie zsyła na niego kary za tę pychę i za takie buntownicze wypowiedzenie posłuszeństwa niebiosom, albowiem płynie ona u niego z miłości kraju, z nieszczęścia... zresztą modlą się za nim anieli i dobrzy ludzie (matka zmarła Konrada, X. Piotr, Ewa). I pozwala Konradowi — po uznaniu korném obłędu — wyjść z tych walk ducha czystym, rozgrzeszonym i nawet przeznaczonym w przyszłości do wielkich rzeczy. Ale do spełnienia tych obietnic nie przychodzi w téj części dzieła, tak iż Adama ideał, jak tu jest

dany, ostatecznie nie wychodzi z po za sfery samych tylko zamiarów, pragnień i uczuć... I jeżeli walczy, to chyba z Bogiem walczy, a nie z temi potęgami ciemności, nie z temi monstrualnościami wieku, na powaleniu których właśnie zależy.

Otóż Słowacki podjął umyślnie w dziele swojém właśnie tę myśl w powyższy sposób wytoczoną przez Mickiewicza, ale zamierzył wykonać ją po swojemu i o tyle lepiéj, że wprowadził bohatera swojego właśnie w ten zakres, w jakim Konrada nie widzimy, ta jest w zakres czynów. Punkt wyjścia zatém jeden jest u obydwóch poetów; ale ludzie ich różni i zawody ich różne. Słowacki nie mógł spodziewać się osięgnąć wyższości nad swoim współzawodnikiem ani potęgą natchnienia, ani artyzmem, ani wykonaniem szczegółów; bo to wszystko było tak niezrównaném u niego, że wszelka chętka do walki z nim na tém polu byłaby chyba lekkomyślnością. Słabszą stroną Dziadów jest ich ogólny pomysł — niejasno i niecało rzucony! To też w tém tylko mógł upatrywać Słowacki możność jakichkolwiek korzyści swoich nad nim, że zamierzył bohatera swego daléj doprowadzić w zawodzie podjętych usiłowań, aniżeli się w Dziadach Konrad na drodze swojéj posunął. A zarzutu, że się przedmiotem zanadto zbliża do Mickiewicza, zarzutu tego się autor Kordyana nie mógł obawiać. Boć umyślnie i samochcąc i wręcz wyzywając Adama do walki, wytoczył ideę jego na nowo jakby przed sądy drugiéj instancyi.

Skorośmy już wpadli na ten trop uwag dotyczących genezy obecnego utworu, niech mi wolno jeszcze będzie zwrócić uwagę na inne dzieło, które równie, a może nawet i więcéj jeszcze wpłynęło na wyobraźnię poety w chwili, kiedy obmyślał układ Kordyana. Mówię o poemacie Stefana Garczyńskiego „Wacława Dzieje.“ Kto tylko dwa te dzieła zechce porównać ze sobą, to niepodobno ażeby go nie miało uderzyć dziwne podobieństwo pomiędzy niemi. Wartość artystyczna Kordyana wprawdzie nieskończenie jest wyższa. Ale założenie, główny pomysł i zamiar artystyczny w obydwóch tych utworach jest niewątpliwie i oczywiście — jeden tylko. Charaktery wprawdzie głównych figur zna-

cznie się różnią. Wacław — to filozof, myśliciel; wrodzoném usposobieniem swojém więcéj na Fausta albo na Hamleta zakrawa. Kordyan przeciwnie jest marzycielem namiętnym i entuzyastą, — w pierwszéj wiośnie życia podobny do Wertera, w dalszéj młodości przypomina Manfreda; w głównéj zaś akcyi, w sile wieku (w IIIcim akcie) — nie wiem do kogo bym go porównał... Snać jest on tu tylko Kordyanem, jest tém czém go mieć chciał poeta, typem samoistnym i własnym. Przy tak różnych charakterach atoli, zamiar i role obydwóch tych ludzi godzą w jedno i tosamo. Niemniéj szczegóły i postaci podrzędne tak się w obu poematach wzajemnie przypominają, że niepodobna, żeby się miały rzeczy te spotykać ze sobą zupełnie przypadkowo. Tak na przykład cała ta scena na czele Juliuszowego dramatu nazwana „Przygotowanie“ — to tylko bujne i fantastyczne rozwinięcie idei, która u Garczyńskiego wcielona jest w jednę osobę, w osobę „Nieznajomego.“ A ten spisek koronacyjny, służący i tu i tam za punkt centralny, za oś, około któréj toczy się wszystko! A ta piękna postać starca, jaśniejącego zapałem i srebrnym włosem tak wydatnie na tém tle ciemném tajemnych obrad... Wszystko to są szczegóły, które — trudno przypuścić żeby miały być bez wszelkiéj zawisłości wzajemnéj.

Gdyby poemat Garczyńskiego wyszedł był późniéj, aniżeli Kordyan, byłby to tylko plagiat, plagiat bardzo blady. Tak jednak nie było. Wacław jest dziełem rychlejszém. Czy go Słowacki znał, pracując nad swoim dramatem? — Mnie się zdaje, że go znać musiał.

Wacława Dzieje pisane były w Dreźnie, w ciągu roku 1832, a wyszły z druku w Paryżu r. 1833 w miesiącu czerwcu albo najpóźniéj w początkach lipca.*) Kordyan zatrudniał myśl Słowackiego już w ciągu wiosny tegoż roku (1833). W środku lipca już był plan jego gotowy. Rzecz ostatecznie jenak spisana została dopiero w miesiącach jesiennych. Nie było tedy niemożności fizycznéj, dla któréjby mu nie miał być znany utwor wielkopolskie-

*) Wyrozumieć to można z dat listów Mickiewicza do Garczyńskiego pisanych w sprawie drukujących się właśnie jego poezyi.

go poety, przed ostatecznem dokonaniem Kordyana. Niemożność ta znika do reszty, jeżeli wspomnimy, że Stefan Garczyński przez ciąg tegosamego lata bawił w Szwajcaryi, a nawet spędził czas niejaki (miesiąc sierpień) w saméjże Genewie wraz z Mickiewiczem, który go tu (po raz ostatni przed jego śmiercią) widzieć przyjechał z Paryża. Czy się Juliusz przy téj sposobności zapoznał osobiście z Garczyńskim, tego nie wiem i wątpię, żeby było przyszło do tego. Bytność autora Dziadów w mieszkaniu Garczyńskiego nie mogła go do zabrania téj znajomości zachęcać. Zresztą Słowacki nie był pochopny do pierwszych wizyt, a Garczyński znowu był już natenczas bardzo cierpiący i zapewne także nowych znajomości nie szukał. Stémwszystkiém nie mogło być bez tego, żeby ta jego bytność w Genewie choćby za pośrednictwem trzecich osób nie była miała zwrócić uwagi Słowackiego na niego i na świeżo wydane jego poezye w Paryżu, których exemplarze musiały się rozejść wtedy i pomiędzy Polakami bawiącymi w tém mieście. W kilka miesięcy po zgonie już Stefana Garczyńskiego (w liście z d. 3 stycznia 1834) donosił Juliusz matce o nim w następujących wyrazach:

„Ukazał się był na chwilę nowy talent poetyczny, Garczyński. Wydał dwa tomiki, w których było wiele pięknych rzeczy, a więcéj jeszcze nadziei; ale nieszczęściem suchoty zniszczyły go — i umarł. Ciągle wzdychał do Neapolu i miał nadzieję, że tam dojechawszy uzdrowi się; ale nieborak w drodze w Awinionie życie zakończył.“ —

To wspomnienie pobieżne, pisane właśnie nad korektą drugiego arkusza Kordyana, którego mu w ciągu druku dosyłano dla kontroli z Paryża — są to, zdaje mi się, słowa człowieka, który nie znał się osobiście z autorem i co o nim wiedział, to od trzecich osób (inaczéj bowiem byłby ciekawych szczegółów niewątpliwie więcéj o nim udzielił); ale który niezawodnie czytał jego poezye. Jeżeli zaś znane mu były takowe w pierwszych dniach roku 1834: to dlaczegoż nie miałby ich był znać i jaki kwartał rychléj?

Nie przeto mówię o téj okoliczności, żebym chciał z tego punktu widzenia uwłaczać w czémkolwiek autorowi Kordyana.

Mimo to wszystko bowiem konkurencyi pod artystycznym względem z Wacławem to dzieło obawiać się żadną miarą nie potrzebuje. Lecz ciekawą zdaje mi się być rzeczą dochodzić, gdzie tylko na to pozwalają okoliczności, niewiadomych zazwyczaj wpływów, jakie towarzyszyły poczęciu dzieł poetyckich. Ileż światła rzucają na tę zagadkę geniuszu nieraz szczegóły wiadome o Szekspirze.

A krom tego jest jeszcze jedno, czego milczeniem tu pominąć nie można. Kiedy Mickiewicz, w Paryżu jeszcze, zajęty był właśnie drukiem poezyi Garczyńskiego, pisał on do niego z powodu Dziejów Wacława, co następuje:

„Niezawodnie pokazuje się, że więcéj przez twoję głowę przeszło myśli, niż przez moję, choć ja moje wiele lepiéj wyrobiłem. Ileż wierszy w Wacławie, nad którymi dumam jak nad drogami w Pompei, myśląc o kołach, które musiały w tył i w przód wyjechać, nim tę koleinę wygryzły! Nie byłem nigdy zdolny czuć zazdrości poetyckiéj; ale mnie się zdaje, że gdyby Wacław był nie twoim utworem, tobym może zazdrościł autorowi: Teraz kocham go, jak gdyby wspólne dziecko. Możesz być pewny, że to dzieło zupełnie leży w teraźniejszym czasie i dziwnie odbija stan duszy wielu ludzi“...*)

Że się nie pomylił Mickiewicz, iż myśl dzieła tego leżała rzeczywiście w usposobieniu czasu: tego najwymowniejszym dowodem okoliczność, na którą zwracam właśnie uwagę. Widzimy bowiem, że w tymsamym niemal czasie zajmował ten przedmiot wyobraźnię i naszego poety. W ciągu rozmyślań nad nim wpadła mu w ręce praca Garczyńskiego Kreacya ta ożywiła jego imaginacyą i dorzuciła żywiołów palnych w ognisko, które już i bez tego gorzało. Kilka zarodów gotowych wniosła w ramy jego obrazu. Ale zarody te przybrały tu dziwną bujność, pod wrącém czuciem genialniejszego ducha. Co u Garczyńskiego jest tylko napomknięte, niedonoszone w wyobraźni, mgliste, niekiedy chorobliwe: to się ukazuje w utworze Słowackiego przynajmniéj pod artystycznym względem rozwinięte do pełni i wykonane plastycznie.

---

*) List Mickiewicza do Garczyńskiego z Paryża dnia 12 stycznia 1833.

Nawet i po za obrębem względów na artyzm mała jest wartość Wacława w porównaniu z tém dziełem. Garczyński jeszcze w najlepsze bajronizuje, Słowacki właśnie się z pod wpływu tego otrząsa. Garczyńskiemu się bohater jego wydaje tytanem — ideałem skończonym... a kiedy nie wie, jak nieudolność jego usprawiedliwić, radzi sobie w taki sposób, że oto — urywa dzieło w pośrodku! Autor Kordyana podobny jest do niego w pierwszéj połowie swego dramatu. W trzecim akcie... spostrzegł się i osądził swego człowieka.

Te kilka myśli ogólnych niechaj zastąpi to wszystko, co w dalszym rozbiorze Kordyana zdawać się może będzie nie dość dokładném. Są okoliczności — łatwe do odgadnienia, które nie pozwalają na zupełnie swobodne traktowanie tego przedmiotu. Zresztą jest to tylko ułamek większéj całości, do utworzenia któréj nie przyszło. Autor zapowiadał trzy takie dzieła, pomiędzy sobą związane węzłem trylogii. Trylogia ta, jak z prologu czyli „Przygotowania“ na czele umieszczonego wnosić trzeba, miała obejmować wypadki z przed r. 1830, z czasu samegoż powstania, i zapewne z dalszych lat potém. Kordyan stanowi tylko część pierwszą trylogii. Dalszych części nie ma. Materyał części trzeciéj zdaje mi się, że wpłynął w głównych zarysach w utworzonego nieco późniéj Anhellego. Środkowy dramat pozostał niezapełnioną próżnią. Jego osnowy nawet się domyślić nie można, chociaż surowy materyał jest każdemu wiadomy.

Jeżeliby się jednak godziło, odgadującym sposobem rzucić zarys ogólnéj myśli, na tle któréj ta obszerna budowa miała się wznieść: to napomknienia tu i owdzie spotykane w części pierwszéj upoważniają przypuścić, co następuje:

Żyjemy w wieku materyalnym, karłowatym, upadłym, w wieku w którym się nic światodziejowego nie dokonywa w ludzkości. Jestto dzień wypoczynku stwórcy po pracy, dzień siódmy, szabat myśli bożéj w tworzeniu dziejów powszechnych.

„Bóg przez sześć dni dziejowych stwarzał ziemskie ludy.
W pierwszym dniu stworzył państwo modlące się Judy:
To była ziemia — na niéj wyrosły narody. —

W drugim dniu — porozlewał wschodnich ludów wody;
W trzecim — jak drzewa, greckie wyrosły plemiona;
W czwartym dniu zaświeciło z gór Sokrata słońce;
W piątym — wzleciały orłów rzymiańskich znamiona,
To były ptaki; — a na dnia piątego końce
Padła noc wieków średnich, długa, zachmurzona —
W szóstym — człowieka zlepił Bóg: Napoleona!
Dziś dzień siódmy — Bóg rękę na rękę założył,
Odpoczywa po pracy, nikogo nie stworzył"...

Słowa te znajdujemy wyrzeczone w 6téj scenie aktu IIIgo, przez figurę fantastyczną, która tam ma nazwę „Doktora," a którą oczywiście jest Szatan. Przybywa on do szpitala, ażeby i kusić Kordyana i naigrawać się z niego. Zdawaćby się wprawdzie mogło, że ponieważ szatan to mówi i to jeszcze w takim zamiarze: nie jest to przeto nic więcéj, jak tylko prosty fałsz, sofizmat, przypuszczenie przewrotne, nie mające żadnéj spółki z rzeczywistym pomysłem autora. Tak jednak nie jest. Poeci zwykli — jak wiadomo, dawać nieraz i demonom mimowolnie wypowiadać ukrytą prawdę. Są to zazwyczaj prawdy gorzkie dla ludzi, ale zawsze prawdy. Przypomnijmy sobie tylko Mefistofela w Fauście. Ma się rzecz podobnie i w razie obecnym. Doktor Słowackiego rzuca wprawdzie w scenie téj wiele i zdań bałamutnych, bezwarunkowo obłędnych. Ta jednakże myśl jego spływa doskonale z całém założeniem poematu, i jeżeli się różni od innych miejsc podobnych w „Kordyanie," to chyba tylko tém, że rzecz jest tutaj wręcz wyrzeczona i nazwana po właściwém swojém imieniu. Taki wypadek wynika też ostatecznie z całego przeprowadzenia dzieła, do tego stopnia że bez tego klucza zrozumienie celu jego wcale byłoby niepodobném.

My na ostateczny sens tego dyktu piszemy się. Jest on niestety — de facto co się zowie prawdziwy! Ale zobaczmy, co idzie za tém.

Kiedy więc w myśl założenia poety ta siła twórcza, dodatnia, boża, która kieruje biegiem świata, obecnie wyjątkowo odpoczywa po pracy i nie tworzy nic: poczuwają się do tém większéj czynności w wieku obecnym demoniczne potęgi. Pragnienie i

zabiegi tych potęg zawsze ku temu zmierzają, ażeby się niweczyło w samym zarodzie to wszystko, czego ludzkość pragnie i za szczęście swoje uważa. W tym też celu i teraz przystępują one do dzieła. Pierwszy ustęp Kordyana, nazwany Przygotowanie, odsłania właśnie te ich roboty. W saméj chwili poczęcia się wieku obecnie bieżącego, w nocy z dnia 31 grudnia 1799 na 1 stycznia 1800, zgromadzają się na ustroniu, w chacie niegdyś Twardowskiego, najprzedniejsze mocy szatańskie i przygotowują zapas kierowników narodowych na cały wiek dziewiętnasty:

. . . . . „Dziś pierwszy dzień wieku,
Dziś mamy prawo stwarzać królów i nędzarzy
Na całą rzekę stuletniego cieku.
Więc temu narodowi stwórzmy dygnitarzy,
Aby nimi zapychał każda rządu dziurę."

Oczywiście wychodzą z tego kotła szatanów same osobistości zdaniem poety niedołężne, wsteczne, potrzeb wieku niepojmujące, jeżeli zgoła nie napiętnowane czém gorszém jeszcze. I tak nasamprzód otrzymuje tam sankcyą na wielkiego człowieka XIX wieku — Chłopicki. Na dalszych kierowników wydarzeń, które mają nastąpić, przeznaczeni zostają: Czartoryski, Niemcewicz, Lelewel, nakoniec Krukowiecki. Obok nich jeszcze zostaje przygotowaną dla tém pewniejszéj zguby narodu cała zgraja świetnych bohaterów salonu i brukotłuków („wymuskani rycerze-ospalcy"); niemniéj i tłum niezliczony krzykaczy i intrygantów („co narodowéj chwycą się mównicy — dyplomatycznych mowców plemię")...

O takich siłach ma się tedy snuć odtąd wątek spraw, dotyczących żywotnéj kwestyi jednego z głównie w stuleciu tém do działania powołanych narodów, aby się dokonało, co przepowiedziało piekło, że „wiek co przyjdzie, ucieszy szatany..."

W jaki sposób winy tych wszystkich ludzi, tak lekkomyślnie stawionych na jednéj linii ze sobą, zamierzał autor w dziele swojém rozwinąć i udowodnić? — na wyrozumienie tego braknie nam wszelkiego punktu oparcia. Ich role przypadają prawie bez wyjątku dopiero na czasy, które miały być pomieszczone w ramach dalszych obrazów, składających tę trylogią. W Kordyanie — wyją-

wszy jednego Niemcewicza — kończy się wszystko na téj ryczałtowéj kondemnacie rzuconéj na nich w prologu bez żadnego tejże poparcia. Gdyby autor był poprzestał na twierdzeniu, że tak usiłowania Chłopickiego, jak X. Czartoryskiego i wreszcie Lelewela w r. 1831 były nadaremne; że kroki ich były nieodpowiednie celowi itd. nie mielibyśmy nic przeciwko temu do powiedzenia. Ale wystawiać w nich istoty, z piekieł przysłane na zatratę narodu: to cokolwiek gruba przesada. Gdyby która z osób nazwanych była autorem powstania; gdyby się byli okazali chciwymi władzy; gdyby ją byli przemocą lub podstępem sobie przywłaszczyli, odtrącając od steru innych, zdolniejszych; a po tém wszystkiém okazali niezdolność, złą wolę albo złą wiarę: — wtedy możnaby składać na nich odpowiedzialność za wszystko i godziłoby się poecie wprowadzać ich w dziele swojém w taki sposób, jak to jest uczyniono w Kordyanie. Tak to jednakże nie było. Na tę genezę z kotła szatanów zasłużyli sobie zatém chyba zupełnie inni! Powziąć lekkomyślne postanowienie — wykonać je gorzéj, niż niedorzecznie — rozdmuchać pożar — potém niewiedzieć, co z nim począć—w braku lepszéj rady przyjść do ludzi, których ani wiek, ani stanowisko, ani wyobrażenia ani tradycye nie były potemu, żeby mogli uwierzyć w dzieło z którém nie mieli żadnéj wspólności, i powiedzieć im na klęczkach i upominając, z prośbą i groźbą: teraz ty prowadzić musisz, bo ty masz zaufanie w narodzie, a my go nie mamy! — nareszcie po wszystkiemu winić ich i przeklinać za to, że się ta z góry i w zarodzie samym zwichnięta robota nie udała: — to wszystko dziać się może tylko w społeczeństwie tak zupełnie pozbawioném zmysłu politycznego, jak nasze!... Na obronę Słowackiego wprawdzie powiedzieć można, że takie wtedy były wyobrażenia o tém powszechne. W takito sposób odbywały się sądy o rzeczach i o ludziach z r. 1831, przez kilka lat potém śród całéj emigracyi, a nawet po większéj części i w kraju. Łagodzi to niezawodnie zarzut zrobiony temu ustępowi Kordyana. Ale mylność założenia całego dzieła dlatego się nie naprawia.

Większéj jeszcze niesprawiedliwości dopuścił się autor Kordyana przeciwko Niemcewiczowi, o którym dlatego tu z osobna

mówię, ponieważ jego jednego tylko wina jest w zupełności niby odsłonięta i przeprowadzona w dramacie. — Mówi o nim Słowacki w prologu w takich wyrazach, że się wierzyć nie chce, żeby się to do Ursyna odnosić mogło:

. . . „Starzec, jak skowronek
Zastygły pod wspomnień bryłą
Na pół zastygłą, przegniłą —
Poeta — rycerz — starzec — nic,
Dziewięciu Feba sułtanic
Eunuch“ itd.

Że nie kto inny jednak, jak ten mąż, pod tylu względami dobrze ojczyźnie zasłużony, jest tu rozumiany, to się dowodnie okazuje w czwartéj scenie aktu IIIgo, gdzie mniemana jego zbrodnia jest skreślona śmiałym pędzlem i bez ogródki. Wystawiony tam jest Niemcewicz jako Prezes knowań (z r. 1829), które się odbywają w podziemiach kościoła św. Jana w Warszawie... Pomimo wyraźnego zamiaru poety, ażeby rola, jaką tam wypadło starcowi temu odegrać, wiekuiście go potępiała: postać Ursyna występuje tam po nad tłumem zebranych zapaleńców tak czysto, tak posągowo i z taką szlachetnością, że nie można mu było wystawić piękniejszego pomnika, jak ową właśnie sceną Kordyana.

Ale wrażenie takie sprawia ten ustęp tylko w umysłach głębszych. Czytelnik nierozmyślny, z rzeczami najświeższych dziejów kraju źle obeznany, rzuca czytając to miejsce, na siwe włosy starca tesame gromy, jakie na niego myślał że rzuca poeta, kiedy je pisał. I byłże jaki, choćby też najmniejszy powód do tego wszystkiego? To już polega na czystém urojeniu! Nie widzę potrzeby rozwodzić się nad samym spiskiem koronacyjnym, który tu stanowi główny przedmiot. Byłto... pierwszy w nieskalanych jeszcze wtedy dziejach naszych, szalony — na szczęście nie czyn, lecz tylko czynu zamiar. Co o nim nasz autor włożył w usta Prezesowi sprzysiężonych, co u Garczyńskiego mówi przeciw téj robocie „Nieznajomy“, uważany przez tamtego poetę w skutek dziwnego pomięszania pojęć równie za wroga dobréj sprawy, jak nim jest u Słowackiego Niemcewicz: — wystarcza to zupełnie

do ocenienia i moralnéj projektu tego wartości i nawet praktycznéj jego pożyteczności w bezpośrednich i dalszych skutkach. Tego jednego wszelako milczeniem tu pominąć nie można, że choćby tam sobie zresztą każdy rozumiał o tych zamysłach z r. 1829, co mu się żywnie podoba: to w każdym razie wmięszany tu w nie został Niemcewicz — co się zowie, jak Piłat w credo. Nie miał on z niemi nic zgoła do czynienia! Że plany te spełzły na niczém, temu Niemcewicz nie winien! — jedynym tego powodem był brak energii i odwagi, kiedy nadeszła chwila działania, u samych autorów tego projektu.*)

Śmiało zatém powiedzieć można, że cała ta część Kordyana wypadła jak najfatalniéj. Autor nie znał faktów, a pozwolił sobie, idąc za utartym przykładem drugich, rzucić (nibyto *pro bono publico!*) potępienie na starca, który całe życie poświęcił dobru narodu, a w mniemanéj owéj zbrodni żadnego nie miał udziału. Ironia losu zrządziła, że spotkało to właśnie człowieka, który z taką gościnnością przyjmował niegdyś w Ursynowie młodego autora Mindowy. Postąpił więc sobie z nim Słowacki gorzéj jeszcze, jak Mickiewicz w Dziadach z jego ojczymem. Mogli sobie obaj podać teraz ręce do zgody: krzywda nie powinna boleć takiego, który ją i sam drugim lekkomyślnie wyrządza. —

Rzuciliśmy ogólny zarys pomysłu, na którym zdaje się że miała stanąć cała budowa trylogii. Teraz powiedzmy zdanie nasze o części jéj wykonanéj, a mianowicie o samymże bohaterze utworu.

Na tle wieku, z góry potępionego za karłowatość i niejako wskazanego na to, żeby w dziejach minął bez wieści, stworzył poeta postać, która przerasta małość duchową ludzi tych generacyi, i czuje nędzę takiego życia, i pragnie je czém wznioślejszém zapełnić, i rzuca się z jednego kierunku w drugi... ale klątwa wieku położyła znamię swoje i na tym duchu. Jestto natura głębsza, ale chora na duszy; jestto entuzyasta, ale bez charakteru;

---

*) Bliższe szczegóły o tém wszystkiém podaje w dziele swojém Mochnacki.

jestto bohater, ale o słabych nerwach. Reszta tłumu — najszczęśliwsza z tego kału, w którym brnie — nie żąda i nie chce od nikogo poświęceń. Ani rozumie, ani też nie popiera wysileń podobnych ludzi. Tym—braknie znowu téj siły, przelania swego zapału w ogół. Gore tedy cały ogień w ich własném wnętrzu, gore płomieniem jaskrawym, ale racowym: to też nim jeszcze nadejdzie godzina — cała moc ducha i ciała u natur takich zwęgla się w popiół.

Kordyan Słowackiego łączy w sobie prawie wszystkie znamiona wielkości. Wzgarda życia, gotowość do ofiar, żądza sławy, dzielność i duma szlachetna — sąto niezawodnie warunki niezbędne człowiekowi mającemu pchnąć społeczeństwo nowymi tory. Pomimo tego wszystkiego, odsłonił w nim umyślnie i z całą świadomością poeta także i własności ujemne, niedostatki, dla których one zarody wyższości w duchu Kordyana nie dopełniają się do rozmiarów prawdziwéj wielkości charakteru, na jaki się niby zanosi. W ogóle jest coś spaczonego, jest i coś z sobą sprzecznego w tym duchu. Szuka on pola szerokich działań i nie wzdryga się przed żadnemi trudnościami: a w każdéj jednakże sprawie hamują go jakieś pęta, staje mu na przeszkodzie jakaś siła, któréj nie zwalczyć. Te pęta, ta siła jemu na przeszkodzie stojąca — one wynikają głównie z niego samego. I w tém też właśnie tragiczność jego zawodu.

Jedną z głównych takich ujemnych własności w charakterze Kordyana jest melancholia. Melancholia ma to wspólnego z reflexyą, że jak jedna tak druga, jeśli przemożnie i wyłącznie opanuje człowieka, zabija w nim wszelką zdolność do ostatecznego działania. Hamlet Szekspira przez ciąg całego dramatu morduje się ze skrupułami bezdennéj jakiéjś reflexyi, i przeto właśnie nie dochodzi wcale do powzięcia żadnego postanowienia. Podobnie ma się rzecz z melancholią. Komu się smutek wpije aż w samę rdzeń serca i zamieni w drugą u niego naturę: takiego człowieka dzielność duchowa jest jakby znurtowana. Każde silniejsze wstrząśnienie wystarczy, aby odsłonić niemoc na zewnątrz takiéj wiecznie w sobie tylko pracującéj natury.

—„Wierzcie mi, wierzcie ludzie! jam jest wielki, mocny“—

mówi Kordyan w chwili najwyższego zapału do sprzysiężonych, w scenie owych narad prowadzonych w podziemiach kościoła. Kładzie mu poeta wszelako w usta natychmiast takie słowa, które to zapewnienie potężnie ograniczają:

„Jedyną słabość zamknę w sercu tajemniczém —
Robak smutku mnie gryzie... tak, że mówiąc z wami,
Chciałbym przestać — i usiąść i zalać się łzami!...“

W ogóle zdaje się, że było zamiarem Słowackiego okazać jakąś sentymentalną miękkość w naturze swojego bohatera. Kiedy na przykład już postanowił Kordyan wziąć na się wykonanie czynu, który zdaniem jego przyniesie dla ojczyzny zbawienie, ale dla niego śmierć:— widzimy go w owéj chwili w takiém oto usposobieniu:

PREZES.

„Na Boga, Kordyanie,
Ty masz gorączkę, w oczach dziwne obłąkanie —

KORDYAN.

To nic! starcze. To włos mi siwieje i boli —
Włos każdy cierpi — czuję zgon każdego włosa;
To nic. — Na grobie wsadzisz dwie różdżki topoli
I różę. — Potém spadnie łez rzęsistych rosa,
To mi włosy ożyją. — Masz pióro przy sobie?
Chciałbym spisać imiona płaczących nademną.
Ojciec w grobie — i matka w grobie — krewni w grobie —
Ona—jak w grobie.—Więc nikt po mnie! wszyscy ze mną!
A szubienica będzie pomnikiem grobowym“ itd.

Jestto prześliczne miejsce i niezawodnie jedno z lepszych w dramacie. Wątpliwości nie podlega, że takich rozpamiętywań zdolna być może tylko natura poetyczna, głęboko czująca, najidealniéj szlachetna. Ale jeżeli to jedno pewne, to równie będzie pewném i owo, że kto już tak fantazyuje przed czasem, kto tak ze łzami rozbiera swoje poświęcenie, samotność i ofiarę, zanim jeszcze dzieła dokonał, i z takiém usposobieniem przystępuje do rzeczy: ten jéj pewnie nie potrafi dopełnić! Entuzyazm, serce, w ogóle władze duchowe będą go parły do czynu; ale ciało samo, fizy-

czność, nerwy rozigrane temu się oprą. A natenczas opadną go dokoła wspomnienia, widma, strachy jakieś w wyobraźni rozkołysanéj wylęgłe... i taki zamęt powstanie w głowie takiego człowieka, że owo z taką niby pewnością siebie powzięte i zapowiedziane jego postanowienie niepodobna żeby się mogło skończyć inaczéj, jak tylko w sposób téj sceny, co potém następuje w dramacie, w sposób mówię sceny 5téj aktu III (w przedpokoju komnaty carskiéj).

Są i inne jeszcze strony w charakterze Kordyana, których nie podobna nazwać inaczéj, jak chorobami wieku, a które i sam już autor świadomie odsłonił jako braki i niedostatki. Patrząc na człowieka tego z pewnego oddalenia, biorąc duchowy jego wizerunek w całości: każdy powtórzyłby do niego to co mu mówi spowiednik jego w więzieniu:

„Synu! powstań z prochu
I leć do Boga, ale przebacz światu!
Bóg cię wyrywa z lwiéj paszczy i z lochu,
W którymbyś uwiądł nakształt mdłego kwiatu“...

Zważywszy jednak na ten brak miłości ludzkiéj, zdradzający się mimowolnie w wyznaniu Kordyana, które on składa spowiednikowi niby to w formie skargi, że nie ma nikogo na świecie, któremu by miał coś do przekazania.... że nikt z ludzi nie był dla niego przyjacielem; zważywszy na to, co mu Kordyan daléj oświadcza, iż słyszy jakiś głos tęskny w głębi ducha swojego, który

„Pamiątek woła i śladu na świecie:“

to w każdym razie niepodobna niewidzieć i tego, że wiele w téj naturze jest niekonsekwencyi i jak na bohatera narodowego, za jakiego on sam chciałby siebie uważać — nader drobniuchnych, acz zresztą wcale ludzkich i poetycznych nawet podnietek. Jeżelić bowiem tacy mu obojętni ci ludzie, że nie obdarzył ani jednéj duszy na świecie imieniem przyjaciela, to jakież tedy źródło zamierzonych jego poświęceń? Na cóż mu też w takim razie ów ślad na świecie, którego koniecznie pragnie? i dla kogoż te pamiątki, które by rad pozostawił po sobie? — A nadto: czy to też tylko świat jedynie temu winien, że Kordyan na nim nic

miłego dla siebie nie pozostawia? Czy się Kordyan usilnie starał zasłużyć sobie na to, na brak czego się teraz skarży? Czy Kordyan żył w świecie? czy w nim żył w taki sposób, że zasłużył na miłość ludzką? Czy ludzi poznał? Czy to potępienie, jakie na nich wszystkich ryczałtem rzuca, nie płynie też więcéj z jakiéjś dumnéj, choć bardzo może poetycznéj fantazyi, aniżeli z rzeczywistego doświadczenia?...

Wszakże słyszymy w téjże saméj scenie i następujące oto jeszcze z ust własnych jego wyznanie:

„Gdybym był wiedział, że tak bez powrotu
Ziemię żegnałem: przed chwilą odlotu
Patrzałbym na świat innemi oczyma —
Dłużéj, ciekawiéj, a może ze łzami; —
Bo tam pomiędzy ogrodu kwiatami
Jest pewnie piękny kwiat — a ja go nie znam!
Może dźwięk jaki nowy struna daje,
A jam nie słyszał! — Czegoś mi nie staje!“ itd.

Powyższa analiza natury, stawionéj jako główna postać tego dramatu, okazuje w niéj zatém z jednéj strony niezawodnie szczytny i wyjątkowy fenomen w dzisiejszém społeczeństwie; z drugiéj strony jednakże jest to i fenomen patologiczny, wizerunek choroby wieku. Że się czasy nasze zdobyć nie mogą na prosty, mniéj czuły i poetyczny, ale zato zdrowy w sobie a potężny organizm, ale wydają w najlepszym razie tylko takich Kordyanów: — w tém całe nieszczęście obecnego stulecia! Słowackiemu zaś poczytuję to za zasługę, że z pewną świadomością wprowadził w dziele swojém typ taki. Garczyńskiego Wacław jest chorobliwy w wyższym daleko stopniu, a poeta tego nie widzi.

Wszystko, co dotąd się powiedziało, stósuje się do Kordyana, jakim go widzimy w akcie IIIcim. Ta też właśnie tylko część dzieła i zasługuje na rozbior i wytrzymuje go. Ona sama jedna stanowi tutaj wszystko. Pierwszy i drugi akt — są to tylko przystawki, niezawodnie szczątki dawniejszych planów, na wiosnę (1833) powziętych, a jesienią odrzuconych. Powleka je

jeszcze w całéj sile ów koloryt źle pojętego bajronizmu, jaki znamionuje dawniejsze Słowackiego roboty. Z artystycznego punktu widzenia węzeł ich z właściwą sztuką jest zgoła luźny. Przy małéj zmianie jednéj i drugiéj sceny Aktu IIIgo, mogłaby się zupełnie obejść architektura tego dramatu bez tych skrzydeł psujących tylko proporcyą. Autor zdaje się, że dlatego tylko pozostawił je przy zrębie nowéj budowy, ponieważ chciał dać czytelnikowi spojrzeć na rychlejsze koleje życia swojego bohatera. Miało to wyjaśnić tę całą stronę patologiczną charakteru Kordyana. Powody niedostatków w jego charakterze upatrywał autor w jego przeszłości w nienaturalny sposób przebytéj; daje tedy klucz w rękę czytelnikowi do rozumienia tego wszystkiego.

W akcie więc pierwszym spotykamy się z Kordyanem w jego 15 roku życia. Widzimy go—przynajmniéj powiada on to o sobie — cierpiącego bardzo! Cierpienia jego jednak nie wzbudzają najmniejszego współczucia. Jestto dziecko w karykaturze, przeżyte, strawione czczością życia jak starzec, paniątko jakieś, zepsute widać próżnowaniem i otoczeniem. Leży sobie oto wygodnie pod wielką lipą na dziedzińcu swojego dworu i marzy... o czém? — o świata tego marnościach!! Już patrzy na rodzaj ludzki z piętra, jak geniusz; gardzi tłumem (wyraz w takich razach nieunikniony), i żali się, że nie widzi celu życia przed sobą.

„Oto ja sam, jak drzewo zwarzone od kiści!
Sto we mnie żądz, sto uczuć, sto uwiędłych liści!
Celem uczuć — zwiędnienie; głosem uczuć — szumy
Bez harmonii wyrazów. — Niech grom we mnie wali!
Niech w tłumie myśli jaką myśl wielką zapali“... itd.

— Nadaremnie mu stary sługa, dawny wiarus napoleoński, prawi o wielkich swojéj młodości wspomnieniach. Kordyan ciekawie go słucha, czasami wyznaje sobie:

„Wstyd mi! starzec zapala we mnie iskrę ducha.“

Ale ta iskra płomienia w nim nie wydaje, bo młodzieniaszek już zbyt jest mądry, żeby w co dodatniego wierzyć.

„Gdzie ludzie oddychają, ja oddech utracam.
Z wyniosłych myśli ludzkich, niedowiarka okiem
Wsteczną drogą do źródła mętnego powracam.“

Główną zaś przyczyną téj całéj biedy jest, że się małoletnie paniątko kocha.

„Jam się w miłość nieszczęsną całém sercem wsączył"!...

Przedmiotem téj miłości, dlatego nieszczęsnéj, bo niewzajemnéj, jest Laura, osoba starsza nieco aniżeli kochanek, która go też za dziecko — zresztą wiele obiecujące uważa i jako takie traktuje. Ta Laura, jestto znana nam już z pierwszego rozdziału panna Ludwika, a Kordyanem w tym Akcie jest nie kto inny jak Julek Słowacki z czasów wileńskich. Rzeczywiście, cały ten akt, jakoby około jedynéj osi obracający się około miłosnego stósunku rzeczonéj pary, jest to tylko parafraza dramatyczna odpowiedniego ustępu owéj „Godziny Myśli," w któréj autor swoję własną młodość opisał. Wiersz ten łączy się tak bezpośrednio z aktem Iszym Kordyana, że początek tego ostatniego byłby nawet niezrozumiały, gdyby go nie był tamten utwor poprzedził. Godzina Myśli kończy się tym cztérowierszem:

„Oto jest romans życia, nieskłamany niczém —
Zabite głodem wrażeń jedno z dzieci kona,
A drugie z odwróconém na przeszłość obliczem
Rzuciło się w świat ciemny! — Powieść nie skończona."—

Kordyana zaś początek taki:

„Zabił się młody. — Zrazu jakaś trwoga
Kładła mi w usta potępienie czynu," itd.

Kto się zabił? — tego by się czytelnik wcale więc z Kordyana nie mógł domyślić, gdyby nie było wskazówki ze strony tamtego poematu, że mowa jest o przyjacielu owym poety, o Ludwiku Spitznaglu, który z melancholii sam sobie życie odebrał.

Wkładając w ten sposób autor w opowieść dziejów Kordyana ustęp z własnéj swojéj przeszłości, nie zamierzał przeto bynajmniéj pod przybraném imieniem przedstawić w dramacie siebie samego. Chciał on tu tylko dać wizerunek młodości spędzonéj nienaturalnie i tak niefortunnie, że z niéj jak z fałszywego punktu wyjścia snuć się już musiał i dalszy wątek życia bezładnie. Więc podłożył bohaterowi swemu żywcem historyą własnéj swojéj młodości, nad którą nie przypuszczał, żeby być mogło coś jeszcze jaskrawszego.

W akcie drugim Kordyan już jest dorosłym. Jak się zdaje, przebolał on już zawody, jakich w pierwszéj wiośnie wieku doznał w skutek owych melancholii miłosnych. Wyleczony zupełnie on jednak z tego wszystkiego nie jest. Szuka tedy zdrowia duszy pod różnemi niebami. Spotykamy go wędrowcem to w Londynie, to gdzieś na skalistém wybrzeżu morza, to na Watykanie, to na szczytach gór szwajcarskich. Raz go widzimy rzucającego się w sam wir zbytku i zmysłowéj rozkoszy — to znowu błądzącego samotnie z Szekspirem w ręku, albo oddającego korny pokłon głowie kościoła. Kordyan szuka wszędzie leków na swoję słabość, szuka trwałości i prawdy w uczuciach, szuka ducha w pozornych formach, imponujących jeszcze ludzkości. Pragnie znaleść choć w jednym świata zakątku ten kwiat piękności i prawdy, któryby odpowiedział jego złotym marzeniom, a zakrył smutną rzeczywistość z przed oczu. Nadaremnie! To co go miało uleczyć, staje się dla niego nową trucizną. Przekonywa się, że wszystko jest na ziemi przedajne, fałszywe, zewnątrz pozornym szychem poszyte, a wewnątrz puste i martwe...

„Próżno myśl geniusza świat cały pozłaca,
Na każdym szczeblu życia rzeczywistość czeka.
Prawdziwie, jam podobny do tego człowieka,
Co zbiera chwast po skałach życia — Ciężka praca!“

Owoż więc straciwszy siłę ducha do reszty w tych wędrówkach pomiędzy ludźmi w dalekim świecie, rzuca się wreszcie w objęcia natury, natury dziewiczéj, niepokalanéj, dzisiaj jeszcze takiéj saméj, jaką kiedyś wyszła z rąk stwórcy. To jeszcze piękność — jedyna, ostatnia dzisiaj piękność w stworzeniu! Wspina się na sam wierzch najwyższéj góry alpejskiéj, ze szczytu jéj ogarnia okiem cały widnokrąg. I w téj czystéj atmosferze owianéj wonią lepszych wieków, w atmosferze nie mającéj żadnéj wspólności z tym kałem tchnienia, jakiém oddychają zaludnione niziny ziemskie, zapala się w nim pragnienie zużytkowania tych ostatnich niestety szczątków już życia na pożytek czegoś dodatniego na świecie.

„Uczucia po światowych opadały drogach...
Gorzkie pocałowania kobiety — kupiłem!

Wiara dziecinna padła na papieskich progach —
Nic — nic — nic — aż w powietrza błękicie
Skąpałem się i ożyłem
I czuję życie!“

. . . . . .

„O! gdyby tak się wedrzéć na umysłów górę,
Gdyby stanąć na ludzkich myśli piramidzie
I przebić czołem przesądów chmurę
I być najwyższą myślą wcieloną!
Pomyśleć tak — i nie chcieć? o hańbo! o wstydzie!
Pomyśleć tak — i nie móc? w szmaty podrę łono!
Nie móc? to piekło!
Mogę — więc pójdę! ludy zawołam! obudzę!“

W takiém usposobieniu — natchniony, porwany — ale tylko uczuciem i zapałem — nie wolą ani też konsekwencyą dawniejszego żywota, powraca Kordyan do kraju i rzuca się w wir czynów. Z winy własnéj i z winy okoliczności, wśród zawodu — upada...

Działania jego, od téj chwili począwszy, zamyka w sobie akt trzeci. Rozbierać go szczegółowo nie będę. Wystarczy tylko nadmienić, że jeżeli gdzie, to właśnie w tych kilku scenach, które odtąd następują po sobie, okazał Słowacki tyle świetności i potęgi prawdziwego talentu dramatycznego, że tylko dziwić się można, że nie zajął w późniejszych swoich pracach odpowiedniego takim początkom miejsca w tym rodzaju poezyi. Dramatyczne jego pisma późniéj wydane ani siłą, ani przedmiotowością, ani wreszcie samą artystyczną dzielnością nie dorównywają już tym kilku mistrzowskim scenom, tworzącym dzieła tego akt trzeci. W ogóle jestto część utworu, którą pod względem artyzmu zdaniem mojém liczyć należy do najpiękniejszych rzeczy, jakie literatura zawdzięcza Słowackiemu.

ROZDZIAŁ ÓSMY.

Rok 1834 i 1835.—Wiara w przeczucia. Śmierć babki.—Eglantyna. Przykrości wygnania dają się czuć pod każdym względem. Smutne usposobienie. Skromne życzenia, bez nadziei ich osiągnięcia. — Wieczorki genewskie. Prace i studya: Filozofia — Biblia — Georges Sand. Wallas — Mazepa — Balladyna — Horsztyński. — Lepsze chwile — Nowa znajomość — Marya W. — Podróż w miłém towarzystwie i dalsze z tego następstwa. — Rozczarowanie — trzy miesiące samotnego pobytu w górach. Przesilenie i nowe ideały. „W Szwajcaryi“ — Anhelli.

Do liczby rzeczy, nad zbadaniem których tysiące już sobie głowy łamało, a które pomimo tego na zawsze pozostaną zagadką dla filozofów i niefilozofów, należy niewątpliwie i pytanie, czy człowiek zdolny jest samym instynktem odbierać czasem wrażenia z zdarzeń, które dopiero w przyszłości spełnić się mają? Psychologiczną tę wątpliwość rozstrzygnąć dlatego prawie jest niepodobno, że nader trudno jest zebrać rzetelne w téj mierze fakta. Przypadek odgrywa tu wielką rolę. Co zaś najgorsza, to że najczęściéj się zdarza, iż ci którzy podzielają wiarę w przeczucia i radziby zapewnić téj wierze jak najszersze między ludźmi rozpowszechnienie, sąto albo mistycy, którzy sobie roją że niestworzonych rzeczy doznają, albo oszuści, którzy wprost kłamią dziwy nadprzyrodzone. Bądź jak bądź — przeczyć temu jednak nie można, że zdarzają się niekiedy natury, natury za zwyczaj fizycznie wątłe i z zarodem pewnéj chorobliwości w sobie, a zato duchowo więcéj rozwinięte, niż ogół: którym wyjątkowo dany jest ten dar przeczuwania zdarzeń dopiero nadejść mających. Że zaś do nich należał i Juliusz Słowacki: tego możnaby na podstawie jego ko-

respondencyi dowieść najpozytywniéj. Prawie każde nadchodzące nieszczęście, czy to w familii czy dotyczące kraju, sprawiało w jego umyśle jakąś nieopisaną trwogę, z któréj sobie nie umiał zdać sprawy przed czasem. W listach jego pełno na to dowodów, że wysyłane do niego doniesienia o zgonie czyim w rodzinie zastawały go prawie zawsze, czy to przez sny szczególne, czy bezpośrednim instynktem przygotowanego na to, że się dowie o czémś bolesném. Słowacki sam zastanawiał się nieraz nad tém swojém usposobieniem. Nie umiał go sobie wytłómaczyć, ale wierzył w przeczucia i często też w dziełach swoich (zwłaszcza za życia niewydanych) zastósowywał artystycznie ten wypadek spostrzeżeń zrobionych na sobie samym.

„Prawdziwie, że to jest coś niepojętego — ta magnetyczna władza przeczucia (pisał był z Paryża jeszcze *) przypominając sobie, co się z nim, bawiącym wtedy w Londynie, działo w nocy przed dniem 15 sierpnia 1831, dniem tak posępnie zapisanym w dziejach listopadowego powstania). Gdy dnia tego zszedłem na śniadanie, Anglicy mnie dopytywali się o przyczynę pomięszania. Odpowiedziałem im, że musiało się stać coś smutnego w mojéj ojczyźnie, i Anglicy śmiali się ze mnie. A ja tryumfowałem, kiedy w dni 15 nadeszły gazety; i Anglicy patrzeli na mnie, jak na człowieka obdarzonego władzą drugiego widzenia Szkotów.“

W jesieni r. 1833 zakończyła życie po kilkodziennéj chorobie babka jego w Krzemieńcu. Juliusz nic nie wiedział o jéj słabości; a jednak przez cały ten czas dręczyło go i w tym razie jakby widmo jakieś ciągle mu zaglądające w oczy.

„Niespokojność jakaś dręczy mię ciągle... Często zatrudniony czytaniem albo jaką cichą pracą, wstaję nagle; jak waryat chodzę z myślami, od których odpędzić się nie mogę. Ta niespokojność prawdziwie ma jakąś twarz ludzką i bladą, którą widzę nieraz nagle wyrastającą z kart książki, którą czytam, i nie rozumiem książki.“ —

Stan ten duszy przypisywał on wtedy tylko melancholicznéj swojéj skłonności. Wyjątkowo nie przypuszczał tym razem wcale, żeby mu to zwiastowało jaką smutną wiadomość. A takowa już była w drodze do niego!

---

*) d. 4 października 1832 r.

„Niespokojność ta (pisał daléj w tymsamym liście) często jak jakaś gorycz odbiera nagle smak pokarmom, które do ust niosę. I muszę z nią walczyć, jak z domowym wrogiem. Dziwnie to, że imaginacya moja jest jedyném źródłem wszystkich moich nieszczęść i wszelkiego szczęścia na ziemi!.. Bo prawdziwie, że jestem szczęśliwy często tą władzą twórczą urojonych wypadków. Szczęśliwy jestem każdego wieczora, kiedy piszę — każdego ranku, kiedy chodzę po suchych liściach w ogrodowéj alei. Nie możecie wystawić sobie, jaki wdzięk ma tutejsza jesień. Dotąd czas najpiękniejszy—słońce świecąc na wpółpożółkłych drzewach, zdaje się być bardziéj złociste i piękne. Murawy zachowały tu dotąd smaragdową barwę. Kilka dni temu o południu pływałem czołnem po jeziorze. Wystawcie sobie jezioro czyste i równe jak zwierciadło... tak równe, że kiedy koło mnie przepłynął z daleka parowy statek, w kwadrans potém widziałem zbliżający się fałd czarnéj rozbitéj kołem parnego statku wody — fałd ten posuwał się zwolna — wspaniale, i czołnem mojém lekko zakołysał — przeszedł, popłynął daléj — a czołno znów stało nieruchome na zwierciedle wody. Wystawcie sobie po dwóch stronach jeziora brzegi zielone, nad brzegami w oddaleniu topole pożółkłym liściem okryte, jak złote kolumny — wiele drzew zielonych — wiele białych domków i pałacyków, a za tym brzegiem Mont-Blanc biały — świeżym śniegiem z przyległemi mu górami okryty — podobny do jakiegoś sybirskiego kraju, podobny do snycerskiego posągu sybirskiéj krainy. Wśród takiéj natury trzeba być smutnym, albo trzeba się kochać!“ (z listu z d. 27 października 1833).

To też był poeta nasz smutny bardzo całéj owéj jesieni i przez ciąg zimy, która po niéj nadeszła. Do drugiéj zaś alternatywy, jaką postawił, do zakochania się w kim — nie przychodziło! Zdaje się wprawdzie, że był on przedmiotem tkliwszych uczuć dla osoby, która go widywała codziennie. Chociaż jednak może on był kochany, to jednak za to wzajemnością jéj nie odpłacał. Jeżeli zaś odpłacał, to tylko chyba przywiązaniem brata. Czasem wprawdzie zdawało się, jakby się już zanosiło i na coś więcéj. Na téj jednak tylko n a d z i e i miłości kończyło się wszystko u niego!

„Fundusze moje uszczuplają się — pisał 3 stycznia 1834 r. — rzucę Genewę i pójdę gdzie żyć w wieśniaka szwajcarskiego domu. Byle piękną naturą otoczony — nie

dbam o zwierzęce wygody życia! Dziś nawet, Mamo moja, gdybyś mi szczerze napisała, że interesa nasze wymagają tego, dziś nawet uskuteczniłbym ten projekt cichego życia w górach. Albowiem nie widzę w tém ani upodlenia ani śmieszności. Mówiłem raz już o tym projekcie pannie Eglantynie — a ona ani się śmiała z niego ani go potępiała jak szaleństwo, i tylko mię prosiła, abym nie zapomniał, że ona mię uważa za brata, a matka jéj za syna."

Zająwszy ten stósunek przywiązanéj do niego siostry, dzieliła ona szczerze wszystkie jego cierpienia. Lubiła często mówić z nim o jego matce, przypisywała się w listach, które on pisał do niéj, i miewała też od niéj listy. Nieraz mu powtarzała, że matkę jego kocha bardzo, że do niéj pojedzie i będzie się jéj starała syna zastąpić, a przynajmniéj ulżyć jéj, mówiąc jéj o nim.

Owoż więc, co i Juliusza do niéj coraz bardziéj przywięzywało. W téj mierze ciekawém jest, co pisał o sobie w czerwcu 1834, z powodu jéj wyjazdu z domu na 5 tygodni.

„Panna Eglantyna wyjechała przed 5 dniami do Paryża, gdzie na nią jéj wuj czeka i dziwy paryskie jéj chce pokazać. Odjazd jéj bardzo mi smutny — bo ona szczerze do mnie przywiązana — jak siostra — i bardziéj może, niż siostra. Nie uwierzysz Mamo, jak smutny mi był ranek jéj wyjazdu. Miała odjechać o godzinie 4 z rana, przyrzekłem więc, że ją o trzeciéj obudzę; jakoż nie położyłem się spać i czytałem leżąc na kanapie do godziny 3ciéj. Srebrne jakieś światło porankowe oblało drzewa i murawy ogrodu, przeszedłem przez pokoje i stukaniem do jéj drzwi obudziłem ją. Ty wiesz Mamo, jaką posępność ma w sobie chwila odjazdu. Ubrała się — wyszliśmy z domu przez rozwidniający się ogród — wschód słońca blaskiem złocił się — ptaszki śpiewały po drzewach i zimno poranku napełniało jakiémś dziwném elektryczném drżeniem. O! chciałbym was postawić na wzgórku, na którym staliśmy, czekając powozu. Z tego wzgórka widać było całe błękitne jezioro, za niém śnieżne góry, nad któremi wstawał ze snu biały Mont-Blanc. Eglantyna płakała jak dziecię — ja byłem takim, jakim mię często Mama widziałaś, z ponurą walką myśli na czole. Każda taka chwila budzi we mnie jakieś odległe wspomnienia — każda taka chwila smutna teraz jest jakoby zwierciadłem, w którém całe moje smutne życie widzę w mięszanych kolorach. Zaszedł wreszcie powóz — wsiadła do niego — a ja zostałem sam je-

den — jak słup na zielonéj murawie — patrząc na ozłocone niebo. W kilka chwil potém weszło słońce — naprzód jakieś ogniste płomienie wytrysły z ziemi i wahały się — przelewały się — aż cały krąg słońca wyszedł na niebo. O godzinie 5ej wróciłem do siebie — pozamykałem okienice i dziwnie posępnego wrażenia doznałem, widząc na kanapie rozrzucone książki, które chwilą pierwéj czytałem i które porzuciłem w nieładzie, idąc zbudzić pannę Eglantynę. Zdaje mi się, Mamo kochana, że ty pojmiesz, co było smutnego w tym powrocie myślą do kilku ubiegłych godzin. Po wywyjeździe Eglantyny smutno mi było bardzo. Ona miała nademną jakąś panującą władzę siostry. Kiedy mię list jaki zasmucił, jaka wiadomość zła zgryzła — ona umiała z twarzy mojéj wyczytać smutek i zawsze jéj się musiałem wyspowiadać — a po spowiedzi lżéj mi było."

Po jéj odjeździe czuł Juliusz więcéj jeszcze, niż kiedy, jednostajną samotność swego życia. Nic mu nie dolegało, było mu — jak się wyraża — dosyć znośnie na tym świecie; a jednak zdawało mu się, że żył przez ten miesiąc jak kwiat, na jedném miejscu — tąsamą rosą i témsamém słońcem — dziś jak wczoraj — jutro jak dzisiaj... Jedne tylko listy, które do niego Eglantyna podczas téj podróży swojéj pisywała, „listy długie i miłe," urozmaicały mu trochę tę jednostajność czasu.

„Przynajmniéj — powiada — w godzinę nadejścia poczty oczekiwałem czegoś; gniewałem się, kiedy pocztylion z pustemi rękoma przeszedł koło domu, i znów nadzieję obracałem na jutro. Nie myśl, kochana Mamo, żeby te listy przynosiły mi nadzwyczajne szczęście. Oczekiwałem każdego, jak małéj jakiéj nowości. Karmię się już tylko teraz ułamkami, czyli obłamkami uczuć i szczęścia." (dnia 13 lipca 1834).

Ta trudność, ta jakby niemoc wzbudzenia w sobie silniejszych uczuć, pomimo że się w owych latach tyle osób, godnych może aby wywołać takowe, przesunęło około niego, było nieraz przyczyną, że Słowacki był sam ze siebie niekontent.

„Na jednym wieczorze w domu jednego z panów włoskich tańcowaliśmy. Widziałem tam trzy ładne Angielki, które wszystkim prawie głowy zawróciły, na mnie tylko nie zrobiły żadnego wrażenia. Lękam się, czy już nie umarłem, bo mi się zdaje, że już nigdy kochać nie będę. W mojéj głowie utworzył się jakiś obraz, jakieś wyobrażenie ogro-

mnéj miłości, niepodobne do osiągnienia. Moi znajomi wszyscy latają za temi Angielkami, jak wróble i bawią się. Czasem im zazdroszczę"... (d. 5 lutego 1835).

Podobnie niezapełnioną próżnię czuł w sobie Juliusz i ze strony innego jeszcze uczucia — przyjaźni. Miał on, w Paryżu jeszcze mieszkając, dwóch ukochanych przyjaciół. Jeden z nich atoli umarł, drugi późniejszém postępowaniem swojém okazał, że nie zasługiwał na zaufanie niczyje. Za przybyciem do Genewy, nie żył poeta ściśléj już z nikim.

„Oprócz moich gospodyń, które mi sprzyjają bardzo, (pisał dnia 18 grudnia 1834) nie mam przyjaciela na tym szerokim świecie."

Wprawdzie bawiło wtedy w Genewie, w różnych czasach, nieraz po kilku młodych Polaków, z którymi niekiedy się widywał Słowacki. Warto tu na przykład wspomnieć o wiejskiéj uczcie, którą mu razu pewnego wyprawili jego rodacy, w sam dzień imienin jego matki, w r. jeszcze 1833.

„Imieniny twoje, Mamo, musiałem wczoraj obchodzić ze znajomymi. Chłopcy młode przyjechali po mnie o godzinie 10téj z rana i powieźli z sobą na obiad — na wieś, pod góry genewskie. Było nas kilkunastu. Kiedyśmy jechali — chmury czarne snuły się po niebie — sam tylko Mont-Blanc biały świecił się od słońca, jak posąg Sybiru. Potém dészcz lunął rzęsisty — ale po deszczu najśliczniejsza tęcza rozwinęła się nad nami. Wszystko to poruszyło aż do głębi serca nasze — w téj tęczy widzieliśmy jakąś wróżbę. Zasiedliśmy do stołu, jeść nie wiele znaleść mogliśmy w wiejskiéj oberży, ale szampan wszystko wynagrodził. Na prośbę kolegów pierwszy raz improwizowałem, i domyślicie się, że ta tęcza była treścią mojéj ody. Koledzy klaskali w ręce, a potém ściskali mię ze łzami — a potém pili moje zdrowie; a kiedy im powiedziałem, iż Ty Mamo, nazywasz się Salomea — pili twoje zdrowie. Najbardziéj rozczulająca była chwila, kiedy po różnych pieśniach zaintonowaliśmy wszyscy pieśń: Święty Boże! święty mocny — święty nieśmiertelny — zmiłuj się nad nami! Ten hymn kościoła naszego nieraz mię do płaczu pobudzał — a w téj chwili miał w sobie coś ogromnego... Młodzi, około stołu oparci na dłoniach, podobni byliśmy do dawnych ojców naszych. Wystawcie sobie tę garstkę na obcéj ziemi, a pewnie uczujecie wrażenie, ja-

kiém nas natchnęła ta pieśń pobożna. Nasze uczty połączone są ze smutkiem. Łzy pijemy w naszych kielichach, i kielichy są pełne goryczy, dopóki Bóg ich od nas nie odwróci.“ (z listu z d. 30 listopada 1833).

Takie poważne a miłe jednak chwile, w towarzystwie ziomków spędzone, były wszelako rzadkiemi zdarzeniami w posępném życiu wygnańca. Nie mogły mu one zastąpić tego, czego pragnął najwięcéj. Zresztą przy podobnych okolicznościach powiększało się tylko koło jego znajomych. Imieniem przyjaciela — przez cały ten czas przepędzony w Szwajcaryi, nie obdarzył Słowacki z nich żadnego.

„Nie mam teraz nikogo, coby mi najmniejszą chwilę życia skrócił przyjazną rozmową — nikogo, coby mi przyjaźnie rękę ścisnął. Wina to mego odludnego życia — wina miejsca, w którém żyję; nakoniec mam w sobie coś, co tak na ludzi działa, że nigdy ze mną spoufalić się nie mogą. Często szukam w głębi serca mego przyczyny tego, i znaleść nie mogę. Bóg mi przeznaczył miejsce w jakim cichym klasztorze. Dlaczegoż nie dał mi téj mistycznéj pochodni, z którą w klasztorze mógłbym się zamknąć i latać na skrzydłach wiary w jakąś błękitną krainę nieskończoności?“ (d. 5 lutego 1835).

„Ludzie mnie trzymają za żelazo — bardzo zimne! Wszak pamiętasz Matko, że jeszcze na Julka dziecko mówiono, że dumny. To wina mojéj twarzy — i Boga. Zdaje mi się, że Bóg miał włożyć kiedyś moję duszę w orła, co śpi na igłach śniegu, nie budząc się, kiedy wicher obrywa mu pióra; co nie ma przyjaciół i szczęśliwy, że sam — patrzy na słońce! Szkoda, że nie poszedł stwórca za pierwszą myślą, że zrobił ze mnie posępne nic! Takby mi dobrze było ze skrzydłami — i z jękiem ptaka w piersiach! Trzeba zniżyć lot“ ... itd. (d. 30 czerwca 1835).

Dawniéj — w pierwszych latach młodości i nawet jeszcze w Paryżu, kiedyto wydawał pierwsze tomy swoich poezyi — zapalała go nadewszystko myśl sławy. Nadzieje jego, na téj podstawie oparte, nie miały granic! Zdawało mu się, że warto wszystko, co człowiek nazywa szczęściem na ziemi, poświęcić temu jednemu ideałowi; albowiem sława wszystkie rodzaje szczęścia w sobie zamyka i jest już sama przez się szczęściem najwyższém. Zwolna, w latach dalszych, o których teraz mówimy, zaczęły

się przed oczyma poety rozpływać coraz bardziéj w nicość ułudy tego marzenia. W miarę im się więcéj zbliżał do sławy, tém się bardziéj przekonywał, że w niéj nie znaleść tego wszystkiego, czego się dawniéj od niéj spodziewał. Nęciła go ona wprawdzie i teraz jeszcze. Kiedy patrzał, jak w r. 1835, na małéj jednéj wysepce genewskiego jeziora, stawiano pomnik dla Russa, wobec całéj ludności miasta zalegającéj brzegi jeziora, przy nieustających wystrzałach z armat: wtedy w chwili, gdy wkładano złoty wieniec na głowę posągu tego wielkiego pisarza, łzy mu się polały z oczu. Właśnie tego samego dnia z rana był on otrzymał wiadomość z kraju, że jego Kordyan z powszechnym zapałem został przyjęty w Krakowie. Ta okoliczność tém bardziéj go nastrajała do rzewnego udziału w całéj owéj uroczystości ludowéj Nie mogła się nie zrodzić myśl w jego duszy, że kiedyś... i jemu może które z miast jego ojczyzny będzie oddawało w podobny sposób dowody czci przynależnéj... Uznania tego był Juliusz pewien. Wiedział jednak, że to nastąpi dopiero późno, kiedyś — kiedyś długo po jego śmierci! Wiedział, przeczuwał, że życie jego będzie już do końca takie smutne, jak dotąd, i że on pozostanie na zawsze taki samotny pomiędzy ludźmi.

„Tak się już teraz ograniczyłem w moich żądaniach, że żadne błyszczące marzenia nie śmieją kłócić mojéj spokojności. Inaczéj to było, kiedym był jeszcze dzieckiem! Pamiętam, że przez długie godziny nieraz chodząc po pokoju, rozwijałem w myślach moich jakieś świetne szczęścia, bogactw i sławy obrazy. Niski sufit mego w Wilnie pokoiku nie wstrzymywał mojéj bujającéj myśli. Żal mi dziś nieraz, że ta władza marzeń zagasła we mnie. Jedyna myśl mię teraz pociesza w życiu — oto zdaje mi się, że jestem tém, czém być powinienem. Zdaje mi się, żem nie minął mojego powołania, że zapełniam sobą jednę małą kratkę na świecie.“ (d. 6 czerwca 1834).

„Czasem chodząc po alei ogrodu przy świetle księżyca, mam jakieś uczucie samotnéj dumy, które mię pociesza. Ludzie, którzy mię teraz zapominają, może będą kiedyś pamiętać o mnie; a kiedy przyślą tutaj wygrzebywać popioły leżące po zielonych cmentarzach, może także i mnie wezmą i zaniosą do mojéj ziemi. O takim teraz marzę powrocie“... (d. 5 lutego 1835).

Jakże odbijała od tego posępnego obrazu, w którym on sobie teraz swoję przyszłość malował, jasna, pogodna, prawdziwie sielska dola najmilszego jemu ze wszystkich poety zygmuntowskiego, a nawet obydwóch Kochanowskich!

„Prawdziwą rozkoszą dla mnie są oba Kochanowscy. Codzień odczytuję ich dzieła. Jak ten Jan Kochanowski był spokojny i szczęśliwy w swéj chacie — z żoną — z dziećmi! Pod wyniosłą lipą Czarnolesia musiał sobie po obiedzie zasypiać — i do téj lipy tak piękne wiersze napisał. Prawdziwie mu zazdroszczę jego chaty — lipy — żony — dzieci — i czasów szczęśliwych, w których żył“... (d. 27 kwietnia 1834).

I Juliusz marzył często o podobnym kąciku własnym, o ustronnéj chacie takiéj, w któréjby żył bez troski o jutro, nie pytając się o świat dalszy, — byle razem z matką, od któréj rozłączenie tém bardziéj coraz stawało mu się przykrzejsze, że w téj miłości synowskiéj, jak to sami widzimy, zamykały się wszystkie jego uczucia. Rzeczywiście matka zastępywała mu wszystko na świecie! Była to jedyna osoba na ziemi, którą gorąco kochał i w któréj miłość ku sobie wierzył. A Słowacki tak koniecznie potrzebował być choć przez kogoś kochanym! Gdyby nie ta matka, gdyby nie listy, które go do niéj idealnie przenosiły, gdyby nie ta niewidzialna opieka, pod któréj skrzydła myślą się tulił: toby mu życie na tém samotném wygnaniu było ciężarem nie do zniesienia, niepodobieństwem... Ileż on cierpiał, że do niéj wrócić nie może, że jéj — zamiast pociech spodziewanych — zaprawił resztki życia goryczą, sieroctwem, osamotnieniem.

„Mamo moja! tobie Bóg nagrodzi za miłość twoję dla syna jakiémś dziwném i niewymownem szczęściem — — Musiałem uspokoić i zatrzymać pióro, bo zaczęło pisać łzami“... (d. 5 lutego 1835).

. . . „Syn twój z daleka ręce do ciebie wyciąga i prosi cię, Matko, abyś mu przebaczyła, że cię tak samą na świecie zostawił, bez żadnych przyjemności życia, pomiędzy pomnażającymi się codzień grobami rodziny. Mamo moja, czyśmy my starzy? czyśmy my przespali wieki lat, że tak nam wielu osób brakuje? Czy nas Bóg złączy kiedyś, dla tego abyśmy przed śmiercią mogli sobie powiedzieć, żeśmy żyli — abyśmy na zmienionych twarzach naszych wyczytać mogli tosamo słowo: Żyliśmy. ...Matko moja, uśmiechnij

się! Niech Ci przyjdą wesołe myśli — wesołe marzenia! Wrócę kiedyś — a jeżeli nie, to znajdę sobie za granicą ładną — dobrą — może nawet bogatą żonę... Będę miał synów — córki; wybiorę najpiękniejszego z synów i przyślę go na twoje kolana. Tylko Matko odpędzaj go od książek, niech nad śmiercią Hektora nie płacze, niech się nie uczy od Jowisza Iliady zmarszczeniem brwi świat wstrząsnąć! Daj mu zimną Eneidę, któréj Julek częstém czytaniem nie podarł. — Niech ze spalonego miasta uczy się z Eneaszem unosić Boga, matkę, żonę, dzieci — niech nic nie zostawia po sobie, czego by mógł żałować“... (dnia 27 października 1833).

To były tylko myśli przelotne, wyrzeczone nie na seryo, — fantazye, któremi chciał tylko matkę rozerwać i rozweselić. Daleko też częściéj snuł on sobie marzenia, których celem ostatecznym był — nie powrót do Krzemieńca, ani też otoczenie się rodziną jako głowa familii, ale tylko maleńki domek własny i matka w nim. Nieraz w listach powtarzał, że teraz głównem jego zatrudnieniem były marzenia, które się ograniczają do bardzo małéj rzeczy, to jest do własnego byle gdzie domku.

„Chciałbym mieć coś swojego na téj ziemi, coś bardzo maleńkiego, coś bardzo pełnego kwiatów, drzew i zieloności“...

Fantazya jego już mu go malowała w gotowych kształtach. Miała to być chatka biała jak śnieg — z zielonemi okienicami, z czerwonym dachem — obsadzona różnofarbnemi malwami.

„Malwy są to moje ulubione kwiaty. Dziwnie, że je tak lubię, chociaż nie mają zapachu. Sądziliby z tego ludzie, że jestem zupełnie nieczuły.“

Z tyłu, za domkiem, miało rość kilka jodeł i kilka brzóz drżących. Ścieżki byłyby wysypane żółtym piaskiem, i jaskółki gnieździłyby się nad gankiem. Wszystkoby w téj chatce było maleńkie, tylko salonik powinien być dosyć obszerny —

„abyśmy oboje mogli krążyć i mijać się łatwo; gdyż lubię kwiaty, tak jak Ty Mamo, i tak jak Ty powziąłem jeszcze i zwyczaj chodzenia długiego w kółku po pokoju. Śmieją się nieraz domowi, widząc mię krążącego jak gwiazda około marmurowego stołu po pokoju. Jedni myślą, że agitacyi używam dla zdrowia, inni, że wiersze składam i komponuję; a to jest tylko familijny mój nałóg. Tak chodząc, najczęściéj nie myślę o niczém, dogadzam tylko nie-

spokojności nerwów moich. — Kiedyż więc Mamo, obsadzimy mały nasz domek malwami? O! jakieby to szczęście było!“ (d. 13 lipca 1834).

Cel życzeń był tedy sformułowany, gotowy. Chodziło tylko o to, gdzieby osadzić na realnym gruncie ten obrazek w wyobraźni zrodzony? Chodziło o rozstrzygnienie pytania, w którym się kraju zjechać i osieść? Tu mu się na myśl nasuwały różne punkta. Lwów — Drezno — Kraków — którekolwiek z miast włoskich — wreszcie Genewa, w któréj już mieszkał... Każda z tych miejscowości trzymała uwagę jego czas jakiś wyłącznie zwróconą na się; po dojrzalszym jednak namyśle odsłaniały się trudności w praktyczném przeprowadzeniu projektu w życie, dla których niepodobno było łudzić się nadziejami. Klimat Krakowa wystawił mu ktoś jako niestósowny dla jego skołatanego zdrowia.

„Wielu mi mówiło, że tam choćbym największe ostrożności około mego zdrowia przedsiębrał, dłużéj nad miesiąc nie mógłbym wytrzymać.“ (d. 28 września 1834).

Zresztą tak do Krakowa, jak do Lwowa lub wreszcie do Drezna, okazywało się przeniesienie zbyt utrudnioném z powodu okoliczności politycznych, które nad wszelkie wyobrażenie były uciążliwe w tych latach. Wyprawa partyzancka do pewnych prowincyi polskich roku 1833, któréj intencye i szczegóły dotychczas mało komu w kraju są znane, nie pozwalała ani myśleć o wykonaniu projektów, jeżeli takowe dotyczyły powrotu emigranta w te strony. To też wyraźnie do téjto okoliczności odnosi się Słowacki, kiedy powiada:

„Nieszczęśliwe polityczne wypadki, do których się bynajmniéj nie mięszałem, nie pozwalają mi ani w prawo, ani w lewo. Miejsce, gdzie teraz jestem, mogę w pewnym względzie za rozległe uważać więzienie. Nie pojmiecie tego, jak nam źle, jak nigdzie przytułku nie ma“... (dnia 27 kwietnia 1834).

Co się nakoniec tyczyło zamieszkania wspólnego we Włoszech, albo też sprowadzenia matki do bardzo przyciśnionéj drożyzną życia Genewy: — i takowe okazywało się przy bliższém rozpatrzeniu także niepodobieństwem, a to dla braku dostatecznych funduszów. Majątek téj rodziny nie wystarczał na to, ażeby mieszkać mogli oboje w rzeczonych krajach.

Łudził się tedy biedny wygnaniec tylko przypuszczeniem jednego jeszcze projektu, który równie był niepraktyczny, jak wszystkie inne, chociaż miał więcéj pozorów.

Mówiono mi o jednym domku w Dauphiné we Francyi, o kilka mil od Genewy. Domek ładnie umeblowany, maleńki, wśród łąk, otoczony małą błękitną rzeczką, z ogrodem — słowem ładna mała pustelnia na pustyni. O półczwarty mili od niéj Lyon, miasto wielkie i największe po Paryżu we Francyi. Domek ten możnaby, jak powiadają, mieć za 10,000 franków, to jest za 18,000 złp. Prawda, że ziemia przyłączona do niego nic prawie nie przynosi, bo mały jest kawał téj ziemi; ale życie w tym domku byłoby wcale nie drogie. Jakby mi tam dobrze było z Mamą! Na zimę moglibyśmy jechać do Lyonu albo do Genewy, a skoro tylko słoneczko dogrzeje, uciekalibyśmy do naszéj chaty. W około najpiękniejsze okolice — śliczne góry — po górach zamki, dawne i odnowione. W tych zamkach na lato często przyjeżdżają i mieszkają panowie. — Powiédz mi, Mamo, czy Ci się nie podoba ten projekt. Czy może myślisz, że ja tak, jak Fortunat, zniechęciłbym się prędko cichém i samotném życiem? Tobie się może Mamo, wszystkie takie projekta wydają romansowe i niepodobne do uskutecznienia. Ale prawdziwie, że w tym wieku, gdzie tyle jest oschłości i rzeczywistości zimnéj w wypadkach, ludzie szukają cichych schronień, jak dawniéj szli do klasztorów. Gdybym wiedział, że jest jaki sposób zgromadzenia i zebrania naszych funduszów, to mówiłbym Ci o tym domku z jak najusilniejszém naleganiem. (d. 7 marca 1835).

Co matka na tę propozycyą odpowiedziała, nie wiem. Ale i ten projekt upadł.

Wśród takich niepowodzeń, można sobie wystawić, co się dziać musiało w duszy Juliusza, którego usposobienie skłonne było do melancholii już z urodzenia. Sposępniał, zgorzkniał, zobojętniał dla otaczającego go świata. Był w r. 1834 już zupełnie innym człowiekiem, jak w roku poprzednim. Wtedy, wszystko w Szwajcaryi było dla niego jeszcze nowością. Obudzało jego ciekawość, nasuwało nowe myśli, często nawet się podobało. Z jakąż niecierpliwością oczekiwał on był wtedy przy nadchodzącéj wiośnie przybycia owych wędrowców z najróżniejszych krajów do domu Pani Patteg, których mu zapowiedziano na lato! Z jakąż

dokładnością malował potém w listach ich wizerunki! Była to jakby jaka zajmująca galerya najrozmaitszéj szkoły obrazów, które nasz poeta studyował. Wrok jeden późniéj nie miało to wszystko już żadnego interesu dla niego. Dom się zapełnił znowu nowemi figurami. Ale Słowacki zaledwie rzucił okiem na tych ludzi, którzy z nim żyli pod jednym dachem i zasiadali do jednego stołu. Nic prawie o nich w tym roku nie miał już do doniesienia matce. Wszystko, co o nich pisał, zawiera się w tych oto niewielu rysach:

„Wiele zamorskich figur przemija teraz koło mnie. Jaskółki angielskie rozpoczęły swój przelot na południe — i teraz dwie damy i jeden Anglik mieszkają w domu naszym. Nie możecie sobie wystawić, jak ci wszyscy wojażerowie są głupi, jak wszystkim czegoś nie dostaje! Jeszcze nie widziałem w domu naszym do rzeczy człowieka, ani przyjemnéj kobiety. Z żadnym nie można mieć rozmowy interesującéj. Wielu Anglików nie czytało Byrona! Inni o nim jak przez sen gadają. Cóż dopiero zapytać się ich o europejskiéj literaturze! Damy dwie, które są w naszym domu, prześliczne z twarzy i z urody; ale już mię piękność ich gipsowa doskonale znudziła. Chciałbym, aby przez dzisiejszą noc zbrzydły, a nabrały dowcipu i przyjemności. Ale one zapewne nie chciałyby takiéj metamorfozy.“ (dnia 6 czerwca 1834).

Nie zajmował się tedy żywiéj niczém i nikim, nie bywał prawie u nikogo. Przez ciąg całéj zimy ostatniéj nie przyjął był żadnego zaproszenia na bale, bo go nudziły. Zaledwie dał się namówić pójść na kilka małych wieczorów, na których także nie szczególnie się bawił; główną bowiem zabawą, jak powiadał, było tam jadło i picie.

„O godzinie 7 zaczyna się kolacya — zasiadają damy i męszczyźni około stołu pełnego szynek, indyków zimnych z truflami i ciast cukrowych, któremi Szwajcarowie nad innymi narody celują, i przy takiéj kolacyi trzeba siedzieć aż do godziny 11 czasem.“—

Po takiéj heroicznéj próbie cierpliwości i — apetytu, zaczynały się tańce, a pomiędzy nimi czasem i mazur. Ależ jak też tańczono tego nieszczęśliwego mazura!

„Dwadzieścia już z górą osób płci obojéj uczyłem z różnym skutkiem tańcować mazura, ale żaden męszczyzna

nie umie ani w takt biegać, ani à propos uderzyć w podkówkę.“ (d. 20 lutego 1834).

Owoż pojmie to pewnie każdy, że tryb taki spędzania wieczorów także nie przyczyniał się bardzo do zachęcenia naszego poety, ażeby więcéj się oddawał towarzystwu, aniżeli samotności. A chociaż czuł, że takie wegetowanie, takie trawienie się w sobie samym nie może być dla nikogo korzystném, i chociaż go matka za to strofowała w swoich listach, że nie żyje z ludźmi: rzeczy to wszystko jednak nie zmieniało. Odpisywał jéj w takim razie:

„Czuję sam sprawiedliwość twoich Matko wyrzutów i co zimy staram się poprawić. Zaczynam wizyty — i znów odpadam w dawny grzech samotności. Widać, że jest coś w moim charakterze nietowarzyskiego. Zdaje mi się, że gdybym miał władzę ziemską, byłbym okrutnym władcą jak wszystkie zwierzęta żyjące samotnie. Szczęściem to dla ludzi, że nie jestem niczém“... (d. 28 września 1834).

Teraz zwróćmy uwagę naszę na wewnętrzne życie poety—na jego zajęcia umysłowe, na to co czytał i co pisał w ciągu roku 1834.

Po napisaniu Kordyana oddał się przedewszystkiém studyom filozofii, i to głównie filozofii niemieckiéj. Wpływu jéj w pismach jego wprawdzie nie widać; że był jednak czas, gdzie się nią dosyć zajmował, o tém wspomina w kilku ówczesnych listach do matki.

„Pracuję teraz ciągle — czytam bardzo wiele — rzuciłem się cały w filozofią niemiecką. Pomimo wielu czczych marzeń idealizmu, karmi ona moję imaginacyą.“ (d. 3 stycznia 1834).

Pomiędzy doręcznemi dziełami, które szczególniéj rozczytywał, stawiał na pierwszém miejscu i „niewyczerpaném dla siebie źródłem pociechy“ nazywał pisma obydwóch Kochanowskich, i Biblią. Wzięcie do rąk pisma św. zawdzięczał przypadkowi. Oto ów misyonarz angielski, nazwiskiem Wolf, któregoto w dość śmieszny sposób opisywał w przeszłorocznych listach swoich, jako sąsiada i prozelitę pracującego nad jego nawróceniem, zostawił mu na pamiątkę już na wyjezdném stary i nowy Testament, a

przytém i kilka innych dzieł teologicznéj treści. Tych Słowacki czytać nie myślał, ale za Biblią był mu bardzo wdzięczny.—„Ta księga, są jego słowa, każdemu człowiekowi w życiu towarzyszyć powinna.“ — Była ona oczywiście w języku angielskim. Słowacki postarał się niezwłocznie o pismo św. w polskim języku i już w lipcu (1834) donosił: „Do mojéj polskiéj biblioteki przybyła mi Biblia w naszym języku, którą często z rozkoszą czytam.“ — Z obcych poetów przenosił nadewszystko Szekspira i Danta. Od czasu, jak wyjechał z Paryża, zastąpili oni u niego miejsce dawniéj zajmowane prawie wyłącznie przez Byrona. Z francuskich nowoczesnych pisarzów najwięcéj uderzała go zaczynająca się właśnie w owych latach dopiero wsławiać Georges Sand.

„We Francyi jest teraz nowa autorka, która wkrótce panią Stael zaćmi. Jestto rodzaj Byrona w spódnicy, to jest Byrona w prozie. Nie wiadomo dotychczas z pewnością, jak się nazywa, bo się ukrywa pod męskiém imieniem Georges Sand. Ale pewnie jest kobietą. Niektóre dzienniki pisały, że się nazywa pani Dudevant. Napisała trzy romanse prześliczne, ostatni dziwny i bardziéj do poematu, niż do romansu podobny.“ (d. 24 marca 1834).

W tymże samym liście donosił także o własném dziele, które miał wtedy pod ręką, a które było więc pierwszą jego pracą większą od czasu ogłoszenia Kordyana. Wzmianka ta tém bardziéj jest ciekawa, że dzieło, o którém mowa, nie zostało wydaném i nawet w pozostałych papierach doszukać się po śmierci poety nie można było ani śladu tego utworu.

„Ponieważ o wszystkich moich czynnościach donosić Ci zamierzyłem, otóż donoszę Ci Mamo, że teraz zajęty jestem pisaniem nowéj tragedyi o Wallasie, szkockim rycerzu. Wiesz, co mię do niéj przywiodło? Długo myślałem, jaki w dziejach różnych narodów najczystszy jest bohater i z najpiękniejszą duszą... Przypomniało mi się, że kiedyś w dzieciństwie, kiedyś mię Mama do uczenia się francuskiego języka zachęcała, mówiłaś mi: „Poznasz Wallasa życie“. Samo imię Wallas uderzyło magnetycznie na moję imaginacyą. Wystawiałem sobie coś podobnego do burzy — która Wali lasy. Nie mogę zdać sprawy z tego wrażenia, ale czuję je dotąd... W kilka lat potém czytałem romans: Les chefs Ecossais. Mama wtenczas grałaś na fortepianie smu-

tnego niemieckiego walca. Smutne wrażenie romansu tak się pomięszało z tą muzyką, że dzisiaj przez walec tylko romans widzę, jak we mgle. Teraz w różnych historyach poznałem się z rzeczywistym Wallasem. Już w tragedyi nie romansowo, ale w historycznéj prawdzie maluję tego człowieka; ale układając tragedyą — i pisząc ją teraz, często wstaję od stolika i idę do fortepianu i gram tego samego walca — aby koloryt wspomnień smutkiem napełnił moje karty. Tragedyą tę poświęcę pamięci Jasia.*) Zobaczycie, że będzie jeżeli nie dobra, to przynajmniéj niepospolita. Otóż widzisz Mama, że ja zawsze taki sam. Ciągle układam kamyki na własny grobowiec — a życie puszczam mimo siebie. Wszystkie przyjemności życia mijają mię — i obchodzą kołem — mówiąc: nie przeszkadzajmy temu człowiekowi, on o przyszłości pogrobowéj marzy... O Mamo, ale ja jestem szczęśliwym — tak jak jestem; i czasem nie mogę zrozumieć, jak ludzie inni bez takich wrażeń żyć mogą! Zdaje mi się, że chléb, który spożywają, musi pachnąć nicością.“ (dnia 24 marca 1834).

Byłto zatém pierwszy płód zrodzony tego roku, owoc miesięcy wiosennych. Przez całe lato fantazya poety potém, jak zwykle, wypoczywała. Z jesienią — znalazło się znowu natchnienie i zrodziło w ciągu miesiąca października jeden z celniejszych utworów Słowackiego, znowu dramat — Mazepę. Okoliczności towarzyszące powstaniu téj sztuki są opisane w następujący sposób:

„Wytańcowawszy się na jednym wieczorze (u pani W., Polki bawiącéj wtedy z rodziną swoją w Genewie,—wieczór ten dany był w ostatnich dniach września), „wróciłem do domu, i jak na nieszczęście, ponieważ to zwykła pora roku, w któréj mię napada poetyczna kanikuła już od lat czterech bez wyjątku, gdyż w téj porze rodzę zwykle, nazajutrz po wieczorze przyszła mi myśl jakaś do głowy. Myśl ta galopowała tak przez cztery godziny, że stała się długą na pięć łokciowych aktów. I nie dziw, że galopowała, bo też myślałem o galopującym Mazepie. Jakoż we dni kilkanaście napisałem tragedyą, na któréj byś płakała Mamo, jeżeli nie po Mazepie, to po Julku. Mazepa ten jednak nie wygalopuje na świat tego roku, bo handel przecięty — i z książkami źle idzie. Więc będę cierpliwy — poczekam rok jeden, czy się spusty bibliotekarskie nie otworzą... Tym-

*) Jana Januszewskiego, wuja Słowackiego.

czasem niech Mazepa leży w tece; a jeżeliby mię wicher jaki zmiótł z tego świata, nim go wydam, to proszę was i zaklinam, abyście się o ten płód u pani Patteg dopomnieli i wydali kiedyś na świat — nie zapomnijcie!.. Ale co ja bzdurzę o wichrach zmiatających ludzi ze świata, kiedym zdrów jak ryba — kiedy nawet krew, co mi nieco do głowy biła po napisaniu gwałtowno-krwawéj tragedyi, Bóg łaskawy nie pijawkami, ale prosto krwotokiem z nosa sprowadził na dół — i nawet od lekkiego zapalenia takim prostym sposobem mię uchronił.“ (d. 7 listopada 1834).

Po napisaniu Mazepy, jednostajność i bezbarwność życia więcéj się Juliuszowi dawała w znaki, niż kiedykolwiek.

„Nigdy jeszcze tak smutno nie przepędzałem zimy — pisał w liście z d. 18 grudnia 1834. Nie wiem, dlaczego, ale głębsza niż kiedykolwiek melancholia i obojętność napadły na mnie... Gdybym się nie lękał nadto romantycznego porównania, powiedziałbym, że z myślami mojemi podobny jestem do psa, co się sam za ogon chce złapać i kręci się długo na jedném miejscu — nakoniec znużony wywraca się i usypia pod kominem.“

Na taką słabość nie było lepszego lekarstwa, jak rzucić się w nową pracę. Tak się też stało.

„Całe dnie (pisał daléj w tymże liście) przepędzam w domu przy moim kominku — ale długie wieczory przez te dwa miesiące (od 18 października do 18 grudnia) trawiłem na pisaniu. Od kilku dni dopiero skończyłem moje prace, i teraz czuję jakąś odrętwiałość. Zdaje się, że przez ten czas natężone władze myślenia rozkręcają się teraz jak struny jakiego instrumentu — i za kilka dni powrócę do zupełnéj ciszy zwyczajnego życia. To smutno! Już wieczorem żadne mary nie przyjdą mię nawiedzać — żadna idealna piękność nie uśmiechnie się do mnie! A tyle idealnych figur przeszło przez mój pokój, w ciągu tych dwóch miesięcy. Niektóre wyszły przez okna — inne spaliły się w żarze kominka — inne nareszcie zostały zasuszone w papierze, jak bratki, albo inne kwiatki niepełne“...

„W przeciągu miesiąca upłynionego napisałem nową sztukę teatralną — niby tragedyą, pod tytułem Balladyna. Z wszystkich rzeczy, które dotychczas moja mózgownica urodziła, ta tragedya jest najlepszą, zwłaszcza że otworzyła mi nową drogę, nowy kraj poetyczny, nietknięty ludzką stopą, kraj obszerniejszy, niż ta biedna ziemia, bo idealny.

Zobaczysz kiedyś Mamo kochana, co to za dziwna kraina i czasy. Tragedya cała podobna do staréj Ballady—ułożona tak, jakby ją gmin układał, — przeciwna zupełnie prawdzie historycznéj — czasem przeciwna podobieństwu do prawdy; ludzie jednak starałem się aby byli prawdziwymi i aby w sercu mieli nasze serca... Nie mogę Ci tu dać kochana Mamo, wyobrażenia dokładnego rodzaju dramatyczności o mojéj tragedyi. Jeżeli ma ona rodzinne podobieństwo z którą znajomą sztuką, to chyba z królem Lirem Szekspira. O! gdyby stanęła kiedy przy królu Lirze! — Szekspir i Dant są teraz moimi kochankami — i już tak jest od dwóch lat; im więcéj się w obydwóch wczytuję, tém więcéj widzę piękności. Mamo moja! jakże ja byłbym szczęśliwym, gdybym mógł z tymi dwoma umarłymi usiąść pod jaką lipą albo dębem, przed moją własną chatą — w mojéj rodzinnéj ziemi — i marzyć — i pisać marzenia — i gwarzyć z tobą, kochana Mamo — i opowiadać Ci z zapałem plany moje poetyczne, tak jak niegdyś bywało. Tu jestem tak samotny, że nikt nie słucha moich marzeń. Jak dobrze Szekspir maluje ten stan w Richardzie II. Rycerz skazany na wygnanie ubolewa nad swoim losem i mówi: „Język mój będzie mi teraz niepotrzebnym, tak właśnie jak rozstrojona lira albo harfa, lub też jak sztuczny instrument, odemknięty i podany temu, co nie zna żadnych prawideł harmonii. Uwięziłeś język w ustach moich. Zanadto już jestem stary, abym jak dziecię wziął znowu mamkę. Wyrokiem twoim skazałeś mię na bezmowną i niemą śmierć.“ — Te słowa zawsze czytam z głębokim smutkiem“... (d. 18 grudnia 1834).

Z powodu że Mazepa i Balladyna powstały prawie w jednym ciągu i czasie, nastręczyło się autorowi mimowolnie porównanie tych dwóch utworów ze sobą. Wypadek porównania tak dalece był korzystny dla ostatniego dziecięcia, a niepomyślny dla rychlejszego dramatu, że nie wiele brakło, a byłby to życiem przypłacił ów płochy pazik Jana Kazimierza.

„Zakończyłem moje zimowe prace (pisał dnia 5 lutego 1835), i z dwóch tragedyi jedna mi tylko została, bo jednę spaliłem w moim kominku. Mazepę taki smutny los spotkał. Druga zaś, Balladyna, jest moją faworytką, i będzie czekała, aż będę miał czém posmarować prasy drukarskie. Zdaje mi się, że mnie moi księgarze haniebnie oszukują, bo mi przestali posyłać rachunki i milczą jak krety w norze, czekając zapewne mojéj osobistéj wizyty. Prawdziwie, że nikomu na świecie zaufać nie można, a

mniéj, niż innym, ufać trzeba ludziom, którzy nie mają pieniędzy. W tém położeniu jest jegomość, który się trudni mojemi książkami. Cóż więc robić? Trzeba się spuścić na jego grzeczność i sumienie.“

Dla braku tedy funduszów nie drukował Słowacki nic zgoła od czasu ogłoszenia Kordyana (1834) aż do r. 1838. Balladyna wyszła dopiero 1839. Poeta się wykosztował na publikacye swoje poprzednie, a koszta się nie wracały.

W obec stanowczego doniesienia powyższego o spaleniu Mazepy, nie wiedzieć, jak sobie tłómaczyć, że utwor ten jednak później wydany został. Albo go poeta w następnych czasach napisał powtórnie i lepiéj, niżeli pierwszą razą; albo też miał wtedy tylko zamiar zniweczenia tego dramatu i donosił o zamiarze, jakby o rzeczy dokonanéj, a późniéj jednak wstrzymał się z dopełnieniem już zapadłego wyroku. Które przypuszczenie w rzecz trafia, niepodobno dzisiaj rozstrzygnąć. Mnie się atoli zdaje, że więcéj ma za sobą prawdopodobieństwa drugie, niż pierwsze.

Obejmując teraz jedném spojrzeniem to wszystko, cośmy w powyższém opowiedzieli z osobna, widzimy, że przez cały ten czas spędzony w Genewie, skierowana była usilność Słowackiego głównie ku dramatycznéj niwie poezyi. Kordyan (1833) — Wallas — Mazepa — Balladyna (1834) — oto dzieła bez przerwy następujące jedno po drugiém, a same sceniczne. Rok 1834, smutny skądinąd w życiu Juliusza, nie był tedy pod każdym względem taki niewdzięczny. Owszem, w zawodzie autorskim — było to jedno z jego lat najświetniejszych; w każdym razie był to rok urodzaju, że tak powiem, był to rok trzech żniw...

W ciągu wiosny 1835 widzimy poetę zajętego jeszcze jedną nową, większych rozmiarów pracą, i znowu dramatyczną. Byłato to jedna ze sztuk nigdy za życia jego nie drukowanych i niewiadomo, jaki był tytuł tego utworu. Oto, co pisał o tém do matki d. 24 maja 1835:

„Piszę teraz więcéj, niż kiedykolwiek, a co dziwniejsza, że piszę prozą. Abym ci dowiódł Mamo, jak Ty jesteś zawsze przytomna moim myślom, jak chciałbym wspomnienie Twoje ze wszystkiemi marzeniami nawet poetycznemi połączyć, powiem Ci, że jedna zheroin mojéj nowéj

tragedyi nazywa się Salomeą. Zobaczysz kiedyś, że piękna jak lilia, i nieszczęśliwa prawie, jak Ty — tylko z innych przyczyn. Bóg wie, dla kogo ja to piszę i kiedy to wyjdzie? Zdaje mi się, że piszę zupełnie dla siebie — i stąd więcéj może będzie naturalności — i bardziéj rozwinięte zarysy. Kiedyś to wszystko ktoś wyda na świat — może mały Staś, jak dorośnie"...

Sztuką, o któréj tu mowa, nie jest Sen srebrny Salomei, jak może niejeden z czytelników moich wnioskuje. Sen Salomei jest napisany wierszem, i powstał w czasach późniejszych, dopiero w okresie towianizmu. A ta sztuka była pisana prozą i w r. 1835.

Pomiędzy papierami, stanowiącymi cały zapas autorskiéj pozostałości po Juliuszu Słowackim do rąk moich oddanéj, odszukałem rzeczywiście rękopis zdefektowany, z wydartemi kilkunastu kartkami tak z końca jako też tu i owdzie ze środka, z początku zaś tylko uszkodzony o tyle, że mu tu braknie jednéj karty, na któréj być musiał tytuł dzieła zapewne i spis osób w niém działających. W tym rękopisie znalazł się dramat w 5 aktach, prozą pisany, o którym nie wątpię, że jest owém dziełem dokonaném roku 1835 w Genewie, zwłaszcza że jedna z pierwszorzędnych figur do niego wprowadzonych nazwana jest Salomeą. Wcieliłem go do zbioru pism Słowackiego pozgonnych i dałem mu na chybi trafi tytuł **„Horsztyński."** — Wprawdzie więcéj zdaje się być prawdopodobném, że główną rolą w téj tragedyi była rola Szczęsnego, tak iż imię to właściwiéj się nastręczało na tytuł sztuki, niżeli tamto. Nie śmiałem jednak dawać w taki sposób domysłowi temu niejako sankcyi; albowiem skądinąd powstają wielkie wątpliwości, żeby poeta był się miał oprzéć tutaj przedewszystkiém na téj naturze tak pod moralnym względem nijakiéj i tak też zresztą biernie tylko działającéj w całém tém zawikłaniu. Ale jestto zawsze jedna z postaci i najstaranniéj przeprowadzonych i z widoczną predylekcyą autora — prawdziwy typ człowieka ośmnastego wieku, obdarzonego wyższymi instynktami i przeznaczonego na coś zupełnie innego, gdyby duch czasu, otoczenie i jakiś fatalizm wiszący nad tą całą rodziną nie były w nim zwichnęły tych szlachetnych zarodów. — Rola Salomei

zajmuje także jedno z miejsc niepoślednich w dramacie. Wina téj kobiety, gdyby nam był znany koniec całéj intrygi, okazałaby się zapewne mniejszą, niż się to zdaje w obecnym stanie téj sztuki. Wnoszę zaś o tém ze słów Słowackiego, danych rozstrzelonym drukiem w przytoczonym wyżéj ustępie listu jego do matki. Pomimo tego, i Salomea jednak nie jest osobą, któréj imię mogłoby posłużyć za firmę dla całego utworu. Nawet w razie, gdyby się przypuściło, że w zaginionych scenach donośniejszém jeszcze być mogło wszystko, co ona czyni i cierpi: ograniczają tę rolę do czegoś tylko drugorzędnego owe słowa poety w korespondencyi: „jedna z heroin.“ — Z tych przyczyn wolałem tedy oświadczyć się za Horsztyńskim i zdaje mi się, że w tym szlachcicu lepszéj przeszłości, imponującym majestatycznie nawet w scenach, gdzie nie znajduje w sobie dość siły, żeby się oprzéć rozpaczy, zgromadził autor wszystkie promienie dodatnich świateł, kontrastujących z posępnością tego obrazu.

Ocalone sceny tragedyi, o któréj tu mówimy, są nierównéj wartości. Obok ustępów potężnéj siły i prawdziwie dramatycznéj werwy, znachodzą się i sytuacye przewlekłe, zapełnione tą ckliwą melancholią, od któréj poeta nasz w owych latach nie był jeszcze zupełnie wyleczony. Sądu jednak o tém wszystkiém dać stanowczego nie można; z powodu bowiem, że jak na złość przypadają na sceny zaginione właśnie najkrytyczniejsze chwile w toku całego działania: niepodobna wyrzéc na pewne, co tu stanowiło główny węzeł intrygi i jakie autor dał rozwiązanie jéj zawikłaniu. W skutek tego pozostaje więc niewiadomém, jak się części dramatu poszczególne miały do ogólnéj całości; i jaki był stósunek poety względem figur w nim działających, to jest w jakich miarach porozdzielał on swoję sympatyą między ludzi, których różne usposobienia maluje. —

Teraz przystępuję do opisania ustępu w życiu mego poety, który mocno kontrastuje z resztą dni jego. Sprawia on wrażenie podobne do owéj chwili, kiedy śród całodziennéj słoty błysną ukradkiem z za obłoków promienne wróżby lepszego jutra. Wła-

śnie w czasie, kiedy powstawał wspomniany powyżéj dramat, zaczęło się w podobny sposób rozpogadzać w sercu poety. Świat zaczął mu się zdawać piękniejszym. Były to dni trwającéj właśnie wiosny. Wiosna sprowadzała zwykle nowe życie do domu, w którym gościł Słowacki. Ale tym razem nie wiosna była przyczyną, że i on teraz godzić się na to zaczynał, że to życie jest piękne. Do niego zaczęło się wtedy uśmiechać jeszcze coś więcéj, jak samo tylko słońce na niebie...

Osoba, którą wtedy się zajął, — o ile z listów jego wnosić — nie bez pewnéj wzajemności i z drugiéj strony, była mu już znana od dość dawnego czasu. I dziwna rzecz! z początku ani cienia nie było jakiejkolwiek rodzącéj się pomiędzy nimi skłonności. Przeciwne, rychlejsze wzmianki Juliusza o pannie Maryi W. były tego rodzaju, że na pewne wnosićby można, że mu się ona w pierwszéj chwili raczéj nie podobała.

Rodzina ta polska bawiła w Genewie już od r. 1833. Znajomość Słowackiego z tym domem datowała od listopada, tegoż roku.

„W tym miesiącu — pisał był zaraz po pierwszém poznaniu, dnia 30 listopada 1833 — miałem kilka wieczorów. Wprowadzony byłem do domu pani W., która tu mieszka z synami i z dwoma córkami. Starsza — dorosła już panna, ale wcale niełądna, gra ślicznie na fortepianie. Field będąc tu, dawał jéj lekcye, i gra zupełnie Fielda metodą; więc jéj granie bardzo mi miłém było“...

Tak więc opisywał poeta swoję Maryą po pierwszém z nią się poznaniu. Taki nic zgoła nie obiecujący był téj znajomości początek.

Od owéj chwili bywał Słowacki w domu pani W., ale rzadko i tylko raczéj, że się tak wyrażę, z obowiązku towarzyskiego. W miesiącu sierpniu 1834, zdarzyła się sposobność zawiązania bliższéj znajomości. Pani W. zamierzyła odbyć z dziećmi podróż po najpiękniejszych okolicach Szwajcaryi i zaproponowała Juliuszowi, ażeby im towarzyszył.

„Nie mogłem oprzéć się pokusie“ — pisał za powrotem z téj wycieczki, d. 21 sierpnia. Wziąwszy więc mantelzak na plecy, ostatniego dnia zeszłego miesiąca siadłem

na statek parowy i ruszyłem przez błękitne jezioro. Nigdy w życiu mojém nie widziałem jeszcze tak pięknych obrazów jak te, które przez 20 dni przemijały przed mojemi oczyma... Ileż razy chciałbym był trzymać Cię Mamo za rękę, kiedy się nachylałem nad przepaściami! Zmiana ciągła miejsc sprawiała to często, że w nich upatrywałem różne z rodzinnemi miejscami podobieństwo. Nigdy tyle cieniów przeszłości nie stanęło przedemną. Różne twarze znajomych i umarłych stawały po drogach i przeprowadzały mię jak wierne przyjacioły... różne zapomniane piosnki cisnęły się do ust moich — było mi smutno i miło"...

Ponieważ wiele obrazów i wiele wspomnień z téj podróży weszło późniéj, przepuszczone przez idealny pryzmat poezyi i oddalenia — w skład jednego z najpiękniejszych poematów, jakie tylko stworzył Słowacki, nie od rzeczy tedy będzie zamieścić tu kilka dokładniejszych szczegółów o owéj wędrówce szwajcarskiéj, ile że opis jéj dany w korespondencyi poety, zawiera w sobie ustępy, które, jak sądzę, i bez względu na tę uboczną ich ważność mile będą przez każdego czytane.

„Abyś mię sobie Mamo dobrze wystawić mogła, muszę Ci opisać mój fantastyczny ubior. Miałem płócienną bluzę haftowaną zielonym jedwabiem, czy też włóczką — pas czarny skórzany — białe szarawary — kapelusz ze słomy białéj i czarnéj pleciony, dosyć niski, z ogromnemi skrzydłami i opasany purpurową wstążką — do tego na grubéj podeszwie trzewiki — i kij wyższy odemnie, biały, z żelaznym kolcem, jakiego zwyczajnie górale używają. W ubiorze tym wyglądałem tak młodo, że mi dawano lat 15 wieku. Towarzystwo nasze składało się z 9 osób. Pani W., dwie jéj córki — panna Maryanna, młoda ale nie ładna, dosyć jednak miła i mnóstwo mająca talentów, druga córka jeszcze dziecko. Przy pannach była guwernatka Francuzka, panna M., trochę podtatusiała i ciągle zajmująca się botaniką. Trzech synów pani W. i jeszcze jeden młody Żmudzin, i ja. Towarzystwo to nie było tak przyjemne, jakbym ja żądał; ale też nie było nieznośne; owszem różnica charakterów podróżujących osób dobrą razem tworzyła harmonią. Najmłodszy z synów pani W. był naszym pajacem, ciągle nas śmieszył i bawił. Najstarszy, który niedawno stracił i pochował w grobie kochankę, był osobą melancholiczną towarzystwa; ja zaś chociaż nie straciłem kochanki, byłem także osobą ponurą towarzystwa, — nie zawsze jednak!

Rano 31 lipca statek parowy ruszył z nami, rzucając na miasto kłęby czarnego dymu. Widziałem przemijające jeziora brzegi — pożegnałem oczyma Paquis — i Paquis zniknęło. Koleją wysuwały się z jeziora Coppet, gdzie pani Stael mieszkała — potém Lausanne, Vevay, z drugiéj zaś strony skały Meilleries, sławne skały, skąd kochanek Heloloizy najpiękniejsze listy pisał. Przepłynęliśmy koło sławnego zamku Chillon, i nakoniec wylądowaliśmy w Villeneuve.“

Tam czekał na nich najęty powóz i zawiózł ich do Bex, gdzie przenocowali i zwiedzili tamtejsze kopalnie soli. Trzeciego dnia podróży, powędrowali ku klasztorowi św. Bernarda.

„Wszyscy męszczyźni szliśmy pieszo dzień cały, drogą przez Napoleona wykutą. Z obu stron ogromne góry, rzeka płynie przepaścią pod nogami — chaty nędzne — ludzie ubodzy. O wschodzie słońca spotkaliśmy w górach pogrzeb ubogiego człowieka. Kilkoro ludzi w łachmanach i ksiądz stanowili cały orszak, a śpiew pogrzebowy nie mógł przewyższyć szumu potoków. Mamo moja! jak mi się ludzie wydawali mrówkami! O godzinie 5 wieczorem wjechałem na mule w krainę śniegów — potém między skałami, w ciemném i mglistém powietrzu ukazał się klasztor... Ksiądz Gwardyan w czarnym habicie stał na ganku — pies ogromny leżał na dziedzińcu, jak z marmuru wykuty — za klasztorem błyszczało oprawione w skalistym brzegu czarno-ołowianego koloru jezioro. Klasztor ten gdyby nie był przez mnichów zamieszkały, byłby prawdziwie zachwycający! Niestety, ludzie nie odpowiadają często wielkości powołania. Ksiądz Gwardyan, świecki i światowy, uśmiecha się do dam, a ujęcie jego nieźle by się wydawało nawet na dworze Ludwika XIV. Spaliśmy w celach zimnych jak lodownie. Refektarz wygląda jak salon światowy, a siedzące towarzystwo około kominka, śmiechem i żartobliwą rozmową odstrasza wszelką myśl wzniosłą i smutną. Blisko klasztoru stoi mały domek, gdzie składają się znalezione w śniegach trupy. Okropny to widok! w różnych pozycyach zmarli siedzą — leżą — jedni do szkieletów podobni — drudzy czarną skórą powleczeni... okropny to widok!“

Stamtąd weszli znowu w uśmiechającą się krainę wiosny. Po dwóch dniach podróży stanęli u stóp góry skalistéj, żółtego koloru, nazwiskiem Ghemi. Ta była tak stroma, że nie do góry, ale do sterczącego w niebo muru była podobna. Wnijście na nią zabrało im, na mułach jadącym, trzy godziny. Droga w gzygzak

wykuta, ciągle wisiała nad przepaścią. Po drugiéj stronie téj góry znaleźli przecudną okolicę. Była to dolina z najpiękniejszemi drzewami i kwiatami; na pochyłości stoku kaskady srebrne z gór spadające i prześliczne szalety.

„O matko, ileż razy w tych miejscach myślałem o Tobie! Ileż razy cisnął mi się do moich ust refrain Göthego:

„Czy znasz ten kraj? znasz go o moja miła?
Tam byłby raj, gdybyś Ty ze mną była“...

Następnie wsiedli do łódki i płynęli jeziorem Thoune-Brienz do sławnéj kaskady Giesbach.

„Patrząc na nią (powiada nasz wędrowiec), przychodziła mi na myśl Zofijówka, a potém łańcuch myśli rozciągał się daléj, aż do Wierzchówki... Byłem w Julinkach i chciałem głośno wołać zmarłych po imieniu“...

„Po odwiedzeniu wodospadu Giesbach, damy nasze zmęczone i przerażone podróżą po przepaścistych górach, rzuciły nas i pojechały inną drogą do Luzern; my zaś chłopcy, trochę smutni z rozłączenia się, trochę weseli z odzyskanéj wolności, poszliśmy pieszo przez góry. Tu dopiero wojaż nasz zachwycającemi nas zaczął karmić dolinami“...

Zwiedzili Lauterbrun i podziwiali kaskadę Staubach— „któréj spadająca woda nigdzie się prawie o skały nie odbija, ale przez sam lot z takiéj wysokości zamienia się na wstęgę mgły białéj i leci na dolinę.“ Widzieli w niedalekiéj oddali Jungfrau wiecznym śniegiem pokrytą, „co stoi jak olbrzym biały.“ Przebiegli nieopisanéj piękności dolinę Gründelwald. Tu dochodziły ich huki spadających z najwyższych szczytów lawin, do grzmotu dalekiego podobne. Weszli na górę Faulhorn i nocowali w oberży na jéj szczycie, ażeby mieć nazajutrz z rana sposobność przypatrzenia się wschodowi słońca. Patrząc na słońce wschodzące, kiedy ich mgły naokoło owiały, zdawało im się, przedzielonym temiż mgłami od reszty świata, że stoją na pokładzie okrętu płynącego do nieba. Podobny widok mieli i z góry Rhigi przez którą także wiodła ich droga. Idąc tak przez dolinę Oberhassli—Rosenlauen—Grimsel, a potém drogą św. Gotarda, przechodzili przez sławny most-dyabli na niéj, i nareszcie po 9 dniach takiéj wędrówki, jeziorem czterech kan-

tonów, najpiękniejszém ze wszystkich jezior szwajcarskich, przybyli do Luzern, gdzie na nich damy już od dni 7 czekały.

Zwiedzili potém jeszcze wszyscy razem kaplicę Wilhelma Tella i ową skałę, na którą Tell wyskoczył, odepchnąwszy Geslera na jezioro. Nareszcie przez Bern powrócili do domu. —

Powrót ten dał im się uczuć jakby przejście z poezyi w prozę.

„Zastałem dom pełny cudzoziemców, i może to z téj przyczyny wojaż zostawił mi jakiś ponury smutek i tęsknotę; bo z ciszy gór wszedłem nagle w gwar ludzi, którzy się na chwilę poznają, aby się znów rozłączyć i zapomnieć o sobie — gwar zimny, nie bawiący, nie dowcipny, nie rozumny, ale on zwyczajny gwar świata. Jedna panna Eglantyna tylko obaczyła mię i powitała z radością“... (d. 21 sierpnia 1834). —

Czytając cały ten opis podróży w listach Juliusza, zachwycać się można nieprzebraném bogactwem najpoetyczniejszych obrazów, które co krok przeplatają opowiadanie. Ale nie ma tam jeszcze ani śladu tego wszystkiego, czém tchnie ów wspomniany już wyżéj poemat, choć w nim odnajdujemy niektóre sceny i daty, podane w korespondencyi że tak powiem, w materyale surowym. Była na przykład i w listach już wspominana kaplica Tella i lawiny i pokłady lodowe i wreszcie „owa w szwajcarskich górach cudowna kaskada, gdzie Aar wody błękitnemi spada.“ Ale dopiero poemat dodaje do tego wszystkiego:

„Tam ją ujrzałem! i wnet rozkochany,
Że z tęczy wyszła i z potoku piany,
Wierzyć zacząłem i wierzę do końca;
Tak jasną była od promieni słońca!
Tam zakochały się w niéj moje oczy,
A za tym zmysłem, co kochać przymusza,
Poszło i serce, a za sercem dusza.
I tak się zaczął prędko romans klecić,
Że chciałem do niéj przez kaskadę lecieć“...
. . . . . .
„Odtąd szczęśliwi byliśmy i sami,
Płynąc szwajcarskich jezior błękitami —
I nie wiem, czy tam była łódź pod nami,

Bom z duchy prawie zaczynał się bratać,
Chodzić po wodach i po niebie latać,
A ona tak mię prowadziła wszędzie“ itd.

W ogóle tego kolorytu miłości, pozłacającéj te wszystkie w rzeczywistém świetle oglądane obrazy — nie ma jeszcze w korespondencyi, jako go nie było wtedy jeszcze i w uczuciach Juliusza. Miały się one tą barwą eterycznéj błogości rozpromienić dopiero późniéj. Fantazyi to więc poetyckiéj tylko dziełem jestże tego co nastąpiło potém, znajdujemy już odblask na tle wrażeń przeżytych wtedy.

W następnych miesiącach stósunek Słowackiego do domu pani W. nie zmienił się w niczém. Bywał on tam rzadko kiedy, tak iż mu nawet wymawiano, że tak zaniedbuje swoich towarzyszów podróży. Przyjął jednak zaproszenie na kilka tańcujących wieczorów, na których donosi że się bardzo dobrze bawił. Pomimo tego, jeszcze w listopadzie 1834 skarżył się, że mu nudno w Genewie; jeszcze w lutym 1835 wspominał o pannie Maryannie, że „ma wiele wdzięku dobrego serca, ale nieładna!“ jeszcze w marcu donosił, że skoro tylko nadejdzie wiosna, będzie się starał „wyrwać z tego nudnego miasteczka, gdzie pleśnieje jak ostrzyga nad jeziorem.“ W tymże samym jednak już liście (z d. 7 marca 1835) możnaby schwytać poetę naszego jakby na słówku mimowolnie rzeczoném, które w nim zdradzało coś, do czego się jeszcze wtedy nie przyznawał przed sobą samym.

.... „Jestem dosyć sentymentalną figurą i mam czasem dziwne przeczucia. I tak panna W. zaatakowała mię niedawno, abym jéj w sztambuchu kartkę białą zabazgrał. Zaraz przy stole usiadłem — umoczyłem pióro i te płaczliwe wiersze napisałem méj towarzyszce po alpejskich górach:

„Byli tam, kędy śnieżnych gór błyszczą korony,
Gdzie w łąkach smutnie biją trzód zbłąkanych dzwony,
Gdzie się nad wodospadem jasna tęcza pali...
Tam byli kiedyś razem — i tam się rozstali.
A po latach — wróconym ojczyźnie pielgrzymom
Bławatkami gwiaździste kłaniały się żyta —
Jechali błogosławiąc chat wieśniaczych dymom,

Wszyscy pod jeden ganek. Matka, siostra wita
Synów, braci, przyjaciół. Są wszyscy — są wszyscy —
Przy jednym siedzą stole — przy czarach nalanych —
A wczoraj tak dalecy — a dzisiaj tak bliscy!
I nikogo nie braknie oprócz — zapomnianych...
Młoda Marya do tańca każe stroić lutnię
I usiadła — spoczywa... Nagle do sąsiada
Rzekła: ach! kogoś braknie".... Tu podkówka utnie
W takt mazurka. „On umarł" sąsiad odpowiada.
— „Cichoż na jego grobie?" — „Słowików gromada
Śpiewa na srebrnéj brzozie cmentarza tak smutnie,
Że brzoza płacze" — —

W miesiąc, czy we dwa po wpisaniu do sztambucha tych wierszy, tak się okoliczności złożyły, że pani W. zamierzając w ciągu nadchodzącego lata wyjechać już z Genewy, a nie mając zamówionego mieszkania na te kilka miesięcy, które ją z dziećmi jeszcze zatrzymać miały w Szwajcaryi, zajęła kilka pokoi w „pensyonie" pani Patteg, a więc w tymsamym domu, w którym mieszkał Słowacki. Było to w pierwszych dniach maja. Mógł tedy teraz już autor powyższego wiersza w albumie, donosić matce więcéj zajmujące o sobie wieści.

„Ja teraz w liczném towarzystwie domowém wesoło dosyć czas przepędzam — przynajmniéj mam z kim pogadać, a czasem potańcować... Miałem bardzo przyjemną scenę. Oto damy tu miały u siebie dzieła mojego ojca, i położyły je na stoliku, otwarte na portret jego. Nie mogę Ci opisać Mamo, jakiego doznałem wrażenia, spostrzegłszy nagle jego wesołą, pogodną i uśmiechającą się twarz. Zdawało mi się, że przyszedł do mnie pytać się o moje życie i zostawić mi naukę spokojności, jeżeli nie szczęścia"... (d. 24 maja 1835).

Wśród takich cichych, miłych, życzliwie nastrajających zdarzeń domowych, odbywała się zwolna i niepostrzeżenie jakaś przemiana w sercu poety. Widując się po kilka razy na dzień z paniami, przysłuchując się melodyom, które z dziwną rzewnością wygrywała uczennica ulubionego mu Fielda, uczestnicząc z ochotą we wszystkich zabawach i wycieczkach, jakie wspólnie

układali do pobliskich okolic miasta, grał Juliusz z dziećmi pani W. w zająca z pustotą dziecka, a w listach ciągle powtarzał: — „Jestem w domu pełnym dźwięku mojéj rodzinnéj mowy“... „dosyć mi dobrze teraz na świecie“!..

... „Koszono siano w naszym ogrodzie. Dziwna i interesująca nowina, że koszono siano! Ale wystaw sobie Mamo, jak to miło czuć woń przeszłości. Pamiętam, że raz w Mickunach stojąc na łące przy koszących ludziach, wyjąłem jakiś srebrny pieniążek, zdaje mi się, że złotówkę, i dałem ją chłopu, który wszystkich innych wyprzedzał. O laur, o nagroda! Nie byłże ze mnie mały Czacki? — Otóż kiedy skoszono siano, wyszliśmy wszyscy po śniadaniu i położyliśmy się na kopach rozrzuconych — panie i panny i chłopcy — i tak leżeliśmy całą niedzielę, święcąc dzień boży, nie myśląc o niczém, odurzeni zapachem umarléj i i zabitéj trawy“...

„List ten noszący cechę mego teraźniejszego usposobienia, najlepiéj Ci Mamo przedstawi mnie w takim humorze, w jakim teraz żyję. Atmosfera imaginacyi — kraj przeszłości — wyspa ideału — przerznięta rzeką łez — o jakże to niemieckie! Ale dalibóg prawdziwe! Panna Marya W., która mieszka z nami, także zapłynęła trochę w kraj ideału i o niczém nie marzy, jak o pustelniczym domku — nad rzeczką, o czarnéj sukience — o lekarstwach dla chłopów — o topolach szumiących nad pustelnią — i nareszcie o spowiedzi, którą ma odbyć przed pewnym mnichem... kiedyś. Tym mnichem kartuzem mam być ja en personne — nie kto inny. Dowodzę jéj jednak czasem, że jaki pan podkomorzyc w krainie Lachów — dobrze opatrzony w szlachecką układność, talenta, wąsy, podkówki i ostrogi, wybije z głowy pustelniczy domek, a ja nie będę mógł kartuzowém wspomnieniem zdobyć liliowéj duszy dla aniołów. Młode nasze Polki zawsze przebywają bardzo piękne krainy marzeń, aby się kiedyś zamknąć i zakopać w najnudniejszéj realności.“ (d. 30 czerwca 1835). —

Otóż taki był początek i taki przebieg dziejów téj szczególnéj w swoim rodzaju miłości. Przelotny to epizod w życiu poety, jak krótki sen! Odbija od reszty życia, jak mała zielona oaza, rzucona na rozległe rozłogi spiekłego stepu. Miłość ta wzrosła tajemnie — żyła eterycznie, niewyznana, bez nadziei, choć może nie bez niejakiéj wzajemności — i rychło pogrzebana została. Z mogiły, w któréj zamknął jéj wspomnienia poeta, wytry-

snął kwiat — czysty jak lilia wodna, a smętny jak płacz. Tym kwiatem był poemat napisany niedługo potém: „W Szwajcaryi“...

Doskonałym komentarzem, dlaczego te uczucia pozostały, jak prawdopodobnie, nawet dla saméj Maryi wprawdzie może odgadywaną, ale nie wyznaną jéj tajemnicą — jest miejsce w jednym z rychlejszych jego listów (z d. 24 maja 1835), a które oto następuje:

„O! jak ja się zawiodłem, myśląc kiedyś, że pisząc zrobię sobie pewny dochód, niezależny od okoliczności; że kiedyś będę w stanie ofiarować Ci Mamo przynajmniéj na rok gościnny pokój za granicą; że kiedyś będę Ci służył do stołu — i całował ręce Twoje — i klękał przed Tobą i dziękował za wszystko, coś uczyniła dla mnie. Nie! Bóg mię zapisał w księdze przeznaczenia w wielkiéj rodzinie tych ludzi, o których po śmierci powiadają księgi, że... Nie chcę dokończyć, bo już Cię raz droga Mamo, nieuważne słowo w liście moim przeraziło. Ale nie jeden ja nie mogę wyłamać z głowy chleba! Oto Adam... ożenił się — co rok dwa wydał dzieła — i teraz musiał odprawić sługę, a żona jego sama trudni się kuchnią!... Czy tam u was kalendarze zajmują miejsce na policach bibliotek? Trzeba jednak nie upadać. Walka z obojętnością ludzi podobna jest do walki Tytanów... Rzuca mi na czoło wielkie światło piorunu — będę pięknym kiedyś“...

W ciągu lata zaczęli się państwo W. wreszcie coraz bardziéj sposobić do podróży; zbliżała się chwila ich odjazdu do kraju.

„Mąż pani W. przyjechał po nią i ma wkrótce porwać stąd całą rodzinę. Szczęśliwi! wracają — wracają ułożyć się i pomieścić w domu rodzinnym na resztę życia — usnuć sobie domowe szczęście — żenić synów — wydawać za mąż córki — zasadzać ogrody — siać zboże — budować i przybudowywać domy — patrzeć na zachód słońca — wyjeżdżać do lasów na herbatę z przyjaciołmi, z wiejskiém sąsiedztwem... Zazdroszczę! choć takie szczęście podobne mi się wydaje do kwiatowego cmentarza — bo i nad cmentarzem chcę często powiedzieć, jak Luter patrząc na groby w Worms: Invideo, quia quiescunt. Zazdroszczę, bo cicho spoczywają! Czy też ja kiedy dojdę do przedśmiertnego spoczynku? Pamiętasz Mamo te węże, które widzieliśmy kiedyś na moczarach pińskich, obwijące się koło lilii wodnych i grzejące się na słońcu? Chciałbym na rzece żywota znaleść

taki biały kwiat, obwinąć się koło niego i zasnąć! To bardzo mistyczne i ciemne, Matko moja! Lilia wodna niech się Tobie zamieni w jaką miłą, spokojną i cichą dzieweczkę — a zrozumiesz moje żądanie. O! o! o! z takim wykrzyknikiem konają osoby w moich tragedyach — z takiém długiém westchnieniem kona moja nadzieja... Byłem u panny Lenormand, obrywałem tyle razy margerytki, zdmuchiwałem cykorye, wiązałem trawy, szukałem czterolistnéj koniczyny: i dotąd nie wiem, co mię na świecie czeka. Zdaje się jednak, że musi coś czekać!"..

. . . „Myślę za miesiąc wyjechać w góry i osiąść na kilka miesięcy w jakiéj chacie — oberży, aby widzieć chmury jesienne łamiące się po skałach, aby się napoić pięknością natury i mieć na długo serce pełne myśli rozpływających się w Bogu. Nie uwierzysz Mamo, jak podróż przeszłoroczna wpłynęła wielce na wewnętrznego mnie — a jak ja często mówię — na wewnętrznego we mnie anioła. Zdaje się, że myśli moje odmłodniały"...

To było pisane d. 30 Czerwca. Projektowany wyjazd w góry za miesiąc był niezawodnie w związku z mającym także niezadługo nastąpić odjazdem państwa W. Myśl rozłączenia dręczyła go już naprzód. Nie miał odwagi spędzać pierwszych chwil po oddaleniu się Maryi, w tych samych miejscach, „gdzie ją widywał i gdzie się z nią bawił." Wszystko w około niego byłoby mu ją tu każdéj chwili przypominało. Wolał przeboleć stratę i cierpienie swoje gdzieindziéj.

Zaszły jednak okoliczności, z powodu których jego oddalenie się w góry nastąpiło o wiele rychléj, aniżeli jak sobie zamierzał, za miesiąc dopiero. Wyjechał jeszcze w pierwszéj połowie lipca, nie doczekawszy nawet wyjazdu Maryi z Genewy.

Oto, co pisał do matki we dwa miesiące potém, już z miejsca nowego swego pobytu:

„Od dwóch miesięcy już nie w mieście, ale na wsi zamieszkałem nad jeziorem Leman, w najpiękniejszém miejscu. Długo byłoby pisać, co i jak przeniosło mię w dzikie strony. Ludzie różnie o tém sądzą. Jedni mówią, żem się był szalenie zakochał w pannie W. i uciekłem. Nie ma w tém za grosz prawdy. Ponieważ z Tobą, najdroższa Matko, mówię otwarcie, otóż wyznam Ci, że uciekłem — a to dlatego, że biedna córka domu widząc mię dosyć zajętego panienką młodszą od niéj — i widząc tę panienkę do-

syć mi przyjazną — zaczęła schnąć i niebezpiecznie zachorowała; i matka domyśliła się, o co rzecz idzie — i musiałem postąpić sumiennie, to jest odjechać, chociaż żal mi było domu, gdzie 2½ lata mieszkałem, gdzie mi nawet w ostatnie dnie było bardzo wesoło“... (list bez daty, ale snać pisany w wrześniu 1835).

Z dalszego ciągu tegoż listu okazuje się, że odjeżdżał bardzo smutny, i że go też i żegnano nieobojętnie.

„Płakałem odjeżdżając — płakany“... „Przy odjeździe taki smutek, taka nuda mię opadła, że zakazałem, aby mi nie przysyłano książek. Wziąłem tylko kilka moich ulubionych autorów, z tymi, jako to z Szekspirem i Byronem, chodzę po górach — kładę się pod drzewami — i czytam. Śliczne trawy — śliczne kwiaty — woń wiejska przypomina mi dziecinne czasy — myślę o Mickunach i Wierzchówce“...

Że nie tylko myślał o dziecinnych czasach, ale i o bieżących, i że nie tylko przenosił się myślą do Mickun, ale i do Genewy, w któréj owa „dosyć mu przyjazna panienka“ ciągle jeszcze bawiła: na to dowodów w korespondencyi nie znaleść. Ale za to znajdują się na to dowody między jego poezyami, za życia autora nie wydanemi. Znalazło się w pozostałych papierach Słowackiego pięć prześlicznych poezyi lirycznych, które choćby nie miały wyraźnego podpisu, że tam i wtedy powstały (między 20 a 30 lipca 1835), to jużby samą treścią swoją wskazywały dostatecznie, że właśnie przypadają na tę chwilę życia poety. Mają tytuły: Przekleństwo do ***, Rozłączenie, Stokrotki, Chmury, Ostatnie wspomnienie do Laury.

Dwa pierwsze wiersze odsłaniają szczególnie owoczesne usposobienie autora:

Przeklęta! Ty wydarłaś ostatnie godziny
Szczęścia mego na ziemi! ty żądłem gadziny
Wygnałaś na samotność... Bądź wiecznie przeklęta!
Każdy mój jęk zna ciebie — każda łza pamięta.

Bo kiedy nieszczęśliwy zaklinałem ciebie,
Abyś mi dała nieco przyjaźni i ciszy:
Toś ty mi łzy w powszednim podawała chlebie
I jęcząc, z jękiem w sercu mówiłaś — niech słyszy!

Cierpiałem i uległem. Dziś samotny jestem...
Lecz wiédz, że w samotności, okryty żałobą
Oczy błędne obracam za każdym szelestem,
Czekam — ale nie ciebie, tęsknię — nie za tobą!

Téj czekam omamiony, téj samotny płaczę,
Która mi była siostrą na wygnania ziemi —
Myśląc, że kiedyś duszy oczyma zobaczę
Tę, co w duszę oczyma patrzy anielskiemi,

A nigdy serca mego nie umiała krwawić,
A tak się ze mną duszą i myślami dzieli,
Że już dziś sami boscy nie wiedzą anieli,
Czy ją dla mnie potępić, czy mnie dla niéj zbawić.

A ty! a ty, co lałaś żółciowe gorycze,
Skoro się otwierała serca mego rana —
O gorzéj niż przeklęta! widmo tajemnicze
Złéj przeszłości... przeklęta bądź — i zapomniana!

Że się ten wiersz ściąga do Eglantyny, to po tém wszystkiém, co powiedziano wyżéj, zdaje się być niewątpliwém. Każdy pewnie na to się zgodzi. — Obaczmy teraz, jakiemi słowy przemawia poeta do Maryi:

Rozłączeni — lecz jedno o drugiém pamięta!
Pomiędzy nami lata biały gołąb smutku
I nosi ciągłe wieści. Wiem, kiedy w ogródku,
Wiem, kiedy płaczesz w cichéj komnacie zamknięta.

Wiem, o jakiéj godzinie wraca bolu fala,
Wiem, jaka ci rozmowa ludzi łzę wyciska.
Tyś mi widna jak gwiazda, co się tam zapala
I łzą różową leje, i skrą siną błyska.

A choć mi teraz ciebie oczyma nie dostać:
Znając twój dom — i drzewa ogrodu i kwiaty,
Wiem, gdzie malować myślą twe oczy i postać,
Między jakiemi drzewy szukać białéj szaty.

Ale ty próżno będziesz krajobrazy tworzyć,
Osrebrzać je księżycem — i promienić świtem.
Nie wiesz, że trzeba niebo zwalić i położyć
Pod oknami, i nazwać jeziora błękitem;

Potém jezioro z niebem dzielić na połowę
W dzień zasłoną gór jasnych, w nocy skał szafirem,
Nie wiesz, jak włosem deszczu skałom wieńczyć głowę,
Jak je widzieć w księżycu odkreślone kirem.

Nie wiesz, nad jaką górą wschodzi ta perełka,
Którąm wybrał dla ciebie za gwiazdeczkę-stróża.
Nie wiesz, że gdzieś daleko, aż u gór podnóża,
Za jeziorem — dojrzałem dwa z okien światełka.

Przywykłem do nich — kocham te gwiazdy jeziora
Ciemne mgłą oddalenia — od gwiazd nieba krwawsze,
Dziś je widzę, widziałem zapalone wczora,
Zawsze mi świecą — smutno i blado — lecz zawsze...

A ty — wiecznie zagasłaś nad biednym tułaczem;
Lecz choć się nigdy — nigdzie połączyć nie mamy,
Zamilkniemy na chwilę i znów się wołamy,
Jak dwa smutne słowiki, co się wabią — płaczem.

Nad jeziorem Leman d. 20 lipca 1835 r.“

Sąto prawdziwe brylanty naszéj poezyi lirycznéj. —

Jedyną pociechą w tych samotnych rozpamiętywaniach i cierpieniach wygnańca, była przepyszna natura, która go otaczała. Wioska, w któréj osiadł wtedy Słowacki, nazywała się *Veytoux*. Chociaż to było w górach, w okolicy bardzo ustronnéj, wynalazł on tam sobie jednak bardzo miłe mieszkanie.

„Nająłem śliczny pokoik — cudnie umeblowany — błękitny; z okna widać winnicę — za winnicą jezioro, jak pół nieba wywróconego na ziemię — za jeziorem góry *Meilleries*, sławne w Heloizie Russa: słowem trudny do opisania widok! Osoby, które Neapol i Hellespont widziały, mówią że ten im wyrówna. Ludzie wszyscy tu pięknie zbu-

dowani — mnóstwo kobiet prześlicznych — zgrabnych — a wszyscy zdają się szczęśliwi. Kiedy to tak będzie zawsze i wszędzie?... W dzień pokój mój — jezioro — niebo — góry — wszystko błękitne, ale dziwnie czyste i przezroczyste. Jaskółki przylatują do pokoju i tłuką czasem piersią o zwierciadło... Prześliczne miałem księżycowe nocy — wtenczas wychodziłem nad jezioro — siadałem na małym przylądku wchodzącym do wody. Z jednéj strony miałem księżyc, z drugiéj strony zamek Chillon, który z okna o 200 kroków widzę. Pierwszy raz słyszałem w staréj wieży śpiewanie puszczyka. Co mi w takich nocach przechodziło przez głowę, trudno wypowiedzieć. Czasem żałowałem ludzi i rycerzy, którzy ginęli niegdyś w tym zamku — a dziś zapomnieni — i zamek ich tak cichy, stoi w księżycowym blasku. Potém pytałem siebie, za co ci ludzie ginęli? i odpowiedź była napisana w światełkach chat wieśniaczych... Nigdzie wieśniak nie jest tak szczęśliwy i bogaty, jak w tych stronach. Otóż ci rycerze, którzy dawniéj ginęli, zapewnili zgonem swoim szczęście przyszłych pokoleń. Widziałem więzienie pyszne Chillonu, widziałem filary i pierścienie żelazne, do których przykuwano więźni. Czytałem Byrona patrząc z bliska na mury zamku, i Więzień Chillonu piękniejszym mi się wydał.“ (Wszystko z listu bez daty wspomnianego wyżéj).

Pobyt jego na téj uroczéj pustyni trwał 3 miesiące — przez część lipca, sierpień i wrzesień. W początkach października powrócił. Gdyby się wnioski w literalnym sensie wysnuwać miało z wiersza owego do Eglantyny, zatytułowanego Przekleństwo, toby przypuszczać należało, że zerwany został wszelki stósunek pomiędzy poetą naszym a domem pani Patteg. Tak się jednakże nie stało. Wiérsz był pisany pod wpływem chwilowego rozżalenia i w rozdrażnieniu. Niejedno też w nim położyć należy na karb tylko fantazyi poetycznéj, która zawsze rzeczywistość potęguje w bezmierność i nieskończoność. Zresztą nie obeszło się bez kroków, które mu ułatwiły powrót do dawnych gospodyń.

„Jestem bardzo samotny — pisał był jeszcze w Veytoux mieszkając, w wrześniu. Na dole w domu minister protestancki, dobry do rzeczy człowiek, świeży wdowiec z pięciorgiem dzieci. Z nim czasem gawędzę. Ale smutny jestem. Pani W. z familią wyjechała do Drezna. Odprowadzało ją wiele osób. Panna Eglantyna umyślnie ją odprowadzała, aby potém mnie odwiedzić — i była u mnie —

i płakała — i tysiąc próśb, abym wrócił. I matka jéj ciągle mię zaklinała. Ale tak mi znudniało to, com porzucił, że wolę samotność nad jeziorem. Muszę jednak odwiedzić moich dobrych ludzi, co mię karmili i kochali przez 2 lata, i dlatego jutro wyjeżdżam, chociaż ze smutkiem jadę. Takiego doznaję uczucia, jak gdyby mi się coś na świecie przez dwa lata klejonego nie skleiło"...

Pojechał tedy na kilka dni do Genewy i „przyjęto go tam, jak się wyraża, jak syna". Potém wrócił jeszcze do siebie. Ale się już oswajał z myślą, że następującą zimę przepędzi jeszcze pomiędzy niemi, co też i nastąpiło rzeczywiście.

Wstrząśnienia moralne, jakich doznał zeszłego lata, miłość — może pierwsza rzeczywista, a nie fantastyczna tylko miłość w życiu Juliusza, odosobnienie od zewnętrznego świata, który go zawsze więcéj drażnił, aniżeli myślą głębszą podsycał, wreszcie dzika, a jednak pełna uroku natura, w któréj objęcia cały się rzucił: — wszystko to sprawiło, że ten trzymiesięczny pobyt nad cichymi brzegi jeziora miał stanowić w zawodzie jego porę pewnego przesilenia. Czy weźmiemy pod rozwagę dzieła jego, które wtedy powstały, czy stan duszy poety, w jakim siebie wtedy malował, dostrzeżemy, że była to dla niego krisis, ale krisis zbawienna. Na okazanie zmiany w duchowém usposobieniu Juliusza, przytoczę tylko następujące słowa, godne pod każdym względem zastanowienia:

..... „Wyznam Ci Mamo, że znienawidziłem moje pierwsze utwory. Czuję potrzebę większéj doskonałości; rozwinęło się we mnie jakieś nowe piękności uczucie. Nie wiem jeszcze, jak się ono przyoblecze w słowa, ale starać się będę, aby coś jasnego napełniało moje karty, aby więcéj łez było w słowach. Mam lat 25, trzeba abym już był tém, czém być mam; i dlatego może nienawidzę moich pierwszych dziełek. Lubię jednak więcéj nad inne Godzinę Myśli. Coś w niéj jest, co mię samego kołysze przeszłości dźwiękiem — jakąś cichą, dawną piosenką. — Trzy miesiące przepędzone pośród najpiękniejszych widoków przyrodzenia były wielką dla mnie nauką. Uważałem harmonią, która wszystko łączy i nalewa jednym kolorem. Postrzegłem, że sztuka powinna naśladować tę dziwną wszystkiego jedność. Zastanawiałem się długo nad drzewami, kwiatami, szmerem i dźwiękami natury — widziałem ją z bliska, błę-

kitną — albo chmurną. Raz wyszedłszy na wielką górę — pod nogami miałem wielki parów, zarosły sosnami, bardzo ciemny, przerznięty potokiem. Było to w niedzielę rano — dzwon kościoła wiejskiego, nadzwyczaj głośny i ponury, napełniał całe powietrze — cały ten obraz ożywiony był duszą dzwonu, jak ciemny poemat, w którym grzmi imię Boga. Nie wiem, dlaczego opisałem tę godzinę, ale zdaje mi się, że Ty sobie Mamo droga lepiéj mię wystawiasz w takim obrazie. Jestto niby wizerunek symboliczny tego, co czuję teraz". (d. 20 października 1835).

Nie mniéj okazują coś odmiennego — w porównaniu z dawniejszemi dziełami — i pisma jego z owego czasu. Należą tu najprzód owe wyżéj już wspomniane liryczne rzeczy, które poeta, jak się w liście jednym wyraża, spozierając na jezioro napisał. Daléj powstał niewątpliwie w owymże czasie także poemat „W Szwajcaryi", utwor wyraźnie jeszcze pod wpływem świeżych wrażeń pisany, ale już wrażeń po swojemu przekształconych przez wyobraźnię. Możnaby go więc nazwać prawdziwém *Dichtung und Wahrheit* owego epizodu życia poety i żywcem zastósować do niego słowa, które parę lat rychléj rzucił był Juliusz o podróżach:

„Wojaż bardzo wiele daje wyobrażeń, szkoda tylko iż wszystko ukazuje mniéj piękném jak było w imaginacyi. I potém zostają w pamięci dwa obrazy: jeden taki, jaki być powinien, oczami wymalowany; drugi piękniejszy, dawniéj utworzony przez imaginacyą. Kiedyś utworzy się trzeci — najpiękniejszy — z imaginacyi i z sennego przypomnienia — i połączy w sobie wszystko najpiękniejsze z obu obrazów.

Nakoniec doliczyć należy do prac w owym czasie powstałych jeszcze także i Anhellego*).

---

*) Co do Anhellego nie ma wprawdzie pozytywnéj pewności, ale jest za to wiele wskazówek ubocznie prowadzących do wniosku, że i to dzieło pomyślane, a nawet rozpoczęte być musiało już w Veytoux, chociaż ostatecznie wykończoném zostało dopiero w Genewie w ostatnich miesiącach roku 1835. Wskazówki te są następujące: W liście owym jeszcze w lecie z nad jeziora pisanym znajdujemy takie miejsce: „To co się po tych (które znasz) dzieciach narodzi (= wyjdzie z druku), będzie tysiąc tysięcy razy godniejsze Ciebie, moja droga Mamo. Nawet zamyślam Ci ofiarować na pierwszéj stronicy nowe, zape-

Dlaczego zaś ogłoszenie powyższych prac nastąpiło o wiele później, Anhellego dopiero w roku 1838, a poematu w Szwajcaryi w r. 1839: na to odpowie najwymowniéj następujące i skądinąd jeszcze ciekawe miejsce w tymże liście (d. 20 października 1835):

...„Książki moje mało mi przynoszą, bo daleki od Paryża, wystawiony jestem na wszelkie szachrajstwa księgarzy. Ci mi przysyłają rachunki, których zrozumieć nie mogę, i czasem po kilkadziesiąt franków dają, kiedy im się podoba. Przychód dwóch tomów pierwszych poszedł na druk następnych, a te zaledwo się teraz opłacają. Ty moja droga, nie będziesz mną pogardzać za to, że ja na moje pióro wielkiego odbytu znaleść nie mogę —Ty nie będziesz z szyderską litością innych, obcych ludzi patrzeć na mnie kopiącego się w ziemi, jak biedna mrówka. Idę nieznany i smutny, ale kiedyś może powiedzą ludzie, że wart byłem własnego domku — ogrodu i kilku przyjaciół. Dlaczego takie zniechęcenie, zapytasz droga moja — dlaczego? Oto z bardzo małéj przyczyny. Dziś widziałem jednego z moich ziomków,

---

wne téj zimy (co przyjdzie) wylęgłe dzieciątko. Dopiero to, zaręczam Ci Matko, będzie Twoim wnukiem; powiédz, czy Ci to nie zaszkodzi.“ (Nadmieniam, że w kopii listu, którą mam przed sobą, dopisała matka Juliusza do tego miejsca na dole uwagę, że mowa jest o Anhellim. Co też tém bardziéj zdaje się zasługiwać na wszelką wiarę, że owa obawa, ażeby dedykacya nowego dzieła matce nie zaszkodziła, szczególniéj do tego właśnie utworu daje się odnieść).—Nieco późniéj, d. 20 października— spotykamy znowu taką o tém wzmiankę w genewskiéj już korespondencyi poety. „Postąpiłem w moim nowym poemacie i chciałbym bardzo téj zimy co wydać.“ — Na październik zatém albo listopad przypada dokończenie, a na owe miesiące spędzone w górach poczęcie i zaczęcie utworu, którym — mimo to, że o kilka lat dopiero późniéj został oddany do druku — i z tego jeszcze powodu zdaje się być Anhelli, pisany stylem biblijnym, że przez cały ciąg owego właśnie roku Pismo święte było jedną z ksiąg rozczytywanych codziennie i z rozmiłowaniem przez Słowackiego. Pełno o tém wzmianek w owoczesnych jego listach. „Często wieczorem— pisał był na przykład w liście z d. 7 marca 1835 — przed zaśnięciem czytam głośno rozdział Biblii. Mam ją po polsku. Przedwczoraj tak mocno wraziła mi się w imaginacyą męka Chrystusa, że we śnie umęczenie całe widziałem i obudziłem się okropnie przerażony“...

który po kilka razy nazywał mię poetą, a nakoniec wyznał, że nic jeszcze nie czytał mojego. Prawda, że to był handlarz win, który z próbkami jeździ po świecie i interesa domu swego załatwia; bierze kilka tysięcy franków na rok pensyi i zamyśla się ożenić ze starą wdową kupca i handel winny wziąć w posagu. — Rozsądny człowiek!“

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY.

Rok 1836 do połowy 1837.—Przygotowania do podróży włoskiéj — trudności pasportowe. Wyjazd do Rzymu — wrażenia — nowe znajomości, Krasiński. Neapol — Sorrento — poemat „Wacław". Podróż na Wschód. Grecya — Egipt — Kairo — piramidy — spotkanie z przyjaciołmi koło Dendery. Teby — jazda na wielbłądach ku Palestynie. Kwarantanna w El-Arish. Jerozolima — noc u grobu Chrystusa. Ruiny Balbeku — Klasztor ormiański na Libanie — spowiedź — „Ojciec Zadżumionych". Bajrut — powrót okrętem do Liwurny.

Do wszystkich tych w poprzedzającym rozdziale opisanych okoliczności, które przez ciąg 1835 roku naprężały wyobraźnię, ale też i niepokoiły umysł poety naszego, doliczyć należy jeszcze jedno, o czém tam nie wspomniałem. Oto otrzymał on był w maju jeszcze rzeczonego roku od matki i od krewnych swoich wiadomość, że się wujostwo jego (Teofil Januszewski z żoną) wybierają w podróż do Rzymu. Na towarzysza téj podróży wzywano i jego, uwiadamiając zarazem, że projekt ten przychodzi tak niezwłocznie do skutku, że w dniach, w których on wiadomość o tém odbierze, podróżni już będą w drodze. Na razie zasmuciła Słowackiego dotkliwie myśl, że się z nimi w tę podróż nie wybrała i matka. Skoro jednak rozważył, że stały temu na zawadzie przeszkody, których jak mu donoszono, usunąć nie było można, poczytał sobie i to za pociechę niemałą, że przynajmniéj wuja i przyrodnią siostrę swoję zobaczy.

Wycieczka do Włoch należała od dawna do najżywszych życzeń Juliusza. Chwycił się tedy oburącz myśli, jaką mu teraz poddano, chociaż przewidywał już w pierwszéj chwili, że trzeba

będzie pokonać niejednę trudność, jeżeliby rzecz ta, dla obu stron tak upragniona, nie miała i tym razem pozostać tylko marzeniem. Wprawdzie brakowi funduszów, który mu się szczególniéj właśnie w owych czasach nieraz czuć dawał, można było czy tym, czy owym sposobem zapobiéc. Ale jak tu od władz rządowych otrzymać pasport w te strony? Rząd szwajcarski nie wzbraniał emigrantom pobytu w granicach własnego kraju, lecz pasportów żadnych im nie wydawał do państw obcych. Trzeba się było chyba starać o to we Francyi. Słowacki niezwłocznie też napisał do przyjaciół swoich paryskich, aby uczynili odpowiednie kroki w téj mierze. Czekał na odpowiedź niecierpliwie. Przez kilka miesięcy nie było jéj wcale, wreszcie (we wrześniu) odebrał uwiadomienie, że rząd francuski robi trudności, lecz że jest jeszcze nadzieja rezolucyi pomyślnéj, ponieważ wdały się w to wysoko położone osoby. Tymczasem krewni nalegali listami, już z Włoch pisywanymi, ażeby Juliusz przyjazd przyspieszył, parła go do tego i niecierpliwość własna — ale pasportu z Paryża ciągle nie było. Z powodów już powyżéj wskazanych, były czasy owe dla osób w położeniu Juliusza pod względem, o który właśnie chodziło, nad wszelki opis uciążliwe. W październiku (1835) otrzymał nowiny, które mu prawie wszelką odebrały otuchę. W listopadzie błysnęło znowu małe światełko nadziei. Miała się zająć jego sprawą jakaś księżna, wiele wpływu wywierająca w sferach rządowych. Ale Słowacki mało ufał tym obietnicom i uważał już cały ten projekt wyjazdu swego za Alpy za rzecz przepadłą. Martwił się z tego tém bardziéj, że wzgląd na coraz szczuplejsze jego dochody nakazywał mu bądź co bądź porzucić Genewę jako miejsce zanadto drogie dla niego. Nie wiedział, gdzie się obrócić. Do Paryża powracać sobie nie życzył. Więcéj zdawała mu się być dla niego stósowną Bruxella. Ostatecznie też postanowił przenieść się do tego miasta. Czekał tylko jeszcze na powrót Januszewskich i ułożył się z nimi, że jeżeli obiorą sobie drogę jakim traktem przez Alpy niezbyt od szwajcarskich granic odległym, to i on się tam stawi, ażeby się przynajmniéj raz jeszcze w życiu zobaczyć z nimi. Miało to nastąpić jednak dopiero na wiosnę. Zimę tedy (z roku 1835

na 1836) wypadło mu jeszcze przepędzić w domu pani Patteg w Genewie.

Przez cały ten czas, gdzie się rzeczy ważyły pomiędzy nadzieją, że mu pasport przyślą, a obawą, że trzeba sobie będzie szukać nowego przytułku gdzieś tam pomiędzy Belgami, miotał nim niepokój, niesprzyjający autorskiéj czynności.

„Zimę tę niewiedzieć jak przepędzam — pisał do matki dnia 17 listopada 1835. Ciągła nadzieja wyjechania stąd do Teofilów porwała łańcuch moich marzeń. Ja, co zawsze w jesieni nawiedzany byłem przez jakąś nową myśl poematu, tego roku głowę mam podobną do niezapalonéj latarni. Więc nudzę się; czczość myśli jest największą dla mnie męką. Nie wiem, o czém marzyć, a nie mając w głowie żadnego zmyślonego obrazu, muszę myśleć o nudnéj rzeczywistości.“

Od tego listu, pisanego w listopadzie, aż do korespondencyi włoskiéj, która się poczyna z dniem 28 maja 1836, jest przerwa ani jedném słówkiem nie zapełniona, któréj powodu nie umiem wytłómaczyć sobie zupełnie. Nie wiadomo tedy, ani czy co napisał téj zimy (prócz dokończenia Anhellego), ani kiedy mu nad wszelkie spodziewanie nadesłano ów upragniony pasport z Paryża, ani też jakie były okoliczności towarzyszące godzinie wyjazdu. Dość że w miesiącu styczniu czy lutym (1836) opuścił Juliusz dom, w którym przez całe trzy lata przemieszkując, tyle doznawał życzliwéj gościnności; w którym mu tyle natchnień przeszło przez serce i zrodziło niejeden z celniejszych jego utworów; w którym wreszcie błogie, nigdy przedtém w takiéj czystości jemu nieznane światełko tego, co poczciwy niegdyś Karpiński nazywał najpiękniejszém szczęściem na ziemi, uśmiechać się zaczęło do niego, ażeby tém prędzéj potém ukryć się za obłokiem i — dogasać powoli w cichych wspomnieniach wygnańca. Wyjeżdżał z postanowieniem spędzenia na włoskiéj ziemi przynajmniéj roku całego. Jechał pocztą do Marsylii, stamtąd na statku parowym, morzem do Liwurny; następnie, po trzech dniach wypoczynku w tém mieście, do *Civita Vecchia*, a stąd nakoniec lądem do Rzymu, gdzie go krewni oczekiwali. Rozpoczynając tę podróż, znał już cokolwiek język włoski. Miał on jeszcze w roku 1834 sposobność

poduczenia się jego w towarzystwie pewnego Włocha, który w Genewie w jednym domu z nim mieszkał i ciągle w tym języku rozprawiał ze Słowackim.

Bawił w Rzymie razem z Januszewskimi przez trzy miesiące od początku marca do końca maja. Mieszkali razem; w pierwszych tygodniach, dopóki jeszcze z będących wtedy w Rzymie rodaków mało kogo znali, był Juliusz nieodstępnym ich towarzyszem. Poźniéj znalazły się nowe znajomości i to ze wszech miar miłe i zajmujące; więc trzeba odtąd było poecie dzielić czas swój między nich wszystkich, ażeby i jednéj stronie i drugiéj zadość uczynić.

Z całego czasu spędzonego nad Tybrem jest tylko jeden list Juliusza, pisany do matki na kilka dni przed wyjazdem do Neapolu, d. 28 maja 1836. Wypiszę z niego, co tylko rzuca jakie światło na życie poety w owych miesiącach; uprzedzam jednak, że nie będą to szczegóły ani w części tyle dokładne, jak z czasów genewskich.

O wrażeniach, jakie na nim stolica chrześcijańskiego świata zrobiła, nie ma w liście żadnéj wzmianki. Natomiast znalazło się w pozostałych papierach kilka tercynów, wtedy zapewne pisanych, które dają odgadnąć uczucia, z jakiemi oglądał Juliusz ostatnie szczątki wielkości starożytnego Rzymu.

RZYM.

Nagle mię trącił płacz na pustém błoniu:
„Rzymie! nie jesteś ty już dawnym Rzymem“...
Tak śpiewał pasterz trzód siedząc na koniu.

Przede mną mroczne błękitnawym dymem
Sznury pałaców pod Apeninami,
Nad nimi kościół ten... co jest olbrzymem.

Za mną był morski brzég i nad falami
Okrętów tłum, jako łabędzie stado,
Które ogarnął sen pod ruinami.

I zdjął mię wielki płacz, gdy tą gromadą
Poranny zachwiał wiatr i pędził daléj
Jakby girlandę dusz w błękitność bladą.

I zdjął mię wielki strach, gdy poznikali
Ci aniołowie fal — a ja zostałem
W pustyni sam — z Rzymem, co już się wali.

I nigdy w życiu takich łez nie lałem,
Jak wtenczas, gdy mnie spytało w pustyni
Słońce, szydzący Bóg, czy Rzym widziałem?

Było zatém w pierwszych wrażeniach rzymskich coś przygniatającego do ziemi smutkiem naszego wędrowca. Usposobienie to jednak potém minęło. I dlatego też pisał na odjezdném w liście owym z Rzymu wysłanym na przykład co następuje:

„Jak dziwnie powietrze włoskie działa na moje zmysły, tego opisać nie mogę. Mam tysiąc zachceń, tysiąc wielkich podlotów do nieba, chciałbym tu był przepędzić moję przeszłość.“

Wspomniałem wyżéj o znajomościach, które z bawiącymi w Rzymie rodakami zawiązał w owym czasie Słowacki. Oto tutajto spotkał on się po raz pierwszy w życiu z wieszczem, którego imię tak jest przyjaźnią i poezyą z jego imieniem związane, jak imię Moora z Byronem, jak Garczyńskiego z Mickiewiczem. Mówię o Zygmuncie Krasińskim. Wiekiem prawie rówiennicy (Zygmunt o trzy tylko lata młodszy był od Słowackiego), talentem poetyckim, dla tłumu czytających mało wtedy jeszcze przystępnym, tak ściśle spokrewnieni ze sobą — zrozumieli się oni od razu i tak sobie wzajemnie do serc przylgnęli, że ten związek ich duchów pozostał dozgonnym, pomimo wstrząśnień przelotnych, które w ostatnich latach życia Juliusza zagrażały zerwaniem téj idealnéj przyjaźni. W czasach pierwszego poznania Słowacki, chociaż autor kilku już dzieł wydanych, mało jeszcze w kraju był ceniony jako poeta. O Krasińskim chyba najbliżsi wiedzieli, że pisze; Agay Han i Nieboska komedya były już ogłoszone (1834), lecz bezimiennie; Irydyon przechodził właśnie przez prasy paryskie w dniach owych, gdy się ci dwaj młodzi ludzie po raz pierwszy ujrzeli na rozwalinach nieśmiertelnego miasta.

... „W ostatnich czasach żyłem w Rzymie z kilku ziomkami moimi, młodymi, zapalonymi, i tych towarzystwo ożywiało mię nieco. Jeden z nich miał wiele podobieństwa do dawnego dziecinnego przyjaciela mojego Ludwika. Rozmawiając z nim, przyszło mi na pamięć wiele dawnych uczuć i wiele dawnych wyrazów. Chodziliśmy razem na spacery i najczęściéj przepędzaliśmy wieczory w willi Mills. Jestto ogród pełny róż i cyprysów, zasadzony na ruinach dawnego pałacu cesarzów rzymskich.*) Przy świetle księżyca kiedy kwiaty wydawały dziwne zapachy, kiedy ruiny otaczające tę willę przybierały kształt duchów, a Rzym daleki w sinéj mgle tonął, z dziwném rozemdleniem serca myślałem o przeszłości. Nieraz Ciebie, moja droga, wspomniałem cicho i głośno... opowie Ci to kiedyś Zygmunt, mój towarzysz romansowych wędrówek, bo może on prędko Ciebie widzieć będzie, a obiecał mi, że to uczyni, jak będzie mógł najspieszniéj po powrocie z zagranicy... Z Zygmuntem biegaliśmy po odległych spacerach. Wieczorami tak na żywych i pasyonowanych rozmowach czas nam zbiegał, że często wracałem do domu, kiedy się już Teofilowie spać położyli. Przeczytałem był wszelkie moje prace Teofilostwu, które się im nie bardzo podobały“ — (to się ściąga, jak mi dobrze wiadomo, jedynie do Balladyny) — „i mówili mi zawsze, że szlachta nie zrozumie. Młodzi moi znajomi z chciwością pożerali, cokolwiek im udzieliłem“...

Z innych osób wtedy w Rzymie poznanych wymienić potrafię tylko Alexandra Hołyńskiego, młodego obywatela z Białéj Rusi z pod Witebska, i Zenona Brzozowskiego z Ukrainy, którzy obydwaj, jak sądzę, objęci są właśnie razem z Zygmuntem w tém wyrażeniu „młodzi moi znajomi“; daléj rodzinę baronostwa Richthoffenów z Poznańskiego, i Alexandra Potockiego, który się liczył do Emigracyi.

O Richthoffenach znajduje się taka wzmianka w listach Juliusza:

... „Mąż Niemiec — żona Polka, bardzo miła osóbka, wiele gadająca, z rodzaju naszych przymilających się i zwinnych kobietek warszawskich. Gdybyś sobie, droga moja, wystawić mogła, coto za urok jest dla nas w Polkach! jak one zdają się nam z innego świata, lekszego, zgrabniej-

*) Cudne to miejsce dzisiaj nieprzystępne jest dla publiczności; przeszło bowiem w posiadanie zakonu Salezyanek.

szego stworzeniami: tobyś się nie dziwiła, że słysząc tylko o téj pani, latališmy jak waryaty z Zygmuntem po willach włoskich, aby ją zobaczyć. Ideał utworzony w imaginacyi rozprysnął się za pierwszém spotkaniem téj damy w ogrodzie Borghezych, i teraz została mi w niéj tylko milutka znajomość, bo mnie Alexander Potocki zarekomendował, a moje nazwisko, już trochę znane, pomogło mi do otrzymania dobrego nader przyjęcia“ (dnia 28 maja 1836).

W pierwszych dniach czerwca rozstał się Juliusz z Krasińskim i razem z krewnymi wyjechał z Rzymu do Neapolu. Hołyński i Brzozowski w kilka tygodni poźniéj także się tam znaleźli. O trybie życia w tém mieście najlepiéj zawiadomi następujący wyjątek z listu:

„Od piętnastu już dni siedzę w oknie mojém, na ulicy św. Łucyi*) w Neapolu, patrząc na błękitne morze, na Wezuwiusz, na Neapol ciągnący się w półkręgu na lewo, w dzień biały, w nocy jaskrawy tysiącem świateł. Mam balkonik mały nad morzem, na balkoniku stoi krzesło i róży wazon; w tém krześle siedzę jak śpiący, pławiąc różne obrazy na błękitnym dymie tureckiego tytoniu; czasem podnoszę głowę i widzę... co? Teofila z Gajem (dawny znajomy z Wilna, który z żoną także podróżował wtedy po Włoszech) siedzących na drugim balkoniku na górze i patrzących na morze. Tak zwyczajnie część dnia upływa w kontemplacyach. Pod wieczór robimy różne projekta spacerów, które czasem przychodzą do skutku, a czasem niezgodnością głosów zerwane, kończą się na tém, że każdy z nas idzie w swoję drogę; to jest: Teofilowie na ludną i publiczną promenadę prowadzą się jak dwoje gołąbków, Gajostwo idą skupować lawy i obrazki, a ja wracam znów na moje siedzenie na balkoniku i przemarzam cały wieczór. Takie jest życie moje, niech go (jak powiada Adam) słuchacz w duszy swéj dośpiewa.“

...„Zachwycony jestem Neapolem, a jednak za dwa dni myślę wyjechać na cichsze mieszkanie do Sorrento. Dlaczego? wyznam ci moja droga, że już mię przejażdżkowe życie dosyć zmęczyło. Myśl moja, która przez trzyletnią spokojność przywykła do wewnętrznego i ciągłego życia, tutaj gniewa się na mnie, że ją widokiem różnokolorowym ciągle zatrudniam i męczę... Dlatego w Neapolu nie chce mi się długo siedzieć, a w Sorrento przywołaniem mocnych

*) Był to dom położony pod Nrm. 3 na ulicy S. Lucia.

myśli będę się starał zapełnić tę czczość, która mię teraz nadto lekkim czyni i nosi po wierzchu wszystkich marzeń. Raz tylko na Wezuwiuszu, patrząc na słońce wschodzące, odwróciłem się i modliłem się i łzy miałem w oczach. Raz tylko od kilku miesięcy coś czułem wiejącego na mnie z tamtego świata. Ale czy uwierzysz, droga, że Herkulanum i Pompei nie zrobiły na mnie żadnego wrażenia! Chodziłem po ulicach Pompei z cygarem w zębach, jak po spalonéj wiosce: uliczki małe, brukowane przed wiekami, z dwóch stron grobowce, i domki bez dachów i sufitów uróżowane jak stare kobiety szczątkami malowideł czerwonych; małe framugi wylepione muszelkami, z których niegdyś lały się źródła wody, dziś nie płaczące; świątynia Izys mała, z wyrocznią, która dziś restaurowana ledwieby na małych dzieciach uczyniła wrażenie strachu: mały cyrk teatralny odkryty, ani przy jego kolumnach nie stoją zaschłe trupy aktorów, ani po schodach siedzą spaleni na węgiel słuchacze. Odgrywał na nim tylko Gaj komedyą, bo chciał wziąć z murów mały kamyk marmurowy na pamiątkę, a cicerone odkrył rzecz i pamiątkę wyjął czułemu sentymentalizującemu wojażerowi z zanadrza... Ja na to wszystko patrzałem siedząc w loży. — Wchodząc do domu poety, towarzystwo odezwało się do mnie po polsku, abym pierwszy, jako poeta, progi przestąpił. Cicerone nasz przebiegły zaraz zrozumiał, o co rzecz chodzi, zaraz powołanie moje wywąchał i dowcipnie się znalazł, bo przystąpiwszy do mnie rzekł: Ponieważ Pan jesteś u siebie, więc mi coś daj! Na tak zgrabne przymówienie się nie mogłem nic odpowiedzieć, tylko brzęczącém słowem, które zaraz imię moje poety zamieniło w ustach cicerona na tytuł *Eccellenza*, i tak uradowany przewodnik zaprowadził mię do najtajniejszych zakamarków poetycznego domu, pokazując mi różne bezwstydne i rozwiązłe obrazki. O! poeto starożytny, nie żal, że ciebie niepamięć zasypała, a dom twój popioł przywalił! — Kiedy patrzę na Wezuwiusz i na białe domki u stóp jego nad morzem, myślę że możnaby w jednym z tych domków szczęśliwe pędzić życie; trzebaby tylko z trzykroć majątku. Wtenczas Ty, moja droga, miałabyś mieszkanie z ogródkiem pełnym róż, tulipanów i anemonów; ja miałbym także cichą i żaluzyami zielonemi zasłoniętą pracownię, łódkę z białym żagielkiem na morzu, konia, a potém miłą i dobrą żonę, różowe dzieci, a potém niechby choć popioł przysypał nasze grobowce!“ (dnia 20 czerwca 1836).

Owoż dobitny przykład, co to jest człowiek z wrodzoném usposobieniem do ciągłych marzeń i przyzwyczajony samemi okolicznościami do życia w napowietrznéj sferze samych tylko ideałów fantazyi. Potrzeba pragnień jakichś nigdy nie zaspokojonych zamienia się u ludzi takich w drugą naturę. Dopóki żył samotny w Szwajcaryi: tęsknił do rodziny, skarżył się gorzko, że nie widzi nikogo ze swoich około siebie. Po wielkich z trudnościami przebojach i po długiém czekaniu, ma ich teraz przy sobie... i cóż poczyna? Oto zamyśla o wyjeździe do Sorrento, ażeby ich samych zostawić w Neapolu! Marzy natomiast o własnym domku nad morzem. Gdyby posiadł, co tu wyraził, szukałby znowu czego innego na świecie! Prawdziwy poeta w życiu, jak w pismach...

Myśl wycofania się ze zgiełku miejskiego w zacisze wiejskie w saméj rzeczy doprowadził do skutku. Pojechał do Sorrento i przesiedział tam cały czerwiec, podczas kiedy Januszewscy ciągle w Neapolu bawili. Z końcem miesiąca do nich powrócił i taką zdawał sprawę matce z tego pustelniczego miesiąca:

. . . „Przepędziłem miesiąc cały w Sorrento blisko Neapolu, sam jeden, bo Teofilowie miasta nie chcieli porzucić, ja zaś potrzebowałem przeżyć choć miesiąc jeden między drzewami, daleki od zgiełku brukowego, i znalazłem sobie mały pokoik, z którego nic widać nie było prócz gaju cytrynowego i morza, za morzem w mgle oddalenia Wezuwiusz. Całe dnie przepędzałem z sobą samym i z Szekspirem. Zrazu chodziłem się kąpać w morzu, i te kąpiele przez miesiąc cały brane nie przyniosły innego skutku, oprócz czasowego osłabienia, które ustało, skorom kąpieli zaprzestał. Życie moje wiejskie w Sorrento przypomniało mi dnie samotne przepędzone w Veytoux nad brzegiem jeziora; i to podobieństwo dwóch chwil błędnego życia miłém mi było. Pisałem trochę, myślałem, czasem się modliłem, kiedy w bliskim kościołku grający organ dochodził do mojéj cichéj celi. Czasem, jak w obrazach włoskich albo flamandzkich, słuchałem oparty na murze grającéj na gitarze dziewczyny. Byłato młoda moja gospodyni, która mi ciągle dawała serenady. Zawsze widać mię było nad morzem w godzinę zachodu słońca, bo lubiłem słuchać powiewu wiatru, który ciągle od morza na ziemię wiejący, w chwili zachodu obracał się nagle i gonił za słońcem na morze. I tak przeszedł mi cały miesiąc życia bez żadnéj rozmaitości... Je-

dnostajność taka nie znudziła mnie jednak wcale, i byłbym dłużéj pozostał w mojéj zaciszy, gdyby nie bliski wyjazd Teofilów i nie chęć przepędzenia z nimi ostatnich dni mojego tu pobytu, zwłaszcza że dla braku funduszów nie mogę ich odprowadzić do Florencyi"... (Neapol, dnia 3 sierpnia 1836).

Wzmianka powyższa „pisałem trochę" nasuwa pytanie, które też z dzieł Słowackiego powstało wtedy? Jestto wątpliwość trudna do rozwiązania. Już to w ogóle czasy te spędzone we Włoszech nie wydały wielkiego plonu. Zbyt wiele przeróżnych wrażeń miał do przyjęcia w siebie Słowacki w tym nowym dla siebie świecie; zbyt był zajęty tém wszystkiém, co się działo około niego, żeby był mógł dawać posłuch i wewnętrznym natchnieniom, powołującym go do autorskiéj czynności. Pomiędzy niewydanemi za jego życia rzeczami znalazłem zaledwie trzy pomniejsze utwory, które niewątpliwie przypadają na te włoskie miesiące. Sąto poezye liryczne, zatytułowane Sumienie (z podpisem: dnia 1 maja 1836),*) „Rzym" (przytoczony powyżéj w całości), i kilka strof mających napis „Ułamki", podobnież tercynami dantejskiemi pisane, jako ten wiersz poprzedni. To wszystko, jak rozumiem, rzucone było na papier w Rzymie. Na ów miesiąc w Sorrento nie mam nic, cobym odnieść mógł z pozostałych jego papierów. Z dzieł dawniéj drukowanych jeden tylko Wacław (wydany roku 1839) mógłby być utworem tegoto czasu. I rozważywszy wszelkie okoliczności, które tu zbyt długo byłoby szcze-

*) W wierszu „Sumienie" zdaje się ściągać znowu wszystko, jak w owém „Przekleństwie", do Eglantyny. Ażeby jednak czytelnik nie poddawał się mylnym przypuszczeniom, jakie mu się przy czytaniu tego wiersza zapewne nastręczają, uważam sobie za obowiązek nadmienić, że literalnie brać nie można niektórych wyrażeń, jakie się tam znajdują. Jest w całym tym stósunku poety do Eglantyny w ogóle wiele rzeczy bardzo trudnych do wyjaśnienia; lecz co pewne, to że i potém byli oni dobrze ze sobą, korespondowali i wspominali o sobie życzliwie. Słowacki przynajmniéj w listach swoich do matki z téj epoki mówi o niéj zawsze tonem przywiązanego brata. „Dobra siostra moja genewska", „listy siostry mojéj Eglantyny miłe mi są, bo sercem pisane", itp. oto wyrażenia, w jakich o niéj zawsze przemawia.

gółowo rozbierać, przypuszczenie powyższe nabiera tyle prawdopodobieństwa, że co do mojéj osoby śmiałbym nawet na pewne twierdzić, że poemat ten wtedy musiał być napisany. Była to kreacya, jak rozumiem, osnuta na tle tego wszystkiego, czego się o ostatkach życia tego bohatera powieści Malczeskiego nasłuchać mógł Słowacki w Rzymie od niektórych rodaków tamże bawiących a dobrze obeznanych z domu tulczyńskiego dziejami i misteryami. Powodu do rozmów o tém dostarczała już sama bytność pomiędzy nimi Alex. Potockiego, który był, jak wiadomo, najstarszym z synów Szczęsnego z żony jego Zofii Greczynki.

Lecz wróćmy do biografii poety. Zamiarem jego było więc pozostać, kiedy krewni odjadą (a miało to nastąpić z końcem miesiąca) w Neapolu i nadal, aż do nadejścia funduszów, któreby mu pozwoliły udać się potém na kilka jeszcze miesięcy do jakiego innego miasta. Tymczasem zaszła na kilka dni przed chwilą, która ich rozłączyć miała, nagle decyzya inna, i z powodu takowéj odebrała matka Juliusza niespodzianie następujące doniesienie w liście datowanym z d. 24 sierpnia 1836.

„Zdziwisz się Mama zapewne, odebrawszy list ten na wsiadaniu prawie pisany. Wyjeżdżam na Wschód, do Grecyi, do Egiptu i do Jerozolimy. Projekt ten od dawna zrobiony i kilka razy odrzucony ode mnie, jako nadto straszne przedsięwzięcie, przyszedł nakoniec do skutku. Odbędę sześciomiesięczną wędrówkę w towarzystwie Zenona Brzozowskiego i w Alexandryi połączę się z dwoma moimi współtowarzyszami podróży“ (Hołyńskimi, z których młodszy, Alexander, poznany jeszcze w Rzymie, głównie go namówił do téj wyprawy i też dopomógł do wykonania projektu). „Będzie więc nas czterech żeglujących po Nilu aż do pierwszéj katarakty. Nie lękaj się o mnie, moja droga, ani frasuj się o sposoby dosyłania mi czego. Mam wszystko zabezpieczone.“

...„Teofilowie odradzali mi wojaż; ale kiedy się wahałem, czy go mam przedsięwziąć czy nie: otworzona losem biblia zdecydowała mię następującym wierszem: „Kościoły azyjskie pozdrawiają was.“ Może to droga moja weźmiesz za przesąd, ale wierszowi temu zawierzyłem i on mię prowadzi w daleką drogę. Dziś wieczór o godzinie 12 w nocy wyjeżdżam z Neapolu do Otranto, stamtąd do Korfu, z Korfu do Aten, z Aten do Alexandryi, taki przynajmniéj ma-

my teraz ułożony plan podróży; jak go dalsze okoliczności zmienią, nie wiem. Spodziewam się, że ta podróż będzie mi użyteczna; chociażby tylko ustaliła moc charakteru, którego potrzeba do przedsięwzięcia i wykonania rzeczy połączonéj z trudami znacznymi: to już dosyć będę z niéj miał korzyści. Obaczę nowe kraje, nowych ludzi; będę żył z nimi, będzie mię nosił wielbląd karawany i pomyślę o śmierci na grobie Chrystusa. Będę się tam modlił za tych, których kocham, a potém z sercem pełném pamiątek i obrazów wrócę do jakiéj cichéj europejskiéj samotności.“

Ta podróż wschodnia stanowi najwięcéj zajmujący, najtreściwszy i zarazem najpoetyczniejszy okres w życiu Słowackiego i w całéj korespondencyi jego do matki. Żałować tylko należy, że nie mamy wszystkich listów, w których udzielał swoich wrażeń w ciągu owego czasu. Przez ciąg 10 miesięcy — tak długo bowiem podróż ta trwała — wyprawił Juliusz do Krzemieńca w ogóle pięć listów z dokładnemi sprawozdaniami ze wszystkiego, gdzie był i co widział. Dwa pierwsze z tych pięciu listów gdzieś po drodze przepadły. Jeden z nich datowany był z Aten, z miesiąca września; drugi pisany był w Alexandryi, w jakie półtora miesiąca potém. Tych dwóch listów nie ma więc w zbiorze, i dlatego też nader niedokładne będą szczegóły nasze o téj pielgrzymce poety, o ile takowa dotyczy Grecyi i północnego Egiptu. Potém pisał do matki jeszcze trzy razy; to jest z Bajrutu w lutym (1837) posłał do Krzemieńca dwa listy, niezwłocznie jeden za drugim, a trzeci list, który był pisany na morzu śródziemném na dni kilka przed zawinięciem do portu, w czerwcu rzucił na pocztę w Liwurnie. Te trzy numera znajdują się w zbiorze i z nichto czerpiemy wszystko, co poniżéj nastąpi.

Ażeby zacząć od ogólnego obrazu usposobień wędrowca naszego w ciągu podróży, stawię na czele następujące miejsca, wyjęte z listu pisanego d. 17 lutego 1837 w Bajrucie.

...„Sześć miesięcy włóczę się jak waryat po świecie; widziałem tyle rzeczy, że nie pojmuję, jak oczy moje mogły wydołać zmysłowi wzroku; czułem wiele, byłem wesoł, zachwycony, płakałem. Miałem całe dni pełne dumań, całe miesiące pełne roztargnienia, i dwie wielkie niespokojności, to jest niespokój o Ciebie, i drugą niespokojność, że się Ty o mnie troskać musisz“...

...„Uważam już podróż moję za skończoną prawie: zwiedziłem Grecyą, Egipt, Syryą, Palestynę, i przybyłem do miasta portowego Bajrut, skąd ruszę prosto do Włoch. Czekam tylko, aż piękny czas nadejdzie i podróż morską zupełnie bezpieczną uczyni. Na miesiąc lub dwa zamierzam udać się do klasztoru Bel-chesz-Ban. Tam będę pędził życie samotne, do szwajcarskiego podobne; towarzystwem mojém będą zakonnicy ormiańscy i jeden malarz Rzymianin, który do kościoła maluje obrazy. Miejsce, które obrałem na odpoczynek, jest jedno z najładniejszych w Syryi. Spodziewam się, że mi bardzo będzie przyjemnie spędzić trochę czasu w zaciszy na rozmyślaniu, bo chociaż podróż ta bardzo mnie zajęła, nieraz tęskniłem za spoczynkiem i spokojnością domku w Paquis. Pomimo wielu niewygód i złych przepraw zdrowie moje służy mi przewybornie; i kiedy mój towarzysz (Zenon Brzozowski), silniejszy stokroć ode mnie, nie mógł uniknąć lekkiego zapalenia oczu na łódce nilowéj, ja zupełnie obszedłem się bez lekarstw, jakich nam dostarczył pewny nasz rodak doktor w Kairze. Dziesięć dni ciągłéj słoty wytrzymałem na koniu, ciągle wędrując ku Jerozolimie. Ale o tém wszystkiém napiszę Ci moja droga obszernie w drugim listku“...

...„Moja Mamo, do któréj ja z różnych stron świata ciągle wracałem myślą, chcąc się z Tobą podzielić każdym widokiem, każdém wrażeniem; dlaczego Ty nie możesz być choć przez kilka chwil ze mną, teraz w téj chwili... abym mógł płakać położywszy twarz na rękach twoich... Spokojności! Byłem nad jeziorem, gdzie niegdyś Chrystus z taką spokojną pokazywał się twarzą, choć bardzo cierpiał w głębi serca“...

O Grecyi zaledwie tę krótką wzmiankę spotkać można w jednym z późniejszych listów:

...„Grecya pełna ruin przecudownych podobała mi się bardzo, i bardziéj niż Rzym mnie zachwyciła. Egipt zatarł Grecyą w mojéj pamięci. Nic cudowniejszego nad ruiny nad Nilem będące. W liście z Alexandryi pisałem, jakiegom wrażenia doznał, widząc się pierwszy raz w oryentalném mieście, i żałuję tego listu, bo już teraz niepodobna byłoby tego opisać.“ (d. 11 lipca 1837 z Liwurny).

W Alexandryi wylądował Słowacki dnia 21 czy 22 października (1836). Dwa dni przedtém, napisał prześliczny ów „Hymn o zachodzie słońca na morzu“, zaczynający się od słów:

„Smutno mi Boże! dla mnie na Zachodzie
Rozlałeś tęczę blasków promienistą —
Przede mną gasisz w lazurowéj wodzie
Gwiazdę ognistą —
Choć mi tak niebo ty złocisz i morze,
Smutno mi Boże!“

Dnia 22 października, w gospodzie alexandryjskiéj wypoczywając po niewczasach podróży, złożył drugi wiersz, także dopiero drukowany między pośmiertnemi dziełami, „Do Teofila Januszewskiego“.

W niewiele dni potém, nie zatrzymując się dłużéj w Alexandryi, wsiadł na łódkę nilową i pogonił za przyjacielem swoim Alexandrem Hołyńskim, który go wyjazdem swoim z Neapolu wyprzedził i bawił wtedy gdzieś w głębokim Egipcie, koło posągów Memnona. Pierwszą stacyą w téj żegludze Nilem było Kairo.

...„Dnia 28 października przybyłem łódką do Kairo. Pyszne miasto, piramidy z daleka widać było, pełno lasów palmowych, całe przedmieście w ogrodach. Na drugi dzień po przybyciu do Kairu odbyłem podróż do piramid. Oba (Słowacki i Brzozowski) byliśmy na małych osiołkach, i dziwnie na tém stworzeniu maleńcy wydawaliśmy się przy olbrzymich gmachach granitowych. Piramidy jednak nie tak mnie zadziwiły ogromem. Beduini w białych płaszczach zbiegli się zewsząd, aby nam służyć za przewodników, i biorąc nas za ręce, wciągali przez ciemne, granitem wykładane korytarze aż do małych pokoików we wnętrzu piramid będących, w których stały dwie niegdyś, dziś tylko jedna granitowa trumna. Wyszedłszy z ciemnych piramid, zacząłem się drzéć po kamieniach aż na ich szczyt, wciągany zawsze za ręce od dwóch Arabów. Byłem na szczycie najwyższéj piramidy. Cudowny widok! Szczyt Faulhorna, kopuła św. Piotra, Wezuwiusz, piramidy, były to dla mnie jak najwyższe gałązki na drzewie, na których ja, biedny ptaszek wędrujący, siadałem na chwilę, aby odetchnąć. Widziałem więc piramidy! ale zato straciłem obraz, który sobie o nich moja imaginacya tworzyła. W Kairze uliczki małe, mnóstwo sklepów; przed wyjazdem z tego miasta pokazano mi w sklepie biały płaszczyk z wełny, robiony w Tunisie, a zwany burnus. Wybrawszy najcieńszy, jaki tylko był na wschodzie, kupiłem go dla Ciebie, moja droga,

myśląc, że Ci do przebędzie obwinąć się w niego jak w lekkie i miękkie prześcieradło i tak leżeć na swojéj maleńkiéj kanapce. Mój towarzysz obiecał mi, że cię ten płaszczyk tunetański dojdzie. Drugi taki płaszcz, ale gruby i pospolity, okrywa mnie jadącego na koniu, a w Jeruzalem nadawał mi postać Krzyżaka. Widziałem targ niewolników i jednę ładną Abisynkę, za którą dawano już 1000 fr.“

...„6 listopada wziąwszy na miesiąc łódkę z ośmiu marynarzami, którzy zupełnie byli na nasze rozkazy jak niewolnicy, puściliśmy się Nilem ku pierwszéj katarakcie, szukając spotkać się z dwoma Hołyńskimi, którzy nie doczekawszy się puścili się przed nami w tę drogę. Śliczna podróż! Rysowałem wiele, słowa bowiem były niedostateczne do wydania wszystkiego, co uderzało w oczy. Mnóstwo żórawi lecących po błękicie, mnóstwo innych ptaków wodnych, chmury gołębi unoszące się nad wioskami, wioseczki z ziemi bite, najczęściéj w lasach palmowych stojące, czasem ogromne skały i sępy wielkości człowieka siedzące o zachodzie słońca na górach, nareszcie przy Siut pierwszy krokodyl leżący na piasku, dla którego porwaliśmy się od stołu, aby mu się z bliska przypatrzeć, wszystko to tworzy teraz w imaginacyi sen bardzo piękny“... (z listu datowanego z Bajrutu d. 17 lutego 1837).

Przerywam to opowiadanie, aby nawiasowo nadmienić, że pomimo uwagi o „niedostateczności słów“ do wydania wrażeń takiéj podróży, znalazło się jednak kilka rzeczy w pozostałych jego papierach, które poeta napisał pod wpływem wrażeń na miejscu. Jestto najprzód wiersz „Odwiedziny piramid,“ z datą dnia 2 listopada 1836; i drugi pod tytułem „Rozmowa z piramidami“ (oba ogłoszone dopiero w zbiorze pośmiertnym). Daléj liryczna pieśń nosząca nazwę „Na Nilu.“ Nakoniec znany już dawniéj, bo dołączony do Lilli Wenedy „List do Alexandra H(ołyńskiego) pisany na łódce nilowéj.“ Już początek tego wiersza maluje dokładnie sytuacyą:

Rozdzielił nas gościniec płynnego szafiru;
Ty w Tebach, ja dopiero wypływam z Kairu.
Spodziewałem się niegdyś, że miło nam będzie
Złączyć na Nilu skrzydła okrętów łabędzie;
Razem odwiedzać mumii balsamiczne składy,
Razem oczy w nilowe rzucać wodospady

I razem jako dawniéj, kończyć spór zacięty
O cień Chrystusa z drzewa przez Woltera zdjęty.
Dziś próżno cię wyglądam i próżno mię czekasz,
Wiatrem, który mię niesie za tobą, uciekasz;
A twój brak tak mi serce w podróży oziębia,
Żem przedsięwziął do ciebie pisać przez gołębia.“ itd.

Co się tyczy rysunków wspomnianych w liście powyższym, i te się także znalazły pomiędzy pozostałymi papierami poety. Leżą właśnie przede mną. Są z nich jedne wykonane ołówkiem, drugie akwarelkami. Jest ich wszystkich 15, mają daty począwszy od 27 października do 26 listopada (1836). Niektóre z nich wcale się Słowackiemu udały, i może by warto było dać je do jakiego obrazkowego pisma peryodycznego.

Dnia 19 listopada przyszło wreszcie do upragnionego spotkania się z Hołyńskimi. Wszystkie szczegóły téj miléj sceny tak wtedy w pamięci Słowackiemu utkwiły, że jeszcze w rok potém, w Florencyi bawiąc, spisywał owo zdarzenie, jakby się działo właśnie przed jego oczami.

. . . „Wiedząc już, że jakieś łódki cudzoziemskie są w pobliżu, wziąłem strzelbę na ramiona i z jednym Arabem puściłem się przed łódką naszą brzegiem, aby się mieszkańców wiosek o tych cudzoziemcach wypytać. Po godzinie drogi ujrzałem z daleka ich pawilony w jednym z kanałów nilowych i spostrzegłem dwóch młodych w europejskich ubiorach na na piasku. Pędem biéc zacząłem do nich, młodszy brat skoro mię obaczył, także zaczął biéc ku mnie i rzuciliśmy się w uściski zobopolne, dumni ze spotkania się na téj ziemi cudów. Wkrótce nadjechała łódź z Zenonem, którego już mój Arab uprzedził, że znalazłem tych, za którymiśmy ścigali. Wszyscy więc razem, służącym powierzywszy straż łódek, poszliśmy do oddalonéj o godzinę drogi Dendery. Największy ten po piramidach gmach w zachwyceniu nas pogrążył. Chodziliśmy między kolumnami, jak odurzeni; siadaliśmy na ziemi, rozmawiając z litością o wojażerach europejskich, którzy takich cudów wystawić sobie nie mogą; słowem nakarmiliśmy oczy, serce i zamknęliśmy do serca dzień pamiątek tak cudowny, że nawet przyjaźń naszę między nami powiększył. Potém Hołyńscy zaprosili nas do łodzi na obiad, a my ich na poncz wieczorem do

siebie. O godzinie 12 w nocy rozjechaliśmy się; towarzysze nasi bowiem już wracali z katarakty, my zaś dopiero jechaliśmy do niéj. Łódki ich ze śpiewem majtków oddaliły się szybko wodą niesione, nasz zaś okręcik przeciwko wodzie płynął z trudnością i łamał księżycowe fale.“ (Florencya, d. 24 listopada 1837).

Przyjechawszy do katarakty, wzięli na dzień jeden osiołki i ruszyli, objeżdżając Nil, do Nubii, ażeby widzieć wysepkę Fileę, sławną z ruin i pięknego położenia. Potém skierowali drogę ku Tebom i zwiedzili tak ruiny tego miasta „przechodzące wszystko ogromem,“ jako i statuy Memnona o wschodzie i o zachodzie słońca. Wreszcie —

„Dnia 10 grudnia to jest po trzydziestokilkodniowéj podróży na Nilu, wróciliśmy do Kairu, gdzieśmy zastali kilku rodaków już dawniéj znajomych, oraz Hołyńskich. Pięć dni przepędziliśmy znowu w tém mieście, i potém siadłszy na wielbłądy, kupiwszy sobie namiot, z dwoma służącymi i beduinami, puściliśmy się przez pustynię z Kairu do Gazy. Nie wystawisz sobie droga, jak to dziwnie siadać na klęczącego wielbłąda, jak się to trzeba trzymać siodła, kiedy wielbłąd się podnosi i trzy razy człowieka rzuca w różne strony wstając na nogi; lecz jeszcze nieprzyjemniéj jest siedzieć na nim, kiedy klęka, zdaje się, że się dom pod człowiekiem wali. Wielbłądy idąc drogą, pasą się wonnym tamaryntem, i beduini pędzili nas jak pasącą się trzodę. Życie takie i podróż taka ma dziwny powab. Czas był najpiękniejszy. Pierwszą noc spaliśmy w grobowcu świętego tureckiego; była to mała biała kapliczka z kopułką: święty nieboszczyk leżał po jednéj stronie, my po drugiéj. Cienki mur nas przedzielał, w którym były dwa okienka i przez te mieliśmy ze świętym komunikacyą. Wielbłądy leżały wieńcem koło ognia przed grobowcem, nad tą kaplicą rosło wielkie czarne drzewo, w którem całą noc śpiewał puszczyk. Potém co wieczora rozbijaliśmy nasz podróżny namiot, przez osiem dni bowiem jednę tylko widzieliśmy wioseczkę. Małe różne wydarzenia takiéj podróży stają się bardzo znacznemi i urozmaicają się dziwnie. Czy to kilka gazeli skaczących po stepie, czy ślad hyeny, czy spotkanie karawany, czy widok samotnego beduina, który ze swoim wielbłądem przebywa pustynię i obok naszych ogniów swój ogień rozkłada — nic z tych rzeczy nie jest obojętném. Zachody słońca pyszne, krzaki cierniowe palące się lekkim płomykiem jak koronki brabanckie, słowem przyjemna po-

dróż w pustyni. Jużeśmy przybyli do El-Arish, gdzie trzeba było siedzieć pod namiotem dni 12 kwarantany. Ale o tém i o dalszéj podróży w następującym listku". (Z Bajrutu, d. 17 lutego 1837).

Odsiadując kwarantanę razem z towarzyszem swoim Brzozowskim (Hołyńscy bowiem byli pozostali w Kairze), doznał Słowacki w tém miejscu pustém, położoném na samém pograniczu Egiptu a Syryi, rozlicznych przygód, a wcale niespodziewanych. Ustęp, który poniżéj wypisujemy, tém bardziéj jest ciekawy, że wiele z tych obrazów, zdjętych tu z natury, odnajdujemy i w pięknym jego poemacie: Ojciec zadżumionych w El-Arish.

„Teraz opiszę Ci moję kwarantanę w pustyni przy maleńkiém miasteczku El-Arish. Wystaw sobie, droga, że po ośmiu dniach podróży w piaskach dano nam na odbycie kwarantany 12dniowéj równinę piasku gładką jak stół, otoczoną wzgórkami piaszczystymi do koła, nic więcéj. Wyznaczono tylko miejsce, gdzie miały stać nasze namioty, określono obręb, za który nie mogliśmy przechodzić, i zostawiono na łasce pana Boga. Wszakże do maleńkiego namiociku, który z sobąśmy mieli, przydano dwa drugie, jeden dla nas, drugi dla ludzi, ale ten ostatni tak podarty, że słońce było w nim panem. Dokoła żadnego mieszkania, gdzieby się było można schronić na przypadek deszczu, słowem miejsce smutne, którego cisza przerywana tylko była dalekim szumem śródziemnego morza, i po dwóch innych stronach horyzontu widać było dwa smutne palmowe lasy. Rozlokowaliśmy się nareszcie na tym piasku, wygrzebaliśmy w nim kuchenkę, ja wziąłem namiot wielki, mój towarzysz w naszym maleńkim rozłożył swoje graty, i tak zastała nas wigilia Bożego Narodzenia. Wieczorem towarzysz mój dobywszy zapomnianego czakana, zagrał mi wiejską kolędę, któréj słuchałem z rozczuleniem leżąc na dywaniku w mojéj budzie. Podziękowałem mu i wieczór nadszedł... Wtém niebo okryło się chmurami, burza piorunowa, ale najokropniejsza z wszystkich burz, nadeszła i trwała całą noc, to jest 13 godzin. Nie możecie sobie wystawić, jaką okropność miała dla nas obu, leżących w osobnych namiotach, ta noc bezsenna, któréj każda chwila zdawała się ostatnią, tak gromy były okropne, bliskie i gęste. Świeca kilkakroć zapalona zawsze gasła, deszcz przedarł się przez płótno namiotu, a kałuże podmywając nasze łóżka położone na ziemi, zmusiły nas do zwinięcia wszystkiego w jeden

pakiet, i sami byliśmy parasolami naszych rzeczy. Nakoniec nad rankiem ustała burza i deszczyk lekki tylko pozostał. Wyszedłem, aby zobaczyć co się z moim towarzyszem stało, i winszowaliśmy sobie wzajemnie. Wtém patrzę, aż mała rzeczka płynąca przez dolinę wzbiera, przerywa brzegi i białemi krągłemi falami bieży prosto na nasze namioty. Zrazu nie mogłem pojąć, co to znaczy, tak widok nowéj inundacyi nowym był dla mnie. Wkrótce poznałem całe niebezpieczeństwo, i za pomocą sług znieśliśmy namioty i rzeczy nasze w kwadrans czasu na mały piaszczysty wzgórek, a woda zajęła miejsce nasze w dolinie. Tak więc dzień pierwszy świąt pochmurny przeszedł nam smutno suszącym się na górze. Głodni, bo o kuchni myśleć nawet nie było można, przemokli, bez namiotów, spać musieliśmy na wilgotnym piasku, nakrywszy go mokrą rogożą i dywanem. Potém czas piękny wrócił, i trwał aż do przyjazdu naszego do Gazy". (Bajrut, d. 19 lutego 1837).

Wartoby było, aby po tym krótkim, sprawozdawczo tylko tu rzuconym opisie, odczytał sobie teraz czytelnik cudną przedmowę do powieści o Ojcu zadżumionych. Znajdzie w niéj tosamo — ale tam i strojniéj i szczegółowiéj jest wszystko opowiedziane.

Kiedy minęły dni kwarantany, uklękły znowu wielbłądy przed wędrowcami naszymi i podniosły się z nimi, „wyciągając długie, wężom podobne szyje, ku grobowcowi Chrystusowemu." Wjechali na ziemię klasyczną Palestyny. Bardzo krótko bawili w miastach leżących im po drodze, Gazie i Jafie. Bez wytchnienia dążąc ku Jeruzalem, stanęli wreszcie u bram miasta d. 13 stycznia (1837) o godzinie 9 wieczór.

... „Zastaliśmy bramy miasta zamknięte: cisza grobowa, księżyc, szczekanie psów odpowiadające na nasz stuk do bramy—niepewność, czy firmany nasze otrzymają nam wejście, czy trzeba będzie na polu nocować — jakieś wspomnienia krzyżackie... wszystko to pamiętnym mi uczyniło przyjazd do Jeruzalem. Nareszcie po dwóch godzinach otwierają się bramy, zajeżdżam do klasztoru. Szpitznagel*)

*) Alexander Spitznagel, wicekonsul w Jafie, przyjaciel uniwersytecki Słowackiego i zapewne brat Ludwika, bawił wtedy właśnie przypadkiem w Jerozolimie, o czém nasz poeta dowiedział się po drodze.

słysząc głos cudzoziemców, schodzi na dół; biorę go za ramiona, obracam ku sobie, mówię mu: Oleś! — Nie poznaje mnie... Pytam go po kilka razy: jakto? czy mię nie znasz?... Odpowiada mi po trzykroć: Niech Pan daruje, ale prawdziwie nie przypominam sobie... Nakoniec musiałem ze ściśnionem sercem wymówić moje imię i nazwisko... Jeżeli przykrą mi była ta chwila, to jeszcze przykrzejsze pożegnanie jego nazajutrz, bo go ani na pół dnia zatrzymać nie mogłem... Przyszedł do mnie i wziąwszy za rękę, powiedział: do zobaczenia. Oddawszy mu uściśnienie, z dosyć gorzkim uśmiechem odpowiedziałem, że jeżeli wyjeżdża, to już zapewne nie do zobaczenia żegnać się trzeba... Cały ten dzień było mi smutno. — Z dnia 14 na 15 miałem przepędzić noc u grobu Chrystusa... na wspomnienie téj nocy tak miałem rozigrane nerwy, że łzy rzucały mi się z oczu. Noc u grobu Chrystusa przepędzona zostawiła mi mocne wrażenie na zawsze. O godzinie 7 wieczór zamknięto kościół, zostałem sam, i rzuciłem się z wielkim płaczem na kamień grobu. Nade mną płonęło 43 lamp, miałem biblią, którą czytałem do 11 w nocy; o pół do dwunastéj weszła do grobu młoda kobieta i męszczyzna, jak sądziłem, małżonkowie, którzy musieli mieszkać w klasztorze i zrobili wotum odmawiać co dzień pacierz w nocy na grobie. Jakoż oboje pomodlili się krótko, pocałowali ów kamień, a potém przyszedłszy do mnie oboje, pocałowali mnie w rękę. Tak byłem zmięszany, że nie wiedziałem, jak się znaleść. Wyszli — zostałem sam. — O północy dzwon drewniany obudził w kościele księży greckich. Różne wiary, każda mająca swoję mniejszą lub większą zagrodę w tym gmachu, budzić się zaczęły na głos tego dzwonu. Grecka bogata kaplica oświeciła się lampami, na górze ormiański kościołek zapalił także świece i zaczął swoje śpiewy. Kopt mający małą drewnianą klatkę, przyczepioną do katafalku pokrywającego grób święty, także (jak widziałem przez szczeliny) zaczął w swojéj altanie dmuchać na żar i gotować samotne kadzidło. Katolicy także w dalekiéj kaplicy zaczęli śpiewać jutrznię, słowem, po północy ludzie obudzili się, jak ptaszki w gzymsach jednéj budowy budzą się, świergocąc każdy po swojemu o wschodzie słońca... Grecy na grobie odprawiali mszą, potém Ormianie; o drugiéj zaś w nocy, ksiądz rodak wyszedł ze mszą w imieniu mojéj ojczyzny, a ja klęcząc na tém miejscu, gdzie anioł biały powiedział Magdalenie: „Nie ma go tu, zmartwychwstał“, słuchałem całéj mszy z głębokiém uczuciem. O

trzeciéj w nocy znużony poszedłem do klasztoru, i spałem snem dziecka, które się zmęczy łzami.“ (Z listu jak wyżéj).

Zwiedzał potém wszystkie ważniejsze punkta Palestyny, wspominane w piśmie św. Odbywał pielgrzymkę tę konno. Był u morza Martwego, w Betleem, w wioseczce Jerycho, na Jozefata dolinie, w Nazaret i w Tyberyadzie, ciężko nawiedzonéj nieszczęściem na kilka tygodni przedtém. W skutek trzęsienia ziemi w mieście tém nie zostało ani jednego domu całego i 500 ludzi zginęło pod ruinami. Oglądał jezioro genezaretańskie i rozpamiętywał sceny biblijne, przywiązane do tego miejsca. Cała ta ziemia palestyńska wydawała mu się dziwnie urocza, pełna najpiękniejszych kwiatów, podobna do różnobarwnego kobierca. „Góry tylko, na których stoi Jerozolima, dzikie, niepłodne, nadają temu miastu straszliwą fizyonomią, i okropna jest dolina Jozefata“...

Wyjechawszy z Tyberyady, w pięć dni stanął w Damaszku, który choć położony w bardzo pięknéj okolicy, mało go zajął i przypominał mu Kairo. Potém przebył śnieżny Antylibanon i znalazł się między ruinami Balbeku (dawnego Heliopolis). Niewypowiedzianie ruiny te go zachwyciły. Przypomniał sobie, że kiedyś, kiedy jeszcze był dzieckiem, leżało w domu rodziców jego na fortepianie dzieło wielkie z ogromnymi sztychami, o ruinach Balbeku i Palmiry, które on nieraz wtedy przeglądał.

„Stojąc między kolumnami rzeczywistemi teraz, przypomniałem sobie te chwile dzieciństwa, i serce moje było pełne smutku.“

Stamtąd przejechał konno także Libanon, równie zasypany śniegiem, jak Antylibanon, i zjechał do krainy, w któréj zastał najpiękniejszą wiosnę.

„Jedne drzewa wcale nie straciły zieloności, drugie się w nią teraz ubierają. Migdały pruszą kwiatem, słońce pyszne, słowem jestto prawdziwie ziemia obiecana! Nie wyruszę z niéj, aż za dwa miesiące. Nie pojadę do Konstantynopola, bo mię to miasto niewiele interesuje; wolę jeszcze poznać się z Libanem i z chrześcijańskim ludem Maronitów“...

To było pisane d. 19 lutego 1837 w Bajrucie. Krainą, o któréj mówi, była nadbrzeżna, wzdłuż morza Śródziemnego ciągnąca się część Syryi, która niegdyś stanowiła kraik starożytnych

Fenicyan. W kilka dni potém, w Bajrucie, nastąpiło rozłączenie się obydwóch towarzyszów podróży. Zenon puścił się lądem do Europy i poprowadził na Konstantynopol konie arabskie, które po drodze kupił. Poeta pozostał w Syryi. Wrócił sam jeden w góry libańskie i zamknął się tam na 45 dni w jednym klasztorze, zwanym w języku syryjskim Spoczynek umarłych (Belcheshban). Oto, co o nim pisał w kilka miesięcy po wyjściu już z téj pustelni:

„Miejsce prawdziwie bezludne, klasztor zbudowany na skale, dobrzy księża ormiańscy, piękne kwiaty rozwijające się wiosną na górach, rozległy widok na morze z mojéj celi—wszystko to miłe mi zostawiło wspomnienie. Na dowód, jak pozyskałem przyjaźń księży, opiszę wam tylko mój wyjazd. Dobrzy ojcowie zasmuceni, że ich porzucam, dali mi wszelkie prowizye na drogę i wino; lecz kiedy przyszło osła dźwigającego ładować, pokazało się, że ogromnego butla wina udźwignąć nie mógł. Radosny byłem z tego zdarzenia, bo myślałem, że się zdołam wymówić od przyjęcia podarunku; lecz niestety! księża wysłali za mną człowieka, który na żylastych ramionach przyniósł za mną, trop w trop lecąc, butel aż do Bajrutu. Gdybym miał jaki mój własny domek w Europie, schowałbym ten doskonały trunek, aż się kiedyś zjedziemy; lecz ponieważ niepodobna mi jest włóczyć się z nim po świecie, więc go spijam, czyli raczéj co niedzieli częstuję nim sześciu ojców Kapucynów, którzy na jednym ze mną okręcie wracają z ziemi świętéj, i tym sposobem zyskuję sobie u nich wielkie poważanie i (ponieważ to są Hiszpanie) tytuł Don do mego imienia.—Ale wróćmy do klasztoru libańskiego. Przepędzałem dnie całe na dumaniu; wieczór szedłem do małego źródła, gdzie dziewczęta wiejskie przychodziły czerpać wodę, i rozmawiałem z niemi po arabsku, a trzeba wiedzieć, że cały mój arabszczyzny zasób składa się ze 200 wokabuł bez spójników i przypadkowych zakończeń. Nieraz matrony syryjskie dawały mi rękę, abym je brał za puls, myśląc że jestem doktorem; każdy bowiem Europejczyk na Wschodzie uważany jest za doktora. To mnie dziwnie bawiło.“

„Choć życie moje w klasztorze przez 45 dni było dosyć niezabawne, wyjeżdżając z niego uczułem dziwną tęsknotę. Ja miałem przed sobą podróż i włóczęgę — ci spokojni zostawali w swoich celach... dziwnie zazdrościłem im jednostajności życia! Nie zapomnę nigdy wrażenia, jakie uczy-

niło na mnie ostatniego ranka, kiedym się obudził, stuknie-
nie do drzwi, które rozbudzało śpiących po celach zakon-
ników. Tak było tego poranku, tak miało być jutro, tak
zawsze dla nich — a ja wyjeżdżałem do Bajrutu, gdzie
miałem wsiąść na okręt i ruszać do Europy, gdzie nikt mnie
nie czeka, gdzie się ja niczego nie spodziewam... Siadłem
na koń; przewodnicy i muły z rzeczami szli za mną, po-
tém człowiek z butlem na plecach — i cała krotochwilność
takiego orszaku rozweselić mnie nie mogła. Obejrzałem się,
byłem na dole, klasztor rysował się na niebie, a na dachu
klasztornym płaskim stały małe czarne figurki. Byli to
księża, którzy mnie oczyma przeprowadzali. — Dzień
Wielkiéj Nocy przepędziłem w tym klasztorze, i przyje-
chał umyślnie ksiądz Jezuita, ofiarując mi się na spowie-
dnika. Zrazu nie chciałem tego uczynić; lecz jego przyja-
ciel[illegible] poranku uklęknąłem przed nim, chcąc wymówić pierw-
sze słowo: rozpłakałem się jak dziecię, tak mi to przypo-
mniało dawne lata, dawną niewinność — wszystko, od cze-
go mnie potém długie lata oddzieliły... Po skończonéj spo-
wiedzi ksiądz wstał, uderzył mię po ramieniu i rzekł: idź
w pokoju! wiara twoja zbawiła ciebie.“ (Z listu pisanego na
morzu, d. 14 czerwca 1837).

Przeszło 6 tygodniowy ten pobyt Słowackiego w klasztorze Belcheshban przypada na miesiąc marzec (1837) i na skrajne tygodnie obu przyległych miesięcy. Czas ten nie był spędzony na samém tylko „dumaniu,“ jakby wnosić można z ustępu powyżéj przywiedzionego. W dalszéj osnowie tegoż listu znajdują się te jeszcze słowa:

„Na górze Libanu pracowałem trochę, i owoc moich marzeń także ze mną wędruje. Myślałem nawet zamknąć go w butelce, aby na przypadek rozbicia (okrętu) można go rzucić w morze i tak coś po sobie ocalić. Ale potém mnie jakaś religijna wzięła filozofia, i myśląc o marności rzeczy światowych pomyślałem, że jeśli mnie weźmie, to niech i wszystko moje bierze Neptun“...

Nie powiada poeta, co pisał w owym klasztorze. Mnie się zdaje, że mogła to tylko być albo powieść o Ojcu Zadżumionych w El-Arish, albo też Podróż na Wschód, poemat w sposobie Byrona Childe-Harold, zamieszczony w zbiorze po-

śmiertnym. Kiedy jednakże rozważam cały nastrój wpierw wymienionéj powieści, nastrój nader smętny i poetyczny, i porównywam z nim ówczesne usposobienie poety, dumającego tak samotnie w ormiańskim owym klasztorze: to mi się zdaje, jakoby daleko było prawdopodobniejszém przypuszczenie, że owato powieść wtedy powstała, aniżeli żeby tam miał był Juliusz nad „Podróżą“ pracować. Ton tego poematu jest zbyt już wolny, szyderczy i niepoważny, by to miał być owoc i zarazem odblask téj religijnéj kontemplacyi autora, w jakiéj go tam widzieliśmy. Daleko właściwszą jest rzeczą odnosić Podróż do czasu spędzonego późniéj we Włoszech, a mianowicie w Florencyi.

Jakoś dnia 6 albo 7 kwietnia, pożegnał się Juliusz z zakonnikami Libanu i powrócił do portowego miasta Bajrutu. Nie znalazł w porcie, jak się był spodziewał, żadnego okrętu odpłynąć mającego do Europy, i długo musiał czekać na okręt. Z téj przyczyny w Bajrucie przepędził z jakie 40 dni w hotelu. Pierwsze dni takiego tam siedzenia były dla niego nieznośne, mimo uczynności konsula, który mu książek do czytania pożyczał i nieraz go z uprzejmą gościnnością do domu swego zapraszał. Nakoniec jednak zdarzył los, że przyjechał tam z Jerozolimy starszy Hołyński, brat Alexandra, przyjaciela poety. Znajomość Słowackiego z starszym Hołyńskim była dotąd tak mało znacząca i przelotna, że zaledwie się mogła uważać za znajomość. Widzieli się tylko raz jedyny wtedy nad Nilem, kiedy to wspólnie wszyscy oglądali ruiny świątyni w Denderze.

„Nie znałem go i myślałem, że w towarzystwie jego nie znajdę przyjemności; ale przeciwnie, on sam pierwszy zbliżył się i związał się ze mną. Całe dni potém przepędzaliśmy razem chodząc na spacery, rzucając spojrzenie ukradkiem na zakryte wschodnie piękności. Ulubioném miejscem naszém był cmentarz w Bajrucie, gdzie co wieczora siadaliśmy razem na marmurowym turbanie, patrząc na morze i słuchając płaczu tureckich kobiet, które na grobowcach znajomych rozścielały bukiety kwiatów, niezmordowane w oddawaniu czci zmarłym, wierniejsze niż nasze kobiety wspomnieniom. Marzyłem kiedyś będąc dzieckiem o takich cmentarzach, o takich cyprysach, jakie teraz widziałem na oczy... Słowem dobrze nam było, i mnie dobrze, bo znalazłem w nim przyjaciela. Kiedy miałem wy-

jeżdżać, Hołyński myśląc, że może moja kiesa wypróżniła się, różnymi sposobami starał się wszcząć dyskurs o pieniądzach. Nareszcie jednego wieczora zaczął mówić — zająknął się i przestał; ścisnąłem go za rękę, kończąc sam zaczętą przez niego frazę. Dobry chłopiec, rzucił mi się na szyję i rozpłakał się rzewnie łzami, usiłując koniecznie, abym wziął u niego 2000 fr. Z największą trudnością wymówiłem się od tego i musiałem go przekonać, że mam pieniądze wystarczające mi na powrót do Europy... Ale łez tych nigdy nie zapomnę, i Ty go, droga moja, za to wiem że kochać będziesz. Ostatnie dni przepędziliśmy razem. W wigilią mego wyjazdu razem byliśmy na balu u mojego konsula. Ładna to, jak na Bajrut, była feta: fajerwerki, balon puszczony, dziedziniec zamieniony w salę do tańca, kilka kobiet wschodnich w arabskich ubiorach, żony konsulów itd. Tańcowano przy pozytywku: bo fortepiany choć są, lecz aby je nastroić, do Europy instrument posyłać potrzeba. — Muszę Ci tu także napisać, że mi rodacy moi zrobili reputacyą poety; więc wszyscy ubiegali się, abym z nimi gadał, i od czasu Lamartina naznaczyli mój pobyt pierwszą kreską. Dosyć mi to było miło, zwłaszcza że po tym balu nazajutrz miałem wsiąść na okręt i puścić się w daleką podróż. Była więc w tém jakaś poetyczność, któréj wyrazić nie potrafię". (Z listu, jak wyżéj).

Nazajutrz po tym balu rozstali się nasi przyjaciele ze sobą i z Bajrutem. Słowacki wsiadł na okręt i pożeglował do Cypru, a Hołyński, który nie chciał już w tém mieście zostać potém ani godziny bez niego i dlatego też już pierwéj był rzeczy swoje wyprawił naprzód, dosiadł konia i ruszył w góry libańskie do cedrów Salomona. Było to jakoś w pierwszéj połowie maja.

W dobry miesiąc potém znajdował się nasz wędrowiec na morzu już gdzieś niedaleko włoskiéj Liwurny, i pisał list (datowany z d. 14 i 15 czerwca), list ostatni z podróży, w którym udzielał matce spostrzeżeń swoich zebranych na pokładzie okrętu.

....„Życie moje na statku jest bardzo jednostajne. Wstaję przed wschodem słońca i obserwuję gwiazdy, w których się teraz głęboko zaciekam, pomagając często oku naszym okrętowym teleskopem. Potém widzę czerwieniące się niebo, koguty na rzeź przeznaczone pieją i głos ich dziwnie się wśród morza wydaje, przypominając spokojność życia wiejskiego; kot okrętowy wychodzi igrać ze mną, ży-

wy i wesoły o godzinie porannéj; potém wschodzi słońce, a pokład okrętowy czerni się od habitów sześciu mnichów, rzucających spokojne łoże; potém kawa, ranne godziny zajęte czytaniem, marzeniami — przy obiedzie nieraz mój butel budzi wesołość... Po południu o godzinie 5 cały okręt odmawia głośno rożaniec do Najświętszéj Panny, prosząc ją o wiatr dobry... i nakoniec wzywa swoję rodzinną Madonnę de Monte Negro, aby się opiekowała nim i o wiatr pomyślny prosiła... Wieczerza i obserwacye gwiazd wschodzących dzień mój kończą... Czasem z którym z mnichów gram w warcaby... Nakoniec piszę dziś ten list na mojéj szkatułce na kolanach, siedząc na pokładzie okrętowym i ciesząc się, że po trzydniowéj ciszy zawiał nam wiatr dobry i do portu Liwurny prowadzi.

...„Podróż morska miała dosyć dobry wpływ na mój charakter. Przywykłem być z kim ciągle, nie mając osobnego pokoju, gdziebym się mógł zamykać... Przywykłem do wielu niewygód, przekonałem się, że obiad bez mięsa obejść się może i że należy czasem pościć, tak jak nieraz pościliśmy z Zenonem, żyjąc przez dzień cały ryżu garsteczką, przy niedzieli tylko jedząc kury. Zdrowie moje prawdziwie cudownie mi służyło. Spałem nieraz na wilgotnéj ziemi pod namiotem na wietrze, i zdrowszy teraz jestem po tém wszystkiém, niż przedtém. Słowem, uznaję nad sobą samym opiekę Boga i ufam, że ją nie tylko nade mną, ale i nad Tobą rozciągnie, bo inaczéj cobym ja robił na ziemi? — Dziwném teraz będzie bardzo dla mnie przejście z życia wschodniego do zwyczajów europejskich: widzieć, że znakiem uszanowania nie jest już nakrycie głowy, a zdjęcie trzewików; że obrusa nie kładą pod stołem, ale na stole; że ludzie nie jedzą palcami, że pozdrawiając kogo nie przytykają ręki do ust i do czoła ani do serca, jak w ziemiach arabskich... Wczoraj jadłem nową potrawę, był to żółw morski, któregośmy ułowili śpiącego na wodzie. Mięso jego dobre, wonnością wydawało się trochę do łososia podobne. Prowizye nasze wystarczały nam do końca, woda się nie zepsuła, kury potłuściały; trzy barany, długo nas swoją figurą bawiące na pokładzie okrętowym, już nie exystują; a śmierć ostatniego była opłakana rzewnemi łzami przez okrętowego chłopczyka, który się był do zwierza przywiązał jak do braciszka i ze strony barana podobne przywiązanie uzyskał, tak że baś biedny, póki żył, jak pies biegał za nim. —

... „Mam ufność, że ta podróż zupełnie bezużyteczną nie będzie. Tyle nowych obrazów tkwi teraz w mojéj pamięci. Przyszłość będzie się dziwnie w mojéj głowie na takiém tle odbijać. Choćby tylko promień takich pięknych wspomnień miał upaść na starość moję, jeżeli dożyję starości... Kiedyś, usiadłszy z Tobą na cmentarzyku krzemienieckim, będę Ci opowiadał o grobach dawnych i wielkich ludzi, i o pomnikach starych wieków. A słuchając moich wspomnień, będziesz się tak uśmiechać, jak niegdyś słuchając marzeń moich o przyszłości“... (Z listów z dnia 14 czerwca i 19 lutego 1837).

BIBLIOTEKA NARODOWA

Tom drugi wyjdzie z pod prasy w miesiącu październiku. Aż do ukazania się tomu drugiego dzieło sprzedaje się po cenie prenumeracyjnéj. Potém cena będzie podwyższona.

Z DRUKARNI ZAKŁADU NAROD. IM. OSSOLIŃSKICH.
Pod bezpośr. zarządem uprzyw. dzierżawcy Alex. Vogla.

Biblioteka Narodowa
Warszawa
30001018575970

BN
BIBLIOTEKA NARODOWA
2015810
T.1